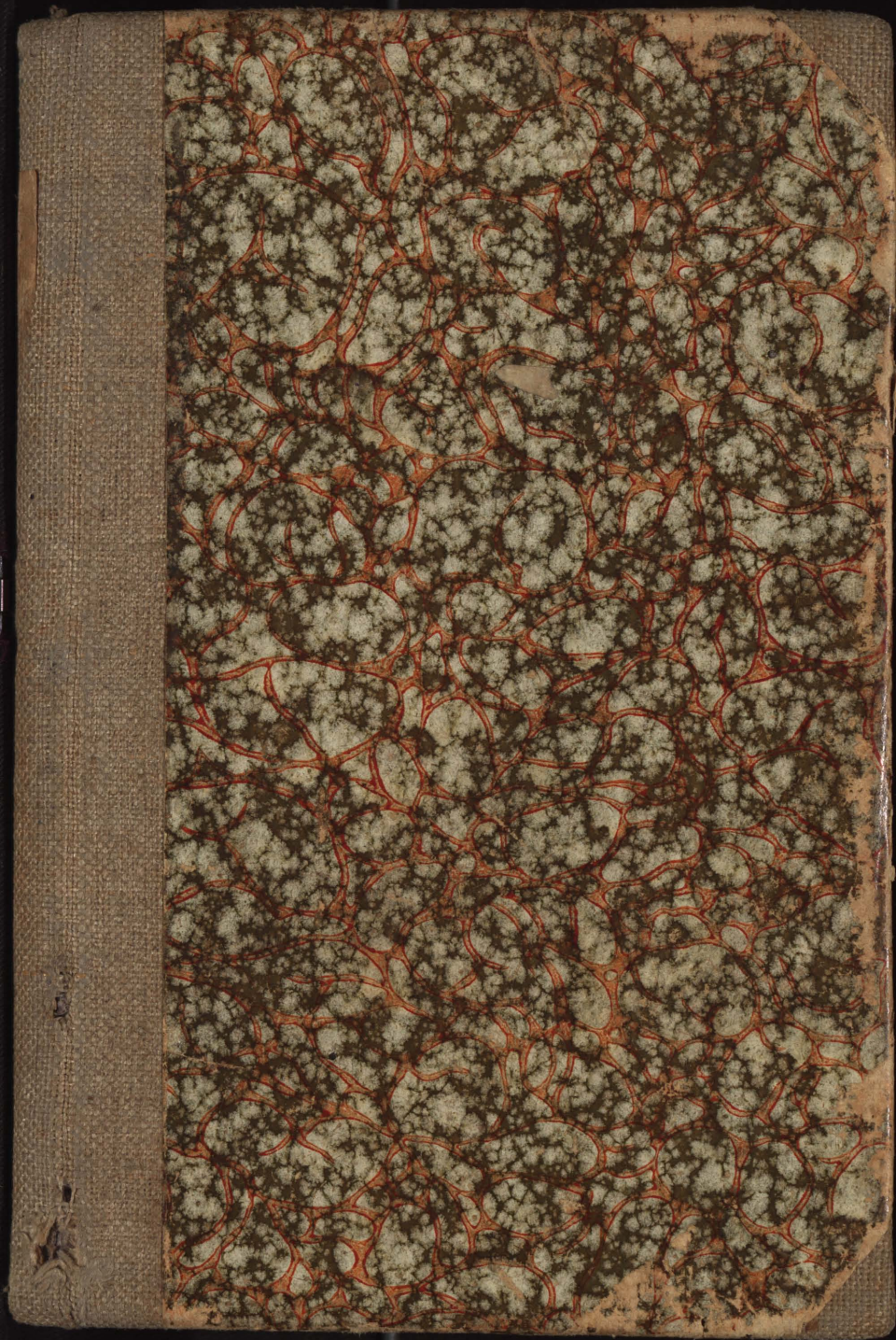




Book 16
Zach 92
34 inv. 1056

Perez Bernard . A

Nr 317s

Brzoł N
Znak 92
M inw. 1056

PSYCHOLOGIA DZIECKA.

Gimnazjum im. J. I. KRASZEWSKIEGO
W BIAŁEJ.
Księgozbiór: U.
nr 585.

ce
czyć, w n
żywa, wyra
już w czwart
działać i zd
cych go narządów

geb i Wolf 1890

1890

Gimnazjum im. J. I. KRASZEWSKIE
w BIAŁEJ.

Księgozbiór: U.

ROZDZIAŁ I.

№ 585.

1. Władze umysłowe dziecka przed urodzeniem.

Czy psychologia może się zajmować płodem? Kwestya ta nie przedstawia żadnych wątpliwości dla fizyologów, którzy nie uznają aby jakikolwiek narząd mógł istnieć, nie spełniając mniej lub więcej rozwiniętych czynności i uważają płód jako—w ogólnych przynajmniej zarzysach naszkicowany—całokształt wszystkich narządów czucia. Nie przedstawia też ona wątpliwości dla filozofów szkoły doświadczalnej; ci bowiem przyznają jednaką ważność zarówno nieświadomym objawom życia jak i pełnemu już świadomości życiu umysłowemu oraz uważają automatyczne napozór ruchy płodu za pierwsze oczywiste przejawy czucia.

Oto zdanie wypowiedziane przez Luys'a, a dotyczące się pierwotnych objawów czucia: „Trudno oznaczyć, w której epoce życia płodowego czucie, jako siła żywa, wyraźnie objawiać się zaczyna; niemniej jednak już w czwartym miesiącu system nerwowy zaczyna oddziaływać i zdradzać życiowość oddzielnych składających go narządów. W rzeczy samej wiadomo, że od

tęj chwili płód jest wrażliwym na działanie zimna, że można pobudzić go do ruchu, dotykając chłodną ręką łona matki; wiadomo także, że wykonywa on mimowolne ruchy aby się uwolnić od ciśnienia, które mu dokucza i jego czucie pobudza. Można zatem z zupełną słuszością wnioskować, że ruchy te są pierwszymi promykami budzącego się czucia i że od tej chwili dzięki systemowi nerwowemu przejawia się ono naturalnymi swymi drogami i podlega już prawom, wedle których objawiać się będzie potem w dojrzałym organizmie." ¹⁾ Zgodziwszy się z tym autorem, że komórki nerwowe pozostają przez pewien przeciąg czasu w stanie drgania, w jaki przez zewnętrzne pobudzenie wprawionemi zostały ²⁾, oraz, że—odnośnie do działalności umysłowej—otrzymane pobudzenie przechowuje się przez czas jakiś w postaci świadomego lub bezwiednego wspomnienia, łatwo zrozumieć jak ciekawem dla psychologa jest zbadanie chociażby najslabszych objawów życia psychicznego w epoce poprzedzającej urodzenie.

Th. Ribot, filozof szkoły doświadczalnej, godzi się iż bliższe poznanie zajmującego nas przedmiotu może psychologii przynieść pożytek lecz tylko ze stanowiska naszej wiedzy o nieświadomem poznaniu. „Pierwszych form życia nieświadomego szukać by należało podczas życia płodowego t. j. w epoce stanowiącej przedmiot bardzo nierozjaśniony i mało zbadany z psychologicznego punktu widzenia. Jakkolwiek zewnętrzne zmysły płodu znajdują się jeszcze w stanie uśpienia a ogólne

¹⁾ *Luyts*. Mózg i jego czynności str. 126.

²⁾ *Luyts* określa tę własność elementów nerwowych mianem *fosforescencji organicznej* (Mózg i jego czynności—w przekładzie Dra Dunina str. 133).

czucie wskutek jednostajnej ciepłoty owodniej (amnion) jest prawie żadnem, można przecie mniemać z Bichat'em i z Cabanis'em, że mózg jego odczuwa, doznaje wrażeń i pożąda—jak o tem świadczyć się zdają gwałtowne ruchy w ostatnich dniach ciąży." ¹⁾

Profesor Kussmaul dalej jeszcze idzie — twierdzi bowiem, że „dziecko zanim się jeszcze urodzi, może już nabyć pewnych doświadczeń i uzdolnień za pomocą zmysłu dotyku, rozbudzonego zetknięciem się jego ze ściankami macicy, oraz za pomocą uczuć głodu i pragnienia, wywołanych przez płyny zawarte w owodniej. A zatem już w tej epoce umysłowość dziecka zaczynałaby się rozwijać, chociaż jeszcze bardzo nieznacznie."

Czemże są zmiany zachodzące w życiu przed urodzeniem? Czy porównanie doświadczalne rozjaśni nam kiedykolwiek tę zawiłą i subtelną kwestję? Może anatomia porównawcza mózgu płodu dziecka i dorosłego człowieka wykaże, czy cokolwiek tamuje pierwotne wrażenia, czy też dochodzą one do włókien nerwowych, za pośrednictwem których przekształcają się w postrzeżenia (percepcye)? Czy narządy zmysłów — jakkolwiek niezupełnie jeszcze wykształcone—wywołują jednak pewną reakcję miejscową, obwodową, pewne drgania wrażeniowe, czy też rzeczywiste wrażenia, które niemniej jednak są dla części pobudzonych rodzajem ćwiczenia, wyrównywającego pierwocinom kształcenia i przyzwyczajenia? W jakiż sposób zewnętrzny lub wewnętrzny świat oddziałują na te dusze, napół ukształcone, napół czynne i być może posiadające już pewną niejasną samowiedzę? Gdyby wszystkie ruchy płodu były machinalnymi i bezwiednymi, gdyby odbierane przezeń wra-

¹⁾ *Ribot*. Dziedziczność psychologiczna.

żenia doprowadzały tylko do głuchego pobudzenia uczucia, byłoby zarówno nierozsądnie ważność tych wrażeń przeceniać jak i im przeczyć. Wiadomo, że zboczenie podczas ciąży danego włókna nerwowego o $\frac{1}{10}$ milimetra wpływa w znacznym stopniu na ustrój tego lub owego narządu. Skutkiem tego podczas życia płodowego wrażenia (czy to stale się powtarzające, czy też—szczególniej—przypadkowe) chociaż wytworzone przez niedoskonałe i niewyćwiczone jeszcze narządy, muszą przecież wywierać tak na ogólną budowę umysłu jak i na poszczególne jego właściwości wpływ, który bez wątpienia da się kiedyś określić w pewnych granicach. Oto pierwszy brzask życia duchowego, którego świt poczytna się z chwilą urodzenia dziecka! Oto pierwsza stronica książki, o odczytaniu której psycholog nie powinien rozpaczać, ani się z niem śpieszyć zbyt. zbytnie.

Jakaż jest istota i natężenie uczucia, którego w naszym mniemaniu płód doznać jest zdolnym? Są to prawdopodobnie zcałkowane już uczucia normalnego lub nie-normalnego stanu wnętrza, wrażliwości skóry na temperaturę, uczucia mięśniowego, dotykowego i smakowego—to ostatnie mniej wyraźne, bo mniej różnorodne od wrażeń mięśniowych i życiowych. Można nawet przypuszczać, że fale dźwiękowe, przenikając przez ścianki brzuszne, wywierają na rozwinięte już części narządu słuchowego płodu pewne wstrząśnienie, równające się początkowym ćwiczeniom słuchu oraz najpierwotniejszym wrażeniom słuchowym. Powyższe dane o naturze przypuszczalnego uczucia płodu pozwalają nam wprowadzić wniosek, że i natężenie tegoż uczucia jest bardzo nieznacznym.

Współczesna psychologia zapatruje się w ogóle na wrażenie jako na następstwa zmiany zaszłej w danym narządzie a odpowiadającej każdej zmianie w oto-

czeniu. Stopień natężenia wrażenia znajduje się w stosunku prostym do oporu, stawianego przez włókna czuciowe działaniu zewnętrznej podniety; odbicie tego działania w siedlisku czuciowości (*sensorium*) wytwarza uczucie. Nerw dorosłego człowieka może znieść silniejsze podniecenie niż nerw małego dziecka, dla tego też aby odebrać dane wrażenie wymaga on *minimalnego* podniecenia większego niż to, które wytwarza wrażenie u dziecka. Ale właściwa dziecięcemu organizmowi łatwość przystosowywania się do warunków otoczenia i słaby opór stawiany przezeń zewnętrznym podnietom sprawiają, że dziecko nie doznaje nigdy trwałych wrażeń: ulegając łatwo bodźcom zewnętrznym, mniej im stawia oporu, zaledwie do nich przywyka aby mogło je długo odczuwać. To, cośmy powiedzieli, stosuje się w wyższym stopniu do płodu. Względna szybkość czynności, które odbywają się wewnątrz, wielka wrażliwość skóry,—ztaąd poczęści wynikająca, że powłoka ta nie jest jeszcze w zupełności ukształtowaną,—znaczący już rozwój czuciowości mięśniowej mogłyby sprawiać, że płód powinienby doznawać dość żywych i wyraźnych wrażeń pod działaniem ciepła, zimna, nacisku oraz wewnętrznych zmian zaszłych w organizmie. Ale czy wiemy cokolwiek pewnego o stopniu rzeczywistej życiowości, właściwej narządom i ośrodkom nerwowym w epoce, o której mówimy? Słowem, czy doznaje już płód tych wrażeń, których doznawać się zdaje?

Większość fizjologów mniema zgodnie z Virchowem, że noworodek jest „istotą rdzeniową” t. j. że nieświadomie odbierane przezeń wrażenia doprowadzają do odruchów i ruchów automatycznych, że jego ruchy i wrażenia nie znajdują oddźwięku w mózgowych ośrodkach uczucia i ruchu. Czyż wynikałoby ztaąd, że mózgowie płodu nie spełnia żadnej czynności? O ile mi wia-

domo, nauka o mózgu płodu nie wyrzekła dotąd nic sta-
 owczego w tej kwestyi a mózg nowonarodzonego dzie-
 pi a jest dla nas dotąd mało znaną krainą.

Sądzić o tem można z małej liczby wiadomości,
 po trzecie o tym wielkim narzędziu znajdujemy w pracach,
 wieżo we Francyi wydanych.

W końcu piątego miesiąca mózg płodu rozwija się
 nader szybko: półkule mózgowe zakrywają już w zupeł-
 ności wzgórci czworacze i mózdzek staje się grubszy.
 Począwszy od szóstego miesiąca zmiany zaszły w mó-
 zgu są wybitniejszymi od zmian w rozwoju mózdzku.
 Ścianki półkul grubieją; wielkie spoidło wzrasta i przy-
 biera więcej poziomy kierunek; brzozy i zawoje rozwijają
 się tak, że w początku siódmego miesiąca można już
 znaczniejsze z nich wyraźnie odróżnić. Wtedy uwy-
 datnia się też postęp w rozwoju zrazów mózgowych
 w siódmym miesiącu zrazy czołowe i skroniowe są już
 dość grube, zraz ciemieniowy jeszcze bardzo mały ale
 w chwili urodzenia więcej już jest rozwiniętym. W owej
 epoce zrazy mózgowe u płodu zajmują środek między
 zrazami mózgowymi u szympansa i u dorosłego czło-
 wieka; u noworodka wzajemny stosunek zrazów mózgo-
 wych jest takiż sam jak u dorosłego orangutanga. Tak
 więc wzrost mózgu jest wtedy większym niż wzrost mó-
 zdzku. Co się tyczy budowy mikroskopowej mózgu pło-
 du, przedstawia on w niektórych częściach jądra zao-
 krąglone i połączone z sobą siecią włókien, w innych zaś
 częściach grupy więcej wydłużonych jąder; nie napoty-
 kamy w nim jednak wyraźnych różnokształtnych komó-
 rek, połączonych z sobą wyrostkami, które świadczą
 o zupełnem rozwoju zawojów mózgowych ¹⁾. O ile z tych

¹⁾ *Charlton Bastian*. Mózg — narzędzie myśli.

powierzchnowych wskazówek cokolwiek wnioskować
 można, widać że jakkolwiek rozwój górnych półkul wy-
 daje się dostatecznie dojrzałym aby wytworzyć zdol-
 ność postrzegania, wzruszeniowości i chcenia (volition)
 to jednak mały stopień spójności części składowych
 tychże półkul świadczy, iż w epoce życia płodowego
 działalność władz psychicznych jest nader ograniczoną.
 Zresztą chociaż rozwój mózdzku—narządu kojarzenia
 ruchów—pozostał znacznie w tyle poza rozwojem mó-
 zgu, nie wynika ztąd aby ośrodki poznania i chcenia nie
 rozpoczęły już swych czynności przed urodzeniem.

Psychologowie powinni by zatem odzywać się bar-
 dzo oględnie w kwestyi, która dla najpoważniejszych
 fizyologów przedstawia więcej stron ciemnych niż ja-
 snych. Dodać jeszcze muszę, że ponieważ ci ostatni
 nie mogą poddawać nowonarodzonych dzieci okrutnym
 doświadczeniom zatrutowania i wiwisekcji, nie możemy
 w obecnej chwili spodziewać się od nich bezpośrednich
 wskazówek co do czynności mózgowych niemowlęcia
 a tem mniej płodu. Psychologia dziecka może co naj-
 wyżej — jak to później wykażemy — poczerpnąć kilka
 pośrednich wskazówek z doświadczeń czynionych nad
 nowonarodzonemi zwierzętami. Każdy wiek ma swoją
 psychologię porównawczą.

Obecnie więc opierając się na najprostszej ana-
 logii wierzyć możemy, że na dość długo przed urodze-
 niem dziecko zapoznało się już z bólem i zadowoleniem
 fizycznym o tyle, o ile coraz bardziej rozwijające się je-
 go narządy utorowały drogę podnieciom, zazwyczaj je
 wywołującym. Doznało ono także znacznej ilości umiar-
 kowanie silnych, obojętnych niejako wrażeń, znajdujących
 jednak oddźwięk w jego ukształtowanej już samo-
 wiedzy. Wrażenia te, powstałe bez współudziału wyż-
 szych czynności mózgu, niewyraźne są po większej czę-

ści i wędrówki doczesnej, ale cierpi widocznie nad żydo za odąd usamoistnieniem: drży ono i wyrzeka podobnie pieszcz niepokoją się i piszczą nowonarodzone zwierzęta, poikażone na tysiące nowych i różnorodnych wpływów, tryskających ich czucie. Słusznie zatem powiedzieć można, że dziecię przez cierpienia zapoznaje się z życiem zewnętrznym. Przyjście na świat jest równie bolesnym jak zejście ze świata; dla tego też tak wiele dzieci, wyczerpanych pierwszemi wysiłkami i nowemi wrażeniami, zapada natychmiast po urodzeniu w stan trupiego zeszywnienia.

Skutkiem zmęczenia, potrzeby snu i — być może — silnie pobudzającego działania wdychanego powietrza, które zaczyna przetwarzać krew żylną w tętniczą, niemowlę nie doznaje głodu natychmiast po urodzeniu. „Po upływie kilku godzin dopiero dziecię odczuwa po raz pierwszy potrzebę przyjęcia pożywienia. Nowe zupełnie uczucia głodu i pragnienia wyrrywają je z tego zapomnienia o samem sobie i sen mu przerywają: budzi się ono i krzyczy. Pieczołowitość macierzyńska odpowiada wnet na to wezwanie i pierwszy dar swój składa. Wtedy doznaje dziecię radości, wilżąc usteczka słodkim płynem czerpanym z łona, na którym dotąd główka jego spoczywała wygodnie. Za pierwszą boleść na wstępie przebytą, doznaje ono natychmiast pierwszego i miłego odwetu. Nasycone znów przy piersi usypia z uczuciem zadowolenia, wynikającym z zaspokojenia głodu; zdaje się ono powracać do tego stanu odosobnienia, które było normalnym jego stanem w łonie matki, a od którego nie odwykł jeszcze organizm. Wyrwie się ono zeń jednak, ilekroć potrzeba pożywienia spokój mu zamąci ¹⁾”

¹⁾ Richard de Nancy. Education physique des enfants.

Tak więc, chociaż dziecię nago na ziemię rzucone znajduje wnet miękkie i ciepłe węzłowie piersi matki rzyńskiej; chociaż przyroda sama stopniowo doprowadza je do zupełnego posiadania wzroku, słuchu i swobody ruchów — musi ono od pierwszej chwili rozpocząć walkę o byt z powodu szorstkich i przykrych wrażeń, jakie je natychmiast po urodzeniu oblegają. Pragnienie, głód, zimno, ból oddychaniem i trawieniem spowodowany, cierpienia z dotyku i z ruchu mięśni wynikające, przykre podrażnienia narządów wzroku i słuchu dokuczają mu, ilekroć się ocknie z głębokiego snu. Wszystkie te mniej lub więcej silne i świadome wrażenia wystawiają na bolesną próbę niewydoskonalone jeszcze i delikatne jego narządy. Tłumaczy nam to, dla czego tak trudno utrzymać przy życiu niemowlęta, oraz dla czego cierpienia nerwowe lub piersiowe tak często o śmierć je przyprowadzają. Zresztą jeżeli o zdrowiu dziecka sądzić można z siły i ze sposobu w jaki ono czynności życiowych dopełnia, należałoby przypuszczać, że samo przyjmowanie pokarmu wpływa nadzwyczajnie na stan jego zdrowia. W pierwszych dniach niemowlę ssie źle, leniwie i męczy się prędko ssaniem. Skutkiem procesu wydzielania smółki (meconium), dziecię w przeciągu pierwszych trzech dni traci na wadze około 100 gramów ($\frac{1}{4}$ funta) i szóstego lub siódmego dnia dopiero odzyskuje wagę, jaką miało w chwili urodzenia. Możemy ztąd wyprowadzić wniosek, że ogólny stan fizyczny odpowiada słabemu stopniowi rozwoju narządów, oraz ich przystosowaniu do nowego otoczenia i do nowych warunków bytu.

ści i r
do za
pieszc
pi ika
po so
tr

s

si

ROZDZIAŁ II.

1. Czynności ruchowe w początku życia.

Ponieważ ruchy, które noworodek mniej lub więcej automatycznie wykonywa, stanowią pierwsze przejawy jego życia psychicznego, należy więc przedewszystkiem zbadać naturę owych ruchów, które są u dorosłych wyrazem zachodzących w nich zjawisk psychicznych. Od pierwszych dni życia można zauważyć w dziecku pewną nieokreśloną ogólną ruchliwość, będącą skutkiem zewnętrznych lub wewnętrznych pobudzeń, które po większej części również się określić nie dadzą: ruchy te uważać należy najpierw za mimowolne dążenie ośrodków nerwowych do wydatkowania nadmiaru energii w postaci siły mięśniowej. Niektóre z tych ruchów uważać też należy za wyraz kojarzenia pewnych ruchów z pewnemi miłemi lub przykreimi wrażeniami. Tak np. niepewne i bezładne ruchy rąk, nóg i mięśni licowych, które niemowlę wykonywa chcąc uwolnić się od ucisku powijaka lub zwalczyć pewne dolegliwości organizmu za pomocą rozrywki przez ruch sprawionej, nie mające

wyraźnego celu ruchy, jakie czyni mając nieskrępowane ręczki—przyczem nieraz się uderzy lub podrapie. Wszystkie te ruchy należą do nieokreślonych odruchów. Od pierwszych także dni dziecię chciwie ustami chwyci ssie palec lub patyczek, który mu podajemy; machinalnie ściska w paluszkach przedmiot, którym dotykamy jego dłoni „jak liście i kwiaty czułka zamykają się pod dotknięciem obcego ciała” ¹⁾; zawraca ono oczyma i mruży je, jak gdyby chciało się nałożyć do rażącego blasku zbyt silnego światła; instynktownie usuwa nóżki, gdy dotkniemy jego podeszewek lub łaskoczemy je choraśnięciem pióra a wszystkie te ruchy, zrazu automatyczne lecz mające wyraźną użyteczność, wchodzą w skład grupy ogólnych określonych ruchów.

Jednym z najpierwszych odruchów, jaki zauważyć można u dziecka, a którego na pierwszy rzut oka niepodobnem się wydaje wyosobnić od instynktu, jest—według Darwina—kichanie towarzyszące pierwszemu odetchnięciu. To samo powiedzieć można o donośnym, urywanym krzyku dziecka, stanowiącym przedwstępny akt płaczu, o krzywieniu się, marszczeniu czoła, ściąganiu brwi, o wykrzywianiu ust — przyczem dolna warga się podnosi a kąty ust opuszczają konwulsyjnie,—o szlochaniu wreszcie i o łzach, gdy dziecię dojdzie już do wieku, w którym łzami płacze. Darwin zauważył pierwsze wyraźne szlochanie u jednego ze swych dzieci dopiero gdy miało 138 dni. Zauważył on również, że wylewanie łez nigdy nie miało miejsca przed 20-ma dniami; raz tylko zauważył pierwsze łzy u dziecka, mającego 62 dni, dwa razy u dzieci mających 84 i 110 dni — wogóle chwila ukazania się pierwszych prawdziwych łez wydaje mu się bardzo niestałą.

¹⁾ Pamiętnik Tiedemanna.

Śmiech, objawiający się tak wcześnie u dziecka, oczywiście odruchem. Ściągnięcie kątów ust i lekkie rozchylenie warg stanowi ogólną cechę wyrazu radości a nawet u rozigranego psa lub kota można zauważyć to lekkie rozciągnięcie przednich licowych mięśni, a fizyognomię uśmiechniętą — że się tak powiedzieć ośmielę. Tiedemanowi się zdaje, że w pięć dni po urodzeniu swego dziecka zauważył u niego „pozór śmiechu bez właściwego powodu, a zatem prawdopodobnie bez chęci albo uczucia radości, wypadkowo jedynie dla tego, że tak a nie inaczej chciał mechanizm.” Wogóle u Tiedemana wydaje mi się niepospolicie przedwczesne rozwinięciem dzieckiem; wolę też powoływać się na Darwina we wszystkim, co się tyczy faktów naukowo przez niego zauważonych: „Wiadomo — powiada on — każdemu kto się zajmuje małymi dziećmi, jak trudno jest orzec stanowczo, czy niektóre ruchy ust wyrażają cokolwiek, t. j. czy dzieci uśmiechają się rzeczywiście.” Po raz pierwszy zauważył on uśmiech u 45-cio dniowego dziecka, a krótkie, urywane dźwięki, właściwy śmiech tanowiące, usłyszał dopiero z ust dziecka mającego 65 dni. „W tym stopniowym rozwoju śmiechu dziecka znajdujemy do pewnego stopnia podobieństwo z rozwojem jego płaczu. Zdawałoby się, że w obu razach potrzeba pewnego ćwiczenia, podobnie jak dla nabrania wprawy w wykonywaniu zwykłych ruchów ciała np. chodzenia. Przeciwnie zaś zwyczaj krzyczenia — tak oczywiście dziecku użyteczny — rozwija się wybornie od pierwszych dni życia.”

Widziałem uśmiech u dzieci nie mających jeszcze miesiąca. Ale tego uśmiechu, będącego odtąd odruchowym wyrazem radości, nie trzeba brać za jedno z pewnem spazmatycznym ściągnięciem warg, które dojmujący ból wywołuje zarówno u dziecka jak i u osób

dorosłych. Wszystkie obserwowane przeze mnie dwumiesięczne dzieci śmiały się istotnie, czy to z radości czy też podrażnione lechtaniem, a mniej lub więcej jacyś śmiech zależał od właściwości organizmu. Ale żadne z tych dzieci nie wiedziało, że śmiech lub uśmiech jest wyrazem jakiegokolwiek uczucia; mało które w tej epoce życia odpowiadało na uśmiech matki uśmiechem, dla wywołania którego trzeba było sprawić mu istotną przyjemność: np. wołać na nie lub do zabawy zachęcać. Jeżeli dziecko świadomie uśmiechnąć się chciało, nie mając widocznego ku temu powodu, to zamiar ten musiał być bardzo słabym.

Osoby które nie zarzucając spowijania, umieją jednak pogodzić je z dziecięcą potrzebą swobody i zostawiają mu wolne rączki i nóżki wiedzą dobrze, jakiego zadowolenia dziecię 2-cho miesięcy nawet nie mające doznaje, gdy może poruszyć rączkami i nóżkami. Zanim powstanie władza przenoszenia się z miejsca na miejsce, dziecię nieustannem poruszeniem się zdradza zdolności do ruchu. Z temi nieokreślonymi przeważnie i niepewnymi ruchami łączą się także „dźwięki proste wprawdzie i nieczłonkowane (nieartykulowane) ale urozmaicone.” (Tiedeman). Nic nie wykazuje wyraźniej ścisłej łączności, zachodzącej między ośrodkami pobudzającymi do ruchu różne członki ciała a ośrodkami ruchów głosowych, jak właściwa dzieciom i zwierzętom potrzeba kojarzenia dźwięków z ruchami.

Taine spostrzegł trafnie tę dwoistość działania u obserwowanej przez siebie dziewczynki: „Gdy miała półczwarta miesiąca, kładziono ją w ogrodzie na dywanie, gdzie leżąc na wznak lub na brzuszku, godzinami całemi poruszała ustawicznie rączkami i nóżkami, wydając przytem ciągle i rozmaite krzyki: same samogłoski, nigdy spółgłosek; trwało to kilka miesięcy.”

ści i Członkowane czy też nieczłonkowane dźwięki nie-
do zą zresztą wielkiego znaczenia dla psychologa, ponie-
jesze zaczynają się one stawać nieużytecznymi, gdy dziec-
pika nauczywszy się ruchów i mowy, całą ich wyrazistość
po rozumie. Ale nader ciekawą rzeczą byłoby zbadać te
tr dźwięki u dzieci, które — o ile to byłoby możliwem —
znalazły się w położeniu, zmuszającym je do wynajdy-
wania na nowo mowy bez innej pomocy oprócz ruchów,
przez wykonawców wykonywanych. Kiedyś może po-
dobne doświadczenie dokonaniem zostanie.

Wróćmy teraz do tyle ważnego dla psychologa ba-
lania ruchów, badania ważnego, ponieważ ruchy te są
sajczęściej wyrazem zjawisk umysłowych i z kolei same
ch powodem się stają.¹⁾ Dziecko zaledwie miesiąc
mające a na rękę trzymane, porusza często jedną rączką
lub też obiema, bije niemi powietrze, lekko przytem prze-
bierając paluszkami. Podobnie też, mając nieskrepo-
wane nóżki, dnośi je i opuszcza z automatyczną je-
dnostajnością, przypominającą niektóre konwulsyjne
ruchy u dorosłych. Czyż w ruchach tych widzieć mo-
żna jedynie wyładowanie nadmiaru siły żywej nerwo-
wej, która niema wytkniętej użyteczności i nie szuka
jej nawet a mimo to wywiera jednak wpływ użyteczny
na ogół czynności życiowych? Zdaje mi się, że słusznie
można widzieć w tem także działanie skłonności do ru-
chu, skłonności nie wyrobionych jeszcze lecz dążących
do wyrażenia się uspecjalizowanemi ruchami. Wszy-
stkie te ruchy dziecka — jakkolwiek nie mające wyra-
źnego celu — przyczyniają się do wzmożenia ruchliwo-
ści. W samej rzeczy też każdy mięsień i nerw każdy
wykonywają pewną mniej lub więcej prawidłową czyn-

¹⁾ Patrz pracę Ribota, *Revue Philosophique* z Października
1879 roku.

ność, gdy ich włókna i ośrodki dosięgły dostatecznego
stopnia siły i zorganizowania. Nadto ruch sprzyjając
ogólnemu odżywianiu usposabia przez to również do
przyszłej działalności różne siły, drżemiące w organiz-
mie a ujawniające się czasami nagle lub przynajmniej
bez wyraźnego stopniowania.

Podczas pierwszych trzech miesięcy słabe z po-
czątku i niepewne ruchy głową z lewa na prawo, z pra-
wa na lewo, z góry do dołu i z dołu do góry, stają się
coraz wyraźniejszymi. Zauważyłem raz, że półtoramie-
siężne dziecko zwracało ku mnie główkę i oczy, zdając
się przysłuchiwać memu głosowi. Widziałem też 7-o
tygodniowe dziecko, które nie chcąc powtórnie zażyć le-
karstwa, skrzywiło się, dwukrotnie przy tem porusza-
jąc główką w sposób, później mający znaczyć: *nie*,
wtedy będący tylko bezwiednym wyrazem wstrętu.
Ale ruch ten dowodził jednak postępu: tygodniowe lub
miesięczne dziecko wypłuka z buzi niesmaczny płyn
i krzywi się do płaczu, nie poruszając jednak główką
ani cofając jej w tył. Zauważone zaś przez Tiedemana
ruchy oczyma w tę lub ową stronę, ruchy, które dziecko
wykonuwa często już na drugi dzień po urodzeniu, uwa-
żać należy za odruch nawet u dziecka mającego trzy
tygodnie lub miesiąc, gdyż — jakto zaznaczyłem powy-
żej — noworodek jest ślepy przez pewien przeciąg cza-
su, którego długości niepodobna ściśle określić. Może
być jednak, że oczy tych małych istotek, podrażnione
falowaniem eteru, poruszają się automatycznie, bezce-
lowo, jak gdyby śledziły jakiś dany przedmiot. Może
być nawet, że ruchy te stanowią stadyum przejściowe
do władzy widzenia; wszystko bowiem skłania nas do
przypuszczenia, że musi istnieć pewien nieokreślony
stosunek pomiędzy światłem a tkankami do odbierania
wrażeń świetlnych przeznaczonemi, skoro stosunek taki

ś
z
P
po
tr
zauważyć można tam nawet, gdzie narząd wzroku wcale nie istnieje, lub też jest bardzo mało rozwiniętym.

„Oko zaczątkowe u wypławek (*planariae*) składa się z małej ilości ziarenek barwnikowych, zebranych pod skórą, może być uważanem li tylko za część powierzchni ciała najwrażliwszą na działanie światła”¹⁾.

Z tem większą słusnością zastosować można powyższe twierdzenie do dziecka, które posiada odrębny narząd do odbierania wrażeń świetlnych. Automatyczne ruchy oczu — nie czuciem światła lecz li tylko podrażnieniem wywołane — muszą zresztą przyczyniać się do odżywiania tkanek mięśniowych i nerwowych, rozwój których jest niezbędnym warunkiem wrażliwości na światło. Większemu rozwojowi mięśni, nerwowych i ruchowych ośrodków, wyraźniejszym wrażeniom i rozleglejszym sądom odpowiada coraz specjalniejsze przystosowanie ośrodków ruchowych. Dwumiesięczne dziecko, które odróżnia już pewne przedmioty świata zewnętrznego i zaczyna nabierać ogólnego wyobrażenia o odległości, nie mogąc jeszcze wyciągać rączki aby schwycić ów przedmiot (co już czyni świadomie chcąc dostać przedmiot blizki) pochyla się ku niemu całym ciałem. W tej epoce ma ono już dokładniejsze wyobrażenie o przestrzeni a raczej o rozmieszczeniu w niej różnych części swego ciała: teraz już rzadko kiedy się zadrapie. Przed końcem trzeciego miesiąca dziecko zaczyna coraz częściej podnosić rączki do buzi a wkrótce potem podrażnione bólem przy żabkowaniu, ciągle prawie trzyma palce w ustach. Teraz już rączki jego są lepiej i więcej zajęte: dziecko doskonale wygina rączkę,

¹⁾ H. Spencer. Zasady psychologii.

porusza palcami w sposób bardziej prawidłowy i więcej urozmaicony, czasem nawet — choć bardzo rzadko widzimy, że usiłuje wyciągnąć rączki. Gdy podtrzymując dziecko, postawimy je, porusza ono nóżkami i całym ciałem, próbuje utrzymać się w kierunku pionowym; lubi też z pomocą rąk i nóg wdrapywać się do twarzy niańki, która je podsuwa, podtrzymując mu nóżki. Jednem słowem dziecko ma już więcej niż przedtem świadomości swoich ruchów i więcej władzy nad nimi; poruszanie się sprawia mu żywą przyjemność, co tembardziej pobudza je do ruchu.

2.

Od czwartego do szóstego lub siódmego miesiąca ruchliwość dziecka czyni postęp znaczny a przecież bardzo powolny w porównaniu z odpowiednim postępem, jaki spostrzegamy w ruchliwości niektórych zwierząt wyższych. Dzieje się to dlatego, że im większy udział przyjmować ma wola w kontrolowaniu i uporządkowaniu naszych ruchów, im rozleglejszemi i bardziej złożonemi staną się nabyte specjalne zdolności ruchowe, tem dłuższem i bardziej wpływem musi być kształcenie odnośnych narządów. Tak np. miesięczne kocię, lub czteromiesięczne szczenię, umieją lepiej używać łapek do stania, chodzenia, chwytania lub bawienia się, aniżeli roczne dziecko umie w tym samym celu użyć rączek i nówek. Nowonarodzone kocię może — jeżeli nie chodzić — to przynajmniej czołgać się na brzuchu, a ciekawą byłoby rzeczą zestawić usiłowania jego i postępy, dotyczące się wyłącznie zdolności przenoszenia się z miejsca na miejsce z odpowiednimi postęпами, tak wolno odbywającymi się u dziecka.¹⁾

¹⁾ B. Perez. *Mes deux chats*, urywek psychologii porównawczej

śc
za
w
p
nie
po
tr

Dziecko potrzebuje dwóch lat blisko do uczynienia mniejszych nawet postępów niż te, jakich kocie donietynwa w miesiąc niespełna. Półroczne dopiero dzieci próbują ratować się rękoma od upadku, gdy je podczas bujania raptownie na dół opuszczamy. Postawa siedząca jest dlań największym tryumfem: siedząc na dywanie, otoczone zabawkami, dziecię wykonywa rękami i paluszkami mnóstwo niepewnych wprawdzie, ale tak subtelnych i różnorodnych ruchów, iż roczny nawet pies lub kot wykonać by ich nie potrafił. Ruchliwość wzmożona ciekawością a przeróżnemi uczuciami podniecona, czyni dziecię coraz szczęśliwszem i wydaje mu się do tego stopnia konieczną, że kwadrans względnej bezczynności cięży mu tak, jak dorosłym cały dzień nudów.

Ileż to mięśniowych, czuciowych, moralnych i umysłowych rozkoszy sprawiają dziecku w owej epoce pierwsze próby chodzenia, naśladowania mowy ludzkiej i wykonywania ruchów, które od nas przejmuję! Naiwny umysł dziecka tem żywiej odczuwa te postępy, że nie zawsze są one skutkiem świadomych wysiłków, oraz stopniowej i wolą wywołanej ewolucyi, ale ujawniają się najczęściej nagle w związku z rozwojem narządów, specjalnie do ich wykonywania służących. Ujawnienie się tych sił, które organizm — być może — przeczuwa niejako, lecz których nie szuka rozmyślnie, sprawia dziecku ustawiczne a radosne niespodzianki. Są to nabytki, z których się dziecię szczyci, i któremi radaby podzielić się z całym światem: niezmordowanie przez jakiś czas powtarza użyteczny ruch, do wykonania którego poczuło w sobie władzę; stara się np. zastosowywać do wszystkich celów ten lub ów ruch rączek albo nóżek — podobnie jak najpierwej przyswojonych sobie członkowanych i znaczenie mających dźwięków używa

ono jako nazw ogólnych, oznaczając nimi najdalsze częstokroć podobieństwa przedmiotów. Zbytecznem byłoby przypominać, że większa część najdonioślejszych, najbardziej z osobistością związanych postępów odbywa się niezależnie od nas, jeżeli nie wbrew naszej woli. Mało jest przynajmniej takich postępów, nad którymi moglibyśmy lub chcieli czuwać i nimi kierować. Ale niema też nic ciekawszego do badania nad te postępy, w których sami — do pewnego przynajmniej stopnia — brać udział możemy.

Oto dziesięciomiesięczne dziecko, od niedawna chodzić się uczące. Pracowitymi były pierwsze jego wysiłki: potykało się nieraz, chcąc przejść kilka kroków, chociaż uważnie trzymaliśmy je za sukienkę; zdarzyło mu się nawet przewrócić się kilkakrotnie i płakać. Przez dość długi czas musiało ćwiczyć się w zasadach chodzenia tj. dreptać na jednym miejscu, podobnie jak rekrut, którego uczą naprzód wystawiać jedną nogę po drugiej. Ale teraz dziecię pewniej się już trzyma na nogach i nie potykając się umie przejść kilka kroków. Widzieć doprawdy warto, jak zwraca główkę ku osobie, która je podtrzymuje! Czuje ono, że tylko dzięki tej podporze zdoła utrzymać się na nogach, pamięta, że nieraz upadało a może też czuje instynktownie trudność swego przedsięwzięcia, podobnie jak kocie pierwszy raz na podłodze postawione ¹⁾). Bądź co bądź, dziecko okazuje nieraz, że się boi. Dzięki swemu powodzeniu i nowym zachętom z naszej strony, zapomina ono wreszcie tych obaw, rozochoca się, rozwesela i z widocznym zapalem stawia kilka mniej lub więcej pewnych kroków. Nie śmiałybym nawet zaprzeczać, że budzi się wtedy

¹⁾ Zobacz *Mes deux chats*.

łączyć się musi z zadowoleniem, jakie mu sprawia dotykanie ich i patrzenie na nie. W życiu każdego z nas jest chwila, kiedy trzymanie w ręku pożądanego kawałka papieru, który szeleści w ruchliwych dziecka paluszkach, i któremu ze zdumieniem się ono przygląda, wydawać się musi iście bohaterskim czynem. Jednym z tryumfów najżywiej przez dziecko odczuty, jest — później nieco — możność naśladowania z jakim takim powodzeniem wyrazów, które wychowawcy powtarzają mu z taką cierpliwością; pomimo wielkiej wrażliwości swego mózgu dziecię bardzo się męczy, nietyle nad wyrzuceniem ich w pamięci, co nad oddaniem z pomocą opornych jeszcze narządów mowy. Skoro mu się uda wreszcie wymówić je jako tako, wynagradza sobie tę pracę należycie i z wciąż nowem zadowoleniem powtarza wyrazy, rozkoszując się ich dźwiękiem.

3.

Dziecko mające rok zaczyna stawać na nóżki, „puszcza się” od jednej osoby do drugiej, mniej się już boi upaść a od upadku się chroni, opierając rączkami o ziemię; co więcej, nie waha się ono nawet naśladować zwierząt, ponieważ przynosi mu to pożytek. Jakże ciekawym jest widok dziecka, kiedy oparłszy się pierściami o krzesło lub ławkę, stoi tak z półgodziny, układa albo rozrzuca zabawki, zajada ze smakiem podawany sobie posiłek, bawi się z psem lub z kotem, który łaskawie męczyć się pozwala, odwraca się do osób w pokoju obecnych i z poważną miną wyciąga ku nim rączki, gdy się oddalają lub odmawiają mu żądanej rzeczy; kiedy kręci się na wszystkie strony, idąc za popędem szybko przemijających wrażeń; kiedy potem czepiając się rączkami ławki lub krzesła, ostrożnie obchodzi je w około, z za-

chowaniem tych samych ostrożności siada na ziemi i z większą nieco trudnością się podnosi; kiedy wreszcie zaufawszy własnym siłom, bez niczyjej prawie pomocy ruszać się zaczyna, próbując utrzymać się w najwłaściwszej człowiekowi postawie! Za kilka już miesięcy, czasem cztery albo pięć, czasem dwa lub trzy tylko, dziecię chwiejnym i niepewnym krokiem chodzić zacznie o własnej sile, podnosząc nóżki z widocznym wysiłkiem, jak gdyby dźwigało ołowiane obuwie.

Mając około piętnastu miesięcy, dziecko ze znaczną stosunkowo zręcznością i dokładnością wykonywa mnóstwo wyuczonych lub wydoskonalonych ruchów. O wielkich postępach w tej epoce sądzić można z kilku poniżej przytoczonych przykładów. Dziecię podnosi i spuszcza główkę, przechyla ją na prawo, na lewo i w tył, trzyma nieruchomo wyciągnąwszy szyję, potrząsa nią na znak przeczenia a kiwa na znak twierdzenia, wstrząsa, chcąc radość swą lub miłość okazać, chowa ją w ramiona albo zakrywa rączkami przy zabawie, wdzięcznie kołysze, gdy się z nami pieści i przekomarza się figlarnie przez swawolę. Ucho jego i oko oswoiły się już z odległościami: ucho zwraca się szybko w kierunku, z którego dźwięk pochodzi; słyszy więcej rzeczy, umie zwracać uwagę tylko na miłe dźwięki i przysłuchiwać się im a innych nie słyszeć, rozpoznaje znaczną ilość osób i przedmiotów po hałasie, jaki one sprawiają. Oko rozwinęło już w sobie zdolność przystosowywania się: niewidomy pacjent Cheselden'a ¹⁾ (jeżeli ten metafizyczny ociemniały istniał kiedykolwiek) posunął się już znacznie w dwojakiem i wzajemnie się uzupełniają-

¹⁾ Znakomity chirurg angielski (1688 — 1752), który wsławił się zwłaszcza operacjami zdejmowania katarakty. (P. tłum.)

ś
pie
po
tr

cem ćwiczeniu wzroku oraz dotyku i zmysłu mięśniowego. Oko dziecka straciło już dawny błędny wyraz: nieraz przenikliwe spojrzenia, z błyskawiczną lekkością odpowiada na wszelkie z zewnątrz odbierane wrażenia, delikatnie a silnie wyraża rozliczne odcienia myśli, uczucia i woli, wie, że je wyraża i od czasu do czasu czyni to rozmyślnie.

Zaiste, coś jest wzniosłego i — że tak powiem — godnego poszanowania w radosnem zdziwieniu, jakie oko dziecka sprawia odkrycie każdego nowego zjawiska a zwłaszcza w tej bacznej i ciągłej uwadze, jaką dziecko zwraca na najmniejszy ruch lub spojrzenie mówiącej osoby! Śmiech i płacz równie częste jak przed kilkoma miesiącami, stają się teraz częściej i bardziej wyrazistymi; dziecko śmieje się lub płacze z pewnym zamiarem, chociaż przez to niezawsze wyraża te uczucia a zwłaszcza te uczuć odcienia, które za pomocą śmiechu i płaczu później wyrażać będzie.

Większa część postępów ruchów ręki — tego istic ludzkiego narzędzia — uszłaby uwadze badacza, któryby chciał je zaznaczać. Wszystkie prawie tak złożone i tak delikatnie skombinowane ruchy, które dziecko rekoma wykonywa, przedstawiają sumę wysiłków, nabytków i udoskonaień przez długie miesiące godzina po godzinie gromadzonych. Ręka ujmując przedmiot pewniej go już bada i ocenia; ustawicznie w ruchu będące paluszki zginają się by zdać sobie sprawę z gładkości, z chropowatości albo z temperatury dotykanego przedmiotu. Zaciśnięcie pięści przestało być automatycznym i obojętnym ruchem: wyraża ono gniew a czasami oznacza zamiar uderzenia, wybicia lub zgniecenia; z zaciśniętej piąstki wysuwa się nieraz wskazujący paluszek dla pokazania jakiegoś przedmiotu; dziecko rozgina paluszki i wdzięcznie porusza rączką witając a ener-

gicznie chcąc odepchnąć to, co mu się niepodoba albo mu zawadza. Wreszcie ręka ujmuje już i chwyta, podnosi i dźwiga ciężary do sił lub do potrzeb dziecka — stosowane, jest panią zabawek — tych skarbów dziecym — oraz dokonała postępu, który nie był ani najłatwiejszym ani też najmniej potrzebnym: jako tako już umie podnieść do ust dwa tak ważne narzędzia jak szklankę i łyżeczkę.



ROZDZIAŁ III.

Kształcące wrażenia czuciowe.

Wrażenia rozpatrywać można z trojakiego punktu widzenia: postrzegawczego, uczuciowego i instynktowego, t. j. w spostrzeżeniach lub pojęciach pozostałych po odebraniu wrażeniu, w miłych lub przykrych wzruszeniach przez nie spowodowanych oraz w dążnościach lub skłonnościach przez nie wytworzonych. Zaczniemy od wykazania w jakim porządku następuje u dziecka naturalny rozwój spostrzeżeń — o ile rozwój ten zauważyć lub o nim wnioskować możemy.

1. Pierwsze postrzeżenia.

„Rozum człowieka—powiada Bacon—nie mógłby pracować bez materyi.” Wrażenia dostarczają umysłowi najpierwszego do pracy materyału, są one pierwszą przyczyną naszych pojęć. Opierając się na świadectwie faktów, niepodobna jednak twierdzić aby zarówno działalność rozumowa jak i nasze pojęcia pochodziły od wrażeń. Uważając wrażenie jako objaw pe-

wnego stanu ośrodków czuciowych, pojęcie — jako wynik szczególnej zmiany zaszłej w ośrodku władz umysłowych, różnorodne zaś czynności psychiczne — jako specjalne usposobienie narzędzi duchowych do wyjemnego odtwarzania się i podniecania (usposobienie przez ćwiczenie i nawyk nabyte), pozostałoby dowiedzieć z pomocą skalpela i mikroskopu, że przekształcenie np. pojęcia w uwagę wytwarza nowy i trwały układ cząsteczek w nerwach i w komórkach mózgu. Ale dla anatomów i dla fizyologów to już jest dzisiaj niewątpliwem, że istnieje ścisły związek między działaniem naszych władz a stopniem udoskonalenia odnośnych narządów. „Nietylko najmniejsza zmiana patologiczna oddziaływała na prawidłowość wszystkich czynności mózgu ale nadto widzimy, że ilość tych czynności wzrasta w miarę, jak z wiekiem mnoży się ilość i komplikuje wzajemny stosunek włókien oraz komórek mózgowych. Niewątpliwie w tym nowym labiryncie niepodobnem jest nauce rozgatkować czynności każdego włókna: liczą się bowiem one na tysiące, większa część z nich nie dosięga $\frac{1}{1000}$ milimetra, a niektórych przez najlepsze nawet mikroskopy dojrzeć nie możemy.”¹⁾ Nam zaś zależałoby przedewszystkiem na poznaniu stanu tego narządu u noworodka.

Wspomniałem już, że ani w psychologii ani w fizyologii porównawczej nie możemy znaleźć żadnych wskazówek, dotyczących się stanu ośrodków postrzegania w pierwszych chwilach życia. Anatomowie mózgu przewidują jednakże chwilę, w której doświadczenie otworzy myśli ludzkiej obszerne to pole. „Bardzo zajmującą

¹⁾ G. Pouchet: Rozbiór *Dziedz. psych.* Ribota (Czasopismo Le Siècle, Czerwiec 1873 r.)

łoby rzeczą — powiada Ferrier — przekonać się, czy ośrodek widzenia u człowieka niewidomego od urodzenia przedstawia bądź to w kształcie komórek, bądź też w czynnościach, jakieś odrębne cechy od cech normalnego mózgu różne. Gdyby się taka różność cech okazała, nietrudnoby nam już przyszło poznać amiona, właściwe fizycznej podstawie pojęcia." ¹⁾ Dr. Tarchanow poczynił ze swej strony doświadczenia nad ośrodkami nerwowymi a zwłaszcza psychomotornymi (duchowo-ruchowymi) ²⁾ nowonarodzonych zwierząt oraz nad ich rozwojem w różnorodnych warunkach i doszedł do ciekawych wyników, które w streszczeniu przytaczamy:

„U nowonarodzonego królika muszla uszna jest zamkniętą i dopiero piątego dnia po urodzeniu zaczyna się tworzyć otwór w kształcie wąziutkiej szparki. Pierwsze ślady rozdwojenia między powiekami ukazują się dopiero około dziesiątego lub jedenastego dnia; dwunastego dnia prawie wszystkie króliki mają już oczy zupełnie otwarte. Ośrodki psychomotorne stają się zazwyczaj widocznymi dwunastego lub trzynastego dnia po urodzeniu. Najpierwej rozwijają się na szarej istocie mózgu ośrodki ruchów szczęk a szczególnie ośrodki żucia. Następnie ukazują się ośrodki ruchów łap przednich a w trzy lub cztery dni później ośrodki ruchów łap tylnych. Szesnastego dnia po urodzeniu wszystkie ośrodki duchowo-ruchowe osiągają doskonałego rozwoju u królika. Soltmon wykazał takież sam prawie porządek rozwoju ośrodków duchowo-ruchowych u psa." ³⁾

¹⁾ David Ferrier: *Les fonctions du cerveau*.

²⁾ Tarchanow: *Psichomotornyje centry*. (Przyp. tłum.).

³⁾ Dr. Tarchanow: *Revue mensuelle de médecine et de chirurgie* (za Luty 1878 r.)

Czy wiemy, w jakim stanie jest u noworodka sielisko postrzegawczości bądź wzrokowej, bądź też słuchowej, bądź nawet do ruchu pobudzającej oraz czynności przetwarzających postrzeżenia w pojęcia? — Im prawie o tem nie wiemy. Przedewszystkiem co się tyko widzenia, to jakkolwiek części składowe oka są dostatecznie rozwiniętymi, jakkolwiek dziecko pod działaniem zbyt żywego światła zamyka nieraz oczy, trudno jednak wywnioskować ztąd, czy widzi ono cokolwiek, ponieważ oczy zamyka co chwila. Nieruchomość źrenicy i tęczywki w pierwszych dniach życia zdaje się świadczyć, że siatkówka jest jeszcze nieczułą na działanie światła. Prawdopodobnie jednak dziecię zaczyna wkrótce odróżniać dzień od nocy: postęp ten w ogólności zauważyć można przed upływem pierwszego tygodnia. W kilka dni potem oko zwraca się w kierunku światła i płomienia świecy ale błędnem zawsze spojrzeniem; z wyjątkiem chwil w których śmie, dziecko nie zatrzymuje wzroku na żadnym przedmiocie, nie śledzi ruchów — co dowodzi, że i teraz nie rozróżnia ich lepiej jak w chwili urodzenia. Dopiero w końcu czwartego tygodnia można zauważyć ten ostatni postęp i to jeszcze bardzo niejasno.

Wiadomo że noworodek jest głuchym dla tego, że zewnętrzny przewód słuchowy jest zamknięty a ucho środkowe zawiera zbyt mało powietrza. Ale czy ta pierwotna głuchota przeistacza się w jakiegokolwiek słyszenie drogą stopniowych przejść czy też nagłego przeskoku w razie, jeżeli narząd słuchowy nagle rozwinię się o tyle, że czynności swoje spełniać może? — I tego także nie wiemy. Łatwo jednak już w pierwszych dwóch tygodniach zauważyć bardzo wielką wrażliwość dziecka na najmniejszy szmer. Dziecko wzdryga się i mruży oczyma usłyszawszy zniekacka łoskot upadającego przedmiotu, stuknięcie drzwiami, posunięcie krzesłem,

turkot powozu, kichnięcie, głośny śmiech, krzyk lub oniosły śpiew.

Co się tyczy postrzeżeń mięśniowych, istniejących pewnie w ogólnych przynajmniej zarysach (jakeśmy to wyżej zaznaczyli) już u płodu, to w pierwszym miesiącu mało się one różniczkują i mało rozwijają ilościowo. Postrzeżenia mięśniowe, odnoszące się do dowolności ruchów, znajdują się jeszcze w owej epoce w stanie zaczątkowym. Nie idzie jednak zatem aby taki sam był stan innych wrażeń mięśniowych np. czucia skórno. Wciąż ulegając nowym wrażeniom powstającym wskutek zetknięcia z różnymi przedmiotami, wskutek ucisku i zmian temperatury, dziecko na mocy praw całkowania i różniczkowania nagromadziło już zasób postrzeżeń dostateczny, aby mogło rozwinąć w sobie zdolność odnoszenia pochodzących z zewnątrz wrażeń do pobudzonych części swego ciała. Ale jakąż znajomość przedmiotów ze świata zewnętrznego posiada dwumiesięczne dziecko? A przedewszystkiem jakimi ono je widzi?

Należałoby może zadać sobie pytanie, czy miesięczne lub dwumiesięczne dziecko widzi wszystkie przedmioty, znajdujące się w jego polu widzenia? Czy zmysł odróżniania barw przechodzi u dziecka te wszystkie fazy rozwoju, które według Gladstone'a i Magnusa przechodził u całego rodzaju ludzkiego? Zdaniem tych uczonych zmysł barw rozwinąć się musiał u człowieka dopiero w czasach bohaterskich t. j. zaledwie od 3 tysięcy lat. W takim razie starożytni w czasach przed-Homeryckich rozróżniali tylko światło jako jasne i zabarwione. W stopniowym swym kształceniu oko uczyło się rozróżniać trzy pierwszorzędne barwy i to stosownie do ich większej lub mniejszej załamliwości, a mianowicie: barwę czerwoną, zieloną i fioletową. W drugim stadium rozwoju zmysł barw odosobnił się zupełnie od

zmysłu światła. W tejże epoce oko odróżniało już wyraźnie barwę czerwoną i żółtą oraz ich odcienia włącznie z pomarańczowym. Znamieniem trzeciego stadium była zdolność rozróżniania barw, które pod względem blasku nie należą do krańcowych, będąc tylko odcieniami barwy zielonej. Wreszcie w czwartym stadium rozwoju człowiek zaczyna odróżniać barwę niebieską; stadium to trwa dotąd a nawet pewna część ludzkości niewielki w tym kierunku uczyniła postęp. Wszak my sami przy sztucznym świetle bierzemy nieraz za jedno niebieski i zielony kolor.¹⁾ Biorąc kwestję rozwoju ze stanowiska czysto przyrodniczego G. M. Allen usiłował odeprzeć teorię rozwoju historycznego. Pozostaje jednak zawsze kwestya rozwoju w czasach przedhistorycznych: ukształtowanie się narządu wzrokowego takiego, jakim on jest dzisiaj oraz rozwój zmysłu barw wytłomaczyć można tylko na zasadzie praw dziedziczności. Czy bezpośredni nasi przodkowie z epoki przedhistorycznej rozróżniali też same co i my barwy? Czy zatem i dziecko widzi je tak, jak my je widzimy? Niektóre zmiany patologiczne sprawiające to, co nazywamy złudzeniami wzroku — a zwłaszcza tak często u dorosłych spotykany daltonizm — pozwalałyby przypuszczać, że skutkiem niepełnego jeszcze rozwinięcia narządu wzroku oraz ośrodków wzrokowych noworodek nie widzi odrazu wszystkich barw, że nie jest jeszcze w stanie rozróżnić niektórych, że nieudolność ta ulega różnym zmianom u różnych jednostek a u każdej z nich zależy od fizjologicznego stanu narządów, od dnia, od godziny nawet. Ale na jakich że danych opieramy tę

¹⁾ Zobacz Espinas'a ocenę pracy G. M. Allen'a: *Revue philosophique*, za Styczeń 1880 r.

hypotezę? Zresztą zdaje mi się, że większa lub mniejsza zdolność odróżniania barw nie ma zbyt wielkiej wagi dla kwestyi zajmującej nas obecnie: nieodróżnianie barwy nie pociąga za sobą z konieczności niepostrzegania światła; dziecko rozróżnia przedmioty tylko wskutek tych stopniowań — wskutek większego lub mniejszego stopnia nateżenia swych postrzeżeń.

Prawdopodobnie, stopniowo tylko rozszerza się pole widzenia dziecka, które obejmuje różne jego części o tyle, o ile przedstawiają mu one większe lub mniejsze nateżenie i zabarwienie światła. Fałszywe wytworzyłibyśmy sobie pojęcie o pierwszych wzrokowych postrzeżeniach dziecka, gdybyśmy je przyrównali do pacjenta Cheseldena, ten bowiem dostrzegał różne przedmioty, które mu przed oczy stawiano, li tylko jako zbiór barw nagromadzonych na płaszczyźnie. Skoro proces widzenia zacznie się dokonywać prawidłowo, t. j. skoro przedmiot dwójgiem oczu widziany obudzi w mózgu jedno tylko wrażenie, wtedy powstaje już postrzeżenie dwuwymiarowej przestrzeni i zarysowuje się pojęcie trzeciego wymiaru. Poruszanie się zbliżonych do dziecka przedmiotów, jednocześnie widzianych przez nie i dotykanych sprawia, że postrzeżenia te postępują bardzo wolno do półtora miesiąca. Ale u dwumiesięcznego dziecka zaczyna się już poważniejszy postęp. Najprzód dziecię zwraca baczniejszą uwagę na nasuwające mu się wrażenia. Czynności dotykowe, a zwłaszcza mięśniowe rozwijają się wskutek większego rozwoju odnośnych ośrodków i przynoszą swój zasób postrzeżeń niezbędnie postrzeżeniom wzrokowym potrzebnych. Zresztą mięśnie oka są już silniejsze, oko samo jest ruchliwzem i więcej otwartem, co nietylko rozszerza pole widzenia lecz nadto pozwala na wytworzenie pojęć o położeniu, wypukłości i odległości przedmiotów.

Oczywiście wszystkie te pojęcia rysują się jeszcze bardzo niejasno w mózgu dwumiesięcznego dziecka. Uczyniło ono już jednak znaczną ilość tych doświadczeń mięśniowych, które warunkują utworzenie się wszelakiego pojęcia o świecie zewnętrznym a szczególnie rozróżnianie tego co się dzieje wewnątrz od tego, co się na zewnątrz odbywa. Podobnie jak dziecię odróżniając swój płacz lub głos od innych dźwięków nabiera wyobrażenia, że istnieją stworzenia różne od niego lecz posiadające także zdolność wydawania głosu; podobnie też odróżnia wrażenia mięśniowe o wykonywanych przez siebie ruchach od wrażeń mięśniowych tych ruchów, które nie ono wykonywa a rozróżnianie to potęguje się jeszcze współcześnie odbieranemi wrażeniami wzrokowemi, które mu pozwalają widzieć ruchy obcych ciał. Postęp ruchliwości dziecka pociąga więc za sobą postęp jego wyobrażenia o oddzielnem istnieniu rzeczy a zarazem o ich kształtach, odległościach i wzajemnym między sobą stosunku. W skończonych trzech miesiącach ruchliwość oczu, szyi i rąk dziecka zwiększyła się znacznie; powstaje ztąd mnóstwo wrażeń mięśniowych, które połączone z wrażeniami wzrokowemi pozwalają na jaśniejsze rozróżnianie pojęć, o których mówimy. Dziecię zaczyna już nabierać pojęcia o ciężarze (nie powiadam o wadze) przedmiotów, co wprowadza w grę zmysł mięśniowy wysiłku a szczególnie — jeżeli wierzyć słowom Ferrier'a — uczucie kurczu narzędzi oddechowych.¹⁾

Mania, mająca półczwarta miesiąca odróżnia już niektóre części swego ciała. Na zapytanie matki: „Gdzie twoje nogi?” wodzi najprzód niespokojnemi

¹⁾ Ferrier. *Les fonctions du cerveau.*

oczyna na prawo i na lewo a po chwili wyciągając szyjkę, zwraca ją ku nóżkom. Czyni ona to samo ze swoją sukienką, uważając ją za część własnej osóbk. Bawi się i pieści z matką a gdy ta się nachyli, dziecko niewprawnymi rączkami dotyka, głaszcze, ujmuje twarz matki widocznie z zamiarem okazania swej miłości. „Gaworzy z kwiatkami” — jak się matka o niej wyraża. Przepada za kolorami, szczególnie za jaskrawymi. Zobaczywszy malowany obrazek, zwraca się ku niemu, wyciąga rączki, nie puszczając przecież piersi. Wkrótce jednak wypuszcza z buzi pierś i drżąc z radości z natężeniem okiem, z rozpromienioną twarzą, świergocąc jak ptaszę, usiłuje posiąść przedmiot swej uciechy i pożądaną: chwyta oburącz piękny obrazek, mnie go i podziwia, choć nie umie jeszcze widzieć w nim nic prócz barw miłych oku. Drogą kojarzenia pojęć i uczuć powstaje na jej ustach uśmiech, gdy usłyszy wyraz: obrazek. Mania gaworzy też z ptakami, które zna dobrze. Nie dość na tem, że usłyszawszy głos kanarka, zwraca główkę w stronę klatki, ale gdy ptaszek nie śpiewa a matka zapyta: „Gdzie ptasia? Posłuchaj ptasi” — zwraca natychmiast oczy ku klatce.

Po wyrazie twarzy i po dźwięku głosu starszych poznaje, że ją strofują: marszczy wtedy czoło, usteczka jej konwulsyjnie ściągnięte krzywią się do płaczu, oczęta zachodzą łzami, gotowe się lada chwila rozplakać. Bardzo jest wrażliwą na pieśczoły, śmieje się do każdego i bawi z każdym, kto się do niej uśmiecha i z nią się bawi. Przytem jednak jest nadzwyczaj zazdrosną. Ujrawszy, że inne dziecko leży obok niej na kolanach matki lub że matka całuje starszą córeczkę, Mania patrzy przez chwilę nie spuszczać wzroku, potem krzywi do płaczu usteczka, aż wreszcie szlochając odwraca raptownie główkę na bok, aby nie widzieć współzawodniczki

i przez kilka minut wygląda jak obraz nieszczęścia. Czyni ona toż samo, gdy jej siostrzyczka bierze ze stołu lub z rąk matki butelkę, którą ją dokarmiają. Ale gdy matka do rąk weźmie lub udaje że do ust niesie butelkę, mała zazdrośnica bynajmniej się tem nie trapi, jak gdyby względem matki przedstawiała być samolubną. Oto znów drugie dziecko, innej płci, innego usposobienia i inny charakter mające. Jerzyk ma siedm miesięcy. Zaledwie wszedł do mego pokoju, pilną jego uwagę zwraca świergot i skakanie wróbla w klatce, tuż obok okna zawieszanej. Następnie nie ruszając się z miejsca przez kilka minut, przypatruje się z minką poważnego zainteresowania kotkowi drzemiącemu koło nogi fotela. Jerzyk nieraz już widywał koty.

Wtem wróbel zaświergotał a Jerzyk ogląda się na wszystkie strony, nie wiedząc z kąd pochodzi usłyszany przezeń tak miły dźwięk. Gdy go wołam po imieniu, odpowiada mi bardzo miłym uśmiechem, choć nigdy przedtem głosu mego nie słyszał. Niedługo potem zaczyna wyciągać rączki do bukietu, który mu przysunąłem; patrzenie na kwiaty sprawia mu widoczną przyjemność, której nie objawia on jednak takimi podskokami, krzykami i wybuchami radości, jakie w podobnych razach zauważyłem u Mani i u kilkorga innych dzieci w jej wieku. Jerzyk z rodziny alzackiej pochodzący, jest to duży, ciężki, pyzaty, poważny, powolny i uparty dzieciak; Mania zaś jest szczupłą, bladą, żywą i ruchliwą paryską lalczką. W dziesięć dni po pierwszej swej bytności, Jerzyk przyszedł do mnie na drugie posiedzenie. Tym razem podskakuje on radośnie na widok kota. Podaje się całym ciałem naprzód aby schwycić stojący na środku stołu talerz, a gdy mu pozwoliłem wyciągnąć się na stole i dotknąć go, obraca talerz w rączkach czyniąc mnóstwo ruchów zadowolenia a na

twarży jego maluje się wyraz nadzwyczajnej radości. Podtrzymałem talerz a wtedy Jerzyk niesie go do ust, co zwykł czynić ze wszystkimi przedmiotami, z którymi zabiera znajomość. Babka karmiła butelką Jerzyka, u którego jak i u wielu innych dzieci zauważyłem szczególniejsze przywiązanie do karmicielki. Gdy tylko otrzyma pożądaný przedmiot, gdy dozna przyjemności innej nad przyjemność jedzenia, zwraca się z uśmiechem w stronę babki, jak gdyby potrzebował podzielić swoją radość dla jej uzupełnienia. A może widzieć w tem trzeba machinalne tylko przyzwyczajenie ztąd wynikające, że Jerzyk nie doświadczył nigdy żadnej radości, którejby z nim nie podzieliła babka?

U dziecka mającego trzy i pół miesiąca spostrzegamy już zatem rozróżnianie znacznej ilości zasadniczych pojęć lecz jeszcze w sposób bardzo niejasny i ogólnikowy. Odróżnia ono siebie od matki, od babki, od siostry, odemnie, od ptaszka, klatki, kota, stołu, talerza i t. d. Ale mając nawet siedm miesięcy, widzi wybitne szczegóły lepiej niż całość, widzi je zaś skutkiem odrębnego działania wyobraźni sprawiającej, że postrzeżenia zewnętrzne dochodzą do niego w postaci jakby oddzielnych barwnych fal. Niedokładnie jeszcze ocenia ono odległość i ciężar: nieco więc oddalony przedmiot musi szczególny dźwięk wydawać lub jasno świecić aby zwrócił na siebie ciekawość dziecka wtedy nawet, gdy użyteczność przedmiotu ciekawość tę podnieca; dziecko chce schwytać przedmiot zanim go rączką dosięgnąć może; pojedynczy arkusz kolorowego papieru ujmując ono całą garścią, jakby miało do czynienia z bardzo ciężkim i masywnym przedmiotem. Mając trzy miesiące po kształcie i po kolorze odróżnia swoją butelkę ale jeszcze tak mało porównywać umie, że z jednakową chciwością chwyta zarówno pełną jak i próżną butelkę.

W siedmiu miesiącach porównywa ono lepiej niżeli w trzech i—o ile się zdaje—kojarzy już spostrzeżenia wzrokowe z pojęciem gatunku: widząc kształt i kolor kartofla, kawałka chleba, ciastka, owocu, rozróżnia już te przedmioty ze względu na różnorodną ich smakowitość. Mając rok lub dwa lata, dziecię znacznie lepiej jeszcze porównywa i rozróżnia, ponieważ ciekawość jego rozwinęła się skutkiem ćwiczenia, łatwości i potrzeby doznawania coraz to nowych wrażeń, oraz skutkiem wzrostu siły mięśniowej a zwłaszcza łatwości poruszania się i przenoszenia z miejsca na miejsce. Wszystkie pojęcia o położeniu, o zarysach, o wypukłości, o odległości, o wadze wydoskonaliły się już tak dalece, że w wielu razach zbliżają się prawie do odnośnych pojęć u dorosłych. Ale do iluż jeszcze złudzeń — z których dziecko czasem samo sprawę sobie zdaje — przyczyniają się owe postrzeżenia i wynikająca z nich niezgodność pomiędzy w danej chwili otrzymanem wrażeniem wzrokiem a nabytym już sądem o świecie zewnętrznym! Potrzeba będzie jeszcze licznych doświadczeń, omyłek i prawdziwie bolesnych zawodów aby dziecię poznało świat zewnętrzny takim, jakim on się przedstawia oczom dorosłego człowieka. Prawdę mówiąc, poznawanie to nie ma granic, a postęp wiedzy rozszerza je coraz bardziej.

2.

Wrażenia smakowe. Pierwsze objawy zadowolenia niemowlęcia odnoszą się do smaku. Już w kilka godzin po urodzeniu poznać można uczuwany przez dziecię głód po ruchach, jakie ono czyni ustami, jak gdyby szukało pożywienia, po ssaniu podanego przedmiotu, po kwileniu wreszcie połączonem z niespokojnymi ruchami rączek. Przez kilka pierwszych dni, gdy dziecię

nauczyło się już ssać, przykleja się ono do piersi, nie nie zdoła oderwać jego uwagi od ssania, dopóki nie zaspokoi apetytu. Pewnem jest jednak, że possawszy kilka sekund czyni to dalej machinalnie, odczuwa coś chwilami tylko — skutkiem nieudolności naszych narządów do odczuwania zbyt często powtarzających się wrażeń. Wrażenie smaku przestaje niebawem oddziaływać na poddane jego wpływowi nerwy; po jakimś czasie potrzebaby silniejszego bodźca aby oddziaływanie to znów wywołać. To też łakomstwo staje się wkrótce u dziecka objawem równie częstym jak i prawo bytu mającym. Wolno nam przypuszczać, że zmysł smaku jest bardzo mało rozwiniętym u noworodka, czego ubocznym dowodem jest, że rozpoznawanie odrębności smaków jest mało dziecku użytecznem. Inne jeszcze powody skłaniają nas do tego mniemania. U dorosłych wrażenia węchu łączą się w znacznym stopniu z wrażeniami smaku i wpływają na rozróżnienie tych ostatnich. „Zamknawszy nos i oczy — powiada Longet — nie rozróżnimy smaku kremu waniliowego od kawowego: oba sprawiają jednakowe wrażenie smaku czegoś delikatnego i słodkiego.” Ale jak to i Brillat-Savarin powiedział: w dziedzinie smaku są także ślepi i głusi a tak niejednakowy u różnych osób stopień delikatności smaku objawia się już w bardzo młodym wieku. Udało się nieraz nakłonić półroczne dzieci do zażycia lekarstwa, zmieniwszy jego kolor. Zdarza się też jednak, że młodsze nawet dzieci nie chcą wziąć do ust piersi matki lub mamki dla tego, że mleko to ma dla nich bądź to smak, bądź zapach niemiły. Dzieci są nieraz bardzo skłonnemi do obrzydzenia. Widziałem sam dziecko półtrzecia miesięczne energicznie odpychające butelkę ze skrzywieniem usteczek i z charakterystycznym grymasem dla tego, że raz napełniono mu butelkę

wodą a drugi raz niesłodzonym mlekiem. Niektóre dzieci wydają się bardzo czułem na wszelkie najróżnorodniejsze wrażenia smaku, inne znów są na nie obojętnymi: jedna z mych krewnych nie mogła nigdy będąc dzieckiem przyzwyczać się do polubienia wina i pomimo zalecenia lekarzy nie pijała nic prócz wody. Po większej zaś części dzieci wczesnie nabierają smaku do rzeczy ostrych, jeżeli są do nich przyzwyczajane. Wogóle łatwo zmieniają one gusta, co wszakże nie jest racją aby bezpotrzebnie przełamywać ich wstręt do pewnych pokarmów.

Wrażenia węchowe. Przez dość długi przeciąg czasu dzieci wydają się wogóle nieczułem zarówno na miłą jak i na przykrą woń. Prawdopodobnem jest tylko, że zapach wywiera na nie mniejsze niż na nas wrażenie i że narząd powonienia, tak delikatny i związany z tyloma okolicami mózgu, nie jest bardzo rozwiniętym w pierwszych życia miesiącach. Niema w tem nic zadziwiającego, skoro — o ile się zdaje — zmysł powonienia nie ma dla noworodka żadnej pożyteczności. Być też może, że ze względu na zmienność i lotność wszelkich zapachów potrzeba mieć wyćwiczony już sąd, aby wyróżnić wrażenia zapachu i umieć je odnieść do wywołującej je przyczyny. Poznać źródło danego wrażenia, — znaczy to być zdolnym ściśle je określić i odosobnić od innych, współcześnie doznawanych wrażeń.

Niektórzy jednak lekarze specjaliści zapewniali mnie, że zapach czyni pewne wrażenie na noworodku; opowiadano mi nawet o dwojgu dzieciach: jednym półrocznem a drugim dwumiesięcznem, które kierując się jedynie wonią potu brały pierś jednych mamek a drugich wziąć nie chciały. Tiedemann, którego trzynasto-

dniowe dziecko wypluwało niektóre kilkakrotnie przedtem kosztowane lekarstwa, posuwa się do przypuszczenia, że dziecko „powonieniem odróżniało lekarstwo od pokarmu.” Syn Darwina, mając 32 dni, „poznawał pierś matki z odległości 75 do 100 milimetrów — jak o tem wlepione w pierś jego spojrzenie i ruchy ust świadczyły.” Darwin przypuszcza, że wzrok i dotyk wcale tu nie działały, lecz że dziecko kierowało się tylko wrażeniem ciepła lub zapachem. Okazuje się zatem, że najlepiej świadomi nawet badacze zebrali dotąd bardzo niedostateczną jeszcze ilość spostrzeżeń, zarówno co do zdolności rozpoznawania zapachów jak i wrażliwości na nie. Spostrzedz można, że dwutygodniowe, miesięczne albo dwumiesięczne nawet dziecko, ujrzawszy różę, lilie, geranium, cały bukiet, lub nawet się ich dotknąwszy, objawia wzrokowe lub dotykowe wrażenia jedynie; nie twierdzą wszakże, aby nie doznawało ono i innych. Badałem pod tym względem pewną ilość dzieci mających od 10 do 15 miesięcy: wszystkie — z wyjątkiem jednego tylko, które nie czuło żadnego zapachu nawet tytoniu, ani eteru — wszystkie, powiadam, odczuły bardzo żywo różnorodne podniety, które im podsuwałem. Jeden dziesięciomiesięczny chłopczyk wydał mi się bardzo uradowanym z przyjemnych a niezadowolonym z przykrych woni. Gdy nie pozwoliłem mu wziąć do rączki róży albo bukietu fijołków, które mu poprzednio przybliżałem do noska, prosił o nie ręką i ruchami; gdy znowu potem przysunąłem kwiat lub bukiet, otwierał usta i przez chwilę nieruchomy uśmiechał się z zadowolenia; słowem wydało mi się, że umie on już oceniać przyjemność woni i nią się napawać. Jakaśmy to powyżej zaznaczyli, niektóre pokarmy np. kawa i czekolada budzą nietylko wrażenia smaku (t. j. wydają się słodkie, słone, cierpkie, kwaśne, gorzkie), ale

też i węchu; dziecko to przepadało za tymi napojami daleko więcej niż za cukrem; bezwątpienia umiało ono ocenić równie dobrze jak my aromat kakao i mokki. Widziałem znów innych dwoje dzieci, w tymże samym wieku, dla których zapach róży lub rezedy obojętniejszym był od zapachu pożywienia np. czekolady. W nie-doświadczonej jeszcze czuciowości dziecka zapach pożywienia przywłaszcza sobie — jak to pojąć łatwo — prawa zwykłego zapachu, podczas kiedy u dorosłych dzieje się bardzo często wprost przeciwnie. Starożytni wieńczyli się różami przy biesiadach; my stawiamy nieraz kwiaty w jadalniach a przynajmniej wnosimy tu zwykle z sobą delikatne wonie, które bynajmniej nie szkodzą zapachowi mięsa lub wina.

Wrażenia organiczne. Bain określa tem mianem wrażenia, które powstają z różnorodnego nastroju i z różnej zdrowotności naszego organizmu, a zlewają się wszystkie w tak zwany życiowy czyli wewnętrzny zmysł — t. j. w to ogólne poczucie, że istniejemy, że posiadamy własne ciało — poczucie, będące według Luys'a sumą całej działalności nerwów i jakoby organiczną podstawą świadomości. Do zmysłu wewnętrznego należałoby zatem odnieść wyżej już przez nas wspomniane wrażenia, wywołane oddychaniem, krążeniem krwi i odżywianiem, organiczne wrażenia nerwów i mięśni, jako to: wrażenie zmęczenia, zranienia lub skaleczenia mięśnia, kurcze i spazmy. Nie ulega żadnej wątpliwości, że dziecię — niewykończony jeszcze i źle przystosowany ustrój — doświadcza tych różnorodnych bólów często, szczególnie w pierwszym okresie swego życia. Mniej jednak pewną jest rzeczą, czy doznaje ono przyjemnych uczuć, tamtym bólom odpowiednich, albowiem — ogólnie biorąc — równają się one uczuciu pra-

widłowości funkcji organizmu i ogólnemu zadowoleniu ze stanu zdrowia, które to uczucia nie wyrażają się silnymi objawami.

Dziecię bezwątowania odczuwa najżywiej „błogostan” wynikający z prawidłowego oddychania. W istocie, ponieważ u dziecka oddychanie jest żywszem niż u dorosłych, ponieważ częste wdychania czynią dlań potrzebną większą ilość tlenu powietrza, zatem z jednej strony musi ono zużyć więcej siły dla wykonania procesu oddychania, skutkiem szybszych zmian zachodzących w jego narządach oddychowych; z drugiej zaś strony jakoś i temperatura powietrza budzą w niem silniejsze wrażenie skutkiem nieużytego jeszcze stanu narządów oddychowych, wciąż powietrza łaknących. Wiadomo też powszechnie, że dla miesięcznego nawet dziecka, przechadzka na świeżem powietrzu, stanowi najzdrowszą rozrywkę i największą przyjemność.

Zgodziwszy się na istnienie organicznej i autonomicznej świadomości czuwającej wciąż nad zewnętrzną i wewnętrzną naszą istotą, zaliczyć też można w poczet najrozkoszniejszych te wrażenia, które sprawia dziecku prawidłowość snu. Smaczny sen dziecka świadczy o zupełnem nasyceniu się pokarmem i o doskonałej harmonii wszystkich czynności organizmu. Sen jest nie tylko warunkiem wzrostu narządów oraz umysłowego i moralnego rozwoju, na który przetrwanie i utrwalenie postrzeżeń wpływa więcej niż jakoś doznanych wrażeń; sen jest jeszcze największem dobrodziejstwem, jakie przyroda wyświadcza dziecku, aż do wieku, kiedy na nie przyjdzie pora żywej ciekawości i łatwego przenoszenia się z miejsca na miejsce. A o ileż większem jest to szczęście negatywne, bo wolne od wszelkich przykrych wrażeń a przygotowujące po ocknięciu pozytywnie miłe wrażenia, jeżeli u dziecka, jak i u dorosłych,

zdwaja się ono idealnymi snów wrażeniami, jeżeli syte i głosem matki do snu ukołysane dziecko odnajduje w marzeniu miłą mu rzeczywistość!

Wrażenia mięśniowe. Miałem już sposobność wspomnieć o zmysle mięśniowym, do którego odnoszą dziś znaczną ilość wrażeń, dawniej dotykowi przypisywanych. Renouvier wątpi o istnieniu tego zmysłu; Bain jednak i Wundt mniemają, że istnienia tego dowiedli licznymi a przekonującymi doświadczeniami. Do tego wewnętrznego dotyku odnosimy zazwyczaj wrażenia ucisku, ciężaru, ciągnięcia a nawet oporu; uważamy go jako pewną świadomość nie tylko kurczenia się lecz nawet stanu mięśni oraz — w mniejszym już stopniu — świadomość fałdowania się i rozszerzania skóry w chwili, gdy mięśnie się kurczą.

Bez względu na to, jakim jest pochodzenie i ognisko tych wrażeń, niepodobna wszakże zaprzeczyć, że są one źródłem odrębnego rodzaju szczególnych uczuć zadowolenia lub boleści, zupełnie niezależnych od uczucia zadowolenia lub niezadowolenia moralnego, jakie budzi w nas żywsze lub słabsze, zupełnie lub niezupełnie zaspokojone pragnienie. Wysiłek sam przez się sprawia przyjemność, jeżeli nie jest zbyt gwałtownym; można zatem powiedzieć, że wrażenia ucisku, ciężaru, wysiłku mięśniowego miłymi są dziecku, o ile nie przechodzą siłą jego; w przeciwnym zaś razie mniej lub więcej mu się niepodobają. Dodajmy, że te wrażenia tem więcej sprawiają przyjemności, im są bardziej urozmaicone: każdy narząd i każdy członek ciała zdolnym jest wykonywać niezliczoną ilość ruchów, budzących w osobniku wewnętrzne choć bezwiedne uczucie ich działalności lub życiowości. Ileż to mięśni jednocześnie lub kolejno przyjmuje udział w tak prostej czynności, jak

ciągnięcie zabawki na sznurku! A jeżeli chodzi o podtrzymanie lub o podniesienie najlżejszego nawet ciężaru, czynność tę wykonywać muszą nie tylko mięśnie grzbietu, ramion i szyi albo mięśnie ramienia i przedramienia, lecz także pewna ilość mięśni klatki piersiowej. W rzeczy samej zdaje się, iż Ferrier dowiódł, że uczucie wysiłku potrzebnego do zmiarkowania wagi wielkiego ciężaru, właściwiej byłoby przypisać mięśniom okolicy piersiowej¹⁾.

To uczucie ciężaru, poprzedzające ocenienie wagi, jest zatem zjawiskiem mięśniowym tak dalece złożonym, że mnóstwo zeń wynikających wrażeń musi żywo oddziaływać na tę świadomość, mającą źródło bądź w mięśniach, bądź też w mózgu.

Zadowolenie wynikające z równowagi i ze zdrowia organizmu, oraz z umiarkowanego i zastosowanego do sił ruchu, — oto wrażenia jakich, nie domyślając się tego nawet, doznaje codziennie dziecko, gdy się samo porusza, lub gdy my członkami jego poruszamy. Ale razem na ileż to przykrych lub szkodliwych wrażeń codziennie, sami się tego nie domyślając, ustawicznie narażamy mięśnie dziecka, tak my sami jak i ci, którzy nas przy niem wyręczają!

Wrażenia temperatury. Uczucie ciepła i zimna zależy przeważnie od różnicy między temperaturą naszego ciała a temperaturą otoczenia, między stopniem ciepłoty ciała promieniującego a stopniem ciepłoty powietrza lub jakiegokolwiek przedmiotu, z którym wchodzimy w zetknięcie. Jeżeli różnica ta jest umiarkowana, doznajemy przyjemnego uczucia ciepła lub chłodu;

¹⁾ Dawid Ferrier. *Les fonctions du cerveau.*

jeżeli przekracza ona pewne granice, czujemy ból a zarazem mniej lub więcej ważne zaburzenia w procesach życia organicznego. Chociaż sploty nerwów i ośrodki czuciowe nie dosięgły jeszcze u dziecka zupełnego rozwoju, jest ono bardziej wrażliwe na temperaturę, jeżeli nie wskutek łatwego przystosowywania się do warunków otoczenia, to przynajmniej wskutek czułości tkanek naskórka, i niewielkich rozmiarów swego ciała. Wspominaliśmy powyżej jak bardzo płód jest wrażliwym na wysoką lub niską temperaturę. Wszystkie nowonarodzone zwierzęta łatwo się zaziębiają nawet w lecie i często giną z zimna. Przyjemne wrażenie, jakie ciepło sprawia dziecku jest tak oczywiste, że niema potrzeby dłużej się nad tem rozwodzić. Ale wartoby może zadać sobie pytanie, czy zimno będące przyczyną śmierci tylu noworodków, jest dla nich równie przykrem, jakby niem było dla starszych dzieci lub dla dorosłych? Zdaje mi się, że w rzeczywistości noworodek mniej cierpi wskutek zimna, niżby się tego spodziewać było można po wrażliwości jego organizmu na tego rodzaju podniety. U dorosłych na wrażenia zimna lub gorąca wpływają jeszcze sądy, przyzwyczajenia, bardzo rozmaite i zmienne uczucia, które w nich budzić może kilkostopniowa różnica w temperaturze. Żołnierz podczas silnego mrozu na warcie stojący, może doznawać uczuć przeciwważających dojmującemu wrażeniu zimna, albo też może czynić takie uwagi i porównania, przywołać sobie na myśl takie wspomnienia, snuć w wyobraźni takie obrazy, skutkiem których mróz dokuczy mu więcej niż dwumiesięcznemu — lub zwłaszcza kilkotygodniowemu — dziecku, któreby rzucono pod bramą o kilka kroków od budki sztyldwacha. Zbytecznym byłoby także kłaść nacisk na ten powszechnie wiadomy fakt, że zarówno u dzieci jak i u dorosłych wra-

żliwość na temperaturę zmniejsza się lub zwiększa zależnie od ogólnej budowy organizmu oraz od stanu zdrowia w danej chwili.

Wrażenia dotykowe. Dotyk jest z początku narzędziem ochronnem, zanim się następnie stanie środkiem kształcenia zmysłów. Wiemy, że zmysł dotyku, zarówno jak zmysł mięśniowy pojawia się już u płodu przy dotknięciu zimną ręką łona matki. W chwili urodzenia wrażliwość skórna jest już do wysokiego stopnia posuniętą i zdaje się, że dziecię zachowując się spokojnie albo krzycząc i rzucając się wskazuje, że zetknięcie z otaczającymi przedmiotami przykreść lub przyjemność mu sprawia.

Niektórzy uważają za podstawowe wrażenie dotyku uczucie oporu przez rzeczy stawiane. Natężenie tych wrażeń oraz ich przemiany, od natury podniet zewnętrznych zależne, mogą wzbudzić w dziecięciu uczucie bądź bolesne, bądź też tylko przykre i drażniące; takim jest np. uczucie laskotania, szorstkości, chrapowatości, ukłucia. Wrażenia dotykowe, które nam się wydają nieznacznymi, niepokoją jednakże dziecko: krzywi się ono, krzyczy, rzuca całym ciałem, bezwiednie marszczyło brwi, krzywiło nosem i zamykało oczy, gdy laskotano je chorągiewką pióra po oczach i po nosku; wprowadzie inne znów starsze nawet dzieci zachowywały się obojętnie wobec podobnego podrażnienia. Nie łatwą jest również rzeczą wykazać widoczne objawy wrażeń dotykowych u dzieci, mających mniej niż dwa miesiące. Wywieranie delikatnego i lekkiego ciśnienia, zetknięcie z miękką skórą lub takimże materiałem nie wywołuje na twarzy dziecka żadnej wyraźnej oznaki zadowolenia, ani uśmiechu, ani też ożywienia wzroku.

Nie jest ono jednakże nieczułem na podobnego rodzaju wrażenia, dowodzące mu istnienia pewnych przedmiotów, a chociaż nie umie jeszcze umiejscawiać ani różnicować odebranych wrażeń, niepodobna jednak aby nie sprawiały mu one jakiegoś nieokreślonego uczucia błogości. Później dopiero drogą doświadczenia i porównywania nauczy się dziecię odróżniać podobne wrażenia od innych silniejszych, dokuczliwych lub bolesnych. Ale jeżeli dwumiesięczne dziecię wydaje się zadowolone, gdy dotykam palcami jego ręki, czoła lub policzków, coż mu sprawia przyjemność a nawet uśmiech na jego usteczka wywołuje: czy delikatne dotknięcie moich palców, czy wywołane dotknięciem skóry przypomnienie piersi, czy też radość wynikająca z wrażenia temperatury? Wszystkie te przyczyny działają może jednocześnie. Wkrótce też zaczawszy rozumieć, że pieszczoty są oznaką przywiązania, dziecię dozna nowych przyjemności biorących źródło w wrażeniach dotykowych. Bądź co bądź, pomimo zupełnego braku oznak świadczących o zadowoleniu z dotyku wynikającym, skłaniam się do zdania, że dziecię bardzo wczesnie zadowolenia tego doznaje. Nie ulega wątpliwości, że podobnego zadowolenia doznają też i zwierzęta. Jeżeli łagodnie przesuwam po kilkakroć palcem po łebku dziesięciodniowego wróbelka, wnet przyryka on oczy i wyciągając szyję, przybiera postawę sprzyjającą dalszym pieszczotom, tak dla niego przyjemnym. Ponieważ zauważyłem też samo zadowolenie u kociąt i szceniąt, przypuszczam zatem, że i dzieci doznawać go muszą.

Wrażenia wzrokowe. Za przesadę uważać należy to, co Tiedemann opowiada o swoim trzynastodniowym synku, w którego oczach i minie malowała się boleść albo zadowolenie na widok pewnych przedmiotów, a na

twarzą baczna uwaga na ruchy mówiących osób. Powołując się jedynie na fakty dokładnie stwierdzone, śmiało twierdzić można, że dziecię mające miesiąc lub 40 dni doznało już pewnej ilości przyjemnych oraz przykrych uczuć spowodowanych wrażeniami wzrokowymi. Do przyjemnych należą uczucia wywołane widokiem świecących przedmiotów, jako to: lampy, ogniska i słońca, oraz widokiem jasnych barw i migotania przeróżnych ich odcieni. Do przykrych należą uczucia wynikłe ze zbyt silnych wrażeń, jako to: bardzo żywego światła, bardzo jaskrawych barw oraz z widoku przedmiotów, których szybkie poruszanie się zbyt silnie pobudza siatkówkę; należy też do nich uczucie moralnej przykrości, jaka wynikać musi z niedostatecznego przystosowania oka lub co najmniej uczucie fizycznego cierpienia, sprawiane częstokroć przez wysiłki, jakie czyni oko w celu normalnego przystosowania się. Wydaje mi się w istocie, że to ostatnie przypuszczenie opiera się na bardzo poważnej podstawie. Na nieszczęście nie jest to prawdą aby przystosowanie się dziecka do dziedzicznie przeznaczonego mu otoczenia odbywało się drogą stopniowych zmian i przejść łagodnych. W rzeczywistości, człowiek tem więcej cierpi, im mniej sił posiada, a jeżeli odnośnie do postrzeżeń rozumowych, użyteczność czynności danego narządu jest w ścisłym związku z jego siłą, nie można tego zastosować do przyjemności, jaką sprawia wrażliwość.

„Dużo czasu potrzeba — jak to powiedział Rousseau — aby nauczyć się patrzeć,” a niedokładnemu widzeniu, tak jak w ogóle każdej źle zaspokojonej potrzebie, towarzyszyć musi koniecznie uczucie przykrości. Wrażenia wzrokowe nie wzbudzają w dziecku ani równie przyjemnych lub nieprzyjemnych, ani być może równie licznych uczuć jak w ludziach dorosłych.

Wszystkie wprowadzie barwy nęcą je i wabią; nawet mało jaskrawe kolory sprawiają mu widoczną przyjemność, jeżeli są wyraźne i jeżeli silnie odbijają od kolorów jaśniejszych, np. czarny od popielatego a nawet popielaty od białego — byle tylko w ogóle dziecię było wrażliwem na barwy. Dwoje dzieci: dziewczynka trzymiesięczna i chłopczyk pięcioletni zachwycało się rycinami jednokolorowego szarego koloru; drugie z tych dzieci przepadało szczególnie za czarnymi litografiami i usłyszawszy wyraz „obrazek,” zwracało oczy ku ramom wiszącym na ścianach mego mieszkania. Inne znów sześciomiesięczne dziecko okazywało niejakię zadowolenie tylko wobec obrazów, kwiatów lub materyałów o barwach jaskrawych; zdaje mi się jednak, że te świetne kolory i tamtym dwójgu niemniej się podobały. Wyprowadziłem ztąd wniosek, że albo czynność widzenia odbywała się u tego dziecka z mniejszą niżeli u tamtych energią, albo też, że skutkiem bądź to odziedziczonych właściwości, bądź też osobiście nabytego przyzwyczajenia, dziecię to mniej było wrażliwem na barwy.

U dziecka niemającego jeszcze pięciu miesięcy niełatwo byłoby zauważyć przykre uczucie, jakkolwiek barwą wywołane. Chociaż dowiedzioną już jest rzeczą, że u różnych osobników narząd wzroku przedstawia niejednakowy stopień przystosowania oraz właściwe sobie upodobania i wstręty, nie udało mi się jednak dotąd ani u dzieci w tym wieku będących, ani nawet u starszych wykryć śladu tychże różnic wrażliwości wzrokowej, które wynikając z różnic organicznych bezwiednie przejawiają się u dorosłych wyraźnem upodobaniem do tego lub do owego koloru.

Zadowolenie lub niezadowolenie oczu jest może u dorosłych zjawiskiem po większej części sztucznem.

Dziecię nie mające przez długi czas wyraźnego pojęcia o użyteczności lub szkodliwości przedmiotów, z początku widzi w nich tylko w ruchu będące barwy, które mu się wszystkie podobają, skoro stanie się na nie wrażliwym.

Wrażenia słuchowe. Każdy dźwięk, bądź to muzyka, bądź śpiew wczesnie zaczyna oddziaływać przyjemnie na słuch dziecka. Syn Tiedemanna miał dni czterdzieści, gdy usłyszawszy po raz pierwszy grę na fortepianie, okazał szczególniejszą radość. Mały mój krewniaczek mając miesiąc zaledwie lubił słyszeć śpiew lub muzykę. W piątym miesiącu zawieziono go do ciotek, których śpiew sprawiał mu żywe wzruszenie, zdradzające się rumieńcem i blaskiem oczu. Usłyszawszy po raz pierwszy głos młodszej z ciotek, słuchał z widocznym zachwytem, co widząc starsza wtórować zaczęła głosem dźwięczniejszym i melodyjniejszym a dziecię natychmiast zwróciło się ku niej, słuchając z radością połączoną jakby z uwielbieniem i z podziwem. Nie wszystkie dzieci okazują jednakową wrażliwość na muzykę; zdaje się wszakże, że czyste, metaliczne a przede wszystkim mniej lub więcej miarowe dźwięki, bawia je, o ile nie wstrząsają zbyt silnie delikatną błoną bębenkową. Widziałem kilkoro dwumiesięcznych dzieci, które nie okazywały żadnego wzruszenia wobec odgłosów umiarkowane natężonych, jak np. usłyszawszy zamknięcie drzwi, odgłos kroków, dźwięk głosu, szczekanie i t. d. Ale już około 4 lub 6 miesięcy wszystkie prawie dzieci lubią śpiew a większa część ich instynktownie, czy też przez naśladownictwo, gaworzyć zaczyna. Można zatem powiedzieć, że i niemowlę rozróżnia dźwięki przyjemne od nieprzyjemnych, czy to dla tego, że ton dźwięku odpowiada pewnym właściwościom budowy narządu

słuchowego, lub pewnym wewnętrznym stanom osobowości, czy, że — jak się mówi pospolicie — nie mają jeszcze wyrobionego ucha, czy też wreszcie, że instynktowne poczucie rytmu lub jego braku, budzi odpowiednie wrażenia w ich sensorium.

Bądź co bądź, dzieci przyzwyczajają się nader łatwo do odgłosów, które dla jakiegokolwiek przyczyny niemile wstrząsnęły w danej chwili ich błoną bębenkową. Przenikliwe i ostre dźwięki, pisk i mruczenie nie sprawiają im tego rodzaju przykrości jak dorosłym. Dzieci wzdygają się usłyszawszy je, płaczą nawet jeżeli głos rozlegnie się niespodzianie lub bardzo blisko, ale mało jest dźwięków, któreby im się nie podobały z pobudek moralnych oraz skutkiem skojarzenia pojęć, na mocy których dziecię jednoczyćoby z takimi dźwiękami wyobrażenie przedmiotów, znanych mu jako nieprzyjemne. Pod względem melodyjności dzieci nie są wybredniejszymi od pszczoł, małp, węży i tylu innych zwierząt, którym rytm prosty i ogłuszający zastępuje muzykę. Skoro tylko dziecię nauczy się posługiwać rączkami, nie pogardza ono żadnym przedmiotem, którym może narobić hałasu, a chociaż czasem wydaje się zdziwione tymże hałasem, widocznie jednak raduje się z danych przez siebie dowodów siły i samodzielności. Ilekroć patrzę na dziecko wysiłające się na ogłuszenie siebie i innych, stają mi zawsze w myśli muzykalne małpy afrykańskie, o których Houzeau powiada: „Hałas, jaki sprawiają zwierzęta nie zawsze jest wypadkowym tylko wynikiem czynności ich narządów; czynią go one nieraz rozmyślnie. Nie mam tu na myśli tych różnorodnych wrzasków, któremi rozbrzmiewają lasy podzwrotnikowe, ani trzasku łamanych gałęzi, ani stukania dziobem o pnie, ani gryzienia orzechów zębami

i t. d. Ten gwar leśny związany jest z życiem i zajęciami leśnych mieszkańców. Mówię tylko o dźwiękach, które mieszkańcy ci wydają z taką samą świadomością, jak to np. czyni dobosz albo dzwonnik. Zdarza się np. w Afryce, że zbierze się 30 do 50 szympanśów, które wtedy nie tylko się krzykami zabawiają ale wzięwszy kawałki suchego drzewa, uderzają weń kijami." ¹⁾

1) Houzeau: *Les facultés mentales des animaux.*

ROZDZIAŁ IV.

1. Instynkta ogólne i poszczególne.

Cechy instynktu. Zarówno u człowieka jak i u zwierząt instynkt wyraża się wspólnem całemu rodzajowi usposobieniem do wykonania pewnego czynu w pewnych szczególnych okolicznościach. Usposobienie to jest skłonnością, stanowiącą część osobistych i oddziedziczonych właściwości naszego ustroju; jest ono nieświadomie, przez przodków nabytem doświadczeniem, które z większą lub mniejszą świadomością i samodzielnością łączy się z osobie przez potomków nabytem doświadczeniem. Należy koniecznie zwrócić bliższą uwagę na te tajemnicze popędy, odbijające się w życiu tak ducha jak organizmu i wykazać ich istotę aby odeprzeć pokusę uważania zwierzęcia za mechanizm, raz na zawsze nakręcony w pierwszej życia chwili, dziecka zaś — za zwierzątko, które z dodatkiem rozumu posiada wszystkie inne instynkty, instynktom zwierzęcia podobne a może nawet od nich niższe. W najlepszych nawet rozprawach filozoficznych, ostatnimi czasy wydanych w celu rozbudzenia w młódzieży lub rozwinięcia w wy-

kształconej publiczności zmysłu obserwacji psychologicznych, znajdujemy jeszcze następujące cechy, instynktowi przypisywane: nieświadomość celu, dokładne od pierwszego razu wykonanie danej czynności oraz nieomyślność, nieodmienność i jednostajność czynności instynktownie spełnianych. Należy jednak oddać sprawiedliwość panu Janet ¹⁾, że nie poczytuje „powyżej wymienionych cech za nieugięte i bezwzględne prawa.” Przyznaje on również — jako fakt doświadczeniem stwierdzony, że „pod wpływem niektórych okoliczności instynkt może ulegać pewnym zmianom ale w bardzo szczupłych granicach i w wyjątkowych tylko razach,” jednym słowem, że zmiany którym instynkt podlega są jedynie „wrodzonym przystosowaniem nawyków zwierzęcia do warunków otoczenia” i że zachodzą one w podrzędnych tylko szczegółach.

Wykażmy najprzód o ile instynkt jest bezwiednym a raczej nieświadomym celu. Oczywiście jest rzeczą, że żadnego z ruchów płodu uważać nie można za wynik rozumowania, wyraźnej woli i osobistego doświadczenia. Świadomość nie stanowi pierwszej pobudki tych ruchów, wolno nam przecież przypuszczać, że wywołują one jój działanie. Gdy dziecię w jakiś czas po urodzeniu szuka ustami piersi macierzyńskiej i reguluje ruchy ust, głowy i szyi tak, aby mogło ssać; gdy kombinuje ruch języka, podniebienia i przełyku, których wspólna czynność wytwarza mechanizm połykania; gdy później nieco miarowym ruchem rącek naciska pierś chcąc ułatwić wpływ odżywczego płynu; gdy skombinowane i zgodne działanie tak licznych narządów wytwarza u niego oddychanie; gdy przyrymka powieki, jeżeli dotkniemy łącz-

¹⁾ Traité élémentaire de philosophie.

nicy jego oka, jeżeli je razi zbyt silne światło albo gwałtowny hałas niemile działa na jego narząd słuchu; gdy kurczy mięśnie twarzy, ucha lub języka, jeżeli miejsca te są podrażnione — nie mogło ono ani drogą doświadczenia, ani też rozumowania nauczyć się wykonywania tych automatycznych czynności, spełnianych znacznie dokładniej niż te, w których udział przyjmuje wola. Zarówno małe zwierzęta, jak i dzieci czynią to, nie znając celu ani sposobów, za pomocą których pracy swej dokonały; wiedzą jednak, że to uczyniły a w miarę rozwijania się umysłu coraz lepiej wiedzieć o tem będą, coraz wyraźniej dostrzegać środki przez się użyte, oraz cel, do którego każdy z tych środków prowadzi. Popęd do czynu nieprzepartym jest i nieświadomym ale czyni same dążą ustawicznie do stania się takimi, jakimi były pierwotnie u przodków naszych tj. świadomymi a nawet rozmyślnymi.

Zastanówmy się teraz, o ile doskonałymi są czynności instynktownie wykonane. „Zwierzę — powiada Joly — nie dokonywa żadnych prób przedwstępnych; najpierwsze jego usiłowania są uwieńczone powodzeniem. Ptak nie potrzebuje się uczyć sztuki budowania gniazda. Zwierzę mięsożerne nie waha się ani chwili, po raz pierwszy ujrzawszy zdobycz, którą przyroda na żer mu przeznaczyła; trawożerne wybiera odrazu dla siebie zioła, z pośród tysiąca innych na łące rosnących.” Ta doskonałość i nieomyślność zwierzęcego instynktu jest bardzo przecenioną. Wogóle, twierdzenie to jest zupełnie prawdziwem odnośnie do zasadniczej działalności mechanizmu życiowego, do najniezbędniejszych, najdelikatniejszych czynności, wykonanie których powierzać woli niebezpieczną byłoby rzeczą. Tu głos instynktu jest tak stanowczym, tak pewnym i dokładnym,

„jak każdy objaw wielkiej harmonii przyrody. ¹⁾” Przekonywamy się jednak, że przy innych czynnościach mniej niezbędnych, „przez samo zwierzę rządzonych lub przynajmniej wpływowi jego podległych” instynkt „ulega przypadkowym złudzeniom, zboczeniom u danego osobnika lub idiosynkrazji u całego gatunku.” U tegoż samego autora znajdujemy kilka ciekawych przykładów, dowodzących omylności instynktu.

„Glista ziemna, czyli dżdżownik, bardzo boi się kreta i poczuwszy osuwanie się ziemi wychodzi na wierzch, chcąc uciec przed swym wrogiem. Niektóre ptaki, np. mewy i czajki, a także i rybacy, używający glist na przynętę dla ryb, umyślnie depcą nieraz po piasku; dżdżownik pewien, że ten odgłos kroków wskazuje nadejście kreta, wychodzi ze swej podziemnej kryjówki i tym sposobem sam wpada w ręce nieprzyjaciela. Mamy tu zatem przykład mylnego zastosowania instynktu, chociaż—w gruncie rzeczy—instynkt sam nie jest omylnym.”

Ale w faktach poniżej przytoczonych należy widzieć raczej omyłkę, niż złudzenie instynktu: „Cóżby zyskała kura, zachowując instynkt siedzenia na niezapłodnionych jajach? Wprawdzie gdy odpowiednia pora nadejdzie, kura chce siedzieć bez jaj nawet, z czego możnaby wnosić, że odpoczynek, nieruchomość postawy i głodzenie się są jej potrzebnymi do obniżenia nadmiernej ciepłoty ciała. A zatem kura siedząca bez jaj czyniłaby zadość osobistej potrzebie.” Ale instynkt samozachowawczy mylić się może. I tak: małe ptaszki biorą kukulkę za jastrzębia, oraz napadają na sowę,

¹⁾ Houtzeau: *Etude sur les facultés mentales chez les animaux.*

choć i ptak ten, żywiący się owadami i motylami nocnymi, bynajmniej nie jest dla nich groźnym. W tym razie instynkt samozachowawczy grzeszy, że tak powiem, nadmiarem ostrożności. Ale oto wprost przeciwny przykład: Mszyca nie wie, że poczwarki brząków są jej śmiertelnymi wrogami, nie okazuje też żadnej obawy na ich widok i nawet przechadza się po ich ciele. Brząki żywiące się mszycami, korzystają z tej nieroztropności.

„Skoro więc braknie nieraz zwierzęciu świadomości o zwykłym nawet i stałym niebezpieczeństwie, instynkt nie są zatem bezwzględnie doskonałe. Ale wiadome nam fakty nie są bezwątpienia wystarczającymi do rozstrzygnięcia ważnej kwestji postawionej na początku niniejszego rozdziału (tj. czy instynkt może być mylnym?). Prawdopodobną ale niedowiedzioną jeszcze jest rzeczą, że „chcenie” wpływa w pewnej mierze na wykonywanie czynności instynktownych. Najważniejszym z dowodów popierających to przypuszczenie jest fakt, że zwierzę zdolne jest powstrzymać oddech, i że może ono tak samo, jak człowiek, częściowo chociażby lub chwilowo zapanować nad niektórymi odruchami. Psy i konie, nad którymi łatwo jest czynić spostrzeżenia, wstrzymują oddech aby lepiej słuch wyteńczyć, gdy im grozi niebezpieczeństwo.

Jeżeli zatem wola wywiera pewną — jakkolwiek bardzo ograniczoną — władzę nad niektórymi autonomicznymi czynnościami zwierząt, dziwić by się można gdyby kiedyś dowiedziono, że jej władzy ulegać mogą również wszystkie instynkta ¹⁾.”

¹⁾ *Etude sur les facultés mentales chez les animaux.*

Ponieważ instynkt omylnym być może, ponieważ do pewnego przynajmniej stopnia podlega władzy woli i świadomości, wynika ztąd zatem, że nie jest on jednostajnym u całego gatunku ani też niezmiennym u danego osobnika. Nawet u zwierząt instynkt podlega prawom postępu, szybkość którego zależy od użyteczności, wynikającej zeń dla całego gatunku, a bezwątpienia też od uzdolnienia osobnika, oraz od wpływów otoczenia.

Kurczę, żrebię, cięię instynktownie chodzić zaczyna natychmiast po urodzeniu; odpowiednia budowa organizmu ułatwia im spełnianie tej automatycznej czynności, która doskonali się następnie przez wprawę i uwagę. Ptak lata albo też latać próbuje skoro siłę w skrzydłach poczuje. Przekonajmy się teraz, jak użytecznym w podobnych razach bywa wpływ dziedziczności: owca nie może pielęgnować swych małych tak, jak to czyni np. małpa lub kobieta; jagnię zginęłoby więc, gdyby nie mogło utrzymać się na nogach i nie zaczęło wkrótce chodzić. Dziecię ssie instynktownie i prędko bardzo nabywa umiejętności ssania ruchem prędkim i pewnym, ale chociaż posiada ono także instynkt chodzenia, dokonać musi jeszcze wiele świadomych i stopniowych i wysiłków, zanim nauczy się chodzić. Iluż to prób potrzeba, zanim narządy służące do chwytania i do przenoszenia się z miejsca na miejsce osiągną zupełnego rozwoju! Na ileż to smutnych zawodów, niebezpiecznych pomyłek i zabaw szkodę przynoszących narażonem byłoby dziecię, gdyby narządy owe były doskonalami, zanim ono zdoła zgromadzić znaczny zasób umysłowego i moralnego doświadczenia! Podobnie też dziecię bardzo wczesnie krzykiem lub ruchami objawia, że zdolnem jest czuć i chcieć a przecież wtedy dopiero, gdy duchowe jego władze staną na stopniu rozwoju wyż-

szym niż u wielu zwierząt dorosłych, rozpoczyna ono pierwszą próbę mowy i długo się jej uczy, pomimo ułatwień, jakie znajduje we wskazówkach osób starszych i w przykładzie, jaki z nich bierze.

Tak więc ani dla człowieka ani dla zwierząt instynkt nie jest stałym i nieomylnym przewodnikiem. Podobnie jak zwierzę tak i dziecko (tylko w ciśniejszych nieco granicach) potrzebuje dołożyć mniej lub więcej starania i trudu dla rozwinięcia w sobie instynktu t. j. musi ćwiczyć jednocześnie wszystkie władze: wzruszeniowe, poznawcze, uczuciowe i chceniowe.

Dziwi nas wprawdzie powolny rozwój dziecka, szczególnie jeżeli go porównamy z rozwojem młodych zwierząt, ale natomiast roczne dziecię stoi pod wieloma względami znacznie wyżej od dorosłego nawet zwierzęcia. Pod tymiż samymi względami dzieci różnią się jedne od drugich stopniem wrodzonej żywotności, odziedziczonymi właściwościami, oraz rodzajem zewnętrznych warunków, wśród których odbywa się ich rozwój¹⁾. Nie powinny nigdy zapominać o tem osoby, które prawo natury stawia w najbliższem zetknięciu z maleńkimi dziećmi. Wpływ przez wychowawców wywierany (choćby nawet tego nie pragnęli) nigdy ani ilością ani jakością swą nie pozostanie obojętnym dla sprawy rozwoju wszelakich instynktów, przejawiających się w wychowawcach. Jakże by się mylili mniemając, że wszystko jest dziełem przyrody wyłącznie, inaczej mówiąc, że Opatrzność obdarzyła dziecię instynktem, który będąc owocem dziedzicznego doświadczenia, oszczędza mu tru-

¹⁾ Nader ciekawe spostrzeżenia nad *plastycznością instynktu* znaleźć można w dziele Bastiane'a p. t. *Le cerveau, organe de la pensée* (t. I, str. 179 i następne).

dów, kosztem których nabywa się doświadczenie. Hołdując teorii ewolucyi, strzeżmy się wpaść w błąd wręcz przeciwny temu, w jaki wpadali niegdyś krańcowi obrońcy celowości w przyrodzie. Nie poświęcajmy doświadczenia osobistego doświadczeniu przez ród cały nabyte-mu; nie twierdźmy, że nauka życia przypomnieniem jest jedynie, że dziecię odtwarza tylko machinalnie to, co przodkowie jego czynili. Trafnie bowiem zauważył Compayré¹⁾: „pomimo dziedzicznego przekazywania instynktów każdy nowozrodzony osobnik musi wciąż wszystko odrabiać i znów rozpoczynać na nowo; bo życie składa się nie z szeregu łatwych reminiscencyj, ale z długiego łańcucha pracowitych nabytków i osobistych zdobyczy. Słowem, niech postępowy rozwój gatunku nie zasłania przed nami rozwoju osobnika.”

2.

Zastanówmy się teraz pobieżnie nad główniejszymi objawami tak licznych instynktowych czynności, jakie wykonywa nowonarodzone albo kilkotygodniowe dziecię. Przedewszystkiem rozróżnić musimy skłonności ogólne, t. j. potrzeby czyli instynkta proste od skłonności poszczególnych, t. j. potrzeb czyli instynktów złożonych. Do pierwszych zaliczymy: instynkta smaku, powonienia, widzenia, słyszenia, dotykania, działalności mięśni i równowagi wewnętrznej temperatury; do drugich zaś instynkta żywienia się, spania, wydawania dźwięków, przenoszenia się z miejsca na miejsce (miejscozmienności) oraz instynkt płciowy.

¹⁾ *Revue philosophique*. Listopad 1878 r.

Instynkta ogólne. Gdziekolwiek istnieją narządy uczucia, istnieć też musi instynktowna dążność do wykonywania czynów, mogących rozbudzić pewien rodzaj uczucia. Wszystkie zmysły domagają się zaspokojenia: widzieliśmy też, że niemowlę od chwili urodzenia a przynajmniej od pierwszych dni życia użytkować poczyną z siły każdemu z nich właściwej. Najpierwej uwidatnia się w dziecku chęć uczynienia zadość wymaganiom smaku, chociaż zmysł ten jest z początku bierny i tępy, bo zlewa się w jedno z instynktem żywienia się. Ale od czwartego już miesiąca dziecię umiając lepiej wyosobniać odrębne swe uczucia, zdradza widoczną dążność do pożądania pokarmów znanych mu już jako smaczne. Żarłoczność jego może odtąd przekształcić się w łakomstwo. Toż samo powiedzieć można o wzroku: już w trzecim tygodniu życia przyjemnie wabi oko światło a wkrótce potem wszystkie świecące lub zabarwione przedmioty, co dowodzi, że instynktowna dążność każdego narządu do utrzymania swej życiowości działa tu zgodnie z instynktowną dążnością zadawania się ćwiczeniem; dziecku podobają się wszelkie barwy, które nęcą oko nie drażniąc go. Toż samo również zachodzi z wrażeniami słuchowemi: widzieliśmy, jak miłym dziecku jest każdy hałas, niewylączając nawet dysharmonicznych tonów, o ile one wywierają wrażenie nie rażąc go zbyt przykro. Oba te zmysły, które później staną się najważniejszymi narzędziami kształcenia poznania i uczucia działają z początku — że tak powiem — same dla siebie i w wyłącznie samolubnym celu. Dwu lub trzymiesięczne dziecię spędza większą część snem nie zajętych godzin na patrzeniu dla przyjemności widzenia, na słuchaniu dla przyjemności słyszenia; właściwie mówiąc kieruje się ono nie ciekawością, nie pożytkiem, jaki prędzej lub później z czynności tych osiągnie, lecz tylko

wynikającym z nich zadowoleniem. Następnie przychodzi kolej na zmysł dotyku: trzymiesięczne dziecko zaczyna wyciągać rączkę w celu schwytania przedmiotu, który następnie obraca w rękę, a z każdym dniem rozwija się w niem pragnienie doznawania wrażeń mięśniowo-dotykowych.

Półroczne dziecko poświęca połowę przynajmniej czasu niezajętego snem na ćwiczenia narządów, za pośrednictwem których odbiera przyjemne wrażenia bądź wzrokowe, bądź też słuchowe, dotykowe lub mięśniowe; nie ulega zaś wątpliwości, że kształcenie narządów stanowi po większej części jedyny pożytek wynikający z tych ćwiczeń, które rzadko kiedy stanowią dla dziecka naukę lub przyjemność. Ale instynktowna dążność do rozkoszowania się miłemi, świeżemi, zmieniającemi się co chwila wrażeniami przeważa jeszcze w tej epoce. Prawdę mówiąc, nie wygasa ona w nas nigdy do szczętu, ilekroć twarde warunki życia, wymagania obowiązku, pewne nawyki fache nie zmuszają do wyłączenia wszystkich władz w kierunku użytecznej działalności, każdy z nas do dzieciństwa powraca: czuciowe i nieświadome instynkta biorą górę nad rozumowemi i od woli zależnemi; zaczynamy powoli patrzeć dla przyjemności widzenia, słuchać dla przyjemności słyszenia, dotykać dla przyjemności dotknięcia, ruszać się i chodzić dla odbierania przyjemnych lub nawet obojętnych wrażeń, jakie nam te automatyczne czynności sprawiają. Iluż to ludzi spędza dnie całe beczynnie, a raczej jakże często działalność ich ogranicza się jedynie na bezwiednem działaniu instynktów czuciowych, przekształconych w bezcelowe nawyki! Wrażenia tych czysto powierzchownych poniekąd, których koniecznie potrzebuje dziecko, zmęczone wysiłkami myśli i uwagi, dorosły może potrzebować czasami tylko w celu

uśmierzenia fizycznych cierpień, albo też znalezienia odpoczynku po zmęczeniu nerwów i mięśni.

Instynkt żywienia się. Najpierwszy pośród instynktów poszczególnych, instynktowny popęd do żywienia się nie należy do takich skłonności, których bodziec istnieje bez przerwy we wnętrzu organizmu a do jakich np. od pierwszej życia chwili należy instynkt oddychania. Bodziec ten działa nie zawsze, skutkiem czego taki stan wnętrzości, przy którym powstaje pożądanie pokarmu, powtarza się w jednakowych odstępach czasu.

Ścisły związek pomiędzy właściwą organizmowi potrzebą pożywienia a działalnością odpowiedniego instynktu powstaje już w końcu życia płodowego: odżywianie jest bowiem tak zawiłą, ważną i złożoną czynnością, że spełniające ją narządy muszą zawczasu przygotować się do rozpoczęcia pracy czekającej je w chwili urodzenia, zależnej—jak wiemy—od wielu zmian przypadkowych. Niema zatem nic nieprawdopodobnego w następnych faktach, podanych przez Houzeau: „Ptaki i zwierzęta ssące żywią się jeszcze przed urodzeniem: kureczka spożywa białko jaja, dziecię połyka płyny zawarte w owodnie, co również czynią cielęta i większa część innych ssaków. To żywienie się w epoce płodowej objaśnia nam przyczyny bardzo obfitych nieraz wypróżnień u noworodków. Co się tyczy cielęcia, dowiedziono, że ono będąc w łonie matki liże się nawet; istotnie w żołądku jego znaleźć można płyny owodnie i klaki jego własnej sierści. Instynkt żywienia się jest zatem wrodzonym podobnie jak i potrzeba pożywienia“¹⁾. Do-

¹⁾ *Etude sur les facultés mentales chez les animaux* t. I, st. 193.

dać nawet można, że instynkt ten posiada już cechy poszczególne: „że nie zwraca się do wszystkich pokarmów lecz tylko do niektórych.” Po pierwszych miesiącach karmienia się wyłącznie mlekiem, dziecię zaczyna objawiać wszystkożerne popędy bardzo wyraźne, jakkolwiek zależne od właściwości osobników oraz od ich potrzeb, upodobań i wstrętów.

Instynkt karmienia się jest zatem wrodzonym; co się zaś tyczy umiejętności przyjmowania pożywienia t. j. spełniania sprzyjających temuż czynności nie jest ona wydoskonaloną od pierwszej chwili życia. Niektóre zwierzęta, jak np. kurczę i warchlak od samego urodzenia umiejętnie spełniają tę czynność i — jak powiada Bastian — „natychmiast prawie po urodzeniu żywią się, nie czyniąc przedtem żadnych prób bezowocnych.”¹⁾ Ale u tych zwierząt, u których zupełny rozwój pewnych zdolności nie nastąpił już w jajowodzie lub w macicy, zdolności te objawiają się a raczej rozwijają dopiero w kilka dni lub w parę tygodni po urodzeniu. Tak np. dziecię już w parę godzin po urodzeniu umie ssać, chociaż czyni to jeszcze bardzo niezręcznie: nie może ono żuć ani chwycić przedmiotów stanowiących pokarm całemu rodzajowi ludzkiemu właściwy, tak jak nowonarodzone kocię nie umie złapać ani zgryźć swej zdobyczy. Podobnie jak kocię wtedy dopiero nauczy się czatować na zdobycz, chwycić ją i pożerać, gdy niektóre składowe części jego organizmu osiągną dostatecznego rozwoju; podobnie jak pisklę wtedy dopiero z gniazda na żer wyleci, gdy się przekona o sile swych skrzydełek; tak samo też i dziecię potrafi włożyć do ust i zjeść jabłko, kawałek chleba lub mięsa wtedy dopiero, gdy osiągnie pewnego okresu dojrzałości organizmu. Dodać

¹⁾ *Le cerveau organe de la pensée.*

tu muszę, że zarówno u dziecka, jak nawet i u kociaka¹⁾ i u pisklęcia siły stanowiące bodziec tych instynktowych czynności doprowadzają z początku jedynie do prób mniej lub więcej pomyślnych. Wydoskonalona umiejętność żywienia się, chodzenia lub latania wymaga zawsze dłuższego lub krótszego kształcenia, podczas którego przykład lub zachęta starszych musi przyjść w pomoc inicjatywie młodego stworzenia.

Instynkt spania... Potrzeba snu objawia się w sobie właściwy sposób; jest ona — że tak powiem — skłonnością negatywną, wynikającą z konieczności chwilowego zaniechania wszelkiej działalności. Dlatego ruchy oraz czynności mające na celu sprowadzenie snu muszą być powolne i jednostajne: takimi np. są dla ptaka kołysanie gałęzi, dla konia — miarowe kiwanie głową, dla kota układającego się do spoczynku — jednostajne mruczenie, dla dziecka nareszcie — kołysanie lub noszenie połączone z monotonnym śpiewem. Sen przedstawia pole badania nader ciekawe tak dla fizyologa jak i dla psychologa.

Fizyologiczna przyczyna snu jest dotąd nieznaną. Bez względu na to, którą z dwóch poniżej przytoczonych a zjawisko snu objaśniających hipotez uznamy za prawdziwą: czy to przyływ, czy odpływ krwi od mózgu, zawsze możemy przynajmniej wykazać niezmiennie cechy tego zjawiska. U dorosłych sen owłada stopniowo różnemi członkami ciała; dziecko zaś najczęściej od razu senności ulega: najpierw mięśnie kończyn zapadają w nieruchomość w położeniu, jakie dobrowolnie lub przypadkowo przyjęły; następnie mięśnie tułowia rządzące ruchami od woli zależnemi przerywają swoją

¹⁾ Zobacz: *Moje dwa koty*, str. 71 i następne.

działalność i rozkurczają się mniej lub więcej swobodnie. Zauważono także, że podczas snu słabnie oddychanie i puls rzadziej bije.

W jakimż stanie znajduje się umysł śpiącego zwierzęcia? Chociaż organizm nie zaniechał czynności trawienia, ani też nie zaprzestał odruchów, czy mózg jednak działać przestaje? A może sen niweczy pewną tylko część zjawisk życia duchowego? Nie o tem nie wiemy. Prawdopodobnem jest tylko, że przerwanie działalności umysłowej nie jest nigdy zupełnem i w najgłębszym nawet śnie nie osiąga wszystkich okolic mózgu.

Natura sennych marzeń oraz pozostałe o nich wspomnienie dowodzą przynajmniej, że półkule mózgowe zachowują podczas snu dążenie do rozpoczęcia zwykłych czynności, jakkolwiek w sposób bardzo niedokładny. Wiadomo także, że wrażenia których podnieta pochodzi z wnętrza organizmu, najmniejsza nawet przeszkoda utrudniająca krążenie krwi i oddychanie, silny ucisk na mięśnie wywarty, żołądek przepełniony lub pusty oraz przykre a niespodziane wrażenia, podnieceni zewnętrznymi spowodowane, wywołują we śnie bardzo niemiłe myśli i uczucia, stają się powodem ruchów i krzyków ściśle związanych z podobnymi obrazami. Chociaż senne marzenia powstawać mogą w najgłębszym nawet śnie, męczą one w ogóle organizm. Sen powinien być bowiem odzyskaniem sił oraz zaoszczędzeniem pewnego ich zasobu; tymczasem zaś „śnienie” zużywa przedwcześnie siły przeznaczone do działalności na jawie. Ale sny lekkie, przerywane, przyjemne, nie przeszkadzające zupełnemu odpoczynkowi głównych narządów i nie męczące zbytecznie mózgu — jakkolwiek posiadające wtedy obojętne dla fizyologa znaczenie — sprzyjają wielce umysłowemu i moralnemu rozwojowi

osobnika. W braku rzeczywistych, postrzeżenia dawniejsze niekontrolowane przez rzeczywistość, która zwykle stawia im przeszkody, wytwarzają się według prawa kojarzenia; umysł odosobnia się niejako od świata zewnętrznego aby mózg swobodnie oddać się pracy wytwarzania i przetwarzania myśli. Wtedy lepiej może niż podczas czuwania przypadkowe sprzęganie i rozpręganie obrazów wytwarza jakby z nienacka te abstrakcyjne, mocą których kształty indywidualne odrywają się od masy, szczegóły od całości, własności od przedmiotów; nie ulega wątpliwości, że w umyśle śniącego dziecka snują się różne obrazy o tyle żywo same przez się występujące, o ile mało zgodne z rzeczywistością: dziecię miewa widzenia różnych dźwięków, barw, wrażeń dotykowych i mięśniowych, pojedynczych lub zgrupowanych kształtów, przedmiotów podobnych oraz różnic pomiędzy podobnemi zachodzących a co więcej, całego nieraz szeregu czynów wykonanych przez większą lub mniejszą ilość działaczy a budzących w niem odpowiednie rozumowania i uczucia. Wszystkie władze poznawcze i uczuciowe pracują podczas sennych marzeń tem pożyteczniej i łatwiej, że żadna zewnętrzna przeszkoda nie tamuje ich działalności; umysł pracuje wtedy nad swymi własnymi nabytkami, nad sobą samym niejako. Można zatem powiedzieć, że podczas snu mięśnie, zmysły i mózg dziecka zażywają ogólnego spoczynku, z którego budzą się chwilami aby rozpocząć działalność tem miłszą i łatwiejszą, im rzadszemi i przyjemniejszemi bywają senne marzenia. Wiadomo zresztą, że dwu albo trzyletnie dziecko śni częściej niżeli półroczne lub roczne; od sześciu do dziesięciu lat sny bywają częstsze niż w trzech latach; w wieku dojrzałym mniej częste niż w starości, a w starości mniej częste niż w wieku dojrzałym: w ogóle częstość i żywość śnienia

(w normalnym stanie zdrowia, ma się rozumieć) wydaje się odpowiednią stopniowi podniecenia i działalności psychicznej.

Sny nie tylko są ważnymi zjawiskami życia duchowego odnoszącymi się do naszych zdolności poznawczych, wpływ ich rozciąga się też do uczuć naszych a nawet do moralności. Stan w jakim umysł świadomie lub nieświadomie znajduje się podczas snu, stanowi dalszy ciąg lub też przygotowanie do pewnych stanów jego na jawie.

„Możliwym jest—powiada K. Levéque—że smutne lub wesołe usposobienie na jawie stanowi słabe echo sennych marzeń, wspomnienia których wpływają też może na niektóre nasze czynności w ciągu dnia”¹⁾. W istocie też pewną jest rzeczą, że wspomnienie nie stanowi jedyne śladu pozostałego po sennych marzeniach. Zależnie od treści snów swoich dziecię jest po obudzeniu weselszem lub smutniejszym, więcej lub mniej posłusznym i t. d.

Co się tyczy instynktu przenoszenia się z miejsca na miejsce, dosyć o nim mówiłem w rozdziale o ruchach, abym nie potrzebował wracać tu do niego.

O instynkcie wydawania dźwięków wspomnę poniżej w rozdziale poświęconym mowie. Uwagi dotyczące się instynktu płciowego znalazłyby się może na odpowiedniejszym miejscu w rozdziale poświęconym wstydlivosti lub pocuciu moralnemu, uznałem jednak za stosowne wspomnieć o nich teraz, rozważając instynkta poszczególne.

²⁾ W *Revue des Deux Mondes* za 15 kwiecień 1858 r.

Instynkt płciowy. Dalecy jeszcze jesteśmy od dowiedzenia się w jakich okolicach mózgowia znajduje się ośrodek instynktu płciowego. Wyniki obserwacji poczynionych w klinikach oraz dane patologiczne zbiły najzupełniej hipotezę Galla, jakoby istnieć miał ścisły związek pomiędzy rozwojem mózdzka a żądzą płciową. Według Ferrier'a potrzeby organizmu stanowiące podstawę żądzy płciowej skupiają się około poszczególnej postaci wrażenia dotykowego, ośrodek którego znajduje się przypuszczalnie w ścisłym związku z okolicą nóg konia morskiego. Ale Ferrier czyni tylko przypuszczenie, nic na pewno nie twierdząc. Opierając się na tem, że pewne zapachy działają bardzo podniecająco na zmysły, dodaje on jeszcze, że okolicę mózgu ściśle związaną z ośrodkami wrażeń węchowych i dotykowych możnaby uważać za prawdopodobne siedlisko uczuć, stanowiących podstawę żądzy płciowej¹⁾. Według tegoż autora ośrodki tego uczucia są „prawdopodobnie umiejscowione w okolicach łączących zrazu potyliczne z dolno-wewnętrzzną okolicą zrazu skroniowo-klinowego. Ponieważ u kobiety narządy rozrodcze stanowią tak przeważny pierwiastek w ogólnej budowie fizycznej, muszą więc one posiadać w półkulach mózgowych znacznie większe proporcjonalnie ośrodki—jakoż istotnie fakt ten godzi się z wielką wrażliwością uczuciową kobiet i ze stosunkowo znaczniejszem rozwinięciem tylnych zrazów mózgu”²⁾. W ogóle na przypuszczeniach tylko poprzestać musimy w kwestyi umiejscowienia ośrodków instynktu płciowego. Zbytecznem więc byłoby zastanawianie się nad tem—czy w mózgu dziecka w jakim-

¹⁾ David Ferrier. *Les fonctions du cerveau.*

²⁾ David Ferrier: *Les fonctions du cerveau.*

kolwiek stadium rozwoju istnieją ośrodki żądy płciowej. Zauważyć jednak musimy, że dążność do rozrozdania nie stanowi wyłącznie znamiennej cechy tego instynktu. Najważniejszą jego cechą jest pożądanie wrażeń, których nieświadomym celem albo też wynikiem jest rozmnażanie istot, zachowanie gatunku. Tu raz jeszcze zostawiam głos uznanej powadze w psychologii porównawczej:

„W ostatnich czasach anatomia wykazała, że różność płci jest różnicą nie tyle zasadniczą, jak sobie wyobrażamy. Wszystkie osobniki jednego gatunku utworzone są według jednego typu. Samiec zwierząt ssących posiada równie, jak samica, wymioną, którym brak tylko rozwinęcia. Podobieństwo to sięga nawet aż do narządów płciowych uwydatniając się jeżeli nie we względnych rozmiarach części składowych, to przynajmniej w ogólnym zarysie budowy. Everard Home posuwa się nawet do przypuszczenia, że nasienie może zarówno posiadać pierwiastkowo jedną lub drugą płeć i że ostateczny jej rozwój zależy od bardzo prostych, później zaszłych okoliczności np. od wypadków towarzyszących impregnacji. Nawet u zwierząt wyższych płeć, jakkolwiek nie może ulegać zmianie, nie stanowi przecie tak wyłącznej różnicy, jak to jest ogólnem mniemaniem. W chwili urodzenia i podczas pierwszego okresu życia różnica płci objawia się wyraźnie li tylko w różnicy odnośnych narządów. Znacznie później dopiero występują inne oznaki jako to: broda, piersi, miesiączka. Ptak samiec przystraja się w najpiękniejsze pióra. Właściwości umysłu zależne od zjawisk płciowych, wcale prawie się do tego nie ukazujące, występują teraz w całej sile”¹⁾.

¹⁾ Houzeau. *Etudes sur les facultés mentales les animaux.*

Tenże autor przytacza znaczną ilość przykładów, wziętych ze świata zwierzęcego a mających wykazać, że nie człowiek tylko wyłącznie podlega takiemu zboczeniu instynktu płciowego, które posuwa się aż do potwornego pomieszania płci i wieku albo też do wyłącznego uganiania się za wrażeniami z instynktu tego płynącymi.

Słynny przyrodnik podał te szczegóły fizyologiczne w tym jedynie celu, by nimi objaśnić przyczynę brutalności, z jaką objawia się miłość u niektórych zwierząt. Poznanie tych szczegółów wystarcza nam do zrozumienia takichże samych nadużyć u człowieka, który nie jest wprawdzie zwierzęciem rozumnym, ale być nim może i powinien. Nie będę rozwodził się dłużej nad tą drażliwą kwestią, którą ze względu na często zdarzające się przestępstwa oraz na powodzenia pewnych romansów (znacznie mniej obyczajom szkodzących niż się to na pozór wydaje) polecam rozmyślaniu moralistów i bacznej uwadze prawodawców. Ograniczę się tylko — jak to już poprzednio uczyniłem — na wykazaniu nieoświeconym w tym względzie rodzicom i wychowawcom niebezpieczeństwa, mogącego wyniknąć ze zboczenia i ze spaczenia instynktu płciowego u niemowląt nawet. Pozwolę sobie jeszcze przytoczyć kilka ustępów z dzieła, którego wielka doniosłość moralna przynieść może dorosłym znaczny pożytek, tak ze względu na nich samych, jak na dzieci wszelkiego wieku. Ustęp niniejszy odnosi się tylko do moralnej korzyści niemożliwej:

„Obserwowanie w pierwszych latach dziecka, którego zaufanie jak najwcześniej zaskarbić należy, rozważny wybór jego towarzyszy, szkoły do której

uczęszcza i nauk, któreby mu nie spaczyły umysłu, kształcenie jego upodobań, przechadzki po świeżem powietrzu, koleżeński stosunek z rodzeństwem, wybór lekarza, stosunków towarzyskich, zabawy — oto względy, na które należy jak największe dawać baczenie.

„Pierwszym obowiązkiem rodziców jest obserwowanie dziecięcia. Mało rodziców zdaje sobie z tego sprawę, jak wczesnie dziecię może nabrać złych nawyków i jak szkodliwym może być dla niego wpływ nianiek (dlaczego nianiek tylko?). Oko macierzyńskie powinno ustawicznie czuwać nad dziećmi z miłością i z poszanowaniem dla ich wieku. Ta opieka dniem i nocą nad dziećmi rozciągnięta — oto pierwszy obowiązek, którego poczucie ogólnie wpajać należy. Lecz kto chce godnie wywiązać się z tego obowiązku, ten posiadać musi dwa warunki: dokładną znajomość niebezpieczeństw grożących dziecku, oraz rozwagę pozwalającą zrozumieć najlżejszy objaw niebezpieczeństwa i zapobiedz mu zanim go się dziecię domyśli”¹⁾. Pani Blackwell dodaje jeszcze te poważne słowa: „Znaleźć można straszne przykłady w dziele lekarskiem Trélat'a *La folie lucide* etc. Lallemand i inni chirurdzy opowiadają o często zdarzających się przypadkach, jak szkodliwie wpływa na zdrowie dzieci, przy piersi jeszcze będących, ohydne postępowanie przewrotnych nianiek. Samej nieraz mi się zdarzyło w do-

¹⁾ *Conseils aux parents sur l'éducation morale de leurs enfants au point de vue de leurs facultés sexuelles, par M-me Elisabeth Blackwell, docteur en médecine.*

mach do najlepszego towarzystwa należących wykryć źródło choroby dzieci w praktykach nianiek, które posiadały zaufanie rodziców a pozór kobiet uczciwych i zasługujących na szacunek. Świadcstwa złożone przez bardzo wielu lekarzy potwierdzają to spostrzeżenie”¹⁾.

¹⁾ *Conseils aux parents sur l'éducation morale de leurs enfants au point de vue de leurs facultés sexuelles, par M-me Elisabeth Blackwell, docteur en médecine.*

ROZDZIAŁ V.

U c z u c i a .

Nie mogę się na to zdecydować aby widzieć prosty tylko automat w dziecku, chociażby zaledwie kilka dni istnienia liczącem. Pewien uczony, któremu napróżno wykladałem moje poglądy dotyczące się kierunku, jaki nadawać trzeba zdolnościom dziecięcia, nadesłał mi w celu zbicia moich argumentów następujące dziwne lecz bardzo charakterystyczne określenie blisko dwumiesięcznego synka swego: „Jest to prawdziwe zwierzątko, niepomiarkowanie żarłoczne, które we śnie tylko lub przy piersi spokojnie się zachowuje. Nie byłbym nigdy myślał, że dziecko jest do takiego stopnia zwierzęciem, którego jedyny instynkt stanowi żarłoczność. Chcąc przezwyciężyć wstręt, jaki ono wzbudza, trzeba pocieszać się myślą, że za kilka miesięcy zwierzątko to będzie już miało jakieś przebłyśki rozumu i zacznie się stawać podobnem do człowieka.” Od razu, nieprawdaż? jakimś cudownem zrządzeniem natury? W odpowiedzi na powyższe słowa posłałem przyjacielowi memu inne jeszcze liczniejsze uwagi, którym jednak zarówno jak

pierwszym nie chciał przyznać słuszności. Odpisał mi: „Nie przestaję wierzyć w zupełną zwierzęcość dziecka, a chcąc dać prawdziwe pojęcie o żarłoczności temu wiekowi właściwej, mogę tylko porównać dziecię do poczwarki jedzącej bez przerwy i wytchnienia.” Nie podnosząc niektórych szczegółów, które mi się wydają potwarzą na dziecko, równie jak i na zwierzę rzuconą, uznaję, że przyjaciel mój trafnie zauważył i opisał ów stan dziecięcia, trawionego ustawiczną potrzebą przyjmowania pożywienia.

Luys także spostrzegł to samo, ale przytem, zarówno jak i ja zauważył inną jeszcze nader ważną okoliczność. „Mleko zadawalnia żądze organiczne dziecka, które żywi się tak jak komórka, t. j. zabiera z otoczenia swego potrzebne dla siebie pierwiastki. Ale jednocześnie po swojemu wyraża ono zadowolenie, jakie uczuwa, uśmiecha się na widok piersi, z której czerpie pokarm i życie, i od tej pory rodzi się w nim czucie wewnętrzne: sensorium pobudzonem zostaje. Dziecko raduje się, bo sobie przypomina, bo zachowało w pamięci przyjemne wrażenia, jakie na nim sprawiło zadość uczynienie fizycznym potrzebom” ¹⁾

Uczucia odnoszące się do smaku. Przez długi czas dziecię doznaje najżywiej uczuć ściśle ze smakiem związanych. Do pewnego wieku potrzeba jedzenia góruje w nim nad innemi, nawet nad potrzebą ruchu, objawia się ona najpierwej i trwa nieustannie. Najważniejszymi, najprzyjemniejszymi dla dziecka wzruszeniami są te, które się odnoszą do nigdy nienasyconej potrzeby jedzenia. Zadowolenie apetytu sprawia, że dziecko

¹⁾ *Luys.* Mózg i jego czynności str. 100.

poznaje pierś mamki lub butelkę a następnie ręce, twarz, głos, oczy, śmiech, pieszczoty, całą wreszcie postać karmiącej je osoby. Wdzięczność za nasycenie żołądka—to pierwszy objaw wdzięczności dziecka; rozkoszowanie się smakiem pokarmu—to pierwsza dłoń do miłości pobudka!

Pierwsze jego doświadczenia przy pomocy zmysłu dotyku nabyte, całkowicie—o ile to jest możliwem—do smaku się odnoszą. Gdy włożymy jakikolwiek przedmiot w ręce dziecka, mającego od jednego do sześciu miesięcy, obraca go ono przez chwilę i ścisza nie zdając się przywiązywać wagi do wrażeń dotykowych, lecz jeżeli ma siłę ponieść go do ust, doświadczą jego własności za pomocą narządów smaku. Palec matki, gałganek, kij, pudełko, owoc, kwiat, wszelkie przedmioty mniejsze lub większe, czyste lub cdrażę wzbudzające—wszystko, jednym słowem, temuż losowi ulega. Dostawszy do rąk piękną rycinę, której świetny koloryt ściągnął jego uwagę, nie ma ono nic pilniejszego jak ponieść ją natychmiast do ust. Dziecię nie pojmuję jeszcze różnicy między pięknem a dobrem. Wtedy nawet, gdy liczne bardzo doświadczenia przekonały je, że nie każda rzecz ma smak przyjemny, na pierwszy rzut oka niedowierza ono tym tylko przedmiotom, które wyraźnie smak jego obrażają. I tak na przykład: trzymiesięczne dziecko, któremu dawano do picia gorzkie jakieś lekarstwo w błękitnej filiżance, odwracało potem główkę, krzywiło się i płakało na widok tejże filiżanki. Dziecko sześciomiesięczne, któremu podano poraz pierwszy obiad do pióra, ramkę, piłkę, książkę, kładło kolejno do ust wszystkie te przedmioty. W ruchach tych duży zapewne udział przyjmuje potrzeba zwalczania ciągłego swędzenia dziąseł, dokuczającego dzieciom starszym nad cztery miesiące; główną jednak ich pobudką jest nad-

mierne podniecenie czynności smaku oraz związanych z nim pojęć i uczuć.

Jakkolwiek radosne i przykre uczucia odnoszące się do smaku, przeważają podczas pierwszych miesięcy, nie są one jednak jedynymi, których dziecko doznaje.

Bojaźń. Od pierwszych dni życia dziecko objawiać zaczyna instynktowny strach, zresztą za pierwsze niewyraźne przejawy tego instynktu uważać już można silne ruchy i drgania płodu wywołane nagłym przestraszeniem matki. Pewna pani, doznawszy na trzy miesiące przed urodzeniem dziecka bardzo silnego przestraszenia, uczuła konwulsyjne rzucanie się płodu w łonie. Przyszedszy na świat, dziecię to żyło tylko kilka miesięcy i często bez żadnej z zewnątrz działającej przyczyny ulegało temu gwałtownemu rzucaniu się, które jest znamię bardzo silnego przerażenia. Niezaprzeczane to następstwa oddziaływania wyobraźni, których tak matka, jak i otaczające ją osoby powinny się o ile możności wystrzegać.

Przyczyna wywołująca u noworodka różne oznaki strachu, jako to: drgania i krzyki, zatrzymanie lub przyspieszenie oddechu, bywa częstokroć tak słabą, że nie zawsze przewidzieć lub usunąć ją można. niespodziany hałas, każdy prawie nagle a wyraźnie ujrany przedmiot przerywa dziecku spokój. Widok obcej twarzy wystarcza niekiedy aby wzbudzić w nim taki przestraszenie, który dech mu tamuje.

Darwin zauważył, że dziecię w pierwszych już tygodniach lęka się najmniejszego nawet ale niespodziewanego hałasu, później nieco obawia się ono zarówno hałasów jak i postaci nieznanymi. Wspomina przytem o niektórych starszych już dzieciach obawiających się ciemności—nie powiada wszakże, czy skłonność do tej

obawy za dziedziczną uważa. Należy przypuszczać, że takiem jest jego zdanie, ponieważ — nie bez pewnej według mnie przesady — mówiąc o bojaźni, jakiej dziecko jego doznało w ogrodzie Zoologicznym na widok ogromnych zwierząt, przypisuje on tę obawę „odziedziczonemu obawianiu się rzeczywistych niebezpieczeństw, na jakie narażeni byli ludzie w stanie dzikości żyjący.” Pomimo poszanowania dla zdań słynnego fizyologa, zadaje sobie jednak pytanie, czy przestraszu, jaki widok ogromnego zwierzęcia wywołuje w dziecku mającym dwa lata i kwartał, nie można by poczęści przypisać osobistym jego doświadczeniom i czy potrzeba cofać się aż do doświadczenia dzikich naszych przodków aby wytłómaczyć szczególniejsze objawy tej własności, w ogólnych tylko zarysach dziedzicznej.

Do sześćcio lub siedmio miesięcznego dziecka zastosować można następujące spostrzeżenia Ch. Bell'a: ¹⁾ „Dziecko podrzucane na rękę nie opiera się, gdy je podnosimy w górę; mocuje się jednak, jakby chcąc z rąk nam się wyrwać, gdy je na dół spuszczaamy. Postawione na ziemi przez mamkę, która je ramieniem otacza, powoli i bardzo nieśmiało próbuje ono utrzymywać równowagę i stać o własnej sile ale stanawszy nawet, nie oddala się z początku od mamki aby padając mogło się o nią oprzeć. Czyniąc pierwsze próby swoich mięśni, dziecko jest ciągle pod wpływem bojaźni, stanowiącej także — być może — następstwo nabytego już doświadczenia.”

Dziecko, które próbując chodzić, upadło, na czas nieraz dość długi traci odwagę do chodzenia. Pod tym jednak względem wielkie zachodzą różnice tak u róż-

¹⁾ *The hand.*

nych osobników naszego gatunku, jak i u młodych zwierząt, które po raz pierwszy próbują chodzić, biegać, skakać lub wdrapywać się. Zarówno zwierzęta jak i dzieci po raz pierwszy próbujące trudnej dla nich zabawy lub pierwszych ćwiczeń gimnastycznych okazują albo nadzwyczajną śmiałość, niezrażającą się upadkiem albo też śmieszną ostrożność i tchórzostwo.

U dzieci mających od trzech do dziesięciu miesięcy bojaźń spowodowana wrażeniami wzrokowymi mniej jest częstą niż bojaźń wynikła z wrażen słuchowych; u kotów już od piętnastego dnia życia rzecz się ma na odwrót. Pewne dziecko, mające półczwarta miesiąca, nie objawiało ani zdziwienia, ani bojaźni na widok pożaru; w obec płomieni na okół szerzących zniszczenie, wobec walących się murów uśmiechało się ono do piastunki, która je dozorowała czekając na powrót rodziców i pilnując sprzętów domowych — zaczęło ono jednak drzeć i płakać, usłyszawszy trąbkę straży ogniowej i turkot kół nadjeżdżających sikawek. Nie widziałem nigdy jeszcze, aby w tej porze życia dziecko drgnęło na widok bardzo nawet jaskrawej błyskawicy; widywałem jednak dzieci przestraszone odgłosem grzmotu. Spostrzeżenia moje nie godzą się w tym względzie z twierdzeniami Rousseau'a i Herberta Spencer'a. Rousseau — podobnie jak Locke — mylnie mniema, że bojaźń jest uczuciem pozostałym z przeświadczenia o szkodliwości rzeczy dla nas niebezpiecznych i że tylko nadzwyczaj silne wrażenie może wywołać to uczucie u dziecka.

„Zauważyłem — mówi on — że dzieci rzadko się boją piorunu, jeżeli huk jego nie jest o tyle głośnym aby istotnie raził zmysł słuchu; w przeciwnym zaś razie doznawać zaczynają obawy wtedy dopiero, gdy się dowie-

dzą, że piorun zranić lub nawet zabić może" ¹⁾. Herbert Spencer powiada: „Zdarzyć się zapewne może, że dziecko złęknie się uderzenia piorunu dla tej samej przyczyny, dla której człowiek nieoświecony z zabobonnym strachem spogląda na komety; uderzenia piorunu i ukazanie się komety nie są to wszakże zjawiska codziennie się powtarzające lub przekraczające porządek panujący we wszechświecie" ²⁾. W istocie też dzieci w pierwszych miesiącach życia boją się nieraz pewnych hałasów, przedewszystkiem takich, do których nie są przyzwyczajone. Prawdą jest także — jak to zresztą zauważyli Locke i Rousseau — że stopniowe zwłaszcza przyzwyczajanie do tychże odgłosów znosi ten strach dzieci; dziecko, które w Maju, mając pół roku, bało się piorunu, przestało się go lękać w pięć miesięcy potem, to jest przy końcu Września, ponieważ miało sposobność słyszenia tego huku kilkakrotnie i już się z nim oswoiło. W czwartym roku życia zaczęło znów lękać się piorunu, co prawdopodobnie wpływać musiało z niewłaściwego wychowania.

Istnieje pewien rodzaj bojaźni wrodzonej, w organizmie tkwiącej i dziedzicznej, która będąc wynikiem doświadczenia przodków jest ochroną od rzeczywistych z osobistego doświadczenia nieznanych jeszcze niebezpieczeństw. Oto dlaczego łatwiej i silniej przestrasza się dziecko pięcioletnie od trzyletniego, trzyletnie od półrocznego i dlaczego ten rodzaj wzruszeń pochodzi u dziecka raczej z przyczyny wrażeń słuchowych niżeli wzrokowych.

Życie poprzedzające cywilizacją usposobiło ród ludzki nie tyle do wypatrywania oddalonego jeszcze

¹⁾ Emil, ks. I.

²⁾ *Zasady socjologii*, t. I.

niebezpieczeństwa, ile do oczekiwania na nie z bliska to jest do przysłuchiwania się nadchodzącemu. To też odłożywszy na bok czysto osobiste różnice wrażliwości, będące owocem specjalnego dziedziczenia przyznać trzeba, że niedoświadczonego jeszcze dziecka bojaźń dochodzi raczej przez ucho niż przez oko. Naturalną jest rzeczą, że stosunek ten bywa odwrotnym lub przynajmniej mniej wyraźnym u zwierząt, których ustrój pozwala im zdaleka spostrzedz niebezpieczeństwo. Nie widziałem też aby dziecko przestraszyło się kiedykolwiek, widząc po raz pierwszy ogień; co przeciwnie, zauważyłem nieraz u niektórych zwierząt domowych np. u szczeniąt, u kociąt, u kurcząt i u małych jeszcze ptaszków. Gdy przyniesiono z ogrodu na pół nieżywą kurę i położono blisko ognia, odskoczyła żywo pomimo osłabienia; powtórnie przybliżono ją do ognia i głaszcząc pieśczośliwie przytrzymywano na stołku, stojącym w pobliżu pieca; wtedy wreszcie przestała się wydierać i upodobawszy sobie przyjemne i krzepiące ją ciepło zamknęła niebawem oczy i zasnęła. W jakie pół godziny odeszli od niej wszyscy i — czy to nie miała siły uciec, czy też czuła się zadowoloną z nowego położenia — dość, że chociaż kręcono się po pokoju, hałas ten nie przerwał rozkosznego jej spoczynku. Przesiedziała tak resztę dnia i całą noc. Nazajutrz była już zdrowa, dobrowolnie jednak wróciła na wczorajsze miejsce na stołku. Kilka lat temu przygarnąłem błakającą się kotkę, rok już blisko mającą; w parę miesięcy potem, w pierwsze dni zimne rozpałem ogień na kominku mego gabinetu; z początku kotka patrzyła na ogień z bardzo przestraszoną miną; zbliżyłem ją do niego, dała susa i pobiegła schować się pod łóżko. Choć ogień palił się codzień, pod koniec zimy dopiero udało mi się ją skłonić do siadywania na krześle przed komin-

kiem. Następnej zimy, nie okazywała już żadnej obawy; wskakiwała sobie na krzesło przed ogniem stojące a nawet gdy już dogasał, siadała na posadzce tuż przy kominku. Wielkość niebezpieczeństwa ocenia ona zwykle oczyma: usłyszawszy huk grzmotu, turkot ciężkiego wozu, nie idzie słuchać do okna, lecz podnosi oczy na sufit dlatego, że skutkiem przymkniętych w moim pokoju okienic cień przedmiotów przesuwających się po ulicy, pada często na sufit. Wyprowadźmy ztąd zatem wniosek, że istnieje dziedziczne usposobienie do bojaźni, niezależne od wszelkiego doświadczenia, lecz w znacznej mierze złagodzone stopniowo nabywanem doświadczeniem. Dziecko, o ile mi się zdaje, nabywa podobnego doświadczenia z pomocą słuchu przeważnie.

Gniew. W pierwszych tygodniach życia dziecko krzykiem tylko i opieraniem się instynktownie wyraża przykrość, jaką mu przedmioty sprawiają. Mając jednak blisko dwóch miesięcy, odpycha gwałtownie niemiłe mu przedmioty a marszczenie brwi, zaczerwienienie twarzy oraz skóry na czaszce, rzucanie się, często nawet łzy są objawem prawdziwych napadów gniewu. W wieku trzech miesięcy płacze ono, krzyczy i rzuca się z zazdrości, gdy ktoś naprzykład udaje, że mu odbiera pierś albo smoczek. Dziecko gniewa się też gdy nie może dostać z łatwością piersi zakrytej stanikiem, gdy je myjemy, kąpiemy lub przebieramy albo gdy nie dość prędko zgadujemy jego życzenia i nie czynimy im zadość. W sześciu zazwyczaj miesiącach krzyczy już ono z niecierpliwości, gdy mu odbieramy zabawki, o które — jak się zdaje — dbać już zaczyna, czy to dla tego, że ma wrodzony instynkt własności, czy też, że stanowią one dla niego coraz to częstszą i przyjemniejszą rozrywkę.

W tej samej epoce tak krzyki jak i ruchy przez sen wykonywane zdają się wskazywać, że dziecko miewa przykre sny. Roczne blisko dziecię objawia już nieraz gniew czynami szkodę przynoszącymi, które są jakby zawiązkiem uczucia zemsty. Z gniewu, zarówno jak i przez figle bije ono sprzęty, osoby, zwierzęta; z uniesieniem odpycha talerze, szklanki, pożywienie, zabawki, rzuca wszystkim co ma w ręku na osoby, które mu się nie podobają, albo po prostu rzuca przedmiotem, który mu się nie podoba na pierwszą lepszą osobę. Tak więc źródłem gniewu — i to bardzo wcześniej się objawiającego — są uczucia bądź to proste, bądź złożone; wyrazem zaś jego są czynności bądź to proste i automatyczne, bądź też złożone i osobiście przez dziecko nabyte.

Jeżeli hipoteza ewolucji jest prawdziwą, potrzebnem jest zatem i użytecznem aby dziecko ucywilizowane przechodziło z pewnem stopniowaniem główne stadia, które kolejno przechodzili przodkowie jego ze stanu zwierzęcości do najniższego stopnia cywilizacji. Dziecko nasze ma całkowite prawo przypominać przez chwilę tego przodka, czas jakiś być podobnem do tego dzikiego stworzenia, za jakie niektórzy mają człowieka pierwotnego. Gniewliwość jest jedną ze znamiennych cech wzruszeniowości ras niższych. Z małym wyjątkiem drażliwość i uleganie pierwszemu popędowi są zasadniczym rysem charakteru tychże ras. „Pomimo powierzchowności zazwyczaj niewzruszenie spokojnej Dakotanie miewają straszliwe napady prawdziwie krwiożerczej wściekłości przy zabijaniu bawołów; flegmatyczni Kryksowie dopuszczają się często samobójstwa, spowodowanego nieznaczną jakąś przykrością.” Przechodząc z Ameryki do Azji, spotykamy mieszkańców Kamczatki, którzy zdaniem podróżnych „są nerwowo skłonni do rozdrażnienia, żeby nie powiedzieć hysteryczni (mówi

sie tu o mężczyznach wyłącznie). Lada drobnostka doprowadza ich do szaleństwa, albo do samobójstwa." Z plemion rasy murzyńskiej Papuasowie są „porywcy, drażliwi, hałaśliwi,” mieszkańcy wysp Fidyi „łatwo ulegają silnym lecz krótko trwającym wzruszeniom;” Tasmańczycy „szybko przechodzą od śmiechu do łez;” mieszkańcy Ziemi Ognistej „rozprawiają głośno i z uniesieniem;” łatwość, z jaką Australczycy ulegają popędowi, domyśleć się można z wyrazów, których użył Stuart mówiąc, że „jin” (kobieta australska) robi w gniewie więcej hałasu od europejskiej (i że pewien mężczyzna „odznaczający się dumą i siłą charakteru, długo szlochał, gdy mu wydarto siostrzeńca.”¹⁾)

Podobna popędliwość i uleganie pierwszym popędom są więc u dzieci naszych spadkiem odziedziczonym po pierwotnych przodkach, są one w nich niby instynktowną bronią odporną i wrodzonym narzędziem samozachowawczości. Apriorystycznie więc zdaje się doowiedziona, że systematyczny rozwój — to jest kształcenie — powinien zachować tę siłę, ujmując ją w karby. Ale doświadczenie tylko nauczyć nas może, jakie tak w dzieciństwie samem jak i na przyszłość wyniknąć mogą następstwa ze zwalczania tego uczucia lub z folgowania mu i na jakie uwzględnienie zasługuje skutkiem tego ów moralny czynnik wychowawczy.

Dziecię ma słuszne prawo do gniewu, gdy tym sposobem wyraża mimowiedny swój bunt przeciwko pierwszym dolegliwościom życia: drgawkom, boleściom, cierpieniom dziąseł, rozstrojowi, który wynika z gorączki, z braku powietrza, snu lub potrzeby ruchu. Towarzyszące gniewowi ruchy i krzyki, natężenie wrażeń

¹⁾ Herbert Spencer, Zasady Socyologii.

do pewnego stopnia odrywają dziecię od uczucia bólu, a jednocześnie są dla przyrodzonych jego opiekunów ostrzeżeniem przez samą naturę podyktowanym. Również w prawie swoim jest dziecię wrzeszcząc, tupiąc nóżkami i oburzając się, że tak źle je rozumieją, chociaż ono mówi tak dobrze, ilekroć podczas pierwszych nieudolnych jeszcze prób mowy wypowiedziany przez nie wyraz nie maluje dokładnie jego myśli. Wtedy jeszcze gniewać się ma prawo, gdy niepotrzebnie przyzwyczajony np. do kołysania, do usypiania na rękę albo przy świetle, żądamy nagle aby wyrzekło się tych przyzwyczajzeń. Jeszcze zaś większe mieć będzie prawo do gniewu, gdy gwałcąc prawa wątlej jego i delikatnej osobki zmusić je chcemy do wykonania czynności w danej chwili lub zwykle mu wstrętnej np. do przełknięcia cierpkiego lekarstwa, do znoszenia bez płaczu kary lub pokuty, do ucałowania wstrętnej mu osoby. Gniew jego również jest słusznym, gdy (jak to widzimy z przykładu przytoczonego przez Rousseau), dostawszy od mamki klapsa za płacz, natychmiast milknie dziecię, sinieje i dusi się prawie z gniewu a gdy do cierpienia, którego zapewne doznawało poprzednio, dołączy się teraz inne, dziecko wyraża jedno i drugie przejmującym krzykiem, oznakami urazy, złości i rozpacz.

Jest też rodzaj niecierpliwości, która będąc znamieniem charakteru szczerzego i wspaniałomyślnego, towarzyszy wykluwaniu się pierwszych zalet moralnych. I tak: dziecko lubiące chodzić o własnej sile bez względu na grożące mu niebezpieczeństwo na prawdę się gniewa, gdy upieramy się narzucać mu naszą pomoc wtedy, gdy ono ma ochotę pobiegać swobodnie. Tak na przykład w późniejszym już trochę wieku, gdy powtórzy w obecności matki niewłaściwy żart, z którego przed chwilą śmiały się sługi i wybuchnąwszy śmie-

chem, któremu nikt nie wtóruje, czerwieni się najprzód, robi minę nadąsaną i zrozumiałwszy, że powiedziało głupstwo, wydaje się prawie zagniewanem na siebie. Albo gdy dwuletnie dziecko surowo skarcone przez osobę zwykle dla niego słabą, wpada w złość z powodu kary, którą zniosłoby bez najmniejszego szemrania, gdyby mu ją wymierzyli rodzice. Albo jeszcze, gdy zobaczywszy bijące się na ulicy dzieci biegnie je rozdzielić z zaperzoną twarzą, z zaciśniętymi pięściami. Nie są że to ważne wskazówki ułatwiające poznanie charakteru, a zbawienny ten gniew maluczkich nie jest-że wybornym pomocnikiem w wychowaniu moralnem?

Jeżeli jednak gniew ma swoje dodatnie strony, swoją użyteczność i prawo bytu, to ma też i strony ujemne, szkodliwe, zdrożne, o których wspomnieć teraz należy. Może on być jaskrawym wyrazem kaprysu, zazdrości, nienawiści, pogardy, zemsty, wszystkich namiętności ludziom wrogich, usposobienia wojowniczego, popędu do zemsty, może być tą obosieczną bronią złości ludzkiej, która raniąc drugich, rani samą siebie. Jest to uczucie wybuchowe, może więc ono częstem powtarzaniem się i przebieganiem miary szkodzić fizycznemu i moralnemu rozwojowi dziecka, które potrzebuje wewnętrzного spokoju i pogodnej, cichej atmosfery. Gniew może wpływać bardzo zgubnie na dzieci skłonne do drgawek przedewszystkiem w wieku, gdy masa i działalność dostatecznie już zorganizowanego systemu mięśniowego nie przeciwważa jeszcze wstrząśnięć systemu nerwowego. Cóż może stawiać większą tamę rozwijaniu w sześć lub siedmiomiesięcznem dziecku uprzejmości i posłuszeństwa nad przyzwyczajenie do gniewania się o lada drobnostkę, dla tego, że mu się z rąk wysuwa przedmiot, po który sięgnęło, że podają mu nie to jedzenie lub nie tę zabawkę, których ono sobie życzy,

albo też dla tego, że ktoś obcy pieści je i do niego mówi? Jest-że coś mniej przyjemnego nad widok jedno lub dwuletniego malca, który ma zwyczaj wywierać złość na sprzętach pokojowych i kuchennych, na książkach, kwiatach, owocach, jedzeniu, na zwierzętach, na sługach a nawet na rodzicach własnych?

Widziałem jedenastomiesięczną kapryśnicę, która wpadła w straszliwy gniew dla tego, że jej się nie udało złapać za nos dziadka. Inna dwuletnia dziewczynka miała śliczną lalkę, którą się bardzo pyszniła; pojechawszy z rodzicami do wód zobaczyła wysiadając z powozu inną jakąś dziewczynkę z lalką zupełnie taką samą; natychmiast prawie zaczęła wrzeszczeć przeraźliwie, rzuciła się na nieznajomą, drapiąc ją, bijąc, kłusząc, tak, że musiano jej gwałtem wyrwać z rąk niewinną ofiarę; gniew ten był tak gwałtowny, że przypisał jej o trzynastomiesięczną chorobę. Inna dziewczynka w tymże samym wieku miewała takie napady złości, gdy ją matka spać kładła, że aż dla uspokojenia jej musieli wdawać się w to sąsiedzi; jednego z nich szczególnie tak się bała, że uspokajała się na sam jego widok: był to mężczyzna z grubym głosem i dużą brodą, który jej czasem różgą dawał w łóżeczku. Chłopczyk jeden mający pięć kwartałów kłuszał matkę, gdy go sadzała do kąpieli. Inny trzyletni, wypędzony z jadalnego pokoju za nieobyczajne zachowywanie się przy stole, powrócił natychmiast, położył się na ziemi pod drzwiami, bijąc w nie rękoma i nogami i wrzeszcząc przeraźliwie.

Z tego cośmy tu powiedzieli o dodatnich i ujemnych stronach gniewu, zdaje mi się, że tak *a posteriori* jak i *a priori* zaliczyć go można do tej klasy uczuć zasadniczych, które nadaremnie usiłowałibyśmy wykorzenić, ale które trzeba starać się wykształcić oraz kierunek im nadać. Gniew zatem uważać należy za jeden

z najpłodniejszych w następstwa czynników działalności ludzkiej: połączony ze współczuciem pobudza do poświęcenia i dopomagać może do ukształcenia nawyków moralnych, bądź to zmuszając dziecko do zastanowienia się nad samem sobą, bądź też składając w jego duszy—o ile pozwala na to wiek dziecięcy—zawiazki tej „silnej nienawiści, którą w duszach wspaniałomyślnych wzniecać powinien występki.”

Zazdrość. Instynkt zazdrości, wszystkim zwierzętom wspólny a niejednakowo silny u wszystkich osobników danego gatunku, powstaje w różnych okolicznościach i w różny się sposób objawia. Zazdrość nie zawsze jest dowodem wielkiej żywości uczuć lub nadmierne rozwiniętego poczucia własnej osobowości, występuje bowiem nader silnie u dzieci i u dorosłych bardzo zkadłinał spokojnych i zgodnych: czasami wybucha jak pożar, czasem niby tleje pod popiołem. Miłość i przywiązanie są najsilniejszymi jej podnieciami; wywołują ją jednak może każdy przedmiot przez kogoś innego posiadany lub pożądaný. Koty oraz psy zazdroszczą sobie wzajemnie jedzenia, miejsca, zabawki lub pogłaskania. Wróbel oswojony przez jedną panią zazdrosny był o koty, które ona pieściła, o osoby wchodzące do jej pokoju. — objawiał to wyraźnie krzykami i ruchami. Tak samo dziecko trzymiesięczne okazuje się zazdrosnem o osoby, które chcą mu odebrać pierś lub butelkę, zazdrosnem też jest o pieczęty matki. Jedno dziecko piętnastomiesięczne objawiało zazdrość, gdy niania jego dostała kawałek cukru lub łakocie.

Bardzo różnorodne przedmioty mogą wywołać zazdrość, która wynika też czasem z zawiści, z chęci naśladowania lub przywłaszczenia sobie pewnego przedmiotu. Dzieciom zachciewa się czasem czegoś nie dla

tego, by to mieć i tem się cieszyć lecz głównie aby tego nie widzieć w ręku innych. Bywają one zazdrosne o rzeczy zupełnie tak samo jak o osoby. Pewne dziecko piętnastomiesięczne wyprawiało bardzo zabawne sceny zazdrości. Jeżeli rodzice jego udawali, że się przy niem całują, biegło z gniewem rozdzielić ich i odpychało ojca, który nie ma pierwszeństwa w jego sercu. W tymże czasie toż samo dziecko napierało się wszystkiego, co tylko zobaczyło w ręku innych. Musiało się koniecznie wmyślać do każdej czynności przy nim wykonywanej a dla niego zrozumiałej; ile razy weszło do kuchni wtedy gdy służąca przyrządzała obiad, zaraz żądało noża lub czegoś coby mu nóż zastąpiło i brało się do robienia zupy z obierzyn od jarzyn. Gdy starszy jego braciszek pisał i jemu też trzeba było przystawić do stołu wysokie krzeselko, dać papieru i pióra; wyobrażał sobie wtedy, że robi to samo co i brat, a raz najpoważniej w świetle zażądał od ojca pęzla, żeby się móżdż ogolić. Chęć posiadania i naśladowania jest zatem ważnym składnikiem objawów zazdrości lub zawiści.

Ojcowie nie powinni trapić się żywszem przywiązaniem, które dzieci okazują w ogóle matkom i mamkom; uczucie to jest rzeczą naturalną i raczej pożytek niż szkodę przynosi umysłowemu i moralnemu rozwojowi dziecka. Matki ze swojej strony nie powinny się zbyt martwić, jeżeli zmienne te serduszka sprzeniewierzą się czasem przedmiotowi swojej miłości. Tak w pierwszym jak i w drugim razie zazdrość byłaby wielkim nierozsądkiem a mimowolne jej objawy mogłyby stanowić zły przykład dla dziecka. Musi być bezwątpienia trochę próżności a przynajmniej miłości własnej w zazdrości, którą dziecko objawia względem rodzeństwa szczególnie z powodu udzielanych mu pieczęty lub okazywanego przywiązania. Syn Tiedemanna ma-

jący dwadzieścia dwa miesiące „stawał się coraz więcej zazdrosnym i próżnym, przychodził dopominać się także o pieśczęty, gdy pieściono jego siostrzyczkę; odbierał jej to co dostawała, a nawet próbował bić ją pokryjmu.” Na kilka miesięcy przedtem w porze jej przyjscia na świat, chłopczyk ten objawiał wielkie niezadowolenie; ile razy była na ręku matki albo w jego łóżeczku, zawsze ją chciał bić, nieprzyjemnie mu bowiem było widzieć, że mu odbierają coś, co przez długi czas stanowiło wyłączną jego własność.

Jeden z siostrzeńców moich, mając trzy lata, nieustannie mówił o braciszku, który wkrótce przybyć miał na świat. „Będę go bardzo kochał” — powtarzał co chwila. Gdy jednak zobaczył, że nowoprzybyły obejmuje w posiadanie pierś matki, jej pocałunki i pieśczęty, ojca uwagę i starania począł objawiać bardzo wyraźne niezadowolenie, raz nawet odezwał się do matki: „Czy ten Nunuś nie umrze już sobie niedługo?” Gdy młodszy chodząc już zaczął i mówić, tamten płatał mu ciągle złośliwe figle, krzyczał mu w same uszy, przezywał go złym, szkaradnym, wyrywał mu z rąk zabawki, przedrzeźniał mowę i chód jego.

Rozmaite uczucia. Gdy dziecko przekona się już z doświadczenia, że niektóre przedmioty mogą mu sprawiać przyjemne lub przykre wrażenia tak wzrokowe jak i dotykowe, wtedy dzielić ono zaczyna pomiędzy jedzenie i zabawę godziny przez sen niezajęte. Nowe potrzeby, które szkoła Szkočka nazywa umysłowemi (pozwalają bowiem przypuszczać pewien postęp w rozwoju umysłowości) przybywają do przeważającej jeszcze ale już nie wyłącznej potrzeby żywienia się i dogadzania podniebieniu. Oto np. chłopczyk ośmiomiesięczny, przeciętnie rozwinięty: zaciekawia go mnóstwo przedmiotów obojęt-

nych pod względem smaku i przypadkowo już tylko nie-sie je do buzi; stanowią one dla niego zabawkę, przedmiot badania, lub też jedno i drugie razem; obraca je w rączkach na wszystkie strony, stawia do góry nogami, obala na ziemię i podnosi, porzuca, znów do nich wraca, goni za niemi na czworakach, jeżeli dosięgnąć ich nie może, przyciąga do siebie, uderza jednemi o drugie i jedne w drugie wkłada; zagląda do środka, układa jedne na drugich i rozrzuca; tysiącami wreszcie sposobami bawi się niemi lub naukę dla siebie z nich czerpie. Wzrok i dotyk, które przedtem wydawały się jedynie pomocnikami smaku, działają teraz samoistnie; po pierwotnej syntezie czynności nastąpiło analizowanie ich coraz to głębsze i subtelniejsze; współśrodkowe kręgi wrażeń, postrzeżeń, sądów, uczuć, z każdym dniem się rozszerzają. Wyżej przezemnie wspomniany uczony podziwiał już teraz to małe zwierzątko, które z dniem każdym, z każdą godziną wznosi się już na stanowisko człowieka.

Oto znowu dziecko jedenastomiesięczne: przepada ono za swoją butelką, która jest dla niego źródłem naj-rozkoszniejszych uciech, poznało się już jednak z pewną ilością smacznych rzeczy, jako to: z zupą, z chlebem, mięsem, ciastkami, owocami, słodkim winem, i zdaje się lubić je niemniej od swego pierwszego pożywienia. Jednak gdy zadowolniejszy jego apetyt, posadźmy je przy zabawkach, widać, że się cieszy niemi, jeżeli nie tak samo, to tyleż co pożywieniem: takąż samą czuje ochotę do wzięcia ich w ręce, takż sam do nich pociąg, takąż samą przykrość gdy ich jest pozbawionem, z takąż samą w twarzy, w ruchach i w całej postawie radością szuka w nich wrażeń przyjemnych. Jednocześnie zaś widać że bardzo kocha swoją matkę, niankę, siostrę, ciotkę, osoby które je karmią, pieścżą,

bawia, mówią z niem i dogadzają mu. Zdaje się nawet, że z tych osób przekładano jedno nad drugie. Chętniej zdaje się iść na ręce do matki lub niańki, które się z nim obchodzą bardzo łagodnie i wesoło niż do siostrzyczki, która je trzyma tak niezgrabnie, że się aż nieraz dziecko rozplacze, a szczególnie niż do ciotki, której się zdaje, że jest bardzo słodka i pieszczotliwa, ale jednak nie wygląda na to i obok krzykliwego głosu ma twarz nachmurzoną, nieprzyjemną. Widok twarzy młodej i ładnej rozwesela to dziecię, któremu się nie podobają twarze brzydkie, stare lub woalką zakryte. Różnice jego uczuć zależą od przedmiotów lub sprawionych mu przez nie wrażeń, od charakteru osób, ich obejścia się i ruchów: ma ono także swoje niechęci tak do osób jak i do rzeczy. W złość wpada, gdy je chce pocałować siedmioletni synek sąsiadów, który mu już niejednego figla wypłatał, a szczególnie nie jedną je miną nastraszył. Jeden z jego wujów przyprowadza z sobą dość często czarnego pieska niesłychanie szczekliwego, na którego widok dziecko się zasępia, gniewa się i przeraża. Dyscyplinę, klysopompę, ręcznik uważa ono za osobistych nieprzyjaciół — martwe zatem przedmioty znaczny mają udział w uczuciach dziecięcia. Zaród wszystkich wstrętów i przyjemności dziecka leży w przyjemności i przykrości, które dany przedmiot sprawia któremukolwiek z jego zmysłów. Ciekawość jednak nieustanna potrzeba żywych i nowych wzruszeń wzmagają uczuciowość dziecka i codziennie dostarczają jej materiału.

Uczucia, zarówno jak i potęgująca je ciekawość nie mają głębokich korzeni w sercu dziecka, przerzucając się z przedmiotu na przedmiot, z osoby na osobę. Skutkiem zupełnej nieświadomości i szybko nużącej się uwagi nie może ono zajmować się długo jedną osobą

lub rzeczami, które się nie zmieniają i nie przekształcają ustawicznie dość szybko, by mogły zaspokoić nieustannie czynną jego ciekawość. Weźmy na przykład pewne dziecko dziesięciomiesięczne, które nie odróżnia kwiatów od innych przedmiotów; kawałek papieru zaciekawia je, nęci i sprawia mu przyjemność równą co do siły i trwałości tej, którą mu sprawia widok pięknej róży. Gdy w jego obecności wacham ten kwiat i zachęcam je do naśladowania mnie, mówiąc: „A! pachnie!” i ono też wciąga zapach z zadowoloną minką, okazując się czulem na przyjemną woń róży. Zapachy jednak budzą w nas wrażenia tak szybko ulegające stępieniu, że trzeba mieć sztucznie wyrobione do nich przywyknienie, jakie się spotyka u dorosłych (u dorosłych nawet zwierząt: widywałem bowiem koty, które wtykały nos w fijołki z prawdziwym lubowaniem się ich wonią) aby się umieć rozkoszować temże wrażeniem, systematycznie przez nas odnawianem, ocenić jego wartość i polubić kwiaty dla ich woni. Cieniowanie barw roślinnych, którego urok tak żywo czują dorośli, przestaje działać na dziecko. Przyjemność jaką sprawiają dziecięciu te krótkotrwałe twory, szczególnie gdy je do rąk dostanie, bardziej jeszcze od nich jest krótkotrwała. Drży ono wprawdzie z radości widząc je lub dotykając, lecz niebawem porzuca je dla czego innego. Organizm jego słabszy od naszego poddaje się bez oporu prawie działaniu tego prawa przyrody, na mocy którego uczucia najżywsze najkrócej trwać zwykły. Dlatego to przedmioty, które w niem budzą uczucia najwyższej przyjemności lub najwyższej przykrości nigdy nie zabawią go, ani nie zasmucają na długo; często jednak mogą je zabawić lub zasmucić powtórnie, a ponawiające się po dostatecznie długiej przerwie uczucia przyjemne są zaw-

sze mile przyjmowane; uczucia zaś przeciwnej natury zawsze są niemile witane.

Sympatya dla zwierząt. Twory żyjące więcej nieco od martwych umieją zatrzymać na sobie uwagę dziecka, obudzić jego ciekawość i—co za tem idzie—wzbudzić w nim uczucie przywiązania. Psy, koty, baranki, ptaszki, kurczęta—oto główne narzędzia służące mu do zabawy, do nauki i rozbudzające jednocześnie jego uczuciowość. Cóż w tem jednak dziwnego? One bowiem łączą w sobie dla dziecka wszystkie przyjemności wzroku i słuchu, różnorodne uciechy dotyku również jak bezwiedną rozkosz, której się doznaje wobec zadowolenia potrzeby ruchu.

Do dziecięcej ciekawości, której one nieustannie nowego dostarczają przedmiotu, dołącza się niemniej silnie działający wpływ wrodzonego do zwierząt pociągu. Co to za radość gdy dziecię obejmie w uścisk drobnych rączek którekolwiek z tych stworzeń łaskawych! Własnego to życia, własnej osoby niewyraźne odbicie widzi ono w tych istotach, ożywionych ruchami podobnymi do własnych jego ruchów. Owo uczucie pociągu odziedziczone raczej niż nabyte, dosięga czasem u niego chwil wyższego podniecenia: figle psów lub kotów, ich łaszenie się, łagodne pomrukiwanie, skomlenie lub miauczenie i tym podobne radosne odgłosy, wszystkie tego rodzaju objawy (których znaczenie dziecko rozumieć już zaczyna) wzmagają jego ciekawość i pobudzają uczucia pierwiastkowo wynikłe z zupełnego zadowolenia, którego w obecności tychże zwierząt doznaje zmysł wzroku, słuchu, dotyku oraz zamięłowania do ruchu. Ów pociąg do zwierząt nie posuwa się jednak bynajmniej u dziecka aż do istotnej sympatii. Dziesięcio-

miesięczne dziecko moich sąsiadów, bawiące się po całych dniach z psem i z kotem, lubi je więcej jednak dla siebie niż dla nich, więcej dla przyjemności, jaką mu one sprawiają, niżeli dla przyjemności, której ono samo mogłoby się stać dla nich sprawcą. Zdaje się nie domyślać nawet, że zwierzęta te mogą się radować i cierpieć. Figle kota, wesołe szczekanie psa zachwycają dzieciaka; zasmuca go pisk ich lub gniew, ale na tem koniec. Ponieważ pies łagodniejszy jest od kota, niema próby na którą dziecię nie wystawiło by jego cierpliwości: rzuca się na niego całym ciężarem, ciągnie go za ogon, krzyczy mu w same uszy, wtyka mu w pysk rozmaite przedmioty, rozrzuca na nim swoje zabawki, przywala go jeszcze krzesłem, bije drewnianą łopatką i t. d. Pewnego razu niańka posadziła chłopczyka w ogrodzie na trawniku, położywszy obok niego żółwia; malec przypatrywał się z początku biednemu stworzeniu z dość żywą ciekawością, co widząc niańka zostawiła go na chwilę samego; gdy powróciła, żółw miał jedną łapkę do połowy urwaną, a ciekawy badacz zajęty był urywaniem drugiej, za którą ciągnął z całych sił. Zresztą to lekceważenie cierpień zwierzęcia (o ile nie wyrażają się one bardzo już widocznymi objawami) wspólne jest dziecku z wieloma dorosłemi osobami i stanowi wynik raczej wadliwego wychowania niż wrodzonego braku serca. Widywałem nieraz ludzi prostych, sługi na przykład, przekonanych, że to lub owo zwierzę, czy też owad nie jest w stanie czuć cierpienia. Czyż krańcowi stronnicy bezduszości zwierząt a Malebranche między innymi nie dowiedli, że takie stworzenia nie czują? Zasługuje to na uwagę, że znakomity uczony Lamarck, jeden z poprzedników Darwina, nadał nazwę zwierząt *apatycznych* pewnym działom istot, należących do królestwa zwierzęcego.

Sympatya dla ludzi. Pewna roczna dziewczynka, powróciwszy do domu rodziców po miesięcznej niebytności, patrzyła obojętnie, jak znany jej kot mrucząc ocierał się o jej sukienkę. Nie zwróciła też prawie uwagi na psa, którego przedtem codziennie widywała na podwórzu i bawiła się z nim często, wołając go po imieniu. Z dziesięć minut co najmniej upłynęło, zanim oswoiła się znowu z temi stworzeniami, ale zobaczywszy zmierzającą ku niej pocziwłą starą sługę, zaczęła się uśmiechać i radośnie podrygując, wyciągać do niej rączki, zanim ta się do niej odezwała. Dziecko bowiem, które zdaje się nieraz mieć do psa lub kota takież same jak do rodziców przywiązanie, łatwiej zapomina zwierząt niż ludzi.

Starsze trochę dziecko znacznie lepiej pamięta już zwierzęta, mówi nawet o nich ciągle, gdy jest od nich daleko. W ogóle zdaje mi się jednak, że dziecię przywiązuje się żywiej do ludzi niż do zwierząt. Pominąwszy już wypływającą tak z właściwości organizmu jak i z dziedziczności skłonność do przywiązywania się do ludzi, człowiek jest jeszcze dla człowieka—a zwłaszcza dla dziecka—istotą ową „jak fala zmienną,” jest dlań przedmiotem wzbudzającym ciekawość, która wciąż się odnawia, zawsze wabi i zawsze zadowolenie otrzymuje. Dziecko — w całym tego słowa znaczeniu — czepia się oczu, zwiesza u warg, przykuwa do ruchów otaczających je osób. Sama już mowa ludzka—pominąwszy nawet pojęcia i uczucia przez nią wyrażane, a równie jak ona urozmaicone—sama już mowa, powiadam, jest muzyką, której rytm oraz intonacje odpowiadają estetycznym zdolnościom dziecka.

Z wdziękiem i z pożytkiem swojej wszechstronnej wyrazistości spojrzenie łączy błyskawicę uczuć, magnetyczne prądy woli i oko ludzkie jest dla dziecka naj-

bardziej zajmującym i najciekawszym widokiem: życie tryskające ze źrenicy oprawnej w owal matowej białości, przejrzystość jej i głębia, migocące w niej połyski, promienie bijących z niej pieśczęt wabią, czarują i olśniewają oko dziecięce i do rozwiewnych wzorów pięknego agatu podobne, w ciągły zachwyt dziecię wprawiają. Chociaż dziecię nie jest zdolnem wyraźnie odczuć delikatnych wrażeń piękna, jednak miłe rysy twarzy ludzkiej i harmonizujące z sobą jej barwy muszą także mieć dla niego wielki powab. Dodajmy do tego jeszcze zmienną grę rysów twarzy, tak ściśle związaną z ustrojem istot czujących, że szukają w niej znaczenia i znajdują je nawet zwierzęta, które nie przebywają ciągle w towarzystwie człowieka. Z tymi zaś przedmiotami wzbudzającymi ciągłą i wyteżoną ciekawość łączy się w umyśle dziecka pojęcie pieśczęt, zabaw, dobrego obchodzenia się, różnych przyjemności, posiłku, wszystkich podniet umysłowych, wszystkich rozkoszy serca, wszystkich przyzwyczajęń ciała.

U dzieci zwłaszcza, gdy dochodzą dziesięciu miesięcy, zauważyć nieraz można nagle a niezawsze do zrozumienia łatwe przywiązywanie się do nowych twarzy. Jedenastomiesięczny synek mojej krewnej przybył do nas w odwiedzin. Ujrawszy mnie po raz pierwszy, pomimo obecności ojca, wołać na mnie zaczął: „Tata! tata!” Gdy wyciągnąłem do niego rękę, wziął mnie za palec i ciągnął powtarzając: „Tata, tam! Tata, tam!” Zrozumiawszy, że chce abym mu pomógł chodzić, z wielką jego radością zadość uczyniłem temu życzeniu. Tydzień już bawiąc u nas, daje mi ciągle dowody, że mnie nad wszystkich innych przekłada. Często odchodzi od matki a szczególnie od ojca, żeby przyjść do mnie; często też gdy matka siedząc przy drugim końcu

stołu, w dość znacznem odemnie oddaleniu, trzyma go na kolanach, on wlepiwszy we mnie oczy, odzywa się ze swoim: „Tata! tata!” zsuwa się, machając rączkami z kolan matki i na czworakach pełzając pod stołem, sunie między nogami krzeseł i ludzi aż ku mnie, po to bym go wziął na kolana. Uznałem, że warto analitycznie wysledzić źródło owego raptownego przywiązania i o ile mi się zdaje, posiadam klucz tajemnicy. W pierwszym zaraz dniu swego u nas pobytu zobaczywszy mnie palącego cygaro, chłopiec dmuchać zaczął głośno, jakby dym z ust wypuszczał. Zawsze tak robić zwykł z dziadkiem; ten zaś, którego także nazywa „Tata” nosi tak samo jak i ja długą brodę.

To podobieństwo, a może jeszcze i inne, mianowicie podobieństwo wzrostu, ruchów, postawy, dźwięków głosu stało się powodem, że od pierwszej chwili poznania, dziecko przelało na mnie część tego przywiązania, które się w nim oddawna wyrobiło dla dziadka. To wszakże pewna, że teraz kocha ono już mnie dla mnie samego, czyli wyraźniej mówiąc dla tego, że ja to ponauczałem go różnych sztuczek i zabaw, których ze mną tylko chce zażywać!

Osoba ludzka jest zatem dla dziecka (a jak się zdaje i dla zwierząt oswojonych) przedmiotem najwyraźniej objawiającego się przywiązania. Rzadko się jednak zdarza, aby dziecko wyrażało kiedy swoje uczucia z tym wyższym już stopniem siły, który przywiązaniu nazwę miłości nadaje. Miłość egzaltowana, namiętność jest dorosłych tylko udziałem; domniemywać się w niej można rozmysłu — choć niezawsze rozsądnego oraz silnych, choć nie zawsze w karby ujętych — porywów woli, czego wszystkiego jeszcze brak dziecku. Dziecię nie umie kochać ale podobnie jak zwierzęta przywiązuje się, przyzwyczajają. Nie trzeba też szukać

w niem nic więcej nad zarody tego, co się zwie sympatyą dla ludzi. Dziecko nie zaznawszy jeszcze dostatecznie, czym jest szczęście i boleść, nie umie wyobrazić sobie szczęścia i niedoli bliźnich. Nie pojmując dostatecznie istotnego znaczenia niektórych spostrzeżonych przez siebie faktów, nie posiada zdolności wnioskowania i sądzenia rozwiniętej do tego stopnia, aby objawy uczuć złożonych osiągnąć mogły jego czuciowości. Nie doznaje ono tych cierpień moralnych, srożej nieraz dokucających dorosłym od fizycznych. Straciwszy z oczu ukochaną osobę lub ulubiony przedmiot, cierpieć wprawdzie może, ale nie jest w stanie zeznać przed sobą własnego cierpienia. W jego pojęciu ten tylko cierpi, kto płacze albo stęka.

Wiek ten, tak obfitujący w niewyrozumowane sympatyje, jest jak to powiedział Lafontaine, „bez litości,” a takim jest przez brak doświadczenia i niemoc sądu. Na każdym kroku spotykamy dzieci trzy albo nawet i czteroletnie, niewinnie ubliżające i uwłaczające niewczesnemi igraszkami lub okrutnemi słowy najświętszemu cierpieniu tych, którzy je kochają. Mając pięć lat, straciłem z krupu siostrę i pamiętam, że ciotka przyprowadziła mnie do łóżeczka zmarłego biedactwa. Nadzwyczajna jej bledość, nieruchomość, niedomknięte oczy, wykrzywione usta, nieład w jakim znajdowały się jasne, krwią pozlepiane jej włosy, zrobiły mi nader silne wrażenie; uderzyło mnie jednak przytem jej podobieństwo w obecnej chwili do chłopczyka niezwykle bladego, na którego chodząc do szkoły zwróciłem był uwagę właśnie z powodu jego bledości. Nie miałem więc nic pilniejszego jak pobiedz do matki, żeby jej powiedzieć o tem podobieństwie. Czteroletniego chłopczyka, który także utracił jednego z najbliższych swych towarzyszy, zaprowadzono do ojca zmarłego. Biedny ojciec

Kolekcja: U.
№ 585.

wziął przybyłego na ręce i przez kilka minut trzymając go na kolanach płakał i szlochał. Dla dorosłego jakże wymowną byłaby ta wielka boleść milcząca! Nasz chłopczyk nie rozumiał jej wcale: zsunął się czempredziej z kolan strapionego ojca, poskakał po pokoju i zwracając się nagle ku niemu zawołał: „Teraz, kiedy Piotruś już umarł, da mi pan jego bębenek i konika? prawda?” Okrutne to choć bezmyślnością niewinne powiedzenie! Dadzą się jednak znaleźć wyjątki od tego ogólnego prawidła:

Pewien chłopczyk nie mający jeszcze trzech lat, daje nam rzadki przykład tego, co słusznie nazwano pamięcią serca. Choć dziadek jego i ojciec, których bardzo kochał, nie żyją już, jeden od roku, drugi od pięciu miesięcy, niema przecież dnia, żeby o nich nie mówił. Ile razy przyprowadzą go do babki, zawsze siada na fotelu „dziadzi,” prosi żeby mu odsłonięto firankę, która zakrywa portret dziadka i przypatruje mu się z bardzo wyraźnem wzruszeniem. Dnia niema, żeby nie prosił w domu o zdjęcie mu fotografii ojca; całuje „Tatusia” i całować go każe siostrze oraz starszemu braciszkowi.

Dzięki tej trwałości serdecznego wspomnienia rozumie on smutek, którego doznaje matka: „Mamusia smutna — powiada — bo niema Tatusia.” Widząc matkę płaczącą całuje ją i mówi: „Nie płacz, Mamusiu, mam klucz od nieba, pójde po Tatusia i przyprowadzę go.”

Oto jeszcze fakta dostarczone mi przez jednego z moich przyjaciół a dowodzące jak rozmaicie sympatya rozwija się u jednego i tego samego dziecka.

Odkąd biorę wodną kurację, zdarzyło się dwa razy, że chłopczyk szesnastomiesięczny był obecnym przy tej czynności. Dopóki się tylko rozbierałem, mocno

był tem zajęty, ale gdy się zacząłem oblewać, on rozplakał się rzewnymi łzami zapewne dlatego, że przypomniał sobie bardzo nieprzyjemne wrażenie, którego sam doznaje, gdy go myją lub kąpią. Za pierwszym razem musiałem przerwać swoje zajęcie i wyprowadzić go za drzwi dla uwolnienia go od tak bolesnego widoku; za drugim razem pozostał, ale płakał rzewnie i poszedłszy do krzesła, na którym leżało moje ubranie, wziął w rączki koszulę aby mi ją podać. Ta tklivość i współczucie wzruszyły mnie głęboko.

Bardzo się też martwi, gdy ja a szczególniej matka, mówimy mu: „Gniewam się na dzidziusia.” Często wtedy płacze, a gdy go łajemy największą mu to robi przykrość a do płaczu pobudza wyraz niezadowolenia malujący się na naszej twarzy. Jeżeli wyraz ten nie bardzo jest widocznym, uważamy, że chłopczyk sam wtedy nie wie czy ma płakać, czy śmiać się: buzia mu się to krzywi do płaczu, to znowu do śmiechu układa, a ostateczną decyzję stosuje do wyrazu, jaki twarz nasza przybiera ostatecznie. Gdy wyłajany mocno płacze, matka go zawsze pociesza, mówiąc: „Mamusia się nie gniewa, pokochaj Mamusię,” wtedy uspokojony już, nastawia buzię aby go pocałować.

Ale przy tem wszystkiem jest i odwrotna strona medalu. Toż samo dziecko w tejże samej porze a nawet w rok jeszcze później było postrachem kotów. Pewnego razu, gdy był u nas, wszedłem niespodzianie do pokoju, w którym się znajdował ów chłopczyk sam na sam z kociątkiem; ujrzawszy mnie zawołał: „Nic nie robię kotkowi.” Było to o tyle prawdą, o ile się tyczyło chwili obecnej, bo wystraszony kotek schował się już pod szafę.

ROZDZIAŁ VI.

1. Dążności umysłowe.

Ciekawość. Ciekawość jest, że tak powiem, *apetytem* umysłu, samolubnym tylko z początku i zmysłowym, ale uszlachetniającym się instynktownie i stopniowo przez bezinteresowne pożądanie wiedzy. Z samego początku jest ona żywym podnieceniem wrażliwości, z kolei działającym na umysł, powstaje zaś wobec nowych i silnych wrażeń albo też w ich oczekiwaniu.

Zajmującą tę czynność duszy dziecięcej opisał Fénelon jako psycholog raczej, niż jako ścisły fizyolog: „Istota dziecięcego mózgu miękka z początku, z każdym dniem twardnieje. Umysł dziecka niczego nieświadomy, wszystko dlań jest nowem. Z powodu miękkości mózgu wszystko się na nim z łatwością odbija a skutkiem niespodzianki, jaką im sprawia każda nowość, dzieci łatwo się dziwią i bardzo są ciekawe. I to też jest prawdą, że owa „wilgoć” i miękkość mózgu w połączeniu z wielkiem jego „gorącem” ułatwiają mu ciągły ruch: ztąd to pochodzi owa ruchliwość dzieci, które tak

samo umysłu nad jednym przedmiotem jak ciała na jednym miejscu nigdy zatrzymać nie mogą.” Gdzieś indziej znów mówi Fénelon: „Ciekawość dziecka jest popędem natury, jakoby naprzeciw nauki spieszącej.” Powiedzmy „naprzeciwko przyjemności” a określenie to będzie prawdziwszem.

Do psychologii doświadczalnej należy wysledzić rozwój tej władzy tak zajmującej. Dziecko dwumiesięczne zwraca oczy, nastawia uszy, wyciąga rączki do wszystkich przedmiotów, które uderzają jego zmysły. Trzymiesięczne chwytą już przedmioty, które dosięgnąć może i porusza je dla zabawy: wie już, że ręce są narzędziem, które mu dostarcza wrażeń i służy do wykonywania ruchów; wprawia je zatem do dotykania wszystkiego, czego tylko dotknąć może oraz do przybliżania tychże przedmiotów do oczu a szczególnie do ust. Gdy je rozbieramy dla zmienienia bielizny, przesuwają rączkami po całej swojej osobce, po brzuszku, wzdłuż nóg aż ku stopkom: widocznem zdumieniem przejmuje je uczucie, że tyle rzeczy jest nim samym. Jeżeli siedzi na kolanach mamki albo na środku pokoju na poduszce, jednym z najulubieńszych jego zajęć jest wziąć nóżkę w obie rączki i ciągnąć ją do buzi. Usta są bowiem środkowym punktem całego doświadczenia nabytego przez to młodziutkie stworzenie; wszelka nowonabyta wiadomość ku nim zmierza aby przejść przez ich kontrolę i poddać się ich sądowi. Często nawet, dziecię próbuje wziąć ustami odległe przedmioty, czy to skutkiem potrzeby wypróbowania wszystkiego smakiem, czy też dla uśmierzenia gwałtownego bólu dziąseł, na który to ból zdobywa sobie lekarstwo tą drogą, jaka mu się najkrótszą wydaje.

Wkrótce ciekawość ta zmienia się w nieustanne pożądanie i w nieustanne badanie wszystkich przedmio-

tów, znajdujących się w pobliżu; przemija ona jednak i znów do tego samego przedmiotu powraca równie szybko jak i przyjemność, jakiej dziecko doznaje, gdy przedmiot jakiś weźmie do ręki, gdy nim obraca, patrzy na niego i słucha jego brzęków lub odgłosu.

Od tej chwili biada rodzicom, którzy nie potrafili trzymać krótko swego dziecka i stali się powolnymi sługami jego zachceń! Wdzięcznym ruchem rączki lub krzykiem stanowczo rozkazującym żądać ono będzie by podano mu wszystko, co mu w oczy wpadnie: zegarek lub lornetkę, fotel, obraz, wazon porcelanowy, lampę, latarnię gazową, wszystko — jak powiada Rousseau — księżyc nawet!

Gdy dziecieg dochodzi roku, rozwijająca się umiejętność chodzenia rozszerza szeroko zakres badań osobicie przez nie prowadzonych a umiejętność mówienia dostarcza napieraniom się jego i zachceniom środka, który urozmaica je do nieskończoności i narzuca wszystkim po woli czy po nie woli. Poddajmy się tylko dziecku a sto razy na godzinę głosik jego wyrazi nam życzenie lub pytanie postawi. Wszystko, co dziecko dawniej oczyma tylko obejmowało w posiadanie, dzisiaj już rączkami lub buzią chce brać jedno po drugim: biega ono, pełza, drepce od jednej rzeczy do drugiej; otwiera je, tłucze, łamie, przewraca, rozrzuca; karmi kaszką zegarek dziadka; rybki ze słoja wyjęte kładzie w łóżeczko lalki, którą zanurza w słoju z wodą; jednym słowem popęłnia mnóstwo niedorzeczności, na oddanie których siłą się od pewnego czasu nasi malarze, a czyni to wszystko nietyle z potrzeby dowiedzenia się, czem rzeczy są w istocie i co się z nimi stać może, ile z potrzeby nowych i świeżych wrażeń.

Później znowu trochę nadchodzi pora coraz to liczniejszych psot: w ogrodzie, w kuchni, w salonie — wszę-

dzie jednocześnie być się zdaje, widzi wszystko, co się robi, słyszy wszystko cokolwiek się mówi, z powodu każdej rzeczy nieustannie zadaje pytania często bardzo kłopotliwe, a ze wszystkiego, co spostrzeże i usłyszy wtedy, gdy się tego nie domyślamy, zatrzyma w pamięci najcharakterystyczniejsze szczegóły po to, by nimi gości uraczyć. To łaknienie wiedzy a raczej zasięgania wiadomości, staje się u dziecka jakoby umysłowem i uczuciowem wchłanianiem, stanowi siłę równie nieprzepartą jak łaknienie pokarmu i — podobnie jak to ostatnie — potrzeba w karby je ująć i pod pilny wziąć nadzór.

Przesadzilibyśmy nad miarę wpływ dziedziczności na właściwe człowiekowi dążenie do wiedzy, gdybyśmy stosowali działanie tego wpływu do osobnika nie zaś do istoty zbiorowej: udziałem jednostki jest tu tylko większa zdolność postrzegania oraz zestawiania uczynionych postrzeżeń dla wytworzenia z nich uporządkowanych i skojarzonych pojęć; instynktowne jednak pragnienie czystej, oderwanej prawdy, potrzeba poszukiwania prawdy dla niej samej — są to nie odziedziczone lecz wszczepione dążności. Jeżeli więc na wszystkie pytania należy odpowiadać prawdę, to bądźmy przekonani, że dziecko nie jest wybrednem pod względem objaśnień i że odpowiedź bardzo prosta lub wymijająca zadowolni zawsze jego ciekawość. I tak np. mała dziewczynka pytała raz matki, dlaczego woda jest w rzece? „Bo trzeba, żeby była na jednym miejscu nie zaś wszędzie,” odpowiedziała matka. Pewien znów chłopczyk pytał, dlaczego fasola wyrasta z ziemi, na co matka odparła: „Alboż ty nie rośniesz z dniem każdym? i kocięta także? Wszystkie zwierzęta rosną i z małych stają się duże; to samo dzieje się i z roślinami.” Inne znowu dziecko pytało, dlaczego woda nie jest winem? Ojciec odpowiedział mu na to: „Czyż pies jest kotem? Wino jest

winem a woda wodą." Odpowiedzi powyższe nie w przybliżeniu tylko ale zupełnie są prawdziwemi i wystarczają dzieciom w tym wieku.

Dziecię nie zaprzęta się bynajmniej tem, co niewidzialne, co nie istnieje i działa w ukryciu; czuje ono instynktowny wstręt do wszelkiej tajemnicy. Możnaby zastosować do niego to, co tak trafnie powiedział Spencer o człowieku pierwotnym: „Podobnie jak zwierzę godzi się on na wszystko, co widzi, przystosowuje mimowiednie do otaczającego świata; nie dorósł jeszcze do zdziwienia.“ Jeżeli więc niepodobna przypisać powstania religii dwóm rzekomo wrodzonym skłonnościom: automorfizmowi, skutkiem którego człowiek uważa za przyczynę zjawisk przyrody wolę swojej podobną oraz zdziwieniu, jakie go w obec niektórych z tychże zjawisk ogarnia i pobudza do objaśnienia ich sobie tajemnicą, cudem, działaniem sił nadprzyrodzonych — to śmiało twierdzić można, że poczucie religii nie istnieje w umysłowości dziecka zupełnie tak samo, jak nic nadprzyrodzonego istnieć nie może w przyrodzie.

Dziecko bardzo mało się troszczy o pojęcie wszelkiej niewidzialności, nieskończoności, celowości, o wszystkich sporów filozoficznych. Miłością swą i uszanowaniem obdarza ono osoby, dobro mu świadczące; zupełną zaś obojętnością ogarnia wszystko, co jest niewidzialnem i obcem jego gatunkowi.

Instynkt celowości jest w nim całkowicie obiektywnym i utylitarnym. Dziecię pyta o nazwisko tej lub owej rzeczy dlatego aby się dowiedzieć, czem ona jest tj. w czem jest dobrą lub złą oraz dlatego jeszcze, że je nauczono dowiadywać się, jakie jest pochodzenie danej rzeczy, kto ją taką uczynił, kto ją tam postawił t. j. w czem obecność jej spowodować może przykreść lub

przyjemność. Niema tu żadnej metafizyki: jest to tylko badawczość oparta na bardzo konkretnych podobieństwach i doświadczeniach. Tajemnica własnego bytu oraz istnienia świata nie zaciekawia nigdy umysłu dziecka, o ile sami nie pobudzamy go do tego. Jakże nierozsądnymi są zatem rodzice, którzy uważają sobie za obowiązek tłumaczyć dziecku to, o co ono nie dba wcale: kto je stworzył, kto stworzył świat, czem jest dusza, jakie jest terazniejsze i przyszłe jej przeznaczenie!

A jednak dziecię posiada tyle ufności i łatwowierności, że (nie bez pewnych wprowadzie trudności) przyjmuje za prawdę wszelkie wierzenia, jakie narzucić mu zechcemy. Chcecie aby uwierzyło, że bocian przyniósł je na świat, że Paluszek miał siedmiomilowe buty, że błękitne niebo roi się aniołami, że pod ziemią pełno jest szatanów i potępieńców a na schodach, w kominach i po spichlerzach duchów i widziadeł z tamtego świata? Przekonacie je o tem z łatwością, skoro sami udajecie, że w to wierzycie. Nie przeszkodzi mi to jednak poczytywać wam za śmieszność, że nadużywacie dobrej wiary dziecka.

2.

Prawdomówność. Mówiąc o kłamstwie i uporze dzieci, Montaigne powiedział, że „wady te rosną wraz z dziećmi i tyleż co one.“ Istotnie powiedział prawdę odnośnie do pierwszej z dwóch wymienionych wad, o której w rozdziale tym mówić zamierzam.

Jak wszystkie wady dziedziczne tak i przyzwyczajenie do kłamstwa rozwija się u każdego osobnika w większym lub w mniejszym stopniu zależnie od tego, czy znajduje ono poparcie czy też przeszkodę w ze-

wewnętrznych i w wewnętrznych okolicznościach, w wychowaniu, w przykładzie oraz w następstwach wynikających z innej jakiej skłonności lub przyzwyczajenia. W istocie zaś wada ta stanowi wynik powyższych wpływów, należy więc wcześniej wykryć pierwotne jej źródło aby skutecznie i w porę jej zapobiedz.

Prawdopodobność dziecka jest proporcjonalną do jego łatwowierności, chociaż między jedną a drugą nie ma żadnego ściślejszego łącznika: dziecku wydaje się rzeczywiście to wszystko, co nań silnie wywiera wrażenie. Jednakże wcześniej już bardzo złudzenia, od których żaden zmysł wolnym nie jest, zaczynają mącić ufność dziecka, chociaż nie zachwiewają jej jeszcze. To pewna, że dziwi się ono do wysokiego stopnia różnicy istniejącej między tą lub ową rzeczą a inną napozór do niej podobną. Widziałem pięciomiesięczne dziecko osłupiałe ze zdziwienia na widok dwóch uwijających się koło niego kotów, które z powodu jednostajnego koloru brało z początku za jednego i tego samego kota. Malutkie zatem dziecko dziwi się już i gniewa na różne omyłki, w które popada.

Ale więcej jeszcze dziwi się ono a nawet gniewa naprawdę, jeżeli oszukujemy je tak, że mu to sprawia wyraźną przykrość. Gdy mając około pięciu miesięcy, chce iść na ręce do niańki a ta nachyliwszy się nad kółką, pieści się z nim dlatego aby o chęćce swej zapomniało—dziecię nie od razu da się przekonać t. j. wywieść w pole tem udawaniem. Jeżeli dziecku, mającemu około siedmiu lub ośmiu miesięcy, damy kawałek chleba zamiast ciasteczka trochę mu już znanego, odrzuci ono z gniewem zwodniczy podarek, ściągnie buzię w podkówkę a łzami zaszle jego oczki i ściągnięte brewki świadczą o blizkim wybuchu. A ileż to bolesnych scen ma miejsce, gdy przymusowa zmiana mamki zmu-

sza nas do używania nader zręcznych wybiegów aby dziecię nie poznało się na tej zamianie i przywykło do nowej piersi!

A później znowu, gdy nadejdzie pora odłączenia, ileż podstępów dziecię odgadnie, jakże rozpaczliwie płakać, krzyczeć i szlochać będzie, jeżeli nie potrafimy oszukać je zręcznie! Mimo to wszystko trzeba nieraz oszukać dziecię dla jego własnego dobra — lub raczej zdaje nam się nieraz, że uczynić to trzeba a jakkolwiek oszukujemy je zręcznie i z miłością, niepodobna nam ustrzedz się od tego aby dziecię nie złapało nas czasem na gorącym uczynku kłamstwa. Szczęśliwymi zaiste są rodzice, którzy pochwalić się mogą, że nigdy nie oszukali dziecka bez potrzeby, bez ważnej ku temu przyczyny!

Ostatecznie, dziecko roczne lub pięciokwartalne wie już, że niezawsze i niewszystko jest prawdą, co się robi i mówi. Nie wypowiada ono tego przed sobą, czuje to jednak wyraźnie. Wkrótce też przebiegłość, każdemu organizmowi zwierzęcemu wrodzona, poprowadzi je drogą tajenia swych postępów prościuteńko do kłamstwa. Historia cukru skradzionego przez małego Tiedemanna czy też Darwina jest historią wszystkich dzieci w tym wieku. Robiąc to, czego im niewolno, kryją się z tem instynktownie, żartem niby, tak samo jak się kryją z zabawą, jak mówią nieprawdę i t. d. Dwuletnie dziecko, które mi powiada: „Widziałem dopiero co motyla tak dużego jak kot, jak cały dom,” kłamie świadomie ale żartem, zupełnie tak samo, jak gdy kryjąc się za drzwiami, woła: „Niema Wiktorka!” W pierwszym jednak wypadku dziecię mówi nieprawdę z własnego popędu, w drugim zaś — przez naśladownictwo; wogóle rozswawolona wyobraźnia dziecka i skłonność do naśladowania zabawy drugih stanowią dlań

dwojakiego rodzaju bodziec zachęcający do przekręcania prawdy.

Zwykle jednak dziecię bądź to ruchem, bądź miną, bądź słowem wreszcie rozmija się z prawdą więcej dla swojej własnej niżeli dla cudzej przyjemności. Samolubnie cieszy się ono, gdy — jak mu się zdaje — zadziwi albo przestraszy niańkę, wysadziwszy główkę z pod obrusa lub wyskoczywszy znienacka z kryjówki, w której się niewidzialnem mniemało. „To dopiero przestraszyłam wujaszka!” — wołała z radością dwuletnia blisko dziewczynka, gdy wuj udawał przestach, usłyszawszy ją naśladującą za drzwiami szczekanie psa. Jak to widać z powyższego przykładu, zadowolenie miłości własnej nie jest też obcem tym przejawom skłonności do oszukiwania na żart. Często też znowu naśladownictwo przez miłość własną podnieca do kłamstwa, na żart niby popełnianego. Dziecię, które upadłszy nabija sobie guza na czole i czempredziej się zrywa, wołając: „Upadłem na żart!”, dopuszcza się prawdziwego kłamstwa udając, że żartuje.

Żartuje też ono lub udaje, że w podobny sposób żartuje, gdy chce uniknąć wymówki albo też udać, że na nią nie zasłużyło. „Szkaradna! szkaradna jesteś!” — mówiła półtrzecia roku mająca dziewczynka, którą matka wbrew jej woli wsadzała do kąpieli. „Jakto? na mnie to mówisz?” — spytała matka. „O, nie! nie na Mamusię, na wodę mówię, że szkaradna!” W tym razie kłamstwo pochodziło raczej z własnego popędu niż z naśladownictwa, chociaż matka zapytaniem swem do popełnienia go dopomogła.

Zresztą wszystkie uczucia samolubne są doradczyniami kłamstwa. Dziecko zjadłszy już przysmaczek powiada, że go jeszcze nie miało lub miało bardzo mało, dlatego aby jeszcze go dostać. Sparzywszy sobie

usteczka łyżką zupy, wrzeszczeć zaczyna, rzuca się jak szalone, a gdy chcąc je pocieszyć, mówimy: „Ach! jak boli! jak się sparzyłeś! okropnie boli!” odpowiada na każdy z tych wykrzykników niezrozumiałymi dźwiękami, którym towarzyszą takie ruchy rąk i głowy jak gdyby coś odpychało; poczem wyraźnie już powiada: „Nie! nie boli! wcale nie boli!”

W tym wypadku wyobraźnia cierpieniem i gniewem podniecona podsuwa dziecku sposób pojmowania rzeczywistości, którą chciałoby widzieć wręcz przeciwnie zmienioną. Pewna trzyletnia dziewczynka widząc, że matka wcale na nią nie zważa i pieści się od kilku minut z młodszym braciszkiem, odezwała się: „Mamusia nie wie, że Henryś bardzo dokuczał papudze.” Było to kłamstwo przez zazdrość popełnione.

Lenistwo także staje się nieraz pobudką do kłamstwa. Dziecku mającemu półtrzecia roku kazano iść do przyległego pokoju po stołeczek: nie poszukawszy go wcale, powraca i oświadcza, że go tam niema. Nieco później kazano mu znowu zanieść książkę wujowi, który siedział w ogrodzie na ławce: dziecię niechętnie odchodzi od zabawek, ociąga się, idzie najwolniej jak może, obraca parę razy główkę dla przekonania się, że nikt na nie nie patrzy, zbliża się do muru obrosłego zielenią, rzuca książkę na trawnik i biegnie z powrotem do zabawek, jakby już spełniło dane sobie zlecenie. W postępkach tym widzimy lenistwo połączone z obłudą i z nieposłuszeństwem.

Obawa napomnienia, kary lub nieotrzymania oczekiwanej przyjemności skłania często dziecię do kłamstwa, rzadziej jednak w porze do lat trzech lub czterech niż potem. Sami nieraz doprowadzamy dziecko do niedowierzania, skrytości lub kłamstwa, sposobem — w jaki pytamy o prawdę: „Czy to ty zrobiłeś? Kto to zro-

bił?" Podobne pytanie, zadane groźnym głosem i z surowym wyrazem twarzy, nasunąć może dziecku taką odpowiedź, z której by wyniknęło uniknięcie lub odroczenie kary—dlatego też dziecię popełnia kłamstwo.

Prawdomówność jest zaletą tak zasadniczą a kłamstwo nawykniem tak niebezpiecznem i tylokrotnie z ogółem naszego postępowania związanem, że nie zdolalibyśmy nigdy nadmiernie się obwarować przeciw pierwszym próbom mijania się z prawdą. W tej hygienie moralnej środki zapobiegawcze powinny grać rolę ważniejszą niż poprawcze. Spowszedniała to a jednak często w praktyce zapomniana prawda, że sprawiedliwość i dobrocią wszystko prawie z dzieckiem zrobić można. Będzie ono grzecznem, jeżeli ma do nas zaufanie; nie będzie szukało wymówek dla swoich przewinień, jeżeli wie, że sprawiają one przykrość rodzicom i że przykrość ta jest najnieprzyjemniejszym następstwem, jakie dla niego z przewinienia wyniknąć może. Zresztą, nie należy nigdy łajać dziecka za winę, mimowolnie popełnioną.

3.

Naśladownictwo. W pierwszych miesiącach życia popęd naśladowniczy jest równie mało rozwiniętym jak i zdolność spostrzegawcza; objawia się wszakże rozmaitemi próbami.

Darwin mniema, że zauważył coś nakształt naśladownictwa w czteromiesięcznym synu swoim, który niby to naśladował dźwięki; pewności jednak w tej mierze nabrał wtedy dopiero, gdy chłopczyk miał już dziesięć miesięcy. Tiedemann zauważył to zjawisko u swego synka w wieku czterech miesięcy i przedstawia nam je jako dowód wyraźniejszego już kojarzenia pojęć: „Widząc

osobę pijącą, malec robił ustami ruch taki, jak gdyby czegoś kosztował.” Czy zatem tak w tej czynności jak i w innych jej podobnych oprócz instynktu celowości, sprawiającego, że dziecię pojmuję cel ruchów ustami wykonywanych, nie należy też widzieć następstwa popędu do naśladowania widzianych ruchów — popędu wspólnego wszystkim twórcom obdarzonym jednakowym organizmem? Skutkiem właściwej dzieciom łatwości poddawania się pierwszemu popędowi, popęd ten ułatwia drogę naśladownictwa.

Egger ¹⁾ przyznaje, że zdolność naśladowania bardzo wcześnie już objawia się u dziecka, wyraźne jednak jej ujawnienie zaznacza dopiero w dziewiątym miesiącu w następujących czynnościach: 1) w czynności kolejnego chowania się i pokazywania podczas zabawy, 2) w czynności rzucania piłką, którą dziecko widziało rzucałą przez starszego brata, 3) w usiłowaniu zdmuchnięcia świecy, 4) w usiłowaniu kichnięcia dla naśladowania kichającej osoby i 5) w usiłowaniu uderzania paluszkami w klawisze fortepianu. W tejsze epoce nie zaznacza jeszcze Egger „żadnych wyraźnych prób naśladowania posłyszanych dźwięków.” Zresztą rozwój czy też ukazanie się tej władzy wiąże się — jego zdaniem — z pierwszym przeblyskiem inteligencji. Co do mnie, wierząc w bardzo wczesne współlistnienie u dziecka ruchów automatycznych z ruchami świadomymi i rozmyślnymi, wierzę też, że czynności naśladownicze łączą się w bardzo młodym już wieku z obydwojema tymi rodzajami ruchów.

Skutkiem łączności nerwów narządu słuchowego i głosowego młode ptaki machinalnie próbują wydawać

¹⁾ *Le développement de l'intelligence et du langage chez les enfants.*

taki głos, jaki słyszą u śpiewających ptaków dorosłych; ptaki gadające machinalnie też i odrazu próbują powtarzać słowa, które się obijają o ich uszy; machinalnie też—jak mi się zdaje—dziecko w drugim już miesiącu próbuje wydawać z siebie dźwięki, którymi odpowiada na głos ludzki albo też wtóruje dźwiękom fortepianu tj. po swojemu je naśladuje. Tak samo też, mając trzy miesiące i nauczywszy się machinalnie wieść wzrokiem za kierunkiem spojrzenia lub za ruchem głowy otaczających je osób, będzie ono patrzyło na przedmioty, na które inni patrzą; zwróci czasem głowę w stronę, w którą widzi, że zwracają się obecni a uczyni to wszystko — bardzo niedokładnie wprawdzie — lecz z wyraźnym zamiarem naśladowania. Takie same zjawisko zauważyć można u bardzo młodych zwierząt.

W miarę większego rozwoju wszystkich narządów oraz zdolności spostrzegawczej rozszerza się też i zakres czynności naśladowniczych: z początku np: dziecię instynktownym ale niepewnym ruchem wyciągało rączki ku przedmiotom, które zwracały jego uwagę lub które posiadać pragnęło; popęd do naśladowania ruchów podobnych tym, które widzi wykonywane z powodzeniem przez drugich, pobudza je do ciągłego ponawiania prób i wskazuje ostatecznie sposób wykonania tych ruchów z takimże powodzeniem. Mając cztery miesiące, dziecię z większą już pewnością wyciąga rączki do osób, które się z nim pieścą, lepiej się uśmiecha a nawet śmieje czasami, czyni zaś to wszystko dzięki naśladownictwu, które wzmogło pierwsze jego mimowiedne wysiłki. W sześciu miesiącach podskakuje widząc, że ktoś się kołysze dla zabawienia go, głaszcze rączką twarz matki, szczebioce coś niezrozumiałego wprawdzie, ale mającego wyrażać podziw, który w nim wzbu-

dza pokazywany przedmiot. Niebawem, mimowiednie jego *mmm* i *ppp* zamienia się w *mama* i w *papa*, które to wyrazy starsi powtarzają mu sto razy na dzień. Wreszcie pierwsze próby chodzenia, które dziecię zawdzięcza na poły własnej inicjatywie, na poły zaś wskazówkom i pomocy wychowawców, wydoskonalają się do pewnego stopnia chęcią naśladowania dorosłych, chodzeniu których przygląda się z tak baczną uwagą. Dzieńki popędowi naśladowniczemu, ileż to innych jeszcze w pierwszym roku życia poczyni dziecię postępów, tyjących się pożytecznego ćwiczenia tak zmysłów jak i członków!

Im starszem jest dziecię, tem lepiej przykład je uczy kierować zarówno czynnościami zmysłów, jak i umysłowymi oraz moralnymi. Tak np. zauważyłem poprzednio, że „czujemy potrzebę jedzenia widząc, że drudzy jedzą,“ z czego wynika praktyczne następstwo aby nie podniecać przykładem wrodzonego już dziecku instynktu łakomstwa. To samo da się zastosować do każdej czynności, mającej mniej lub więcej ścisły związek z sympatją, z towarzyskością lub z popędami antytowarzyskimi.

Pewna dziewczynka, mając pięć kwartałów zaczęła już przejmować od ojca jego gniewliwość, marszczenie brwi, krzykliwy ton głosu a niebawem też i sposób mówienia, wyrażający gniew lub niecierpliwość. Doszedłszy do trzech lat, najpoważniej w świecie mówiła gościowi, z którym—ojcowskim zwyczajem — sprzeczać się zaczęła: „Ależ cicho bądź, nie dasz mi nigdy dokończyć!“ Tak więc zły wpływ przykładu odbija się bardzo wcześnie na moralnych i towarzyskich nawyknieniach dziecka, zanim nadejdzie dla niego pora właściwych nauk uprzejmości i moralności.

Dziecko przejmując od nas wszystko — dobre i złe zarówno — prędko też przejmie tak sądy nasze jak i sposób postępowania; nie należy jednak sądzić go po dług tego, jak ocenia ono niektóre postęпки lub jak całkiem wypadkowo naśladować je będzie. Jest to skłonność do nabierania przyzwyczajęń, które nieraz traci skoro ich tylko nabędzie zupełnie tak samo, jak traci ten lub ów sposób bycia lub mówienia, takąż samą drogą od nas przejęty. Zresztą w każdym dziecku istnieje zawsze — że się tak wyrażę — pewien podkład osobisty, będący owocem dziedziczności i nawyknień i z po za wszystkich plagiatów widoczny zawsze dla każdego, kto umie bacznie obserwować. Trzyletnie dziecko dostarczy nam kilka na to przykładów.

Ojciec jest tyle słabym, że spełnia każde jego zachcenie. Dziecku np. zachciewa się ciastek, gdy przechodzi z ojcem koło cukierni. „Nie mam przy sobie pieniędzy,” powiada ojciec. Chłopczyk nalega ale ojciec bierze go za rękę aby minąć cukiernię. „Ja chcę ciastka — woła Józio — a Tatusz nic sobie z tego nie robi!” Ojciec popełnia ten błąd, że wraca do domu po pieniądze. W kilka dni potem ojciec prowadzi Józia do teatru marynetek na placu Wogezów. Zaledwie przybyli, Józio ciągnie ojca za rękę i prowadzi do ławki dość oddalonej od teatru. „Niechaj Tatusz tu siada” — mówi. — „A ty, co będziesz robił?” — „Będę się bawił.” Po upływie kilku minut ojciec ogląda się na wszystkie strony ale nigdzie dziecka nie widzi; nie niepokoi się tem jednak pewien, że Józio musi być w bliskości sceny. Wchodzi więc w tłum przyglądający się widowisku pod gołym niebem i słyszy bardzo głośne śmiechy: nie tyle jednak śmiano się z przedstawienia co z ruchów, z okrzyków i z zabawnych min Józia, który siedząc w pierwszym rzędzie ściągał na siebie oczy wszystkich. Gdy

marynetki znikły, dziecko szuka ich wszędzie, obchodząc w koło teatralną budę, zaglądając od dołu, przez szpary, wołając na nie aby powróciły. Dziewczynka zbierająca opłatę za miejsca, przychodzi upominać się o pieniądze. Józio coś jej odpowiada i wstawszy z ławki, idzie spokojnie w stronę ulicy Wogezów. Ojciec podąża za nim z obawy aby dziecko nie naraziło się na jakie niebezpieczeństwo. Ale Józio spostrzegłszy ojca, zapytuje: „Gdzie Tatusz idzie? Niech Tatusz wraca na swoje miejsce. Ja idę do domu po pieniądze za teatr.” Ojciec daje mu dwa soldy, z którymi malec siada znów tryumfalnie na swoim miejscu. Ten niewinny wybieg aby się pozbyć ojca, ten pomysł wracania do domu po pieniądze, słowa podczas tej małej scenki wyrzeczone — wszystko to było naśladowaniem a jednak ileż własnych popędów ujawniło się w tem naśladowaniu!

Oto znów inny przykład dowodzący, jak szkodliwym bywa dla dzieci ślepe naśladownictwo naszych czynności — naśladownictwo, do którego najczęstszej sposobności dostarczają zabawy. Dziewczynka, mająca już około lat pięciu, bawiła się codziennie menażeryą, złożoną z drewnianych różnokolorowo pomalowanych zwierząt. Siostra myśląc, że tem poprawi niezawsze grzeczną Bercię, powiada jej raz: „Jeżeli chcesz, będziemy się bawiły w śliczną grę. Twój lew będzie małym chłopczykiem a lwica jego mamunią. Chłopczyk ten był bardzo kapryśny i nieposłuszny... Prawda, jak to brzydko? jak jego mamusia martwić się musiała?” — Na co Bercia, całą duszą przejmując się położeniem: „Ach! szkaradny chłopczyku! — woła — jakież ty niegodziwy tupałeś nóżkami i powiedziałeś Mamusi, że na żart tylko płacze! Ach! na jej miejscu byłabym bardzo niešťczęśliwą i nie chciałabym nawet patrzeć na ciebie!” Ileż tu naśladownictwa i sądów — nietrafnych wpraw-

dzie ale niemniej przeto oddziaływających wcześniej lub później na moralność dziecka! Dziecię wzoruje stronę wewnętrzną podług zewnętrznej. „Widzi ono, że naśladowanym przez się czynnościom towarzyszyć zwykł pewien wyraz twarzy, naśladować go też usiłuje i niebawem coś niby świtać we wnętrzu jego poczyną. Staje się poważnem przez naśladowanie powagi, czułem przez naśladowanie uczuciowości a dusza jego raz wszedłszy na drogę tych wrażeń, coraz większym zmianom ulega. U tych bezsilnych istotek sympatya i naśladownictwo o wszystkim stanowią“¹⁾).

Uleganie pierwszemu popędowi oszczędza czasem dziecięciu niedogodności, jakie za sobą pociąga ta niezmierna zdolność uplastyczniania, umysłowi jego i organizmowi właściwa. Niebezpieczną byłoby wszakże rzeczą liczyć zbyt wiele na owo uleganie. Szacunek należny człowiekowi jako jednostce samoistnej wymaga, aby—z moralnych zwłaszcza względów—pilne dawać baczenie na przykłady, do naśladowania których dziecko ma taką skłonność. Ideałem wychowania byłoby pozostawić dziecku właściwości jego natury, dając mu jednocześnie czynności nasze do naśladowania. Locke rozumiejąc potrzebę poszanowania osobistych właściwości dziecka, cierpieć nie może tej nieznośnej miny, którą zawsze sprowadza przymus i przesada. Ubolewa szczególnie nad tą wadą, o ile dotyczy ona ugrzecznienia i t. zw. *dobrych manier*, ale uczynioną przez niego uwagę zastosować można do wszystkich szczegółów moralnego wychowania. „Przesada—powiada on—jest niezręcznem i wymuszonym naśladownictwem tego, co powinno być naturalnem i swobodnem; naśladownictwem, które po-

¹⁾ Pani Necker de Saussure: *L'éducation progressive* t. I.

zbawione jest wdzięku towarzyszącego zawsze naturalności, skutkiem niezgody zachodzącej między czynnością zewnętrzną a wewnętrznym usposobieniem.“ Cóż warta grzeczność i słodycz obejsia jeżeli przyprawiają o szwank szczerłość i prawdomówność dziecka? „Mamo—pytała raz czteroletnia dziewczynka—czemu nie powiesz pani X. żeby sobie poszła? Tak długo już siedzi!“ Wolę ja niewinne to prostactwo nad formułki grzeczności, bezmyślnie powtarzane.

Inny jeszcze powód zasługujący na uwzględnienie skłaniać nas powinien do tego, abyśmy nie tłumili inicjatywy dziecka przez nadużywanie wpływu, jaki wywiera na nie nasz sposób postępowania. W postępkach zwierząt znajdujemy dowody pewnej samodzielności, której człowiek nie posiada: kształcenie sił swoich i zręczności cieszy je do najwyższego stopnia, dopóki są młode, później zaś napełnia rodzajem dumnej pewności siebie. Toż samo zauważyć można u małego dziecka. Tiedemann stosuje do piętnastomiesięcznego synka swego uwagę, którą można było wcześniej jeszcze zrobić: „Gdy czegoś samodzielnie dokonał, gdy w taki lub w inny sposób popchnął zabawkę, widocznie się tem cieszy i z przyjemnością czynność swoją powtarza.“ Następująca uwaga również jest trafną: „Wogóle dzieci lubią robić same to, co dotychczas musiały pozwalać innym robić za siebie; dlatego też chcą same trzymać łyżeczkę, nie pozwalają aby im kto dopomagał przy wstawianiu, ubieraniu się i t. d.“ Ta swoboda działania, przejawiająca się nawet w czynnościach naśladowanych, jest jednym z warunków szczęścia dziecka a zarazem pobudza je do ćwiczenia i do rozwijania wszystkich władz swoich. Przykład jest najpierwszym nauczycielem, swoboda—drugim w porządku ewolucyjnym, ale mistrz to wyższy od pierwszego, bo powab za pomocnika mu służy.

4.

Łatwowierność. Instynkt łatwowierności jest z początku niczem innym jak instynktem wiary. Niepodobna bowiem doznać jakiegokolwiek wrażenia, uczynić jakiegokolwiek spostrzeżenie, powziąć wreszcie jasne o czemkolwiek pojęcie, nie odnosząc go zrazu do jakiegoś przedmiotu obecnego, później zaś do takiego, który był lub być mógł obecnym — słowem, do przedmiotu rzeczywiście istniejącego. Dlatego to zarówno u dziecka jak u młodego, nieroztropnego jeszcze zwierzęcia, jak wreszcie w pewnej mierze u człowieka na poły ucywilizowanego (którego nazywają dzikim), skłonność do wiary albo — jeżeli kto chce — do łatwowierności zlewa się w jedno z pragnieniem ujrzenia tego lub owego przedmiotu, który jest obecnym lub już znanym a ujrzenia go z takimi lub innymi przymiotami, bądź przyjemnymi, bądź też nieprzyjemnymi. Początkowo dziecko wierzy ślepo w prawdę pozorów. Z każdym dniem jednak nabywa doświadczenia, które je uczy niedowierzania — jeżeli nie wszystkim — to przynajmniej niektórym pozorom a najznaczniejsze pod tym względem postępy w zdolności rozróżniania i uogólniania, czyni ono od trzeciego do szóstego miesiąca życia.

Siedmiomiesięczny chłopczyk, przyszedłszy do mnie w odwiedzin, siada lub też kładzie się na stole stosownie do tego, jak mu do zabawy wygodniej. Kładę mu pod rękę szczotkę, szczecina do góry: Jerzyk opiera na niej obie rączki, i po chwili z bardzo poważną miną zwolna je usuwa. Po upływie kilku minut widząc, że co innego zwróciło uwagę dziecka, ponawiam doświadczenie, przyczem spostrzegam, że malec cofa rączki szybciej niż za pierwszym razem. Powtarzam to jeszcze kilkakrotnie, w odmiennych okolicznościach i w dłuż-

szych odstępach czasu: nie spostrzegam nic nowego. W kwadrans po siódmej próbie podaję znów Jerzykowi sposobność dotknięcia szczotki: tym razem jednak, chłopczyk zaledwie ujrawszy kłujący przedmiot, cofa się szybko, nie próbując go nawet dotknąć. Zabawiam go znowu aby odwrócić jego uwagę, poczem po raz ostatni ponowić chcę doświadczenie. Dziecko przygląda się chwilę szczotce z bardzo uważną miną ale po kilku minutach wahania się, czy też namysłu cofa się raptownie w tył i — zaczyna całować babkę.

Czyniąc codziennie podobne tym doświadczenia, dziecko bardzo mało je uogólnia; w niektórych jednak razach — dzięki analogii i kojarzeniu pojęć — pomagają mu one do zachowania się jak należy względem niektórych przedmiotów, jeszcze mu nieznanych. Omyłki, które tak często popełnia, są w jego pojęciu nie omyłkami ale pojedynczymi doświadczeniami. Najczęściej też się zdarza, że małe te istotki więcej jeszcze niezastanawiające się niż niedoświadczone, sądzą tylko z pozorów.

Tem też bardziej dziecię ufa ślepo nie tylko słowom ale w ogóle mowie starszych. „Dźwięki, które ucząc się mówić dziecko przywykło rozeznawać i do pewnych przedmiotów odnosić, wzbudzają w niem wspomnienie tychże przedmiotów, ilekroć je znowu usłyszy. Kojarzenie to powtarzać się będzie zawsze naturalnie i nieomylnie, dopóki dziecko nie przekona się z doświadczenia o możliwości kłamstwa i rozlicznych omyłek. Te same wyrazy przypominają zawsze te same pojęcia. Gdybyśmy za każdym razem, gdy powiemy dziecku: „mam dla ciebie ciasteczko,” istotnie przynosili mu ciastko, niepodobna aby te same wyrazy raz jeszcze wymówione, nie wzbudziły w niem tegoż samego pojęcia i takiego samego rodzaju uwagi; a jeżeli kiedykolwiek

zamiast obiecanego ciastka pokażemy mu różgę, dozna ono całkiem nieprzewidywanego zawodu, który się wyrazi krzykiem. Dowodzi to, że niema potrzeby tłumaczenia podobnych faktów instynktem prawdomówności.¹⁾ Podzielam w zupełności zdanie Janet'a; istotnie, niema potrzeby odwoływać się — jak to czyni Reid — do instynktu prawdomówności, aby wytłumaczyć wrodzoną ludziom skłonność do dawania wiary słowom innych: podstawą jej bowiem jest wrodzona dziecku wiara w znaczenie słów t. j. w obiektywność pojęć, słowami wyrażonych. Wtedy nawet, gdy doszedłszy dwóch lub trzech lat życia, dziecko dowie się z doświadczenia o istnieniu kłamstwa i omyłek, może ono kłamać samo, nie przestając wierzyć w prawdomówność innych. Niektórym tylko osobom niedowierza i to jeszcze niezupełnie. Kłamstwo i łatwowierność — oto dwa przymioty, które zgodnie skojarzone spotykamy często u dzieci a nawet i u wielu osób dorosłych. Łatwiej jest bowiem skłamać niż innym nie wierzyć.

Dziecię śmiało zatem uważa za prawdę wszystko, co mu na myśl przychodzi, przedewszystkiem zaś to, czemu obecność i słowa starszych osób użyczają cech siły i jasności. Opowiadaniom starszych natychmiast daje ono zupełną wiarę, bez względu na treść tegoż opowiadania. Mojem zdaniem, to właśnie stanowi urok a zarazem i niebezpieczeństwo wszystkich niepodobnych do prawdy powiastek, które nieraz opowiadamy dziecku, zanim ono zrozumieć zdołało dokładnie znaczenie wszystkich użytych wyrazów.

Dziecko mające około siedmiu kwartałów, nie jest jeszcze żadnem powiastek i bajeczek, którychby zresztą

¹⁾ Janet: *Traité élémentaire de philosophie.*

nie zrozumiało, namiętnie jednak lubi słuchać opowiadania o swoich własnych wrażeniach. Matka pewnej dziewczynki w tym wieku miała zwyczaj przy niej opowiadać ojcu w sposób bardzo prosty i malowniczy wszystko, co mała widziała lub robiła podczas przechadzki: „Poszliśmy do ogrodu Luxemburskiego; wzięliśmy z sobą pieska; piesek skakał koło wózka Maniusi a czasem przybiegał polizać jej rączki i buzię. Ale potem piesek był niegrzeczny, bo wyrwał Maniusi kawałek ciastka. Maniusia wylała pieska, odpędziła go niebieską parasolką, z czego Maniusia zaczęła się śmiać, choć pierwszej miała ochotę płakać. Potem Maniusia bawiła się doskonale na ławce. Przyszedł do nas jeden chłopczyk, który się nazywa Józio i jest trochę większy od Maniusi. Józio bawił się bardzo grzecznie z Maniusią, dał jej swój balonik do zabawy i nie zrobił nic złego lalce. Potem Józio skakał i Maniusia także. Ale Józio stanął przy trawniku, chciał przeskoczyć na drugą stronę i upadł, nabił sobie guza na czole i rozplakał się głośno a Maniusia także płakać zaczęła dlatego, że Józia bardzo bolało. Potem poszliśmy daleko, daleko, aż do tej ławki na samym końcu z panią X., która bardzo kocha grzeczne dzieci. Pani X. powiedziała Maniusi: „Kiedy przyjdiesz do nas, Maniusiu? Mam dla ciebie w ogrodzie śliczne morele a ptaszki w klatkach zawsze takie same ładne i wesołe, pytają się często gdzie Maniusia i śpiewają: ćwir, ćwir, ćwir i t. d.” A podczas tego opowiadania, przerywanego często pocałunkami i pieszczotami matki lub zapytaniem i wesołym śmiechem ojca, dziewczynka cała w słuch i we wzrok zamieniona, przechodziła ponownie te wrażenia, o których mowa była w opowiadaniu, ruchami główki, nóżek, rączek wtórowała niejednemu szczegółowi, naśladując czasami wyraziste ruchy matki a przedewszystkiem

starając się naśladować głosy zwierząt, o których matka mówiła. Przyjmowała ona czynny udział w opowiadaniu, — ściślej mówiąc — w tworzeniu dramatycznej opowieści, której ojciec słuchał z takim zachwytem. Przywykły do tych prawdziwych opowiadań, Maniusia prędko nawykła do zmyślonych, które układała dla niej matka, stopniowo je zastosowując do rozwijającego się umysłu dziewczynki. Skończywszy dwa lata, nie mogła się już obejść bez tych cudownych powiastek i po kilka razy na dzień mówiła z przymileniem do matki: „Mamo, opowiadać grzecznej Maniusi, opowiadać!”

Trzyletnie nawet dziecko bierze na seryo te dramatyczne lub komiczne opowieści, które tak namiętnie lubi. Prędko bardzo umie je na pamięć, a gdy w nich cokolwiek odmienimy, ulatnia się wnet cały ich powab a wraz z nim i uwaga dziecka. Pewien chłopczyk, pół-trzecia roku mający, najwięcej lubił te bajeczki, które mu jedna z ciotek opowiadała: od niej tylko słuchać ich chciał i to codzień, choćby codzień tych samych. Po kolacyi zwykle siadał na kolanach ciotki, opierając główkę na jej ramieniu: najwygodniejsza to postawa, aby słuchając opowiadania, móżdż patrzeć jednocześnie na mówiącą osobę. Warto było w istocie widzieć tego malca, jak milczący, poważny, z wzrokiem jakby o dziesięć kroków przed siebie utkwionym, słuchał z chciwością każdego słowa. Żaden hałas, żadna przeszkoda na chwilę nawet nie mogły oderwać jego uwagi; nic innego nie sprawiało na nim wrażenia: ani figle kotka, uwijającego się po pokoju, ani nawet śmiech dorosłych, których bawiła ta niewzruszona powaga dziecka. Rumieńce tylko występujące nagle na jego twarzyczkę, żywy blask oczu w jeden punkt utkwionych oraz lekkie drganie usteczek, rozkwierających się czasami westchnieniem świadczyły, że szereg głębokich wzruszeń

wstrząsa kolejno jego duszyczką. Zdarzało mu się czasem prosić trzy razy o powtórzenie tej samej bajeczki. Pewnego wieczoru ciotki wyszły a dziecko nudziło się, zostawszy w domu z najstarszym z kuzynków, dorosłym już mężczyzną. Kuzynek zaczął wreszcie opowiadać chłopczykowi jedną z najulubieńszych jego powiastek: o małym ptaszeczku, które wyleciawszy z gniazda mimo zakazu matki, siada na brzegu komina, wpada w ogień i ginie ofiarą nieposłuszeństwa.

Opowiadający uważał sobie za obowiązek ubarwić trochę powiastkę wymyślonymi przez siebie dodatkami: „Ależ to nie tak!” — wykrzyknęło dziecko, posłyszawszy pierwszą zmianę — matka małego ptaszka to powiedziała... to potem robiła!” Nie umiejąc bajeczki co do słowa, kuzynek musiał szukać ratunku w własnej wyobraźni, czem zmienił naiwną prostotę znanego dziecku opowiadania. Chłopczyna nie mógł tego znieść dłużej: zeskoczył z kolan kuzynka i ze łzami w oczach, z ruchami zdradzającymi oburzenie zawołał: „To nieprawda! to nie tak było! ptaszek zanim wpadł w ogień, wołał głośno: éwir! éwir! bo chciał, żeby go matka usłyszała! Ale matka go nie słyszała i biedny ptaszek opalił sobie skrzydełka, dzióbek, i łapki i umarł!...” I chłopczyk odszedł płacząc rzewnie jak gdyby go wybito. Gorszego nad to doznał bowiem obejścia: oszukano go (przynajmniej tak się jemu zdawało), upiększając powiastkę popsuto mu ją zupełnie. — Do takiego to stopnia bierze dziecko przez czas dość długi zmyślenie za rzeczywistość!

ROZDZIAŁ VII.

W o l a.

Nie wiem, czy zbyt śmiałem byłoby przypuszczenie że nie wszystkie ruchy wykonywane podczas życia płodowego są zupełnie bezwiednymi i że dziecko może mieć świadomość niektórych, — chociaż bardzo niewielu ruchów — w chwili gdy je ma wykonać. Można by naprzykład zadać sobie pytanie, czy nie zachowało ono wcale wspomnienia niektórych wrażeń ciepłoty, ucisku, dotknięcia, smaku oraz ruchów mniej lub więcej określonych, jakoto: kopania nogami, wykręcania się, ściągania mięśni ust i innych tym podobnych, które organizm wykonywał pod wpływem powyżej wymienionych wrażeń. Gdyby tak było, samowiedza, która według dotychczasowych przypuszczeń, albo jest następstwem tychże instynktownych czynności i wywołujących je wrażeń albo też budzi się współcześnie z niemi, stałaby się poprzedniczką czynności, lub nawet rozłożyłaby się dała na dwie czynności analityczne, stosujące się kolejno do wrażeń lub do ruchów o których mówimy. Fakt ów odbywałby się w sposób następujący: wrażenie było-

by dość silnem aby się dało uczuć, ale nie dość by w tejże chwili wywołać mogło odpowiednie mu ruchy; wahanie się instynktu nie od razu ulegającego naciskowi wrażenia, może nawet chwilowa przerwa pomiędzy dwoma krzyżującymi się wrażeniami dałyby dziecku czas do zapełnienia intuicyjną świadomością przestanku pomiędzy wrażeniem a czynnością: co byłoby pierwszym bardzo jeszcze ograniczonem miejscem dla dobrowolnego ulegania zewnętrznym wpływom. Czy nieprzesadnem byłoby przypuszczenie, że podczas długiej pracy poprzedzającej przyjście na świat, a złożonej z tylu różnorodnych czynności, dziecko — cokolwiek chociaż świadome niektórych, osobiście przez się czynionych wysileń oraz rozmaicie stopniowanej siły wrażeń, które je do tych wysileń pobudzają, — zdolnem jest wykonać przypadkowo niektóre z tych ruchów z niewyraźnym wykonania ich zamiarem? Jeżeli więc świadomość i zamiar (lub jeżeli kto woli, dobrowolne uleganie osobnika wpływom zewnętrznym) przyjmują udział w wytwarzaniu koniecznych ruchów, jeżeli istnieją one przed przyjściem i w chwili przyjścia na świat, w nich to widziećby należało zaród działalności własnowolnej.

Porzućmy jednak tę metafizyczną hipotezę i spróbujmy naukowo wytłumaczyć niektóre fakty w późniejszej epoce zauważone. Czynności albo ruchy własnowolne różnią się od czynności albo ruchów mimowolnych tem, że w pierwszych istnieje chęć ponowienia niektórych wrażeń lub odpychania ich a nawet i niejaki pojęcie o ruchach do wywołania takiego skutku potrzebnych, czyli inaczej mówiąc, niejaki pojęcie o wrażeniach mięśniowych tymże ruchom odpowiednich. Chęć musi być mniej lub więcej żywą, pojęcie o ruchach mniej lub więcej jasne, a — co za tem idzie — wola mniejszy lub większy w tychże ruchach albo czynnoś-

ciach przyjmuje udział. Wogóle, w pierwszych chwilach istnienia udział jej jest bardzo niewielki. Bądźto dla tego, że wielkie ośrodki nerwowe czyto ruchowe, czy też inne niezupełnie są jeszcze wykształcone w chwili przyjścia na świat; bądź też, że instynkt ułatwia dziecku większą część ruchów, których się ono uczyć dopiero zdaje; ale chcenie (czyli samowiedza, wysilek i zamiar)—mało bardzo przyjmują udziału w ruchach, do wykonywania których przeznaczoną jest jednostka skutkiem ustroju swego oraz dziedziczności. I tak: paluszki kilkodniowego dziecka zbyt łatwo się zaciskają w około przedmiotu, który dotyka jego dłoni, aby potrzeba było pobudzać je zawczasu do własnowolnego wykonywania podobnych ruchów. Tak samo też twierdzić można, że postępy, jakie podczas pierwszych dni życia czyni dziecko w ssaniu, dokonały się z możliwie małym udziałem samowiedzy i zamiaru, że zawdzięczać je należy czysto machinalnemu rozwijaniu się sił oraz nabywaniu wprawy; czy jednak da się powiedzieć to samo o spostrzeżeniu, które nad ośmnastodniowym synkiem swoim uczynił Tiedemann? „Gdy go przyłożono do piersi lub gdy poczuł na twarzy delikatną rękę, przestawał płakać i zaczynał szukać piersi.” O ile się zdaje, jest to coś więcej nad proste skojarzenie pojęć: zdaje się tu istnieć pamięć czynności ssania oraz chęć wykonania jej ponownie, a może nawet zamiar dokonywania ruchów ssaniu towarzyszących. Preyer uznaje dopiero za pierwszy przejaw woli proste trzymanie główki, co dziecko czyni zaledwie w połowie czwartego miesiąca ¹⁾. Można jednak zauważyć w tej samej epoce inne z samowiedzą czynione wysiłki. Mając miesiąc i dni pięć, synek Tiedemanna

¹⁾ *La psychogenèse*, w *Revue philosophique* z Grudnia 1881 r.

„umiał rozróżniać otaczające go przedmioty, a wyciąganiem rączek i przeginaniem całego ciała objawiał pierwsze usiłowanie osiągnięcia upatrzonego przedmiotu.”

Też same ruchy mniej lub więcej świadome zauważyć można u kociąt i szceniąt przed końcem pierwszego tygodnia; mały jednak Tiedemann, jako dziecko, wydaje mi się zbyt przedwcześnie w tej mierze rozwiniętem. Następne spostrzeżenie jest już daleko prawdopodobniejszym: mając miesiąc i dni dwadzieścia siedm toż samo dziecko objawia już samowiedzę swoich czynności, dowodzą tego objawy jego radości lub też gwałtowne napady gniewu, w którym odpycha niemiłe sobie przedmioty. Spostrzeżenie uczynione w tejże epoce przez Tiedemanna, jakoby płacz dziecka był rozmyślnie użytym środkiem postawienia na swoim, potwierdzają podobne spostrzeżenia Darwina. Charakter krzyku zmieniał się u jednego z jego dzieci w jedenastu tygodniach, u drugiego trochę wcześniej, „stosownie do tego, czy przyczyną krzyku był głód czy też cierpienie.” Niebawem dziecko zaczęło—jak się zdaje—używać tego środka porozumienia dla objawienia swej woli. Rzecby można, że nauczyło się płakać na zawołanie lub krzywić się do płaczu przy każdej zdarzonej sposobności, aby dać poznać, że mu się tego lub owego zachciało ¹⁾. Podobne postępy woli miewają miejsce przy końcu trzeciego miesiąca. W tej porze życia syn Tiedemanna wykonywał zaledwie instynktowne a raczej pierwotne ruchy pożądania, objawiające się machinalnem wyciąganiem rączek

¹⁾ Przykłady powyższe wyjęte z dzieła Darwina: „*Wyraz uczuć i t. d.*” i powtórzone przezemnie w mojej broszurze p. t. „*Thierry Tiedemann et la Science de l'enfant*,” *Mes deux chats*—szkie psychologii porównawczej.

i podaniem naprzód całego ciała; w końcu dopiero trzeciego miesiąca chwycić zaczął przedmioty, których mógł dosięgnąć, ale niosąc je do buzi, uczył się trzymać je mocno: wszystkie zaś te postępy z widoczną świadomością i z zamiarem dokonania ich czynione były przez to samo własnowolnemi.

W miarę rozwijania się u dziecka poznania i siły ruchu, to jest w miarę rozwijania się wielkich ośrodków nerwowych, coraz się wyraźniej zaznacza wzruszeniowy charakter chcenia czyli pożądanja oraz myśl czyli pojęcie o mającym się dokonać ruchu. Pożądanie jest tem żywsze, im dokładniejszym jest pojęcie o przedmiocie je wzbudzającym. To samo da się powiedzieć o wszystkich ruchach, których mniej więcej nauczyło się dziecko, chociaż w istocie spełnia je instynktownie: są one tem więcej rozmyślnie i samowiedne, im trudniejsze do wykonania skutkiem zachodzącej przy wykonaniu ich komplikacji poruszeń. Wysiłki, jakie dziecko czynić musi, by się nauczyło wyciągać rączkę po przedmiot, który osiąść pragnie, by go zatrzymać, obracać, by sięgnąć, stać, chodzić, dotyczą tak żywo i tak zbliżają całej jego osobistości, że gdy ich raz dokonało pomyślnie, powtarza je odtąd niezmordowanie, powtarza nawet bez potrzeby i niewłaściwie „chcąc niemi zadość uczynić wszystkim pożądanjom swoim, chociaż są one tak śmiesznie niedostateczne, że nie mogą doprowadzić dziecicy do zamierzonego celu.”¹⁾ Wola dziecka trzymiesięcznego lub nawet rocznego, będąca wynikiem raczej wzruszeniowości niż rozpoznania, mało jest zdolną ulegać kontroli osobistej. Pożądanie nosi wyraźniejszą lub mniej wyraźną cechę popędu: na chcenie bowiem istoty

¹⁾ Ferrier. *Les fonctions du cerveau*.

niedoświadczonej, jeżeli takowa samej sobie jest zostawioną, wpływać tylko mogą pobudki jak najprostsze, przedewszystkiem zaś wrażenia chwili. Dziecku czteromiesięcznemu, które nauczyło się już wykonywać rączkami niektóre określone czynności, nie wystarczy jedna tylko lekcyja, aby potrafiło skojarzyć w umyśle pojęcie świecącego przedmiotu z pojęciem dotkliwego bólu oraz zwalczyć silną skłonność dotknięcia rączką jasno świecącego płomienia. Gdy jednak dziecko ma już sześć lub siedm miesięcy, kilkakrotnie w przeciągu kilku minut ponowione dotknięcie kolącej szczotki wystarcza, by do jego umysłu wprowadzić — chociażby na dzień lub nawet na godzinę — skojarzenie pojęć dość silne, aby wspomnieniem doznawanego bólu zwalczyło gwałtowność pożądanja.

Oprócz ulegania popędowi chwili, w woli dziecka górują przedewszystkiem cechy uporczywości oraz chęć postawienia na swoim. Czemuż innego spodziewać się można od malutkiej istotki, nieświadomej dalekich jeszcze następstw swego czynu a we wszystkim posłusznej jedynie pożądanjom lub wstrętom chwili bieżącej, jednym słowem, ulegającej skłonnościom wrażliwej i naiwnej swej osobowości, spotykającym tylko opór lub potakiwanie? Następujące anegdoty, które są prawdziwymi faktami, wyświetlą nam powyższą prawdę.

Trzymiesięczna dziewczynka, którą przyzwyczajono usypiać kołysaniem, obudziła się pewnego razu podczas nieobecności mamki. Wróciwszy po kwadransie mamka zastała dziecko w prawdziwej rozpaczce, z buzią karmazynową od krzyku i z oczkami po raz pierwszy od łez mokremi; mała krzyczała tak, że słyhać ją było o jakie pięćdziesiąt kroków. Mamka podbiegła do kołyski i czempredzej dać chciała piersi dziecku, które jakby nie widząc jej wcale, krzyczało w najlepsze,

zdając się odpychać mamkę nerwowo wyprężonemi rączkami. Przez jakie dziesięć minut przynajmniej potrzeba było pieścić ją, przemawiać, śpiewać, aby uspokoiła się wreszcie i ssać zaczęła; ponieważ jednak nasyciła się na chwilę przed odejściem mamki, pozostała więc u piersi kilka minut tylko, ale zaledwie ją puściła, wnet zmarszczyła czołko, przymknęła oczy, w podkówkę skrzywiła usteczka i bez żadnej widocznej racji znowu płakać zaczęła. Mamka zaczynała już przypuszczać, że coś maleńkiej dolega, gdy raptem machinalnie zwróciwszy oczy w stronę kołyski, zobaczyła tuż obok sporą ilość tynku opadłego z sufitu. Odkrycie to przeraziło ją niezmiernie; trzeba jednak było przede wszystkim zająć się małą, która wciąż płakała rzucając się i krzycząc na cały głos. Mając jednak ciągle ów tynk na myśli, powiedziała sobie mamka: „Dziecko musiało się przestraszyć hałasu, którego narobił tynk kawalami opadający z sufitu i ze strachu pewno płacze tak długo.” Ucałowała więc dziecko kilkakrotnie, upieściła i wreszcie kołysać je zaczęła dla uspienia. W kilka minut ustał płacz i wrzaski, znikła desperacka minka i mała usnęła snem błogosławionych. Widząc że dziecko śpi smacznie i mocno mamka, prócz której nikogo nie było w domu, zaczęła uprzątać gruzy w bliskości kołyski leżące i zesłała na dół by je wyrzucić na podwórze. Sąsiad mieszkający na parterze słyszał nieznaczny zresztą hałas, jaki sprawiło opadnięcie tynku, widział wychodzącą z domu mamkę i znowu ją teraz zobaczywszy, opowiedział jej że hałas ten miał miejsce natychmiast prawie po jej wyjściu. Nie ze strachu więc płakała maleńka tak długo, ale hałasem zniecierliwiona, obudzona, ujrawszy się samą, gdy spać jeszcze miała ochotę, zaczęła z początku popłakiwać, potem płakać, wreszcie wrzeszczeć, czując, że nikt jej tak jak

zwykle nie usypia kołysaniem. Mamka nadbiegła w ostatnich już chwilach tego napadu złości i gniewu, który z taką trudnością uspokoiła, nie znając prawdziwych jego powodów. Zrozumiała go jednak niebawem i opowiadając całą przygodę, rzekła mi: „Skończyłam więc na tem, od czego powinna byłam zacząć, widzi pan jak to dzieci są uparte w swoich nawyknięciach.”

Kto sam nie wychowywał dzieci lub wychowania ich nie był świadkiem, ten tylko może nie wiedzieć o ich charakterystycznej niechęci do mycia, o scenach złości, o krzykach i tupaniu nogami, których mycie staje się powodem; nieraz dzieci nie pozwalają się dotknąć nawet letnią wodą. Z niektórymi dziećmi powtarzają się znowu codziennie takie same sceny, w chwili gdy spać idą: trzeba umieć zręcznie włożyć je uspięne do kołyski. Znałem dziecko cztery do pięciu miesięcy mające, które kilka osób musiało układać do snu: wsunięto pod kołderkę jedną nogę, dzieciak wystawiał drugą; chcąc nakryć jedną rączkę, musiano drugą przytrzymywać lub spowijać dziecię, aby sobie śpiąc nie podrapało buzi; towarzyszyły zaś temu krzyki, wrzaski, rzucania się istnego opętańca. Gdy chłopczek ów miał już pół roku, matka, chcąc uniknąć codziennego prawie ponawiania się podobnych scen, zarówno dla niej jak i dla dziecka nieprzyjemnych, zdecydowała się kłaść malca na swoim łóżku i pozwolić mu się na niem przespać przez parę godzin po obiedzie. Ale gdy potem znowu go włożono do kołyski, gorsze jeszcze sceny wyprawiał: łóżko go popsuło i nie chciał już wcale sypiać w kołysce; musiano mu więc pozwolić sypiać na łóżku, o ile to było możebnem, a do kołyski kładziono go wieczorem dopiero z niesłychanemi ostrożnościami, gdy głęboko już zasnął na rękę. Jeżeli się obudził, migotliwe i łagodne światło nocnej lampki, — której wrażenie silnie skojarzyło się

w jego umyśle z pojęciem snu i jego potrzebą, wywierało na niego znany już domowym dobroczynny wpływ: dzieciak nie zaczynał krzyczeć i natychmiast znowu usypiał, choć w kołysce swojej leżał.

Zobaczyłem znowu tego chłopczyka, gdy miał już rok blisko. Bardzo samowolny, uparty we wszystkim co się tyczyło kilku ważniejszych szczegółów jego dziecięcego żywota, był w ogóle wesoły i zgodnego usposobienia. Ktokolwiek się do niego uśmiechnął, temu zaraz odpowiadał uśmiechem; chętnie pozwalał się wszystkim brać na kolana, nauczył się nie ocierać buzi gdy go pocałowano, całemi godzinami przebywał u sąsiadów, a nawet i u obcych po raz pierwszy widzianych i bawił się wybornie. Ale chcąc by spokojnie usiedział na czyich kolanach, trzeba było korzystać z nieobecności matki i mamki; skoro tylko pokazała się jedna lub druga, zaraz uśmiechał się do niej zdaleka i wyciągał rączki, usiłując zsunąć się z kolan, jeżeli one nie zbliżały się ku niemu, albo jeżeli jego nie niesiono do nich natychmiast. Czasami nie sprzeciwiając mu się, pozwalano mu mniemać, że wysunął się z rąk trzymającej go osoby i puszczono go na ziemię; siadał wtedy i różnemi przymilającemi się minkami usiłował namówić *ma-ma-ma* (nazywał tak matkę i mamkę) aby do niego przyszła. Jeżeli nie przychodziła zaraz, stawał na czworakach i sunął ku niej, dopomagając sobie kolanami a czasem i brzuszkiem. Był to miły i zabawny uporek, z którego śmieli się wszyscy i dziecko także. Co rano matka, dawszy mu śniadanie, niosła go na łóżko ojca, gdzie figlował i dokazywał, przewracając się i kładąc to na wznak, to znowu na brzuszku, chowając główkę pod poduszki, zakrywając się z głową prześcieradłem, wijąc się jak wąż a świergocąc przytem jak ptaszek i śmiejąc się wyraźnym już śmiechem. Poranną

tę uciechę uważał za rzecz mu należną. Jeżeli po śniadaniu matka nie niosła go natychmiast do pokoju ojca, poczynął krzyczeć: „tata!” wtedy nawet gdy głosu ojca nie słyszał; jeżeli zaś matka udawała, że nie rozumie ruchów jego i minek bardzo przecie wymownych, wołanie „tata!” zamieniało się wkrótce w istny wrzask, któremu towarzyszyły krzyki złości i głośnie szlochanie.

Z pewną dziewczynką teraz już sporą, a nadzwyczajnie ujmującą i łagodną, bardzo wiele było w dzieciństwie kłopotu, jak mi to mówiła jej babka dobrze tych rzeczy świadoma. Do roku prawie z największą trudnością dawała się kłaść do kołyski. Gdy długo czatując na sposobną chwilę, ośmielono się wreszcie położyć ją w przekonaniu, że zasnęła już na dobre, budziła się natychmiast; a jeżeli się nie obudziła w tej samej chwili, to nawpół senna, zaledwie dotknąwszy posłania znenawidzonej kołyski, wnet zaczynała krzyczeć jak poruszony sprężyna automat; krzyk ten mimowiedny budził ją i trzeba ją było brać znowu na ręce, chcąc jej oszczędzić krzyku i płaczu, które zawsze wzniecały w matce obawę o jej zdrowie. Też same miano trudności z kąpaniem jej, rzeczą tak niezbędną potrzebną dla dziecka. Wiła się i wyprężała jak robak, krzyczała jakby ją żywcem w piec wsadzano — mówiła mi babka. Brano się na różne sposoby aby ją nakłonić do pozostania w wanience: babka udawała, że razem z nią kąpać się będzie, przynosiła jej najulubieńsze zabawki, śmiała się do niej przelewając wodę, kładła w wannę rękę po same ramię i nieraz bardzo długo siedziała przy niej we dwoje zgięta, czekając aż ją uspokoi przyjemne ciepło wody. Ale jeżeli miała zapomnieć na chwilę o tem, że kąpiel nie jest nieszczęściem, nie wolno było wtedy babce ruszyć się z miejsca, bo natychmiast uderzała w krzyk. Dwa lata już miała, gdy po-

woli dzięki rozwijającemu się poznaniu i doświadczeniu, które ją przekonało że sen w łóżeczku jest rzeczą bardzo wygodną a kąpiel, gdy się już w niej parę sekund spędzi, wcale przyjemną rzeczą, dzięki szczególnie chęci okazania się rozsądną i posłuszną i nie sprawiania matce przykrości, doszła wreszcie do tego, że pozwoliła kłaść się bez wielkich krzyków, a jeżeli się jeszcze nieraz skrzywi, wchodząc do kąpieli lub parę łez uрони, na tem już wszystko się kończy.

Oto jeszcze przykład wzięty z tej epoki życia, w której już dziecko mówi. Julcia ma dwa lata bez dwóch miesięcy. Matka zabroniła jej ruszać kwiaty na oknie stojące, wolno jej tylko polewać je malutką polewaczką dziecięcą. Wywiązuje się ona z tego zadania z zapalem, z którym niezgrabność jej tylko równać się może. Musi jednak za każdym razem prosić matki o pozwolenie, bo gdyby jej dano wolę, potopiłaby kwiaty. Ile razy jest niegrzeczną, matka każe polewać kwiaty służącej, to też Julcia kilka razy na dzień powtarza: „Córusia grzeczna, podleje kwiatki.” Parę dni temu, gdy matka siedziała w salonie z kilkoma paniami, dziewczynka odbiegła gdzieś na chwilę i w kilkanaście minut potem wróciła w kąpiącej prawie od wody sukience i fartuszk. Zrazu nikt tego nie spostrzegł, zauważyła to dopiero jedna z pań, całując dziecko na pożegnanie. Matka pobiegła do sąsiedniego pokoju, który był cały wodą zalany. Stało się to zaś następującym sposobem: ponieważ Julcia była niegrzeczną przy stole, za pokutę więc zabroniono jej podlewać kwiaty i nawet schowano polewaczkę. Ale pokusa okazała się silniejszą nad obawę połajania, które dziewczynkę czekało za nieposłuszeństwo. Wziąwszy polewaczkę służącej, odkręciła kurek wodociągu i napełnić ją chciała, ale udało jej się tylko sprowadzić powódź, na której ucierpiał

suknia i fartuszek. Tak była srodze niepowodzeniem tem dotknięta i tak się czuła upokorzona, że matka łajac ją, śmiała się z niej prawie. Ale Julcia byłaby może wołała gniew od żartów. Wieczorem przy kolacji oświadczyła ojcu: „Córusia nie chce już być grzeczna, nie chce, nie będzie już podlewać kwiatków, nie chce, zamoczyła sukienkę.” Nazajutrz rano gdy służąca wzięła do ręki polewaczkę, mała patrzyła na nią nie okazując najmniejszej ochoty naśladowania; służąca wetknęła w rączki jej własną polewaczkę, Julcia rzuciła ją, mówiąc: „Niegrzeczna polewaczka, niegrzeczna, zamoczyła mnie. Córusia nie chce podlewać kwiatków.” Ale postanowienie jej nie oparło się widokowi srebrzystych strumyków wody, tryskających przez sitko polewaczki. „Córusia grzeczna—zawołała—podleje kwiatki” i podniosła z ziemi polewaczkę.

Każdy z powyższych wymienionych przykładów dowodzi, że czy to pod postacią bezwiednego pożądanego, czy pod postacią świadomego pragnienia, czy wreszcie własnowolnego postanowienia, zawsze jednak u dziecka czyn jest podporządkowany wrażliwości. Dziecko chce tego, co mu się podoba w chwili bieżącej lub o czem miłe zachowało wspomnienie; nie chce zaś tego, co mu się niepodoba teraz lub przedtem nie podobało.

W miarę jak się kształci doświadczenie dziecka, pomiędzy czynem a postanowieniem prostym, dawniej i doraźnie powziętem, staje teraz coraz to większa ilość wrażeń, uczuć i pojęć, czyli pobudek i przyczyn do działania skłaniających. Jeżeli do czynu przychodzi, warunkiem jego jest najwyższy stopień siły, w pobudce do czynu zawarty; czyny tego rodzaju uważają się za rozmyślne w przeciwstawieniu do chcenia, wynikającego z ulegania popędowi chwili. Nieraz widzieć można dziecko wahające się pod wpływem dwóch wręcz sobie

przeciwnych, ale równie silnie pchających je do czynu pobudek; w ogóle wahanie trwa krótko, szczególnie gdy obie pobudki są zarówno przyjemne; prawdopodobnie zaś dla tego, że słusność ma Delbousf gdy twierdzi, że „w podobnych razach lepiej jest działać niżeli czekać. Możemy być pewni, że osieł Burydana nie zdechł z pragnienia ani z głodu” ¹⁾. Właściwie mówiąc, niema tu nawet starcia się pobudek, lecz tylko ich współzawodnictwo. W takimże samem prawie położeniu znajduje się dziecko, gdy ma z jednej strony dotkliwą przykrość zadaną przez gwałtowne a niezaspokojone pragnienie, z drugiej zaś przyjemność, którą mu sprawia pieśczęta lub niespodziewany podarek: żal walczy tutaj z powabem terażniejszości; dziecko płaczące próbuje się uśmiechać, potem znowu płakać zaczyna w najlepsze, lub też pocieszywszy się zaczyna prędzej trochę lub później śmiać się i bawić. Innym znowu razem sprzeczne pierwiastki liczniejsze są i wyraźniej zaznaczone; z jednej strony naprzykład znajdujemy te cztery dane: posłuszeństwo, wyrzeczenie się rzeczy upragnionej, pochwały starszych, pieśczęty; z drugiej zaś — cztery inne: nieposłuszeństwo, powab rzeczy wzbronionej, wyrzuty, kara. Różnorodne te pobudki działają każda oddzielnie lub też zlewają się w jedno, a wpływy ich równoważą przez dłuższy lub krótszy czas chęć pójścia za popędem woli. W tego rodzaju wypadkach powzięty już zwyczaj kojarzenia niektórych pobudek i niektórych sposobów postępowania niezmiernie ułatwia wprowadzenie w czyn woli. Rozmyślna jednak wola t. j. wzajemne powściąganie jednych skłonności do czynu przez drugie zmierza w dziecku najczęściej do tego, że znowu ulega ono popę-

¹⁾ Zobacz: *Revue philosophique*. Listopad 1881 r.

dowi chwili; uległość zaś owa podlega z kolei przewadze pobudek osobistych i przez chwilę bieżącą podsuniętych.

Między dwoma a czterema laty u najłagodniejszych nawet i najlepiej wychowanych dzieci poczucie miłości własnej zaznacza się z przesadną aż wyrazistością. Chłopczyk, który ma już dziś rok czwarty, bardzo był na ból niewytrzymałym w wieku lat dwóch skończonych: płakał i krzyczał za łada upadkiem a najłżejsze zadrażnienie w rozpacz go wprawiało. Wyleczyła go z tego miłość własna. Parę dni temu upadł w mojej obecności tak, że potłuc się musiał; zerwał się z ziemi, pochodziwszy jakiś czas na czworakach, aby we mnie wmówić, że wcale nie upadł. Innym razem potknął się na schodach, przewrócił parę koziołków, tłukąc główką o mur. Podbiegłem ku niemu; stał już na nogach i całemi siłami powstrzymywał się od lez. „Upadłeś?” — spytałem. „Nie! nie! — żywo mi odparł — żartowałem tylko, nie upadłem...” Podobna miłość własna wyraża się czasem fałszywym wstydem i źle pojętą dumą. Postawiono raz tego chłopczyka przed tablicą z literami wpośród kilku dziewczynek równego z nim wieku. Gdy przyszła na niego kolej odpowiadania, zrobił ruch jakby chciał odejść i zawołał: „Nie chcę uczyć się czytać tutaj, mam litery w domu, nauczę się ich sam.” Kiedy indziej znowu, nie chciał należeć do lekcji, wołając: „Dziewczynki śmieją się ze mnie, nie chcę uczyć się z nimi.” Gdy się rozgrymasi a ojciec podniósłszy głos, zawoła: „Cicho bądź!” — usłucha czasem od razu; posłusznym także bywa gdy mu ojciec mówi: „Pij!” a nawet od kilku dni słucha rozkazu: „Idź chodzić.” Daleko jednak chętniej słucha, gdy mu każe spełnić czynność, która go bawi, albo innym sprawia przyjemność. I tak, gdy mu się każe udawać psa, kota, osielka, klaskać w rączki, poruszać główką na znak przeczenia, czyni to od razu

i chętnie. Jeżeli mu zabraniają robić tego, co go bawi, usłucha także, ale nie tak prędko, jak słucha rozkazów dotyczących się rzeczy mu obojętnych. Chętniej słucha nakazu niż zakazu, co łatwo zrozumieć, bo w pierwszym razie wola jego nie stacza walki z wydanym rozkazem. Gdy mu na przykład powiedzą: „Pokochaj mamusię, tatusia, braciszka; pokaż, czy dziecko lubi stół, szczotkę,” usłucha daleko prędzej, niż gdyby mu powiedziano: „nie rób tego” w chwili właśnie, gdy to robi. Chociaż upiera się nie chodzić sam, podszedł do mnie jednak na jakie cztery kroki, do czego skłoniłem go pokazując mu brzoskwinię, na którą miał wielką ochotę, a której ja mu przynieść nie chciałem. Dobrze jego zamiary są wszakże równie chwiejne jak i nóżki. Gdy zjadł dany mu kawałek brzoskwini, chciałem wystawić go na drugą podobną próbę; ta jednak inny odniosła skutek. Wzniciwszy w nim chętkę zjedzenia drugiego kawałka brzoskwini, powiedziałem: „Chodź do tatusia, chodź po cukierek,” przybiegł też bardzo prędko ale na czworakach, co się u niego nazywa „bieganiem.” Zresztą daleko jest posłuszniejszy ojcu niż matce, czy to, że łatwiej mu zrozumieć słodycz niż energię, czy też, że pierwsza większy na niego wpływ wywiera. Upuścił kawałeczek chleba i udawał, że nie słyszy, gdy mu ojciec podnieść go kazał; zbliżyła się ku niemu matka, chciał ją wziąć za rękę, na co matka powiedziała: „Dam się dziecku wziąć za rękę, jak dziecko podniesie chleb. Podnieś chleb.” Podniósł go natychmiast i podniósłszy zaraz podał rączkę matce.

Tak więc nawet u dziecka mającego mniej niż trzy lata, widać niejaką zdolność, bardzo wprawdzie zmienną i kapryśną, powstrzymania się od czynu i miarkowania go, pomimo że uczucia i pragnienia dążą do

objawiania się w sposób nader gwałtowny ¹⁾. Ta zdolność powstrzymywania się, będąca rękojmią kontrolowania chęci ruchowych a po części i myślowych, właściwą jest epoce większej już dojrzałości. Doświadczenie podsuwa wtedy umysłowi silniejsze pobudki w postaci dokładnego pojęcia o przyjemnych lub nieprzyjemnych następstwach jakiejś czynności; wtedy także uwaga więcej już rozwinięta (zarówno jak i posługujące jej ośrodki mózgowe) machinalnem niejako wzbronieniem powściąga wrażenia, uczucia i pojęcia, których dążenie wolą nie pokonywane doprowadziłoby dziecko do doraźnego czynu. Pokazuje się ztąd, że uwaga jest jednym z najważniejszych pierwiastków woli, co nam tłumaczy chwiejność woli dziecka, jej zmienność i przerzucanie się zachcianek z jednego przedmiotu na drugi ²⁾.

¹⁾ David Ferrier: *Les fonctions du cerveau*.

²⁾ Poniżej badać będę ścisły związek woli ze zmysłem moralnym.

ROZDZIAŁ VIII.

Gromadzenie oraz zachowywanie nabytków umysłowych.

I.

U W A G A.

Ponieważ uwaga stanowi wynik natężonego lub wyraźnego wrażenia a narządy dziecka nie umieją jeszcze przedłużać pobudzeń drganiowych, przeto pilna uwaga rzadką jest rzeczą u nowonarodzonego niemowlęcia.

Chwilami wszakże zdaje się, że spostrzedz ją można. Gdy w pewnej odległości od oczu siedmnastodniowego dziecka poruszałem jakimś przedmiotem, mrużyło ono powiekami i przymykało je, wyrażając tym sposobem bojaźń lub też chęć uniknięcia wrażenia, które chociaż dlań jeszcze niejasne, było mu jednak nieprzyjemnem. Wodziło ono oczyma z prawej strony w lewą, a z lewej w prawą za świecą, którą kolejno to tu, to tam przenosiłem. Hałas zatrzaśniętych drzwi, dźwięk mocno podniesionego głosu wywoływały u niego drgnie-

cie dające się uczuć osobie, która je na rękę trzymała. Ale też same przyczyny przez kilka minut wywoływały też same skutki, później już żadnego wrażenia nie robiły na dziecku ani barwy poruszanego przed oczyma przedmiotu, ani światło, ani hałasy i dźwięki głosu; wracało ono do zwykłej sobie ekstatycznej pozy z otwartymi, nieruchomymi oczyma. Niebawem różnorodne te wrażenia powtarzając się, stają się przedmiotem wspomnień, pobudką określonego zamiaru poszukiwania ich lub też unikania. Uwaga, którą zwrca dziecię na wrażenia swoje i wspomnienia, staje się z każdym dniem silniejszą i łatwiejszą. do tego stopnia, że się czasem wydaje świadomą.

Dziecko wtedy właśnie najmniej potrzebuje *chcieć* być uważnem, gdy się zdaje, że niem najbardziej być chce; gdy niem jest w istocie. Chętniebym porównał dziecko natężające uwagę do kocięcia, które na widok zdobyczy lub świecącego przedmiotu wpada w stan dłużej lub krócej trwającej nieruchomości i z ciałem do skoku zebranem, z rozszerzoną żrenicą, z wargą górną lekko w łuk wygiętą, nie spuszcza oka z przedmiotu, który wznieca jego pożydlwość. To właśnie jest wrażeniem lub też grupą wrażeń przyjętych do świadomości z wyłączeniem wszelakich innych, nieustannie odnawianych a co chwila oczekiwanych; osobistość obserwowająca zdaje się nietylę należeć do siebie ile do przedmiotu obserwowanego; jest to oddziaływanie natężone ale jakoby bierne, pociąg mniej lub więcej samowiedny, oczarowanie jednostki rozważającej przez przedmiot rozważany. Przyjemność, którą sprawia dziecku ssanie piersi staje się dlań przedmiotem uwagi; lubuje się ono, wsłuchuje—że tak powiem—i wgląda w siebie z poczuciem doznawanej rozkoszy. To rozbudzenie się władzy samowiedczej, znane pod nazwą uwagi, przejawia się

z początku z zewnątrz na wewnątrz; jest to pobudzenie komórek nerwowych pod wpływem drażniącego je wrażenia, ale nie jest to napięcie, wysiłek z wewnątrz na zewnątrz lecz tylko przyzwolenie, na mocy którego wrażenie dopuszczonem bywa do ośrodków nerwowych. Przyczyną uwagi może się stać jakikolwiek czyn woli, czyni jej wszakże są czemś zupełnie od woli różnem; jest to niejako kanał otwierający się wrażeniom zewnętrznym; wola może go czasem zamknąć, ale najczęściej bywa on wbrew jej otwartym. Takowe napięcie mięśniowe i nerwowe, silną reakcją żywych wrażeń będące a narzucone raczej niż własnowolne jest pierwotną cechą uwagi. Bossuet określa ją mianem: „uwagi przy-musowej” dodając: „Nie jest ona wszakże tem, co nazywamy uwagą; miano to bowiem nadajemy takiej tylko uwadze, mocą której obieramy sobie własnowolnie przedmiot myśli naszych.” Znaczy to tylko, że uwaga ma swoje stopnie i że ta mimowolna czy własnowolna uwaga, do której zdolnem jest dziecko, zawsze bywa z początku wywołana wrażliwością.

Pewne dziecko jednomiesięczne niewątpliwie zwracało od czasu do czasu pilną uwagę na czynność ssania; widać to było z nieruchomości jego oczu błyszczących zadowoleniem i chwilami przymykających się na pół. Pewnego dnia napełniono mu flaszeczkę wodą ocukrzoną; possawszy troszkę zatrzymało się na parę sekund i znowu ssać zaczęło a ssało z taką samą uwagą i rozkoszą, jak gdyby we flaszeczce znajdowało się mleko. Woda czysta mniej mu się zato podobała; po kilku pierwszych łykach przestało raptem pić na kilka sekund i znowu ssać zacząwszy, wypuściło smoczek z ust z charakterystycznym skrzywieniem buzi, ściągnięciem usteczek a nawet zmarszczeniem brwi. Oto mamy przykład uwagi zastosowanej do czynności smaku.

W pierwszym miesiącu, rozmaite — bądź to automatyczne, bądź samowiedne — ruchy narządów (a mówię tu tylko o kończynach) wykonywane są tak niezręcznie, w sposób tak niepewny i nieokreślony, że nie mogłem rozeznąć w nich na pewno wpływu uwagi zastosowanej do wrażeń dotykowych. Niepodobną jest wszakże rzeczą, aby uwaga nie była i w tym także kierunku zwróconą. I w samej rzeczy, gdy dziecko półtoramiesięczne przesuwalo rączką po piersi matki, po jej rękach, po twarzy zbliżonej do jego buzi, radosny wyraz jego oczu nieruchomo w jeden punkt utkwionych i roztworzenie ust dowodziło, że przyjemność mu sprawia przedłużanie tych wrażeń dotykowych niewyraźnie jeszcze rozeznawanych. Toż samo dziecie mając dwa miesiące i dni sześć brało rączką pierś matki lub twarz jej i trzymało ją za palec z uwagą widocznie własnowolną. W tejże porze zaczęło już wyciągać rączki do piersi, którą mu matka pokazywała w odległości kilkunastu cali od jego oczu.

Widziałem dziewczynkę mającą cztery tygodnie i chłopczyka pięcioletniego, którzy nieruchomością spojrzenia i ruchami ust naśladującymi ssanie okazywali, że we flaszeczce umieszczonej o kilka centymetrów od ich oczu, poznają karmiący ich przyrząd i że są już zdolni zwrócić na to uwagę. W tejże samej epoce, dzieci te automatycznie niosły rękę do twarzy, prawdopodobnie nie zdając sobie sprawy z tego mimowolnego ruchu, gdy jednak ruch ten wywoływany pocieraniem ich twarzyczki, powtórzył się kilkakrotnie, wtedy zmarszczone czoło i rozszerzone jakby strachem źrenice wskazywały, że uwaga dzieci jest zwróconą na nieprzyjemne wrażenia, jakich doznają. Dziecko mające miesiąc, raz przez trzy minuty a drugi raz przez cztery nie spuszczało oka z odbłyску światła odbijającego się

w obrazie umieszczonym obok okna. Gdy miało półtora miesiąca, widziałem je przypatrujące się długo lalce w jasnoblękitnej sukience, a potem wodzące okiem za tą samą lalką, którą dziewczynka podrzucała do góry w tym pokoju, w odległości jednego metra. Po skończonych pięćdziesięciu dniach życia nieruchomością wzroku lub też zwracaniem go w tym lub w owym kierunku wskazywało, że zwraca uwagę na przedmiot barwy błękitnej, białej lub fioletowej; na inne zdawało się być obojętnem, skutkiem może przemijającego daltonizmu.

W wieku dwóch miesięcy żywy szkarłat sukni, kwiatu, papieru, nęcił je zarówno jak biel lub fiolet; nie zwracało jednak żadnej uwagi na kolor pasowy, czarny, brązowy, błękitnawo-liljowy a niewielką na żółty. Byłoby to wrodzone już usposobienie szczególniejszej na niektóre barwy wrażliwości, czy też względna niemoc organów wzroku? Aby dojść w tej mierze do wniosków poważne znaczenie mających, trzeba by zebrać wyniki wielu i wielokrotnych doświadczeń. Dziecko rozwija się z dniem każdym, czasem z każdą godziną, objawiając istniejące w niem a przedtem niezauważone właściwości — a nie zawsze najpierwej objawiają się te, które kiedyś najpotężniej się rozwijają. Dziecko, które przed ukończeniem dwóch miesięcy nie zwracało uwagi na żaden przedmiot barwny, doszedłszy połowy trzeciego miesiąca stało się równie uważającym na barwy jak dzieci najwcześniej w tym kierunku rozwinięte.

Zwracanie uwagi na dźwięki, objawiać się już poczynna widocznie w połowie trzeciego tygodnia życia. Większa część dzieci dwunasto-, trzynasto-, piętnastodniowych wzdryga się, posłyszawszy silniejszy trochę hałas.

„Dnia 5-go Września (t. j. w trzynaste dni po urodzeniu) spostrzeżono, że syn Tiedemanna zwraca

uwagę na ruchy mówiących do niego osób. Dźwięk mowy miał także wpływ na niego, gdy się rozplakał.” Widziałem dziecko trochę już starsze, bo szesnaście dni mające, które czasem przestawało płakać, gdy matka zaczynała przemawiać do niego pieszczotliwie; bardzo jednak być może, że miarowe ruchy, jakie przytem wykonywała, przyczyniały się do uspokojenia dziecka tyleż może co i słowa. Nazajutrz jednak w nocy, gdy matka żadnym sposobem uspokoić go nie mogła, ojciec rozgniewał się, krzyknął i wreszcie głosem podniesionym i urywanym, kazał mu być natychmiast cicho. Nie wiem jakie wrażenie zrobił ten głos na dziecku, ale niebawem uciszyło się zupełnie.

„W dziewczynce mającej półtrzecia miesiąca — mówi Taine o badanem przez siebie dziecięciu — spostrzegam ruch widocznie już nabyty: słysząc głos babki, mała zwraca główkę w stronę, z kąd głos pochodzi.”

Mnie zdawało się także, że zauważyłem ten sam ruch u dziecka mającego miesiąc i dni dwa: stanąwszy po lewej stronie kołyski, zacząłem mówić głośno; główka dziecka jakoby się pochyliła ku lewej stronie, a nieruchomość spojrzenia zdawała się wyrażać pewną uwagę na dźwięk mego głosu. Dziewczynka półtoramiesięczna świadomie wyrażała ból lub uczucie głodu krzykiem, mającym zupełnie odmienne brzmienie. Mając dwa miesiące, wyrażała już płaczem cierpienie, żądanie lub gniew z rozmyślnym wyrażeniem ich zamiarem.

Inne dziecko sześciotygodniowe podskakiwało radośnie na rękę matki, usłyszawszy dźwięki skrzypiec. Mając dwa miesiące, na szczekanie psa zmarszczyło ono brwi, ściągnęło usteczka, skrzywiło się i rozplakało; pies pogłaskany zaczął skomleć radośnie, dziecko przyrzekało mu się uważnie, uspokoiło i zdawało słuchać z przyjemnością nowego dlań odgłosu.

Bardzo się to wcześnie objawia, że energia uwagi jest w bezpośrednim związku z żywością doznanych uczuć lub wrażeń. Pomiedzy dziećmi zarówno jak i pomiędzy młodeimi zwierzętami najskłonniejszymi do uwagi są te, których wrażliwość nerwowa jest największą. Dziewczynka mająca półczwarta miesiąca, bardzo na wszystko czuła, umiejająca już rozróżnić niektóre części swego ciała i szukająca nóżek, gdy usłyszała wyraz „nóżki,” uważną była na wszystko, co się w koło niej działo, na wszelkiego rodzaju dźwięki, na głos ludzki, na odgłos stąpania, na hałas zamykanych lub otwieranych drzwi czy okien, na wszystkie najmniej nawet żywe barwy, jeżeli tylko umieszczone były tak, że dosięgnąć ich mogła wzrokiem. Dziecko sześciomiesięczne, dość zresztą bystre ale limfatyczne i mało wrażliwe, nie patrzyło prawie na bukiet bladych kwiatów dość blisko niego stojący; musiałem je przybliżyć jeszcze a nawet poruszać niemi przed jego oczyma, aby skłonić to dziecko do zatrzymania na nich uwagi. Kwiat jednak bardzo jaskrawy obok bukietu położony, zdawał się sprawiać mu tak wielką przyjemność, że dziecko patrzyło nań minutę lub dwie może. Wtem ukazał się kot—gatunek zwierzęcia dziecku jeszcze nieznany—dziecko wydało radosny okrzyk, który wnet powtórzyło, wyciągnęło obie rączki, całem ciałem nachyliło się ku zwierzęciu, a gdy kot nie zbliżył się tak, aby dziecko dotknąć go się mogło, przybrało postawę wyrażającą zachwyt. Widoczną jest więc rzeczą, że zdolność uwagi jest początkowo w związku z żywością doznawanych wrażeń.

Więcej już rozwinięta czuciowość, z której powstają rozmaite uczucia (to jest pojęcia oraz zwiększone i przesadzone wspomnienia wrażeń) wywiera znaczny wpływ na uwagę nawet u dorosłych. „U większej częs-

ci ludzi inteligencya przybiera ostatecznie ten kierunek, jaki jej nadało uczucie¹⁾. Czemże jest miłość, jeżeli nie ciąglem a sprawiającem nam przyjemność myśleniem o jakiejś osobie lub rzeczy? Cóżto jest nienawiść? Jest to ciągle myślenie z przykrością o niemiliym nam przedmiocie. Potęga to uczucia czyli uwaga ciągle przez uczucie podniecana a nawet do najwyższego stopnia podniecenia doszła, wydaje zakochanych, artystów, bohaterów, uczonych. Zmieniłbym chętnie powiedzenie Buffona i napisałbym, że geniusz jest długotrwałą namiętnością. Dzieciatko, zaledwie miesiąca mające, jest już zdolnem doznawać—choć, jakieśmy to już powiedzieli, w bardzo ograniczonej mierze—tego, co się właściwie nazywa uczuciem. Kocha ono matkę, jeżeli nie dla niej samej to dlatego, że dobrego od niego doznaje; lubi flaszeczkę swoją albo karmiącą je pierś, lubi ręce które noszą je lub pieszczą, twarz która się do niego uśmiecha, usta które mu śpiewają i przemawiające doń oczy; obawia się, pragnie, cierpi, spodziewa zdumiewa, niecierpliwi; wszystko to zaś jest podniętą dla władz uwagi, już w niem rozwiniętej ćwiczeniem i przywyknieniem do żywych wrażeń. Pospieszamy jednak dodać, że jego moralna uczuciowość zaledwie niewyraźnie kształtować się zaczynająca, mało jeszcze bardzo wpływać może na zdolność do wzbudzenia w sobie uwagi w takim nawet razie, jeżeli dziedziczność wyjątkowo je do niej usposabia.

Tę pierwiastkową nierównowagę zdolności przyjmujących udział w wykształceniu uwagi lub w jej pobudzaniu wynagradzają najczęściej inne wrodzone właściwości. Dziecko bardzo wrażliwe doznaje zbyt wielu

¹⁾ Dr Castle. *Phrénologie spirituelle*, t. I, p. 101. De l'éducation.

rozmaitych wrażeń, aby mogły one odbić się w mózgu trwalszym oddźwiękiem; przywyka więc do uwagi przelotnej i rozproszonej, kapryśnie a zatem niedostatecznej na wszystko zwracanej.

To też obawiać się należy, aby dziewczynka wyżej przezeń wspomniana, którą czeka wychowanie zupełnie zwyczajne, to jest na pół zdane na łaskę wrodzonych dziecku zdolności, nie wyrosła na kobiecinę nerwową lub pospolitą, mającą pojęcia nie całkiem jasne i ścisłe, może nawet dziwaczne, wzajemnie z sobą nie licujące—jednym słowem, na kobietę płytkiego rozumu, serca i umysłu. Tamto zaś drugie dziecko, zaraz po niej przezeń wspomniane, jakkolwiek nieobdarzone uczuciowością tak do rozbudzenia łatwą, jakkolwiek uwaga jego leniwiej się udziela lub odrywa, będzie jednak mogło przy tychże samych warunkach wychowawczych stać się bez trudności człowiekiem mającym umysł trzeźwy, silny i praktyczny; będzie on może miał mało pojęć, ale będą to pojęcia silnie wkorzenione i prawdopodobnie dokładne, bo wytwarzane powoli; jeżeli tylko nic nie stanie na przeszkodzie rozwijaniu miernych jego zdolności, będzie umiał niewiele ale dobrze. I to jeszcze dodajmy, że uwaga jego ciągle w ruch wprawiana, nabierze przez wprawę siły, która wynagrodzi może brak żywości. Jest to jedna z kwestyj żywo obchodzących pedagogią racjonalną.

Jakiekolwiek pomiędzy zdolnościami jednostek zachodzić mogą różnice skutkiem wrodzonego usposobienia lub w zwyczaj weszłego ich ćwiczenia, ogólną jednak cechą uwagi jest krótkotrwałość jej i ruchliwość. To skupienie działalności umysłu na jeden przedmiot, to bezpośrednie skierowanie wejrzenia duchowego (czytelnik wybaczyć mi zechce metafory, któremi próbuję objaśnić to, co jest z natury swej nieobjaśnionem) rów-

niez jest trudnem dla dziecka, jak trudnem byłoby dla człowieka chorowitego powtórzyć w przeciągu dwóch minut cały szereg wysiłków mięśniowych, których wymaga zawieszenie jakiegoś ciężaru. To, co się nazywa aktem uwagi jest w samej rzeczy całym szeregiem aktów przez władzę uwagi dokonanych a powtórzonych mniejszą ilość razy w bardzo krótkim stosunkowo przeciągu czasu. Nie przesadzajmy jednak owej błyskawicznej szybkości myśli. Hollandczyk Donders a po nim i inni zmierzali tę rzekomo niezmierną szybkość myśli, tak u człowieka jak i u zwierząt. Chociaż jednak ta szybkość nie jest nieobliczoną, jest ona wszakże znaczną; zwracać na coś uwagę chociażby tylko przez kilka minut; jest to poddawać owo coś kilkakrotnemu badaniu przez ten krótki przeciąg czasu.

Mimo też usług wyświadczanych uwadze przez wolę, uporne żądanie i nawyknięcie, w których cierpie ona ciągle wzrastającą łatwość i siłę, uwaga zawsze i każdej chwili jest w stanie niedopisać ludziom najbardziej nawet uzdolnionym. Osoby jaknajwięcej przywykłe do pracy umysłowej muszą nieraz gwałt sobie zadawać, aby się zabrać do takiej nawet pracy, w której największe mają upodobanie. O ile mi się zdaje, mało ludzi pracuje dlatego, że praca sprawia im przyjemność. Zawsze prawie skłaniają ich do tego niemiłego początku postronne a silne pobudki: konieczność, interes, miłość własna, obowiązek. Ale gdy raz już wejdą na znane sobie tory, z przyjemnością kroczą nie mi coraz dalej; przyjemność ta sił im dodaje do pracy, ułatwia uwagę i zaostrza ją aż do chwili, w której ją nagle zahamuje znużenie. Unikają oni zresztą tego obrzydzenia i trudności do pracy umysłowej na mocy tego prawa natury, które nakazuje by umysł znajdował odpoczynek w zmianie podobnie jak apetyt, który

rozmaitość zaostrza. Dziecko jednak nieustannie podniecane silnemi a sprzecznemi z sobą wrażeniami, a obdarzone bardzo małą siłą oporu mięśniowego, nie ma czem oddziaływać przeciwko znużeniu mózgu. Pokonywa je i z nóg wali lada wysiłek uwagi.

Dla tego to najuważniejsze dziecko jest bardzo mało uważnem. „Ta zdolność do uwagi, grającej w życiu szkolnem tak ważną rolę, była dotąd bardzo niedostatecznie zbadaną. Dwóch znam tylko ludzi, Horacyusza Granta i Chadwicka, którzy weszli na tę drogę. Badania ich nauczyły nas wszakże, że u mniejszych dzieci po pięciu lub sześciu minutach, u starszych zaś uczniów po pół godzinie lub po trzech kwadransach, uwaga się nuży a wysiłek umysłowy ustaje; że w szkołach zdolność przykładania uwagi zmienia się stosownie do ilości godzin lekcyj, do pory dnia, tygodnia, do czasu który oddziela lekcję od chwili posiłku i t. d. Podobne spostrzeżenia rozpoczęły zaledwie torowanie drogi w tym kierunku” ¹⁾. Jeżeli tego rodzaju badanie odnoszące się do dzieci w ogóle, zaledwie jest rozpoczętem, to jest ono wcale nawet niezaczętem w odniesieniu do niemowląt, do dzieci wziętych od chwili urodzenia aż do pory, w której zaczynają próbować mówić. Długich i cierpliwych spostrzeżeń będzie potrzeba, zanim się dojdzie do rzucenia tych pierwszych zarysów psychologii dziecka, których to zarysów nie skreślenie lecz naszkicowanie jest marzeniem naszym.

Dodać tu należy, że chociaż działanie uwagi dziecka jest nader słabe, często się ono jednak powtarza i dopełnia wprawdzie bardzo szybko, ale niemniej z korzyścią dla dziecka. Potęga wrażliwości młodego móz-

¹⁾ Fonssagrives: *L'éducation physique des garçons*.

gu wynagradza czasem (szczególniej przy pomocy częstego powtarzania) siłę skupienia jaką posiada mózg dorosłych. „U młodych dzieci — powiada Luys — komórki mózgowe posiadają zupełnie odrębne cechy histologiczne; są one miękkie, szarawe i jakby do pewnego stopnia giętkie; żadne wrażenie uprzednio doznane nie dotknęło ich jeszcze ¹⁾ i dla tego pobudzenie zmysłowe łatwiej na nie działa, że znajduje je wolne i ciąglą pracą nieużyte. Z drugiej strony w młodzieńczych latach istota korowa mózgu, jak każda inna tkanka organiczna, ulega ciągłemu przyrostowi. Coraz to nowe komórki przybywają, a według ogólnego prawa początek swój biorą nie skądinąd jak tylko z łona dawniej istniejących; te zaś znowu na zasadzie prawa dziedziczności, oddają swemu potomstwu część stanu, w jakim się znajdowały. Nie popełnimy zatem niedorzeczności twierdząc, że komórki mózgowe, rodząc się, posiadają już pewien zapas wrażeń czuciowych w stanie fosforescencyi i że zapas ten w spadku od swych rodziców otrzymały. Te to ścisłe związki pokrewieństwa komórek, noszące na sobie piętno duchowości, są bezwątpienia przyczyną trwałości pewnych wspomnień. W ten sposób wrażenie odczute w dzieciństwie staje się spuścizną całej grupy komórek, które je utrzymują w stanie ciągłej świeżości i siły. Wrażliwość istoty korowej mózgu dzieci jest do tego stopnia wielką, że *motu proprio* zatrzymuje wszystkie pobudzenia, jakie do niej dojdą, prawie tak biernie jak klisza fotograficzna, wystawiona na działanie słońca” ²⁾.

Pozostają nam do zbadania dwie jeszcze kwestye, odnoszące się do zdolności uwagi, o której powiadają,

¹⁾ Niezupełnie podziałam to zdanie.

²⁾ Luys. Mózg i jego czynności.

że jest zdolnością umysłu górującą. Oto pierwsza z tych kwestyi: Hewlacyusz głosił zdanie trące kartezyanizmem, jakoby wszyscy ludzie mieli dar wrodzony uwagi oraz inteligencji potrzebnej do osiągnięcia jednakowego dla wszystkich stopnia rozwoju; ale uwaga jest trudem, a nie wszyscy ludzie są w stanie czuć tak silnie, aby trud takowy zmienił się dla nich w przyjemność. Różnica pochodzi więc nie z nierównej siły uwagi, ale z nierównej siły uczucia. Sławny profesor Jacotot bronił za dni naszych tej samej tezy i pozornie dalej jeszcze zaszedł na drodze paradoksu. Podług niego bowiem wszystkie inteligencje są sobie równe; umysły różnią się zaś tylko pomiędzy sobą niejednakowem ustosunkowaniem uwagi do stopnia woli. Z punktu wszakże widzenia tak fizyologicznego jak i psychologicznego prawdą jest to tylko, że rodząc się przynosimy z sobą ustrój umysłowy i moralny ilościowo, nie jakościowo różny. Może jednak niecałkiem roztropną jest rzeczą bezwzględnie ufać pozornym nierównościom umysłowym i moralnym. Czy w istocie, niepodobieństwem jest zaradzić niezdolności do uwagi może odziedziczonej a może tylko przypadkowej i przemijającej? Kto wie, czy nierówności tego rodzaju nie są przedewszystkiem wynikiem wychowania pierwotnego? Kwestya, którą tu mimochodem tylko poruszam, jest dosyć zawikłaną. Rozwiązanie jej, czy to w imię praw dziedziczności, czy na mocy powierzchownie tylko dotąd poznanej psychologii dziecka, będzie — podług mnie — *apriorystycznym* tylko rozwiązaniem. Stawiam ją tylko w tem miejscu, spodziewając się, że mówiąc o niej gdzieindziej, rozwinę ją tak jak na to zasługuje ¹⁾.

¹⁾ W Studium o Jacotot'cie.

Drugą zaś kwestyją, dla psychologii niemowlęcia zajmującą, będzie następująca: dowiedzieć się czy na podstawie wskazówek frenologicznych można z góry określić, jaką zdolność uwagi posiadać będzie dziecko. Jest to problemat spowinowacony z poprzedzającym i równie jak on do rozwiązania trudny. Powiedzmy odrazu, że chociaż najnowsza frenologia nie uznaje wraz z Gallem i Spurzheimem topograficznie oddzielnej lokalizacji władz niezawisłych, to jednak uznaje ona, że pewne części półkul mózgowych naprzykład zrazy przednie zawsze przyjmują udział w dokonywaniu czynności umysłowych. Dowiedziona dla niej jest rzeczą, że pomimo swej tożsamości czynności te u różnych jednostek różny stopień złożenia przybierają ¹⁾. Ferrier, którego umiejętnie doświadczenia czynione na mózgu małp, rzuciły tyle światła na tę ciemną dotąd kwestyją, wierzy w możliwość lokalizacji ośrodków spostrzegawczych w półkulach. Co zaś tyczy się uwagi, wierzy on zarówno jak Bain i Wundt, że każe ona przypuszczać działanie władz ruchowych. „Przypominając sobie myśl jakąś — powiada on — lub też uważnie się zastanawiając nad jedną czy kilkoma myślami, wprawiamy w ruch ograniczony wprawdzie i stłumiony czynności, z którymi kojarzą się organicznie z niemi połączone czuciowe czynniki uwagi... Gdy więc przypomnienie jakiejś myśli zależy pozornie od pobudzania pierwiastku wprawiającego w ruch składowe jej części, zdolność zwrócenia uwagi na jeden przedmiot i skupienia świadomości zależy jeszcze od ograniczenia ruchu. W chwili gdy się uważnie nad czemkolwiek zastanawiamy, zaprzestajemy ruchów istotnych lecz utrzymujemy zato w stanie mniej

¹⁾ Zobacz Charlton Bastian'a: Le cerveau organe de la pensée roz. XXV. La phrénologie ancienne et nouvelle.

lub więcej znacznego naprężenia ośrodki ruchu lub też ruchów, z którymi się łączą rozmaite czuciowe czynniki twórczości myślanej... Zdolność rozumowania i zastanawiania się występuje na jaw w stopniu odpowiednim rozwinięciu władz uwagi. Zależy to od anatomicznego rozwinięcia zrazów czołowych mózgu, a różne dane tak patologiczne jak i doświadczone pozwalają nam w tychże zrazach umiejscowić ośrodki, będące siedliskiem miarkowania uczuć... Władze uwagi i skupienia myśli słabe są i niedoskonałe u idiotów, u których zrazy czołowe niedostatecznie są rozwinięte a cierpienie zrazów czołowych wyłącznie charakterystyczną stanowi cechą obłądów lub ogólnego upośledzenia umysłowego. Rozwój zrazów czołowych sięga najwyższego stopnia u ludzi najwyżej rozwiniętych umysłowo, a jeżeli porównamy dwie osoby, to inteligentniejsza odznaczać się będzie większym rozwinięciem czoła." To też frenologowie mieli słuszne powody przypuszczać, że „rozwinięcie niektórych okolic czoła byłoby oznaką siły skupienia myśli i szczególniejszych zdolności umysłowych” ¹⁾. Niewątpliwą zatem jest rzeczą, że silnie wystająca okolica czołowa oznacza zwykle wrodzoną siłę uwagi, co zupełnie nie upoważnia nas do wniosku, żeby jednostka mająca czoło stosunkowo spłaszczone była zupełnie do uwagi niezdolną. Niema dziedzicznej ułomności, którejby wychowanie nie mogło zmniejszyć albo nawet znieść zupełnie.

2.

Pamięć nie jest władzą czysto umysłową, której zadaniem byłoby przechowywanie i odtwarzanie minio-

¹⁾ Zob. *Ferrier'a*: Czynności mózgu.

nych faktów jaźni. Jest ona własnością nieodłączną od wszystkiego co jest, a wyraźniej jeszcze od wszystkiego co żyje — własnością zasadzającą się na przechowywaniu śladów doznanych wrażeń. Każde wrażenie zostawia ślad mniej lub więcej głęboki, trwały i zdolny wiązać się w najrozmaitszy sposób ze śladami pozostawionymi przez inne wrażenia w komórkach tkanek mózgowych, mięśniowych i nerwowych. We wszystkich więc częściach każdego tworu istnieje usposobienie bądź to odziedziczone, bądź osobiście nabyte, do pamiętania czyli do przechowywania i odtwarzania. Nietylko bowiem istnieje pamięć psychologiczna ale i pamięć organiczna: wrażeń, uczuć, cierpień, stanu w jakim się znajdują trzewia, nerwy i mięśnie, pamięć ruchów i skojarzeń ruchowych, wszystkiego jednym słowem, co się już w nas odbyło i znowu odbywać się może z udziałem lub bez udziału samowiedzy. Od pierwszej chwili urodzenia dziecko, któremu się chce pić i jeść, któremu dolega względne zimno otaczającej atmosfery, nowa dłoń a zbyt swoboda ruchów, dźwięki obijające się o wąty słuch jego, promienie światła rażące wzrok nieprzywykły jeszcze do oglądania jasności, zetknięcie z otaczającymi je osobami i rzeczami, dziecko dla którego pierwsze odetchnięcie jest cierpieniem wyrażającym się często (jakeśmy to już powiedzieli) kichnięciem; dziecko które przeróżne te dolegliwości wyraża krzykiem a raczej krzykliwym skrzeczeniem oraz gwałtownymi ruchami i czerwonością bijącą mu na twarz i ciemię; dziecko nowonarodzone tak postępując, wykonywa czynności odruchowe. czyli powtarza ruchy przed niem przez inne dzieci wykonywane. I to właśnie jest pamięcią odziedziczoną. „Każdy nerw — powiada Bagehot ¹⁾ — zachował niejako

¹⁾ Bagehot: *Loc citi.*

pamięć przeszłego swego życia, odebrał już pewne wykształcenie lub też takowego był pozbawiony, widział — stosownie do okoliczności — zmniejszającą się lub wzrastającą działalność swoją; każdy rys twarzy nabrał wyraźniejszego, charakterystyczniejszego rysunku lub może pozostał bez wyrazistości; każda ręka nosi ślady zawodowej swej pracy i znaki, które wyryło na niej życie a wykonywane przez nią prace z kolei kształt jej urabiają... Kto umie dopatrzeć, wszystko to odnajdzie w człowieku." Wszystko to, spadkiem dziedzicznym będące, znajdziemy w ruchach i postępkach noworodka. A jeżeli jest to prawdą odnośnie do ruchów widocznych, dlaczegożby nią być nie miało odnośnie do innych objawów działalności człowieka, to jest, do pierwocin wrażenia, uczucia i pojęcia?

Nie bez wewnętrznego zaniepokojenia stawiałem sam sobie często to pytanie, ujrawszy się oko w oko z malutkiem dzieciątkiem, tajemniczym sfinksem, który patrząc na mnie, nie widział że go badam a którego wielkie, spokojne, zdumione oczy zbijały mnie z tropu pracowicie przeprowadzanych indukcji. Przypominałem sobie, że ta lub owa czynność, długo zagrzebana w zbiorniku władz we wnętrzu ukrytych, nagle występowała na jaw, zbudzona przypadkowym ukazaniem się sprzyjających okoliczności i zapytywałem siebie czy nie instynktowi to i dziedziczności zwrócić należy wszystko, co na mocy spostrzeżeń moich czułem się w prawie im odebrać a przypisywać świadomości i osobistemu doświadczeniu jednostki. I tak na przykład: dziecko posiada instynktowną zdolność chodzenia a przecie nabywa umiejętności chodzenia długim, świadomym i postępowym wysiłkiem. Posiada ono instynkt ssania a przecie zarówno jak psy, jak koty, jak jagnięta, uczy się — co łatwo mu zresztą przychodzi — szybko i pewnie ruch

ssania wykonywać. Żrebię, cielę, kurczę, zaledwie na świat przyjdzie wnet instynktownie chodzić zaczyna, ale czynność tę, automatycznie wykonywaną, a którą budowa im ułatwia, wydoskonalają one uwagą i wprawą. Uwagi powyższe podsunęły mi jeszcze jedną, która uspokoiła moje sumienie badacza, tę mianowicie (mniemaniu temu nie sprzeciwia się Darwin) że czynności do których pobudką jest instynkt, w samym już początku łatwo budzą zmysł wewnętrzny i że na przykład w pierwszych próbach ssania i chodzenia łączyć się może — niezawsze w jednakowym stosunku — działanie odruchowości ze świadomym wysiłkiem. Możemy więc wierzyć bez wahania w objawy istotnej działalności, gdy ukazuje nam się ona wyrażona ruchami i poruszeniami, których dostarczyła może dziedziczność, ale które od niej przejąwszy, wzięła pod swój nadzór i wydoskonaliła zbudzona już do samowiedzy jednostka. I tak: dziecko pięcioletniowe, które słysząc mamkę śpiewającą znaną piosenkę lub przemawiającą doń pieśzczotliwie, zaczyna próbować wydawania z siebie rozmaitych głosków, czyniło to instynktownie, skutkiem sympatii organicznej, skutkiem tkwiącej w jego ustroju pamięci dziedzicznej, ale także i skutkiem pamiętania osobistego, które skojarzyło w umyśle dziecka wspomnienie tychże głosów i dźwięków ze śpiewem mamki.

Bądź jak bądź, najprostsze spostrzeżenia łatwo wykazać nam mogą, że ilość osobistych nabytków dziecka mającego zaledwie kilka tygodni jest już wcale znaczną. W wieku dwóch lub trzech miesięcy, widzieliśmy już działający bogaty ów całokształt instynktownych, własnowolnych, umysłowych i moralnych czynności, które zazwyczaj badają psychologowie u osób nieco już starszych. Zdaje nam się, że niema potrzeby powracać do tych faktów, które tak nam oczywiście

wykazują jak bystrą, silną i stałą władzą jest pamięć nawet w pierwszych chwilach życia.

I na to także zwróćmy uwagę, że nie zawsze najwidoczniej występują na zewnątrz wspomnienia najsilniej w umyśle wryte. Najważniejszymi, a może i najtrwalszemi są te, których żywość pozornie stępiło nawyknienie i których zdolność do powtarzania się zawisła od bezwiednych lub odruchowych sił umysłowości. Gdy Jerzyk zatrzymuje się przed przedmiotem kołącym, nie dotykając go, to dowód że pojęcie szczotki wyraźnie się w umyśle jego wryło; nic wszakże nie zdradza, aby wspomnienie podobne było mu przykrem. To nam pozwala mniemać, że każdy objaw w życiu człowieka ma swoje znaczenie i że wychowanie niemowląt powinno nas zajmować tak samo i w takimże samym stopniu jak wychowanie dziecka starszego. Większa część pojęć wpływających przez ciąg całego życia na moralny i umysłowy kierunek człowieka jest wynikiem utajonych w umyśle zdolności, spoczywających na dnie duszy niezbadanem a wiele przecie znaczącem. Że tak jest, świadczą o tem wspomnienia budzące się do życia w wypadkach halucynacyj, (co niejednokrotnie zauważonem zostało) hipnotyzmu lub poprostu niezwykłego wzburzenia uczuć. W naturze nic nie ginie i — jak to z wymowną dobitnością powiedział Bagehot — każdy nerw zachowuje może wspomnienie przeszłości swojej.

Jakże często przypisujemy, bądź to wrodzonej potędze ducha, bądź to wychowaniu, bądź wpływom przykładu lub teraźniejszych podniet, raptowne pojawienie się poruszeń, myśli i uczuć, szczęśliwych błysków myśli lub niefortunnych natchnień, które są może tylko przypomnieniem z lat niemowlęcych! Prawdę rzekłszy, nigdy nie udało mi się zauważyć, aby pamięć sięgała w pierwsze dwa lata życia. Jest-że to dowodem, że

pamięć taka nie istnieje wcale? Mowa wcieliła w siebie znaczną ilość pojęć dawniej od niej istniejących a ponieważ ponownemu objawianiu się pojęć towarzyszą najczęściej znaki, zdaje nam się przeto, że nie mamy innych pojęć prócz tych, które wyrażamy słowami i skłonni jesteśmy do mniemania, że zachowaliśmy tylko ślad pojęć nabytych w epoce władania mową i za jej pośrednictwem. Podobnie twierdząc, przeczylibyśmy istnieniu znacznej ilości pojęć u zwierząt, których to pojęć wyrazić one nie mogą właściwymi sobie sposobami porozumiewania się. Mojem zdaniem, można było określić i utrwalić znakami wszystkie pojęcia przed powstaniem mowy dobrze objęte i dobrze w umyśle zachowane, ale pojęcia te przeszły do naszej pamięci w epoce niezmiernie odległej. Do takich należą pospolite pojęcia *psa, kota, ptaków, kwiatów, mleka, chleba, owoców, wody, wina, ognia, drzewa, kamienia, papieru, światła, ciemności, gorąca, zimna, chropowatości, gładości, smakowitości, cierpkości* i t. p. Wszystko to są pojęcia zasadnicze, które jakkolwiek zmodyfikowane późniejszą pracą umysłu, pozostają jednak niezmiennymi co do czasu i miejsca powstania w całokształcie procesów mózgowych. Nieprawdopodobną jest rzeczą, aby wrażenia tak liczne i silne, które w pierwszych dwóch latach życia stanowiły jedyną strawę umysłu, były tylko punktem wyjścia dla przemian później dopełnić się mających. Były to owszem pierwsze pobudzenia ruchu, który, wzmagając się i rozwijając, trwał ciągle i trwa aż dotąd. Życie istoty organicznej nie kończy się nigdy, trwa ono niezmiennie, ciągłym ulegając przekształceniom. Żadne z postrzeżeń niemowlęcia, — czy zmienionych potem przez mowę, czy też niezmienionych — nie przepada: ukazuje się ono znowu

lub ukazać się może w inteligencji, w woli lub w uczuciowości.

W wybornej monografii pamięci świeżo wydanej przez T. Ribot'a znajduję potwierdzenie niejako hipotezy, do udowodnienia której potrzebowałem faktów. Wiadomo, że ogólnie podniety pamięci zdają się wyłącznie nie zależeć od przyczyn fizjologicznych i to najczęściej anormalnych. Co zaś do podnięt częściowych, najczęściej wynikają one także z przyczyn chorobliwych; dwa jednak następujące przykłady zdają się wskazywać, że mogą one się przytrafić w stanie zupełnego zdrowia.

„Pewną panią, znajdującą się w ostatnim stopniu chronicznej choroby, przewieziono z Londynu na wieś, gdzie przybyła do niej córeczka, wówczas niemowlęciem jeszcze będąca, i po niedługim pobycie znowu do miasta została zabraną. W kilka dni potem owa pani umarła a córka dorosła wcale matki nie pamiętając. Wówczas dopiero trafiła jej się sposobność zobaczenia pokoju, w którym umarła jej matka. Nie wiedziała o tem, a jednak wchodząc tu zadrżała, gdy zaś ją pytano o przyczynę tego wzruszenia, odrzekła: „Doznałam jak najwyraźniejszego wrażenia, że byłam już kiedyś w tym pokoju. W tym oto rogu leżała jakaś pani, która wyglądała na bardzo chorą, nachylała się nademną i płakała”¹⁾.

Oto przykład drugi: „Pewien pan obdarzony bardzo wybitnym temperamentem artystycznym (na co należy zwrócić uwagę) wybrał się ze znajomymi na wycieczkę do hrabstwa Sussex, w okolice zamku, którego (o ile sobie przypominał) nie zwiedzał był nigdy. Zbliżając się do bramy, wyraźnie doznał wrażenia, że już ją kiedyś

¹⁾ Abercrombie: *Essay on intellectual Powers*. Przytoczone przez Ribot'a w *Chorobach pamięci*.

widział i nie tylko bramę, ale na niej jakichś ludzi a pod sklepieniem osły. Dziwne to przeświadczenie tak go opanowało, że zwrócił się do matki z prośbą, by mu udzieliła objaśnień jakich w tym względzie. Wtedy dowiedział się, że mając szesnaście miesięcy odbywał już wycieczkę do tego samego miejsca, że przybył tu w koszyku na grzbiecie osła, że zostawiono go na dole z osłami i ze służbą, podczas gdy starsi zasiedli do podwieczorku podanego na bramie zamkowej”¹⁾.

Te fakta nadczułości pamięciowej normalnej jeszcze ciekawsze są od daleko lepiej dowiedzionych faktów nadczułości pamięciowej, wywołanej przyczynami chorobliwymi. Wykazują one jasno, jak z jednej strony nieobrażowaną jest siła wskrzeszania wrażeń doznanych w pierwszych latach życia, z drugiej zaś, jak bliski istnieje związek pomiędzy uwagą a pamięcią, pomiędzy dokładnem widzeniem i zapamiętaniem dokładnem. A ponieważ wiemy, o ile na uwagę wpływa uczuciowość, pewną zatem zdaje nam się rzeczą, że wartość pamięci więcej jeszcze zależy od uczuciowości niż od inteligencji. Jabym mniemał, że często bierzemy za brak uwagi to, co jest brakiem uczuciowości. Brak-że to uwagi, czy też brak prawidłowej uczuciowości jest przyczyną tak dziwnego rozproszenia wspomnień u starców, u obłąkanych, tudzież u małych dzieci? Brak obu tych władz zapewne. Słaba, przerywana czynność przekazywania, odbywająca się w nerwach obwodowych a wytworzona w ośrodkach czuciowych, myślowych i ruchowych, z konieczności pociąga za sobą wzruszenia, pojęcia, sądy, chcenia i ruchy między sobą niezgodne i rozerwane. W każdym zaś razie osłabienie narządów wyraża się

¹⁾ Carpenter: *Mental Physiology*. Przytacza Ribot, *loc. cit.*

tak u chorych umysłowo starców, jak i u małych dzieci dwoma pozornie sprzecznymi z sobą objawami: rozstrzeżeniem pojęć i uczuć lub też ich uporczywością. W epoce niemowlęstwa często widzimy jedno i drugie. Niema wątpliwości, że zasadniczym tematem tak owego szczebiotania, zrazu monotonnego, później zaś dość urozmaiconego, z którym odzywają się kilka razy na dzień dwumiesięczne dzieci, gdy przy nich mówi się lub śpiewa, jak też późniejszej papuziej ich gadatliwości, jak wreszcie nudnego gawędziarstwa starców, muszą być jakieś nad innymi górujące wspomnienia, które przechodzą i znowu wracają z całym orszakiem przypomnień mniej wyraźnych. Temże samem wytłumaczyłbym owe napozór automatyczne ruchy oczu, rąk i nóg, które dziecko wykonywa z tak wielkim zapalem a tak bezmyślnie, gdy leży w kołysce, siedzi na ręku mamki, lub gdy przez kogoś trzymane, stoi na ziemi. Czysto instynktowna potrzeba ruchu nie tłumaczy dostatecznie tych popędów, pragnień, wstretów, pojęć, uczuć i wrażeń, będących mniej lub więcej świadomem przypomnieniem, lecz urywanych, bezładnych a czasem uporczywie wracających.

Owo uporczywe lecz przerywane powracanie wspomnień tem się różni od monomanii, że odnosi się zazwyczaj do przedmiotów obecnych lub do wspomnienia dobrze znanych przedmiotów. Pewna dziewczynka ośmioletnia, ile razy się nassie, zaraz robi ręką ruch taki, jakby dzwoniła: znaczy to, że opanowała ją myśl o grzechotce, którą bawić się zwykła; dostawszy ją, potrząśnie parę razy, poniesie do buzi, znowu potrząśnie i wreszcie rzuca niedbale. Pobawiwszy się trochę innemi zabawkami, znowu zwykłym ruchem upomina się o grzechotkę, a gdyby jej na to pozwolić, w przeciągu pół godziny ze dwadzieścia razy to samo powtórzy: jest to czysto odruchowe nawyknienie. Pewnego razu będąc u jej ro-

dziców, naśladowałem przy niej jej ruch, potrząsając pudełeczkiem o bardzo żywych barwach, wydającym odgłos niezmiernie pobudzający uwagę i maleńka zażądała pudełka i poruszała niem z przyjemnością; po upływie kilku minut, włożyłem jej znowu w rękę grzechotkę, potrząsnęła nią obojętnie i wkrótce rzuciła; oddałem jej natychmiast pudełko, którem potrząsała długo, gładząc z zadowolenia jak kokoszka. Przez całą prawie godzinę tem jednym się bawiła i tego tylko chciała; grzechotka zeszła na drugi plan. Powracającą zwykle myśl zastąpiła więc inna, jej podobna i również uporczywie wracająca.

Taką przemijającą uporczywość myśli najczęściej zauważyć można u małych dzieci zaczynających mówić, czy to dla tego, że nazwa przypominająca przedmiot uprzytomnia im pojęcie o nim a wspomnieniu lub pożądaniu jego siły dodaje, czy też dla tego, że wrażenie samychże słów znaczenia dla nich nie mających budzi do działania mózg ich i narzędzia głosowe. Malutki mój krewniaczek, mając pięć kwartałów, ciągle nam dzwonił nad uszyna podwójnym dźwiękiem *a-teau*, uprzytomniającym mu pojęcie łodzi (*bateau*), które widywał niekiedy płynące po rzece a za którymi przepadał.

W kilka miesięcy potem, do gadaniny jego przybyło jeszcze: „Kura czarna be, kura biała caca.” Ta kura czarna i biała były to dwie kokoszki zamknięte w ogrodzie w kojcu, a do których biegał po kilkadziesiąt razy na dzień. Biała była bardzo oswojona, ale czarna dziobała go czasem w paluszki, biorąc mu z rączki jedzenie, które jej przynosił. Najsilniej zajmowały go podówczas łodzie i owe dwie kury. W kilka miesięcy potem, odbywszy podróż koleją żelazną, ciągle mówił o lokomotywach, wagonach, gwizdawkach, dymie;

w mózgu jego i na ustach *minfer* (chemin de fer: kolej żelazna) zajęło miejsce łodzi i kur.

Jedną z kwestyj najsporniejszych a zarówno dla psychologii jak i dla pedagogii niezmiernie ważnych, jest wiadomość, czy od pierwszych dni życia dziecka utworzyć już sobie można zdanie o jego zdolnościach umysłowych, a szczególnie o pamięci, ale o pamięci w znaczeniu odtwarzania pojęć. Gall, a za nim i wielu innych, skłonni byli do twierdzenia, że tak. Uczony ten uważał oczy duże i na wierzchu osadzone za oznakę dobrej pamięci, (zawsze pamięci pojęć). Zdaje mi się, że kiedyś słyszałem, iż brwi gęste czy też do siebie zbliżone, które także uchodzą za oznakę charakteru skłonnego do zazdrości, uważane są zarówno za oznakę dobrej a szczególnie trwałej pamięci. Osobiste moje spostrzeżenia nie dają mi prawa zgodzić się na podobne mniemanie, ani też mu zaprzeczyć.

Spodziewam się jednak, że po dokładniejszym zbadaniu stosunku, zachodzącego pomiędzy fizyognomią dziecka a przekazanemi mu zdolnościami, znajdziemy sposób rozróżnienia, które z dzieci nawet jeszcze mówić nie umiejących ma dobrą pamięć a które słabą, a — co za tem idzie — i sposób poprawienia systematycznie prowadzonymi ćwiczeniami wrodzonego braku lub bystrości pamięciowej. Wtedy także stanie się rzeczą możebną (i nader pożyteczną) oznaczyć w pierwszym zaraz miesiącu życia punkt wyjścia tak pierwiastkowych zdolności pamięciowych jak i zdolności nabytych pod wpływem różnicy otoczenia, łączności jednych z drugimi lub ścierania się ich z sobą, jednym słowem, określić w jakiej mierze wprawa oraz systematyczne kształcenie wpłynąć mogą tak na całokształt pamięci jak i na poszczególne jej przystosowania. Umiejętność taka w stosunku do dorosłych zaledwie rozpoczęta,

w stosunku do dzieci mówić zaczynających zaledwie odgadywana, kiedyś zapewne stanie się umiejętnością, biorącą za przedmiot swój takie nawet dzieci, które jeszcze mówić nie umieją.

Główny kładę tu nacisk na błąd popełniany przez tych, którzy uważając pamięć za władzę umysłową rozmaicie przystosowywać się mogącą, mniemają naprzykład, że pamięć uczucia jest jednym z takich przystosowań. Prawdą jest to wszakże, że każdy człowiek posiada nie jedną ale kilka pamięci. Nietylko bowiem pamiętamy przeszłe nasze uczucia i przywiązania, nie doznając ich już, ale nawet uczucie trwa jedynie pod warunkiem zachowania miejsca swego w każdej pamięci. „Najtkliwsze serce — powiada Chateaubriand — utraciłoby uczucie swoje, gdyby o niem zapomniało.” Powiedzieć można, że co się tyczy uczuciowości i życia uczuciowego, każdy ma pamięć swoją własną, mniej lub więcej wyraźną i trwałą. Tak samo jak każdy zmysł, jak każda z władz umysłowych, posiada swoją własną pamięć lub własne skojarzenie pamięciowe, stosownie do ustroju jednostki silniejsze lub słabsze, tak też i każde uczucie, każda uczuć kombinacja ma swoją pamięć nierównie pomiędzy jednostki podzieloną. Powiadają, że Cezar zniewagi tylko zapominał, są tacy którzy nie zapominają ani zła, ani dobra doznanego, inni znowu zapominają tylko dobro. Taki sposób pojmowania pamięci serca, rzucający nowe światło na genezę tak namiętności jak i skłonności pozwala nam czytać w wielu razach na samem dnie duszy dziecięcej. W każdym uczuciu, w każdej skłonności objawiającej się w danej chwili życia kryją się skłonności i uczucia najczęściej odziedziczone po przodkach, którzy je przed nami jeszcze ćwiczyli i rozwijali, również jak radości i smutki, uczucia i namiętności, których doznaliśmy

i które rozwinęliśmy sami. Nikt wiedzieć nie może jak wielkim jest udział przeszłości w obecnie odczuwanych radościach i smutkach. Widziadła naszego życia uczuciowego zaludniają duszę oraz sensoryum nasze, każdej chwili gotowe znowu się wcielić, bądź mimo wiedzy naszej, bądź nawet wbrew naszej woli. Z minionemi wzruszeniami dzieje się to samo co z myślami. Świadomość małą tylko część ich nam odkrywa i to właśnie wyrazić chciał Musset w tych wierszach subtelnym: „Myślimy o wszystkim co kochamy, sami o tem nie wiedząc.”

ROZDZIAŁ IX.

Skojarzenie stanów psychicznych.

1. *Kojarzenie.*

Kojarzenie jest to stan związku sił, towarzyszący tworzeniu i odtwarzaniu nie tylko faktów życia umysłowego i moralnego, ale wszystkich wogóle zjawisk duchowych, mięśniowych, nerwowych, których zogniskowanie — jeżeli nie powołująca je do bytu przyczyna — ma miejsce w niektórych oznaczonych okolicach mózgu. Skojarzenie nie jest właściwie mówiąc odrębną zdolnością jak czuciowość, wzruszeniowość, zdolność ruchowa i t. d., jest ona jednym z widomych lub ukrytych kształtów, jakie przybiera wszelki objaw życia organicznego lub psychicznego. W postrzeżeniach naszych, uczuciach, myślach i chceniach jedno z drugim się wiąże, jedno jest dalszym ciągiem drugiego. Widzieliśmy już, że wyraźne nasze pojęcia o przedmiotach różnią się syntezy czyli pierwotnemu skojarzeniu poszczególnie dokonywanych analiz. Abstrakcje oraz grupy spostrzeżeń, które odszukać się dadzą w naj-

wu u swojej córki. Tiedemann znowu — słusznie lub niesłusznie — zaznacza skojarzenie pojęć w dwa dni po urodzeniu. Gdy syna jego położono „na boku, jakby do ssania, lub też, gdy uczuł na buzi miękką rękę, natychmiast płakać przestawał i szukał piersi.” Tu — pisze ojciec jego — widocznem jest skojarzenie pojęć, skoro uczucie takiego a nie innego położenia lub miękkiej ręki budzi pojęcie ssania oraz piersi. Dnia 26 Stycznia (chłopczyk miał wówczas pięć miesięcy) wzrastająca w nim żądza nabywania wiadomości objawiła się jeszcze widoczniej. Skoro tylko pogoda była po temu, niańka wynosiła go na ulicę, co mu sprawiało nadzwyczajną radość i budziło w nim, bez względu na zimno, żywe pragnienie takiej zmiany. Wkrótce zrobił malec postrzeżenie, że gdy niańka ubiera się ciepło jest to zapowiedzią przechadzki; zaczynał się więc radować, nawet wśród łez, za każdym razem, gdy czynność tę spełniała. Gdy dwoje wychowywanych przezemnie kociąt (mają dopiero trzy dni) postawię sobie na ręce w pozycji stojącej, stoją kilka minut nieruchomo, jakby ciepło ręki sprawiało im przyjemność; ponieważ jednak dotknięcie mojej skóry sprawia im inne wrażenie niż dotknięcie ciała matki, wkrótce więc ruszać zaczynają łebkami, okazują niepokój, czołgają się na niepewnych jeszcze nóżkach, próbują ssać to miejsce ręki, na które pyszczkiem natrafiają, a które огоłoconem będąc z włosów i ciepłem, mogło im przypomnieć brodawkę piersiową; ale ponieważ nic wyssać nie mogą, po niewielu więc bezużytecznych próbach, objawiają coraz to większy niepokój: czują, że nie są u siebie. Ta ręka drgająca pod ciężarem ich ciała, ustępująca pod ich łapkami a ruchem swoim zatrzymująca je w niewoli, nie jest znanem im ich własnem *at home*: tem łonem matki, miękkim, szerokim, gładkim i ciepłym, które jest razem ich lego-

wiskiem, jadalnią i ulubioną widownią budzącej się ich działalności; to też niebawem zaczynają żałować go, pożądać i piskiem upominać się o nie.

Te kilka faktów dowolnie zebranych, dowodzi nam bardzo wczesnego tak u dziecka jak i u zwierzątka ćwiczenia owej władzy fizycznej i umysłowej, niewłaściwie dawniej mianowanej skojarzeniem pojęć, a będącej tylko możliwością kojarzenia wszystkich czynności systemu nerwowego, bądź to z czynnościami należącymi do tegoż samego rodzaju, bądź ze zbliżonemi do siebie.

Pierwsze objawy czuciowości zwierzęcej świadczą wszystkie o tem, że umysł posiada zdolności kojarzenia i zlewania w całość szeregów jednorodnych wrażeń. Dziecię dwutygodniowe, które przed chwilą spało i któremu kazałem włożyć do buzi flaszeczkę napelnioną czystą wodą, ssało przez kilka minut, poczem zaczęło krzywić się, otwierać buzię, w końcu zaś rozplakało się. Toż samo dziecko, które leżało nie śpiąc na ręku matki, wziął na ręce wuj jego, ale choć je trzymał w takiej samej pozycji, dziecię wkrótce kwilić zaczęło.

Dziecko dwumiesięczne, które uśmiecha się już do mamki wiedząc, dlaczego to czyni, przyłożono do piersi innej mamce, a chociaż jego własna stała tuż obok, dziecię spokojnie z cudzej spiżarni posilać się zaczęło. Przykłady powyższe dowodzą, że wrażenia jednorodne do tego już stopnia skojarzyły się w jego umyśle iż je za każdym ich pojawieniem się poznaje i że mimo właściwej mu nieudolności porównywania, cierpi ono, ile razy ich nie znajdzie wtedy, gdy się znaleźć je spodziewa ¹⁾. Zjawisko to uwagi godne mianuje Spencer nazwą „całkowania wrażeń.”

„W chwili, w której barwa jest spostrzeżoną przy-

¹⁾ H. Spencer. Zasady psychologii.

łącza się ona nierozdzielnie nie tylko do całego działu wrażeń na zewnętrznej powierzchni zrodzonych i pozwalających się domyślać zewnętrznych bodźców, ale także do podziału wrażeń wzrokowych i do innego zaliczyć się już nie da. Dźwięk, skoro tylko za taki jest uznany, odrazu wpada w odrębne zbiorowisko wrażeń słuchowych, a największe wysilenie już go nie odłączy od tego specjalnego zbiorowiska. Mówiąc, że o zapachu nie można myśleć tak, jak się myśli o barwie lub dźwięku, mówimy tem samem, że kojarzy się on nierozdzielnie z poprzednio poznanymi i odczutymi zapachami." Z drugiej znowu strony współczesne a różnorodne wrażenia wzrokowe, słuchowe, dotykowe, oraz wrażenia smaku i powonienia, stanowią w ogólnym szeregu skojarzeń odrębne, z sobą zwarte grupy, „których pierwiastki połączone tajemniczymi węzłami, niby federacyą, żyć będą nadal wspólnie i za poruszeniem jednego z nich, zdolnym będzie powstać cały szereg ¹⁾."

Moich dwoje kociąt, od których matka odeszła dla wypicia podanej przezemnie filiżanki mleka, kręca się przez parę sekund na wszystkie strony, poczem uspokajają i przybliżywszy do siebie zaczynają usypiać. Wtem wraca matka, opiera zaledwie przednie łapki na brzegu pudła i nie dotknawszy ich nawet, leciutko wskakuje do środka. Kocięta podnoszą się natychmiast, jakby sprężyną podrzucone, wznosząc wysoko główki, które z boku na bok przechylają: odczuły one lekki szmer oraz wstrząśnienie sprawione przez matkę wskakującą do pudła, to jest innemi słowy wrażenia słuchowe i mięśniowe skojarzyły się w ich mózgu z pojęciem obecności matki a zapewne i z pojęciem ssania: bezwzględnie bowiem zabierają się do dzieła. Mając po półtora mie-

¹⁾ *Luyts*. Mózg i jego czynności.

siąca, też same kocięta poznawszy już smak surowego mięsa, rzucają się jedno po drugim na gałeczkę z czerwonego papieru, którą za mięso biorą i którą radeby zjeść; wrażenie wyraźnej, znanej im barwy kojarzy się zatem z pojęciem pożywienia oraz z ruchami chwytania i pochłaniania, które to ruchy kocięta wykonywają już odruchowo. Miesiąc mając zaledwie, nieprzymuszone i nieprowadzone nauczyły się chodzić do talerza, który całej rodzinie służy za water-klozet; sama woń tego naczynia automatycznie w nich wywołuje pewne ruchy zastosowane do potrzeb, których poczucie niezwłocznie im podsuwa; w trzy dni potem tak już do tego nawykły, że uczuwszy tego rodzaju potrzebę, z dalszej nawet odległości przychodziły do swego naczynia.

Trzy powyższe przykłady wystarczają, o ile nam się zdaje by dowieść, że u młodych zwierząt istnieje bardzo wyraźne skojarzenie wrażeń różnorodnych, ale współcześnie działających ¹⁾.

Dziecko pół pięta miesiąca mające siedzi na ręku u matki: mamka, wracająca po krótkiej nieobecności, przykładą usta do dziurki od klucza i pieszczotliwym głosem woła kilkakrotnie Pawełka; malec podnosi najpierw główkę, potem rozgląda się na prawo i na lewo; rzuca pytające spojrzenie na matkę, a mamka śmieje się i powtarza wołanie, wciąż nie pokazując się dziecku. Pawełek wytrzymać już nie może: wyciąga rączki, podskakuje z radości, z chęci ujrzenia mamki i ze zniecierpliwienia, wreszcie krzywić się zaczyna jak do płaczu, co widząc matka czempredziej przywołuje mamkę, aby oszczędzić dziecku niepotrzebnej przykrości. Dźwięk zatem głosu matki oraz śmiech jej wcześniej się łączą z pojęciem tej osoby, z przyjemnością jaką sprawia jej

¹⁾ Zobacz *Mes deux chats*.

obecność, z chęcią ujrzenia, jej z instynktownym ruchem pójścia do niej na ręce.

Niespełna czteromiesięczną dziewczynkę posadzono na chwilę na rękę wuja, który miał w dziurce od guzika śliczną różę, a który niezmiernie się zadziwił widząc, że dziecina wyciąga rączki i oburącz przyciska jego kamizelkę; po chwili zaś przyłożywszy usteczka do jego koszuli, wykonywa ruchy ssaniu towarzyszące: mamka przyznała się, że od kilku dni wychodząc z dzieckiem, kupuje bukiecik fijołków, który chowa za stanikiem; tutaj więc wrażenie węchowe kojarzyło się z pojęciem ssania oraz z odpowiednimi ssaniu ruchami. Skojarzenie wrażeń, wywołane wrażeniem dotykowym tak jest częstym i tak do sprawdzenia łatwym, że przykładów jego przytaczać nie potrzebuje: czytelnik przypomina sobie zapewne, że dotknięcie delikatnej ręki budziło u małego Tiedemanna pojęcie piersi i ssania.

Znajomy mi chłopaczek roczny skoro zobaczy, że ktoś ma w ręku kapelusz, lub jakikolwiek przedmiot choć trochę do nakrycia głowy podobny, natychmiast mówi: „haj-tu, haj-tu,” co znaczy, że pragnie aby go wzięto za rękę i poprowadzono na spacer. Raz bawiąc się na stole, wziął okrągłą jakąś serwetkę, położył ją sobie na głowie i wołać zaczął: „haj-tu, haj-tu.” Te same wymówił słowa widząc, że jedna z ciotek bierze do ręki parasolkę. Wyraz: „nima, nima” nieodłącznym mu się wydaje od pojęcia każdego przedmiotu tuż obok jego ósóbki upadającego, od wszystkiego co mu się z rączek wyśliznie, co sam rzuci lub wreszcie czego szuka, gdy mu się o tem przypomni a znaleźć nie może. Pewnego dnia wzięwszy moją rękę w obie rączki, gniótł ją w paluszkach, wykręcał na wszystkie strony: bawił się jakby zwykłą zabawką; poczem przyszła mu fantazyja rzucenia jej na ziemię. Odepchnął rękę i puścił

a powiedziawszy „nima” zaraz szukać jej zaczął na ziemi. Jeżeli mu dadzą kwiatek, wacha go przez kilka sekund i natychmiast innym wachać każe. Gdy w ogrodzie będąc idzie przez aleję, zaraz się schyla po pierwszą lepszą łodygę, chwytą i ciągnie do siebie a co mu z niej w rączce zostanie, natychmiast daje wszystkim do wachania. Na widok dymu, który z ust moich wychodzi, malec wykonywa bardzo zabawny ruch naśladowczy puszczanie dymu, W ogóle każdy dym bardzo go zajmuje: zawsze na jego widok powiada „haj-tu” a gdy obłoki dymu otoczą go ze wszystkich stron, spogląda na mnie z uszczęśliwioną minką i zaraz wykonywa ów ruch którego się nauczył od dziadka, a który zauważyłem już był u innego dziecka.

U małych dzieci odnajdujemy więc też same co u dorosłych rodzaje kojarzenia pojęć. Ze wszystkich związków skojarzenia tak starannie badanych przez psychologów, niema ani jednego, którego istnienia w zarodzie przynajmniej nie możnaby stwierdzić u dziecka mającego od sześciu do siedmiu miesięcy.

Można jeszcze rozpoznać w małym dziecku zaczątek pojęcia o związku zdarzeń poprzedzających z następującymi, który to stosunek jest podstawą pojęcia czasu. Jeżeli matka podchodząc do ośmiomiesięcznego synka wyciągnie do niego ręce i zatrzyma się na chwilę, malec także rączki wyciąga; jeżeli matka woła go, ale sama nie idzie, porusza on całym ciałem i niebawem krzyczeć zaczyna; jeżeli wreszcie matka zbliża się, dziecko ciągnie się naprzód jakby dla przyspieszenia chwili połączenia się z nią: ruch w pewnej odległości od niego i w jego kierunku rozpoczęty kojarzy się w jego umyśle z pojęciem dalszego ciągu.

Jedenastomiesięczne dziecko wtóruje świergotaniem mamce, gdy ta śpiewa na jakąś nutę bardzo pro-

stą, ale bardzo przez dziecię lubioną i śpiewaną mu od samego urodzenia: jeżeli mamka zatrzyma się w połowie piosenki, lub nawet po prześpiewaniu trzech czwartych jęj części, dziecko spogląda na nią z miną zadziwioną i milknie; jeżeli zaś mamka znowu podejmie przerwana na chwilę piosenkę, dziecię okazuje żywe zadowolenie. Podobne skojarzenia następujących po sobie wrażeń, do nieskończoności pomnożone przysposabiają tworzenie się oderwanego i ogólnego pojęcia czasu, które to pojęcie tak wolno urabia się u tych nawet dzieci, które się już nauczyły sztuki mówienia wyrazami.

Zaledwie świtać zaczyna, dziecko półroczne (gdyby nawet już przedtem podano mu butelkę) z głośnym krzykiem upomina się o nią, jak gdyby było zgłodniałe. Matka twierdzi, że dziecko odgaduje, iż to pora śniadania. Tak jednak nie jest, ale ukazanie się światła dziennego łączy dla niego z przyzwyczajeniem ssania i oto dla czego brzask ranny wywołuje w nim sztuczną potrzebę rannego posiłku. Tegoż samego rodzaju skojarzenia, a zatem początek konkretnego pojęcia czasu, zauważyć można w owym rzekomym instynkcie, działaniem którego bardzo nawet młode zwierzęta poznają — z innych niż apetyt wskazówek — godzinę posiłku panów lub przyjaciół swoich. Któż nie widział jak psy, koty, ptaki, bardzo akuratnie zjawiają się w porze posiłku w domach lub w ogrodach, gdzie zastają przygotowane pożywienie? Nie ulega wątpliwości, że owi pasożyty poznają chwilę, w której mają się stawić w swej gospodzie po znakach podobnych tym, jakie i nam służą do oceniania czasu. Wymowa ruchów dziecięcych niemniej wyraźnie nam objawia kojarzenie podobieństw. Dwiećmiesięczny chłopczyk siedzi naprzeciwko mnie w chwili gdy babka wymawia wyraz: *tata*. Dziecko uśmiecha się do babki, potem do mnie i wyciąga do

mnie rączki. Ma się rozumieć, że nawet na pierwszy rzut oka chłopaczek ten nie bierze mnie za swego ojca, ale nieokreślone jakieś podobieństwo, które z ojcem jego mieć mogę, rozbudziło na dźwięk wyrazu *tata* pojęcia, uczucia, czynności oddawna z pojęciem obecności ojca skojarzone i zniewoliły dziecię do przesyłania mi uśmiechów, do wyciągania ku mnie rączek, do wydawania radosnych okrzyków, do udzielania mi pieśczęt oraz domagania się ich nawzajem.

Mocą takiego to rodzaju skojarzenia dzieci uczą się bardzo wczesnie rozpoznawać na obrazkach osoby lub rzeczy dobrze sobie znane. Taine zaznaczył fakt powyższy w godnym uwagi artykule, w którym (na nieszczęście dla przedsięwziętego przez nas studium) mowa jest o dziecku poddanemu obserwacji dopiero od czwartego miesiąca życia. „Dziewczynka ta widuje codzień swego dziadka, którego portret ołówkiem robił, bardzo zmniejszony ale bardzo też podobny, nieraz jej pokazywano. Już od dwóch miesięcy prawie (w obecnej chwili ma 10 miesięcy) gdy ją prędko spytała: „Gdzie dziadzio?” uśmiecha się i obraca do portretu. Na widok zaś portretu babki, znacznie mniej podobnego mała nie okazuje ani ruchu żadnym ani uśmiechem iż wie, kogo portret przedstawia” ¹⁾.

Skutkiem takich właśnie podobieństw dziecko czyni nieraz porównania, które niejednokrotnie bierzemy za oderwane uogólnienia a które sprawiają, że mały gaduła zdaje się pleść bez przyczyny o tem lub o owem dla tego, że żywa niedoświadczona wyobraźnia wszędzie ukazuje mu znane w nieznanem, podobne w odmiennem. Za jej to jeszcze sprawą dziecko chwytą ży-

¹⁾ Revue philosophique. Styczeń. 1876 r.

niania jest zawsze jeszcze dość słabą; dla zupełnego bowiem wyćwiczenia jej potrzeba długiego doświadczenia, łącznie z prawdziwym postępem w sztuce władania mową.

L. Ferri, w bardzo zajmującym artykule „*Trzy pierwsze lata życia jednej dziewczynki*”¹⁾ wyraża zdanie, że u dziecka inteligencja istnieje i działa w zakresie odpowiednim stopniowi doświadczenia, którego dziecko nabyć jest zdolne przed wytworzeniem jakiego-bądź oderwanego pojęcia; że inteligencja ludzka, wtedy gdy podstawą jej są jedynie skojarzenia czuciowe człowieka i zwierzętom wspólne, polega głównie na działalności inteligencji t. j. rozróżnia i łączy, twierdzi i zaprzecza stosunkowi bądź to wrażeń, bądź rzeczy a nie ogranicza się tylko na biernem przyjmowaniu odpowiadających sobie skojarzeń. Ja również zdanie to podzielam i sądzę, że same już właściwości organizmu usposabiają dziecię do zmieniania niektórych doświadczeń chwili bieżącej mocą popędu, który — niby siła utajona — tkwi w narządziach dziecięcych, stanowiąc wynik poprzednio poczynionych doświadczeń. Wskazywało by to jedynie na większą lub mniejszą łatwość przystosowywania się młodziutkiej istotki do nowonabywanych doświadczeń, może nawet na konieczność powstawania w jej umyśle niektórych skojarzeń narzuconych tak przez samą naturę rzeczy, jak i przez właściwą budowę organizmu. W każdym zaś razie mniemam wraz z Tain'em, że skojarzenia pojęć wytwarzające się w umyśle dziesięciomiesięcznego dziecka nie przenoszą

¹⁾ *Filosofia delle scuole italiane* za Październik r. 1879. Zobacz sprawozdanie z tej pracy w *Revue philosophique*. Kwiecień r. 1880.

zakresu inteligencji zwierzęcej, a mniemam tak dlatego może iż stawiam inteligencję zwierząt wyżej niż Taine a nawet niż Darwin — przynajmniej w wyżej wzmiankowanym dziele. Przyrodnik angielski widzi bardzo wyraźną różnicę pomiędzy dzieckiem a najbardziej nawet inteligentnem, dorosłym zwierzęciem pod względem zdolności tworzenia skojarzeń wykształceniu zawdzięczanych oraz takich, które same z siebie powstały. Niemogę na to przystać! Czy pies, który słysząc słowo: *cukier* przybiega z głębi ogrodu, okazuje mniejszą zdolność kojarzenia pojęć niżeliszeście lub siedmiomiesięczne dziecko, które przechyla główkę na prawo i na lewo, gdy mu powiedzą: „Porusz główką”? Nie zdaje mi się.

Oto przykład dowodzący jak długo u niektórych zwierząt trwać mogą wspomnienia spowinowacone z sobą. „Pewnemu oficerowi podarowano turkawkę, bardzo troskliwie wychowaną przez osobę mieszkającą w Londynie. Nowy właściciel zabrał z sobą ptaka, który przez półtora roku nie był w Londynie. Gdy go po tym przeciągu czasu odniesiono napowrót dawnej pani, usłyszał głos jej nie widząc jeszcze osoby. Na pierwszy dźwięk znanego sobie głosu, turkawka zaczęła okazywać nadzwyczajną niecierpliwość i kręcić się po klatce z widocznem a silnem wzruszeniem”¹⁾.

Flozofowie często podnoszą kwestyę wpływu skojarzenia pojęć na uczucie. Tak na przykład: na sam dźwięk wyrazu „mama” dziecko się uśmiecha a usłyszawszy „tata” obraca się prędko aby zobaczyć tego, którego kocha miłością z niejakiem uszanowaniem połączoną. W ogóle, najsilniejszymi wydają się przyzwy-

¹⁾ Fr. Buckland: *Curiosities of natural history*.

czajenia oparte na skojarzeniach najczęściej się powtarzających. Zdarzają się jednak wypadki, w których z bardzo żywego wzruszenia rodzi się nagle skojarzenie i za niem w ślad idące nawyknienie trwałe. Locke opowiada o dziewczynce, którą matka kilka razy uderzyć musiała dla wykorzenienia złych nawyknień przy mamce nabytych. Kara ta przez jeden dzień tylko wymierzana, okazała się dostateczną, aby dziecko od złego odzwyczaić.

Łatwo zrozumieć, że wrażenia przykre wywierają na moralne nasze nawyknienia wpływ szczególnie silny a żywości tychże wrażeń odpowiedni. Ztąd wypływa konieczny dla wychowawców obowiązek oszczędzania dziecku—o ile to jest możebnem—widoku przerażających wypadków, oraz (co zawsze jest możebnem) oszczędzania mu strasznych wrażeń, jakimi je przejmuje opowiadanie fantastycznych bajek.

Aby dobrze zrozumieć mechanizm myśli dziecka i umieć w każdej chwili wytłómaczyć sobie jego ruchy, czynności lub słowa, nie należy zapominać o tem prawie kojarzeniem pojęć rządzącem, mocą którego wspomnienie przechodzi kolejno kulminacyjne punkta całego szeregu pojęć: rodzaj to skróconego działania, po którym nastąpić może szczegółowe rozwijanie pośrednich lub podrzędnych szczegółów. Skłonność umysłu pozwalająca dorosłym a zwłaszcza uczonym tworzyć sztucznie powiązane szeregi pojęć, objawia się u dziecka sama przez się, co znaczy, że do pewnego przynajmniej stopnia wyśledzić można jej powstawanie. Z pomiędzy tysiąca jeden tu przykład przytoczę: Pewna pani udała się w odwiedzin do przyjaciółki z dzieckiem mającym dwa lata i cztery miesiące. Chłopczyk obojętnie wszystkie kąty salonu, skorzystał z otwartych drzwi, aby zająć w korytarzyk prowadzący do przyległego po-

koju, a że i te drzwi stały uchylone, wszedł zatem. Ale zrobiwszy kilka kroków potrafił krzesło i hałasem zbudził pana domu, który zmęczony czy nie zdrow może, położył się w ubraniu i w szlafmocy. „Kto tam?” — zawołał nagle hałasem zbudzony. Nagłe ukazanie się tego niespodziewanego a dziwnie wyglądającego zjawiska niewypowiedzianie przeraziło malca. Wybiegł czempredziej z pokoju, przytulił się do matki i zaczął ją ciągnąć za suknię, jakby nakłaniając do odejścia. Wkrótce potem wyprowadziła go matka a chłopczyk przez całą drogę opowiadał, że się zląkł „Pierrot'a,” który leżał w łóżku i strasznie wyglądał ¹⁾.

Ze trzy miesiące upłynęło zanim owa pani przyszła odwiedzić matkę chłopczyka. Ujrawszy ją malec zapytał nagle: „A jak się ma Pierrot? Czy jeszcze śpi w łóżku?” Przybyła odpowiedziała, że Pierrot śpi nie w łóżku, ale na szczebelku w swojej klatce. — „Czy Pierrot bardzo zły? Tak-em się go przeląkł!” Tej pani zdawało się ciągle, że chłopczyk mówi o jej wróblu, powiedziała mu więc innym razem: „Pierrot nie żyje.” „Więc nie leży już w łóżku?” spytał chłopczyk. Pani sądziła ciągle, że mowa o ptaszku, który niedawno zakończył życie; dopiero matka chłopczyka parsknąwszy śmiechem, wytłumaczyła jej, o co chodzi. Oto wybitne fakta w tem skojarzeniu obrazów i pojęć tak dla dziecka strasznem: ze wspomnieniami kulminacyjnymi wiązało się mnóstwo innych, które bez związku chłopcykowi na myśl wracały, ilekroć mówić zaczynał o tym strasznym Pierrocie.

¹⁾ Dla zrozumienia niniejszego ustępu objaśnić należy, że Pierrot'em nazywają francuzi zarówno wróbla jak i poliszynela, który w szlafmocy na głowie występuje w teatrze marionetek. (Przyp. tł.)

Z kolei przystępujemy do bardzo ważnego pytania: czy cofanie się pojęć równoległe do szeregu wrażeń łatwiej się i naturalniej dokonywa niż to, które się odbywa w kierunku odwrotnym? Mojem zdaniem, ten sposób wiązania pojęć jest przedewszystkiem sztucznym, nie jest wszakże jednakowo łatwym, a przynajmniej zwykłym dla wszystkich umysłów, pominąwszy nawet nierówności inteligencji. Jeden z przyjaciół moich, człowiek uczony i bez zaprzeczenia wyższym umysłem obdarzony, takie w tej kwestyi pisał mi uwagi: „Pamiętam, że — podług Taine’a — pamięć odtworzyć może pojęcia w porządku wręcz przeciwnym temu, w jakim one następowały po sobie objawiając się po raz pierwszy. Taine podaje za przykład przebytą drogę, twierdząc, że wszystkie wydarzenia zaszły w podróży uprzytomnić sobie można w porządku wręcz odwrotnym temu, w jakim one po sobie następowały, to jest: od chwili przybycia na miejsce do chwili wyruszenia w drogę. Błąd to oczywisty. Próbowałem to czynić i przekonałem się, że w szeregu przedmiotów lub wrażeń: a, b, c, d, e, f, ilekroć chciałem przejść od f do poprzedzającego przedmiotu, musiałem szybkim, ale dającem się przecieżyć pochwycić działaniem myśli wyobrazić sobie, że przed dojściem do f doszedłem do e lub nawet do d. Ażeby przejść od e do d, musiałem pierwej wywołać w pamięci c lub nawet b. I tak nauczywszy się na pamięć kolejnego następstwa stacy od Bordeaux do Morcenx, z niemałym wysiłkiem ułożyłem w pamięci stacye w odwrotnym porządku: od Morcenx do Bordeaux i to jeszcze zdołałem to uczynić jedynie uprzytomniając sobie po kilka chociażby nazw w porządku prostym.” Wynik podobny zadziwił mnie u człowieka nauki i przywykłego do używania metod, któremi się dziś posługują nauki przyrodnicze. Mamże wnioskować ztąd,

że brakło mu wprawy czy też zdolności do działania, o którym tu mówią? Bardzo być może, iż niektóre umysły z natury już większą do niego mają łatwość. Co się zaś przyjaciela mego tyczy, to doświadczeniem stwierdziłem, że działanie to było dlań o tyle trudnem, o ile łatwem jest dla mnie. Przekonałem się o tem mówiąc o drodze, którą obaj znaliśmy wybornie od dzieciństwa; na długości dwóch mil dzielących wieś od miasta, wyliczyłem tak w prostym jak i odwrotnym porządku wszystkie drożyny, z prawej i z lewej strony do gościńca przytykające. Przyjaciel mój popełnił kilka omyłek, gdy trzeba było wyliczyć je od punktu wyjścia, byłby się jednak daleko więcej mylił, gdyby mu przyszło wykazać je w odwrotnym porządku. Zdolność podobna będąca głównie nabytą (o czem jestem przekonany), ale mniej lub więcej przez przyrodę nam udzieloną, musi być niezmiernie słabą u dziecka. Jest-że dlań jednak w pierwszych miesiącach życia obcą zupełnie? Nie mam żadnego na to dowodu.

Jedność duchowego życia naszego zasadza się na kojarzeniu, które łączy naturalnym węzłem różnorodne życia tego zjawiska; kojarzenie przyczynia się do kształcenia charakteru dziecka, sądów jego, przyzwyczajień i moralności. Ułatwiając umysłowi kolejne zstępowanie lub wstępowanie (pod wpływem woli szczególnie) po łańcuchu pojęć i uczuć, podaje ono dziecku łatwy sposób systematycznego ćwiczenia pamięci, sprawdzania jej nabytków i zdolności, ułatwiania działań i prostowania zbroceń. Co bądź jednak zrobimy, nigdy nie uda nam się poznać więcej nad ograniczoną liczbę kojarzeń swobodnie dokonywających się w umyśle dziecka, nigdy wszystkiemi kierować nie potrafimy. Przedewszystkiem chodzi nam o wiadomość, że ze skojarzeń takich możemy w umyśle wykryć a nawet wywołać wielką ilość

i to głównych, zasadniczych, takich które są najwidoczniejsze, najzwyczajniejsze, i że tym sposobem możemy—dowoli niejako — poruszać sprężynami ukrytymi w tajnikach ducha tych młodziutkich istotek.

Nie należy mniemać z Fenelonem, że dość jest rozbudzić ciekawość dziecka i nagromadzić w jego pamięci zasób materyałów, które — we właściwej porze — same z siebie połączą się w całość, gdy mózg więcej już rozwinięty pozwoli na przeprowadzenie ściślejszego ciągu rozumowania. Przebierać trzeba wrażenia, których wniknięcia w umysł dziecka pragniemy, ale należy też uczynić wybór wrażeń, które wywołać w niem chcemy oraz łączników, które radziłybyśmy przeprowadzić pomiędzy temi a innemi spostrzeżeniami, lub uczuciami i czynnościami dziecka. Im starszem jest dziecko, tem mniej liczyć należy na tę siłę, mocą której prawdziwe pojęcia, właściwe uczucia i użyteczne popędy łączą się same z siebie w logiczne i trwałe skojarzenia. Dla dziecka łączność wszelka logiczną jest i moralną przez to samo już, że istnieje. Trzeba więc pilnie i od pierwszych chwil życia czuwać nad temi, które się tworzą a nadzorowi naszemu podlegają. Dla czegoż zdaje nam się nieraz, że zwierzęta domowe (o ile uniknęły tresury i o ile idą za popędem ustrojowi swemu wrodzonym a skombinowanym z bezpośredniem działaniem przedmiotów zewnątrznych) dają dowody trafniejszego i subtelniejszego sądzenia o rzeczach, o których wiadomość jest im pożyteczną, niżby je dała większa część ludzi, znajdujących się w tych samych warunkach? Oto dla tego, że instynkt każdego gatunku oraz rozwój instynktu w każdej jednostce odmienny, ulegają naśladowaniu i wykształceniu mniej niżeli osobistemu doświadczeniu, temu zaś mniej niżeli doświadczeniu dziedzicznemu; przez doświadczenie rozumieć tu należy skojarzenia

ściśle z sobą zwarte i działające na bardzo ograniczonym polu. Logika ich jest może ciaśniejszą od naszej, zamyka się w szczupłej bardzo sferze stosunków ale swobodnie się w niej porusza: opartą jest na naturalnym związku rzeczy, na skojarzeniach istotnie z doświadczenia powstałych. Pod wieloma względami to samo powiedzieć można o dzikich. Wyższość jaką oni mają nad nami, zasadza się nietylko na zaostrzeniu zmysłów i specyjalnem przystosowaniu się do warunków otoczenia, ale jeszcze na sądach ograniczonych wprawdzie lecz na doświadczeniu i użyteczności opartych, które wydają oni o tem co im pod zmysły podpada. Nietylko bowiem niektóre z ich zmysłów, jak naprzykład wzrok i słuch dalej od naszych sięgają, ale jeszcze życie samo codziennie ich stawia wpośród okoliczności mogących—dzięki często powtarzanym skojarzeniom—wyćwiczyć i rozwinąć w nich sądy ze zmysłowych postrzeżeń wypływające.

„Tam gdzie Europejczyk żadnej nie dostrzeże wskazówki, Ara-Ouak (powiada Hillouse) wskaże ślady bytności większej lub mniejszej liczby czarnych, powie dokładnie dzień ich przyścia a nawet i godzinę—jeżeli tego samego dnia przechodzili. A obok tej subtelnej spostrzegawczości dziki posiada jeszcze wrodzoną a bardzo wielką zręczność w wypełnianiu czynności prostych, bezpośrednio od postrzeżenia zawisłych”¹⁾. Taki to jest wynik stałej i szczegółowej obserwacji ograniczonej liczby przedmiotów. Należy więc uczynić za dziecko wybór doświadczeń, czego ono samo dokonać by nie potrafiło i to nietylko w celu stopniowego rozwijania zmysłowych władz gatunku naszego aż do postawienia

¹⁾ H. Spencer. *Zasady Socjologii*.

ich na stopie równości z takimiż władzami dzikich i niektórych zwierząt, ale także w celu rozwijania wraz ze zdolnością spostrzegawczą, zdolności wydawania sądu i zdolności właściwego postępowania.

Mało naraz widzieć ale widzieć dobrze i często, oto na czym polega sztuka kształcenia i zapewniania zarazem umysłu dziecka.

2. Wyobraźnia.

Wyobraźnia odtwarzająca czyli reprodukcyjna, t. j. odtwarzanie żywych wrażeń, obrazów, kształtów, dźwięków, barw, przedmiotów, osób, miejsc, które nas żywo uderzyły, działać już poczyną w pierwszych dniach życia. Dziecko, które miesiąc mając zaledwie, z małej bardzo odległości poznaje pierś matki i żywo jej pożąda daje przez to dowód, że widok piersi robi na niem wrażenie i że obraz ten wyrzył się głęboko w jego pamięci.

Dziecko, które mając trzy miesiące, obraca się gdy usłyszy śpiewanie ptaszka, albo szuka oczyma klatki, gdy kto przy niem wymówi wyraz „pta-ptą,” utworzyło już sobie żywy bardzo obraz tak ptaszka jak i klatki. Wyobraźni to działaniem także dziecko troszeczkę młodsze okazuje radość na widok mamki ubierającej się do wyjścia albo matki trzymającej parasolkę: wyobraża ono sobie wtedy przechadzkę na świeżem powietrzu. Gdy siedmio lub ośmiomiesięczne już dziecko oszukamy, dając mu zamiast ciastka kawałek chleba, a ono natychmiast się na tem poznawszy, z gniewem chleb rzuca na ziemię, daje tem samem dowód, że obraz ciastka wyrzył się bardzo jasno w jego umyśle. Gdy wreszcie na widok jakiegokolwiek mężczyzny zaczyna wymawiać wyraz: „tata” znak to, że w wyobraźni jego

utrwały się już należycie ogólne cechy składające postać „taty.”

Ów silny a niczem nieusprawiedliwiony przestach, który się tak u dzieci jak i u małych zwierząt objawia, bywa u jednych i u drugich niezawodną wskazówką działania wyobraźni. Można-ż bowiem czem innem wytłómaczyć owe sny, raptowne wzdrygania się, krzyki, płacze, uśmiechy, owe ruchy mające na celu pochwycenie jakiegoś przedmiotu lub gwałtowne odepchnięcie go, które zauważyć można u śpiącego trziesięcnego dziecka, a które są przypomnieniem ruchów, większą siłą wykonywanych przez dziecko na jawie pod wpływem bojaźni, bólu, głodu, pożądania, radości? Przypuszczać należy, że wspomnienie przedmiotów znanych już dziecku wraca mu na myśl i w dzień, gdy duchowe jego władze czynności swoje spełniają, wspomnienia te wracają jednak w postaci raczej pobudki do zestawienia podobieństw i różnych od siebie uczuć, niż jako obrazy żywo w umyśle zarysowane. Podczas krótkich chwil czuwania, uwaga dziecka nieustannie jest zaprzątnięta, nie ma więc ono ani tyle czasu, ani tyle wolnej myśli, ile jej mają dorośli aby mogło odtwarzać w wyobraźni wspomnienia lub marzyć na jawie. I tak półtrzeciomiesięczne dziecko od dziesięciu minut przez ojca na rękę trzymane, szybko i z widoczną radością wyciągnęło rączki do nadchodzącej matki. Czyż liczne wrażenia, któremi ojciec starał się zabawić je podczas nieobecności matki, utrudniły mu możliwość myślenia o niej i wyobrażania jej sobie? Na szczęście dla spokojności umysłu dziecka i dla delikatnego jego zdrowia rzadko bywa ono zostawionem samo sobie.

Z pokoju swego słyszałem nieraz krzyczące w korytarzu dzieci, których matki (żony robotników) zmuszone były wyjść z domu na parę godzin: słowa, które w dzie-

więciu, dziesięciu lub jedenastu miesiącach wymawiają, rozpaczliwe ich wołania „mama” wskazywały dokładnie, jakiego rodzaju obrazy i uczucia pojawiają się w ich umyśle i rozdzierają im serce; tymczasem zaś osamotnione tak samo przed kilkoma miesiącami nie umiały jeszcze one wyrazić zmartwienia swego i żalu. Jeżeli wyobraźnia dziecka pracuje podczas czuwania, to mieć możemy, iż podczas snu jest ona jeszcze czynniejszą i chwila to, podług mnie, najbardziej sprzyjająca umysłowej pracy małych dzieci, pracy często powtarzanej, spokojnej, której ważność zawsze prawie znajduje się w prostym stosunku do widocznego spoczynku całego ciała. Wtedy to pod okiem mniej lub więcej czujnej świadomości, w brzemiennych świeżemi wrażeniami włóknach mózgowych, do których w niezbyt odległych od siebie przerwach krew napływa i co chwila rozbudza życie, snu paraliżem nie zupełnie zdrętwiałe, wtedy to, mówię, wracają do życia te halucynacyjne wrażenia bezprzedmiotowe i nieokreślone, te reminiscencje tak żywe, te niezliczone skojarzenia, przebliski abstrakcy i uogólnienia — te zestawienia do porównań prawie podobne, te wreszcie sądy i rozumowania obiektywną postać przybierające.

Zbadajmy teraz przechodzenie wyobraźni reprodukcyjnej w wyobraźnię produkcyjną, zwaną także inaczej poetyczną lub twórczą. Skoro tylko myśli przestają się szykować w tym samym porządku, w którym powstały w umyśle, skore zajdzie w nich jakakolwiek zmiana — chociażby tylko usunięcie jednego ogniwa z łańcucha skojarzonych z sobą obrazów, wtedy już twierdzić możemy iż powstaje pewna — że tak powiem — sztuczna mieszanina umysłowa, pewna zmiana pojęcia rzeczywistości, pewien wytwór wyobraźni produkcyjnej. Ta swobodna kombinacja obrazów sama z siebie powstaje

u dziecka, a czyż to samo nie zdarza się najczęściej u dorosłego człowieka, którego nawiedza tyle natchnień niespodziewanych? Mały Tiedemann, pięć miesięcy mając, „odgadywał” jak powiada ojciec, wyjście na przechadzkę, które mu tyle przyjemności sprawiało. Biograf dziecięcia widzi w tem tylko skojarzenie pojęć, ale jest tu coś więcej jeszcze: obok sądu, którego wyraz „odgadywał” domyślać się pozwala, można tu wysledzić co najmniej żywe bardzo pojęcia niektórych wspomnień z myślą o przechadzce związanych. Pojęcie to dostarcza umysłowi dziecka całego szeregu radosnych obrazów.

Przypuśćmy, co jest zresztą prawdopodobnem, że pojęcie to pozostaje podczas czuwania w ścisłym związku z postrzeżeniem o rzeczywistości. To wszakże pewna, iż podczas snu kapryśna ruchliwość pojęć wprowadzi do tych obrazów rzeczywistości fantazyjne szczegóły, fantazyjne okoliczności i również fantazyjny ich układ. Niektóre szczegóły przybędą, inne natomiast znikną, a czas, miejscowości i przedmioty ulegną tyśiącznym nieprzewidzianym przekształceniom. Wrażenie rzeczywistości stanie się dla śpiącego dziecka fikcyjną rzeczywistością.

Postarajmy się wyobrazić sobie zjawiska zachodzące w umyśle dziecięcym podczas snu, a wnioski dotyczące niemówiącego jeszcze dziecka, oprzyjmy na przypuszczeniach, które tworzyć nam pozwala porównanie dziecka nie mówiącego z tem, które mówić już umie.

Dziecko przespało się kwadransik: pierwszy ten sen poświęcony wypoczynkowi narządów bardzo był głębokim; napływ krwi do mózgu spowodowany wewnętrzne jakiemś zaburzeniem budzi dziecię, które ukołysane przez mamkę znowu po paru minutach za-

sypia. Ponieważ pierwszy ów sen wynagrodził już potroszę ubytek sił organicznych, ten powtórny jest lżejszym i więcej sprzyja śnieniu. Niewyraźne wrażenia przez nerwy obwodowe mózgowi przekazane, wywołują wracanie do życia pojęć i oto zaczyna się ruch skojarzenia i rozrywania obrazów. Aby rozbudzić działanie wyobraźni, aby sny u dziecka wywołać, dość na to muchy, która mu na buzi usiadzie, dość jednego poruszenia osłaniającej je firanki, dość wrażenia sprawionego dotknięciem pieluszek lub odzienia, dość promienia światła, który musnął zamknięte jego powieki, jakiegobądź hałasu w domu lub na ulicy, kichnięcia mamki, które do świadomości jego dojdzie, jakiegoś wrażenia mięśniowego spowodowanego automatycznym poruszeniem, lub innego wrażenia powstałego w głębi narządów życia roślinnego, dość wreszcie najmniejszej okoliczności niezależnej od samoistnego życia mózgu. Wnet pamięć przypomni dziecku jakiś szczegół, który w ciągu dnia najsilniej zwrócił jego uwagę, na przykład zieloną ławkę, na której mamka z nim siedziała oraz cały szereg obrazów z tymże obrazem skojarzonych: wysokie drzewo o gałęziach wiatrem kołysanych; szmat błękitnego nieba z płynącą po niem piękną chmurą; białą i miłą twarzyczkę dziecka, które je pocałowało, dawało mu do rączki swoje zabawki i wykonywało różne zabawne ruchy; następnie psa białego w kasztanowate plamy, który oparł łapy na sukience dziecka i lizał je po buzi; potem znowu człowieka czerwono z błękitnem ubranego, którego ogromny pałasz głośno dzwonił po bruku; potem jeszcze tak samo wyglądającego człowieka, który bijąc w bęben szedł aleją; konia, który galopem w tę samą stronę pobiegł, a za nim kilku ludzi także czerwono z błękitnem ubranych, którzy nieśli na ramieniu długie, błyszczące jakieś kije; wreszcie wóz

ciężki hałaśliwie po bruku turkocący i brzydką ale uśmiechniętą kobietę, częstującą smacznymi ciastkami, które miała w koszyku. Przypuszczamy, że wszystkie te wybitniejsze zdarzenia zaszły podczas przechadzki wracając do umysłu kolejnym porządkiem wrażeń w rzeczywistości doznanych. Odtworzenie jednak tychże wspomnień (przy pomocy złudzenia hypnotycznego) ułożyło je w obraz, w którym odmalowały się one nie kolejno lecz jednocześnie. Ten wzgląd chociażby stanowi już bardzo ważną modyfikację wprowadzoną przez wyobraźnię do wspomnień rzeczywistości. Aby znowu to skojarzenie pojęć zmodyfikować, dość nowej podniety z zewnątrz przybyłej lub wewnątrz zaszłej, która wiąże w mózgu wspomnienia dawniejsze z obecnymi, rozdziela to co stanowiło jedność, łączy to co było rozdzielone, kojarzy dziwaczne nie licujące z sobą pojęcia: i oto wyobraźnia odtwarzająca ustąpiła już miejsca twórczej.

Gdyby wrażenia senne były wiernem odbiciem wrażeń rzeczywistości, z kądeby pochodziły owe gwałtowne wykrzywiania twarzy i wykręcania członków, ów śmiech niepoohamowany, owe pozy zachwyty lub krzyki przenikliwe, owe drgania, na które tak przykro patrzeć, będące oczywistymi oznakami natężonych wrażeń i wzruszeń? Z kądeby one pochodziły, skoro rzeczywistość której wspomnienie tworzy osnowę marzeń sennych, nie wywoływała w dziecku podobnych objawów? Musiała zatem w mózgu jego złudzeniom podległym zajść znaczna zmiana, za sprawą której przekształciły się rozmiary obrazów oraz wzajemny ich stosunek.

I tak na przykład: miejsce łaszącego się psa zajmuje teraz ogromny koń, który rżąc przeraźliwie przybliża olbrzymie chrapy do twarzyczki dziecka; ciastko, którego kawałeczek schwycił był piesek, połyka teraz

koń, który unosząc mamkę i dziecko pędzi z niemi w stronę turkocącego głośno wozu i t. d., dopóki przestrach nie dojdzie do najwyższego stopnia a dziecię rzuciwszy się gwałtownie, nie obudzi z głośnym krzykiem. Ale na wpół rozwarte oczęta spostrzegają jakby w sennem jeszcze widzeniu łagodną twarz mamki, która je kołysze, szepcąc mu do uszka słowa kojących pieszczot. Czar znowu działać zaczyna: dziecię usypia i dalej śni sen z wesela i radości utkany i znowu widzi zieloną ławkę, i dzieci białe, błękitne, różowo poubierane, i żywe ich oczy, i gładkie jak atlas twarzyczki i srebrzyste ich głosiki znów słyszy. A jest przytem i dane dziecku ciasteczko, i to, i owo, i tamto wedle zachcenia kapryśnej tej wróżki, która się skojarzeniem pojęć nazywa. Taką jest zaczątkowa działalność wyobraźni twórczej.

Sny—to poemata tworzone przez dziecko, które na jawie nawet zawsze jest potroszę poetą. Ileż to dziwnych dramatów, wesołych komedij, błyskotliwych sianek lub ponurych elegij nawiedzało mózgi przyszłych poetów w kołysce śpiących! Ileż to być może pomysłów, bezwiednie przypominają oni sobie w późniejszym wieku sądząc, że wymyślili nader sztuczne kombinacje myśli! Zarówno u śpiącego dziecka jak i u dorosłego, to co zwiemy wyobraźnią twórczą zasadza się na rozdzielaniu lub na zbliżaniu, na skracaniu lub rozszerzaniu, na zmniejszaniu, na powiększaniu aż do przesady, na tysiącnie różnorakiem przedstawianiu i zestawianiu postrzeżeń, sądów i rozumowań dawniejszych, z których to materyałów wznosi się świat wewnętrzny, zupełnie od zewnętrznego różny, choć na podobieństwo jego stworzony.

W stanie czuwania działalność tej władzy w nader różnorodny sposób się objawia.

3.

Każdy zmysł ma swoją wyobraźnię. Psychologowie zauważyli jednak, że zmysł wzroku dostarcza sam przez się najwyraźniejszych i najżywszych może obrazów. Słuch cieszy się tym samym przywilejem. „Słuch bowiem i wzrok grają w życiu naszym daleko ważniejszą rolę niżeli smak i powonienie: nieustannie używane, do najrozmaitszych posług, zmysły te rzadko bywają bezczynne. Dodajmy, że postrzeżone przez nie wrażenia udzielają się nerwom liczniejszemu, delikatniejszemu wyraźniejszym i prawidłowiej rozgałęzionym w substancji mózgu”¹⁾. Zresztą obrazy wzrokowe i słuchowe przeważają w umysłowości tak zwierzęcia jak i człowieka w stanie spoczynku lub względnej bezczynności myśli jak np. podczas marzenia i podczas snu naturalnego lub hypnotycznego. Słusznie powiada Richet, że we śnie magnetycznym „mózg traci władzę, którą obejmuje mlecz pacierzowy;” to też jedną z najcharakterystyczniejszych cech takiego uspienia stanowi automatyzm obrazów, połączony z automatyzmem ruchów. Dziecko znajdujące się w zwykłym stanie, nie różni się od człowieka wypadkowo uspiętego; tak u jednego jak u drugiego ośrodki nerwowe mało są czynne i mało zrównoważone; nie dziw więc, że wyobraźnia dziecka ulega z zewnątrz przybywającym—a najżywszym i najliczniejszym—podnieciom wzrokowym. Zwyczajny stan dziecka jest stanem snienia na jawie.

Ciekawe są wyniki studyów Galtona, dotyczące odbijania się w umyśle obrazów wzrokowych. Wyka-

¹⁾ Joly: *Cours de philosophie*.

zały one, że wrodzone różnice usposobienia umysłowego wynikają z różnicy ras, płci i wieku. Zdawało by się rzeczą pewną, świadectwem samychże uczonych popartą i stwierdzoną, że „odbicie się obrazu wzrokowego prawie dla nich nie istnieje i że wyrażenia tego używają poprostu jako przenośni.” Natomiast „wypytując kobiety dzieci i ludzi w wielkim świecie żyjących — przekonał się Galton — że posiadają oni wewnętrzne widzenie przedmiotu bardzo wyraźne i bardzo obrazowe.”

Obraz wzrokowy jest więc bardzo żywy u dziecka a tem żywszy, im dziecko jest młodszem. Dowiedziona także jest rzeczą, że barwa łatwiej się odbija w wyobraźni niżeli kształt (szczególniej u dzieci) i że ta zdolność znika wcześniej niż zdolność odtwarzania w wyobraźni kształtu. Są to wszystko pewniki niezmiernej wagi, ułatwiające zrozumienie zdolności dziecka i kierowanie niem, zważywszy, że wyobraźnia bierze zawsze udział w innych zjawiskach życia duchowego a u dziecka nawet nad niemi przeważa.

Wyobraźnia odtwarza także, z wielką nieraz siłą, postrzeżenia dźwięków. Głos ludzki lub zwierzęcy, klaśnięcie z bicia lub turkot powozu, dźwięk dzwonu, hałaśliwe akordy orkiestry ścigają nas wtedy jeszcze, gdy w około cisza już zapadła. Pamiętamy słyszana niegdyś melodyę; śpiewając solfedžia, mamy w uchu każdy z tonów składających gamę; muzyk tworzy z głowy a strojąc swój instrument, dźwięki jego porównywa z temi, które w wyobraźni słyszy. Zdaje nam się także, że słyszymy wyrazy, któremi myśl naszą wyrażamy tak dalece, iż niepodobna nam prawie myśleć bez słów, które to zjawisko filozofowie oznaczają mianem *mowy wewnętrznej*. Wyobraźnia słuchowa, mniej lub więcej stosownie do organizmu dziecięcego rozwinięta, ważną gra rolę w umysłowym rozwoju, w postępach myśli,

uczuć, zmysłu estetycznego oraz pojęć moralnych. Znajdziemy sposobność pomówienia o tem raz jeszcze.

Każde wspomnienie przypuszczać każe istnienie obrazu mniej lub więcej żywego, nie zdołalibyśmy zatem rozpoznać smaku ani zapachu, gdyby zmysły smaku i powonienia nie miały także swej wyobraźni. Nie ulega wątpliwości, że przedstawiamy sobie dany smak lub zapach w ten a nie w inny sposób. Jeżeli smakosz wystawia sobie w wyobraźni smak potraw oraz ich zapach, to przed obiadem jeszcze doznaje on rozkoszy z jedzenia dlań płynącej; każdemu z nas myśl o gorzkim lekarstwie sprawia niesmak a na myśl o ulubionym przysmaku „ślinka nam do ust idzie” jak to pospolite ale trafne określa wyrażenie. Wspomnienie wrażeń węchowych, jakkolwiek zazwyczaj nie bardzo silne, bywa czasem jednak dość żywym, abyśmy zdołali wyobrazić sobie, iż wrażenia takiego w istocie doznajemy. Ludzie posiadający węch delikatny, zawczasu się lubują wonią ujranej róży albo bukietu fiołków, który kupić zamierzają. Wykazaliśmy, że ten rodzaj wyobraźni działa nieraz umysłowo i czuciowo u niektórych bardzo jeszcze małych dzieci, skoro mogą z odległości poznać pierś mamki a innej znów piersi brać nie chcą.

Istnieje też niezawodnie wyobraźnia dotykowa również jak wyobraźnia mięśniowa i termiczna. Wyobraźni dotykowej dowodzi przykład ślepych od urodzenia, którzy bez pomocy wzroku przedstawiają sobie na zewnątrz istniejące przedmioty, czytać mogą wypukłe głoski, mają własne wymiary dotykowe i przedstawiają sobie postacie dotykalne, tak jak my przedstawiamy sobie widzialne ¹⁾.

¹⁾ Diderot: *Lettres sur les aveugles*.



Te trzy rodzaje wyobraźni, które powierzchowni badacze za jedno zawsze biorą a mianowicie za wyobraźnię dotykową, silnie są czynne w pierwszych już dniach życia. Poświęciliśmy im kilka uwag w rozdziale o wrażeniach czuciowych i postrzeżeniach wrażeniowych. Teraz przypomnimy tylko rodzicom i wychowawcom, jak niezmiernie wrażliwym jest dziecko na różnorodne wrażenia, o których mówimy. Trzymiesięczne dziecię rozróżnia już osoby po sposobie w jaki każda z nich dotyka je, pieści trzyma i nosi. Mając pół roku, działaniem wyobraźni zdaje już ono sobie sprawę z lekkich skojarzeń, którym podlega, ze stosunku jaki zachodzi pomiędzy skarceniem a tą lub ową osobą i z przedmiotów za narządzie kary służących. Niektóre dzieci odchodzą prawie od zmysłów na widok doktora, który je leczył. Chociaż trafiają się dzieci na uderzenia mało czule a nawet zupełnie nieczule, to jednak większość niezmiernie i słusznie jest na nie wrażliwą. Ktoby wątpił o silnych skutkach wyobraźni dotykowej, niech przeczyta wspomnienia z lat dzieciennych człowieka, dziś prawie starego, który jeszcze nie wybaczył matce otrzymywanych niegdyś kar cielesnych.¹⁾ Wrażenia mięśniowe i dotykowe zostawiają głębokie ślady w wyobraźni dziecka: są one źródłem, z którego płynie znaczna część drobnych smutków i wielkich radości dziecięcych. Powiedzieliśmy to już gdzieindziej, teraz zaś przypomnamy to tylko²⁾. Dodajmy jeszcze, że u dzieci od pięciu kwartałów do lat trzech, często spostrzedz można niewytłomaczone jakieś a nadmierne podniecenie wyobraźni dotykowo-mięśniowej; czują one potrzebę przy-

¹⁾ Jakób Vingtras: *L'enfant*.

²⁾ *L'éducation dès le berceau*, roz. III.

ciskania się do przedmiotów, do zwierząt i do osób. „Duśmy się“ mówiło dwuroczne dziecko do miłej mu osoby, ściskając ją z całych sił. Jest-że to swawola, czy nadmiar sił żywotnych, czy też bezwiedny i bezładny poryw uczuciowości?

Wpływ uczucia na wyobraźnię oraz wyobraźni na uczucie jest zjawiskiem tak znanem i tak często zbliżającym dziecię do człowieka dorosłego, że nie widzę potrzeby kłaść nacisku na istnienie takich wpływów u dziecka. Przywiązania swoje, uczucia, namiętności, pożądania, obawę, wstręt, miłość, przyjemność w każdej chwili wciela ono w osoby i zwierzęta, uosabia w tworach martwych, widzi je przed oczyma skupione w szeregi obrazów wypukłych, urozmaiconych, zmiennych, czasem związku z sobą nie mających, zawsze prawie fałszywych i przesadzonych, często strasznych lub zachwycająco pięknych.

Dziecko mające rok niedość jeszcze rozwinięte umysłowo aby mówić umiało, a nawet takie, które już mówi przedstawia sobie w myśli rzeczy raczej niż wyrażające je znaki, nazwy lub ruchy. Wszystko się dlań odtwarza luźnymi obrazami, myśli też obrazami; prawdziwość, rzeczywistość mierzy żywością wrażeń najczęściej w danej chwili odebranych, a niekiedy w pamięci tkwiących. Dzięki scenicznej swej wyobraźni, która mu ponownie stawia przed oczyma urywki rzeczywistości i budzi w jego sercu uczucia niegdyś z rzeczywistością związane, dziecko mówić już zdolne a zapewne i dziecko jeszcze nie mówiące, często w przeszłość własną powraca, co wywiera mniejszy lub większy wpływ na jego szczęście, na moralne — a co zatem idzie — i na fizyczne jego zdrowie. Dziewczynka mająca półtrzecia roku, opowiadała z przejęciem i smutkiem osoby dorosłej i ze łzami w głosie, jak grubiańskiego obejścia do-

znawała czasem jej matka od ojca. „Zły tatuś — mówiła, bardzo zły! Zawsze tak robi mamusi: szturcha ją a ja płaczę. Bardzo, bardzo zły!”

Inne znów dziecko mające półczwartą roku, spostrzegło świerki, przechodząc obok parku: „Śliczne świerki! — woła z radością — takie same były w Arcachon, nad morzem. Przeszłego roku jeździłem do Arcachon z tatusem i z mamusią! Z przyjemnością to sobie przypominam! Doskonale się tam bawiłem i nie bardzo mnie łajano!”

Każdego, kto obserwował dzieci, uderzyć to musiało, że będąc zdolnymi przypominać sobie ze wzruszeniem to, co widziały i słyszały, nie potrafią one umiejscowić wspomnień swoich w przestrzeni i w czasie. Kategoria tych kantowskich objawów poznania bardzo jeszcze jest niedokładną w owej epoce zaczątkowego porównywania, abstrahowania i analizowania. Dwuletnie dziecko, które codzień prawie tą samą ulicą przechodziło do ogrodu Tuileries, zaprowadziła raz bona do ogrodu luksemburskiego. Spostrzegłszy zaledwie kraty, chłopczyk zawołał: „*Ogród Tiri!*” (Tuileries).

Chociaż wyłącznie bieżącą chwilą zajęte, dziecko ma przecież niejasne pojęcie niedawnej przeszłości jako czasu już minionego; pojęcie to jednak musi zespolić się z teraźniejszością, aby mogło zająć jego umysł. O czynności rano wykonanej, powie ono na przykład: „To było wczoraj.” Z powodu wielkiej żywości pragnień przyszłość nie bardzo bliska albo nie wydająca mu się bliską nie wiele więcej wpływa na jego wyobrażenie. Dwuletnie dziecko mówiło do matki: „Kiedy mamy jutro jechać do morza i do babci, dlaczegoż mamusia nie idzie się ubierać?” Ale doszedłszy do lat trzech, to samo dziecko bardzo zadowolone z czasowego miejsca pobytu a wiedząc, że za tydzień opuścić je trzeba, od-

dało w myśli dzień wyjazdu przez złudzenie wyobrażeń, pragnącej chwilę tę jak można najbardziej opóźnić. Chłopczyzna mówił ciotce: „Jedziemy do Bordeaux za tydzień, nie jutro, o nie, nie prędko jeszcze.” Starajmy się więc ułatwić i uprzyjemnić dziecku tę teraźniejszość, która wszystkim prawie jest dla niego; zapewnimy mu to zadowolenie, które tak mało kosztuje a stanowi pierwszy warunek moralnych jego postępów. Dziecko szczęśliwe zawsze grzecznem bywa.

Jakże pięknymi słowy pisał Russo o tem szczęściu należnem dziecku, które może innego nie zaznać!

Obląkanie jest jedną z najstraszniejszych chorób trapiących ludzkość. Fakty drogą obserwacji zebrane upoważniają nas do mniemania, iż dziecko podlegać może obłędowi niemniej jak i innym chorobom, z tem wszakże zastrzeżeniem, że obłęd pojawia się częściej u starszych niż u młodszych dzieci. Compayré wybrał z autorów alienistów pewną ilość spostrzeżeń, na które zwracamy uwagę naszych czytelników. Za pierwszy stopień obląkania u dziecka można do pewnego stopnia uważać drgawki, bądź to przypadkowe, bądź z przyczyn organicznych wynikające. Przynajmniej mają one wszystkie zewnętrzne cechy choroby umysłowej a często i jej następstwa tak pod względem umysłowym jak i moralnym. Trousseau przytacza nader ciekawy przykład: „Lekarz wezwany do rzucającego się w konwulsjach dziecka zdejmuje mu czepeczek; spostrzegłszy na ciemieniu kawałek nitki i pociągnawszy za nią, wyciąga długą igłę głęboko w mózgu tkwiącą. Po wyrwaniu igły konwulsje ustały natychmiast. Najczęściej jednak choroba ta pochodzi z wewnętrznych przyczyn, z dziecinnie przekazanych cierpień mózgowych. Pojawia się ona u jednostek obdarzonych szczególniejszą wrażliwością nerwową, przechodzącą z przodków na potom-

ków a rozmaicie się objawiającą: napadem drgawek u dziecka, epilepsją lub hysteryą u dorosłych. Uważnie rzecz zbadawszy, nie znajdziemy może ani jednej dziecinnie na obłąkanie cierpiącej rodziny, w którejby nie zdarzały się wypadki eklampsji. Nawet w rodzinach poprostu *nerwowych*, w których nikt z członków nie cierpiał jeszcze na obłąkanie, pojawienie się eklampsji u kilkorga z kolei dzieci uważać należy za złowroźny symptomat. Jest to jakoby pierwsza zapowiedź obłąkania, mogącego nawiedzić zdrową dotychczas rodzinę" ¹⁾).

Drugi stopień obłąkania t. j. halucynacya rzadko się pojawia u dzieci w sposób wyraźny i charakterystyczny. Jeżeli trzymiesięczne lub półroczne dziecko miewa niekiedy podobne objawy, to przynajmniej łatwo wziąć je za jedno z zaburzeń nadmiernej czuciowości. Można jeszcze przytoczyć wypadki, w których spożycie trujących materyj wprowadziło dziecię w stan roznerwowania, podobny do stanu halucynacyi. Dr. Thoré zauważył następujący wypadek: „Dziewczynka mająca pięć kwartałów, połknęła w nieobecności matki znaczną ilość ziarn *Datura stramonium* (Bieluń), poczem natychmiast prawie wpadła w stan rozdrażnienia, który bardzo zaniepokoił jej rodziców. Przywołany lekarz zauważył następujące objawy: „W zdolności widzenia zaszła wielka zmiana: mała zdaje się pozbawiona wzroku, nie patrzy na żaden z otaczających przedmiotów, nie widzi tego co ją przedtem bawiło i o co dopominała się zwykle. Pokazują jej zegarek, oraz zabawki, które się zazwyczaj bawi, nie zwraca na nie uwagi a przeciwnie zdaje się śledzić wzrokiem jakieś urojone

¹⁾ Compayré: *La folie chez l'enfant*. Revue phil. Grudzień 1880 rok.

przedmioty, znajdujące się w pewnej odległości, które dosięgnąć się stara i pochwycić, co chwila wyciągając ku nim rączki. Unosi się nawet w kołysce, chwytając za poręczę, jakby chciała pręcej się do tych przedmiotów przybliżyć. Macha rączkami w próżni, jakby chciała chwycić coś latającego w powietrzu" ¹⁾).

Oto jeszcze kilka faktów bardzo ważnych dla psychologii dziecięcej, jakkolwiek należą one do epoki życia nieco późniejszej niż ta, którą się w niniejszej książce zajmujemy:

„Mania czyli bezład myśli i ich pomieszanie, gwałtowne rozdrażnienie lub spokojne bredzenie zdają się być najzwyczajszą postacią umysłowego obłądzenia u dzieci. Pod tym względem wszyscy alieniści jednego są zdania. Dr. Delasiauve ²⁾, Dr. Le Paulmier w rozprawie p. t.: „O chorobach umysłowych u dzieci a w szczególności o manii" ³⁾ i Dr. Morel ⁴⁾ dowodzą, iż obłąkanie objawia się u dzieci najczęściej podnieceniem, mającem cechy manii.

Z pomiędzy najciekawszych wypadków zapisanych przez alienistów przytoczymy najpierw bardzo ściśle spostrzeżenia Dra Châtelain, który miał sposobność sam obserwować czteroletnią dziewczynkę, córkę rolników zamieszkujących podgórze jurajskie. Dwie głównie przyczyny: fizyczna i moralna a mianowicie odra i gwałtowny przestrah spowodowany widokiem sikawki, podziałały na wątłą budowę dziecka i wywołały dziwne w objawach swych cierpienie. „Ludka—mówi Dr. Châ-

¹⁾ Compayré: *La folie chez l'enfant*.

²⁾ Zob. artykuł „Forme maniaque spéciale chez l'enfant" w *Annales médico-psychologiques* za 1855 r.

³⁾ Z roku 1856.

⁴⁾ Zob. *Annales médico-psychologiques*, 1870 r.

telain— jest zabawna, dziwna, roztargniona, odpowiada bez sensu na postawione jej pytania. Pewnego dnia ojciec kazał jej przynieść lalkę: mała idzie po nią i wraca nic nie przyniosłszy, chociaż mówi: „niech tatuś weźmie.” Ręką robi wprawdzie ruch taki, jakby coś podawała, ale w ręce nic nie ma. Od czasu choroby charakter jej zmienił się znacznie, zupełnie straciła nieśmiałość wiekowi swemu właściwą i nie uczuwa żadnego strachu, żadnego zmieszania w obecności dwóch nieznanym sobie a badających ją lekarzy. Zapytana odpowiada prędko, bez żadnego wahania, ale źle.” I w dalszym ciągu przytacza lekarz całą rozmowę świadczącą o zupełnem pomieszaniu myśli u inteligentnego zresztą dziecka, którego choroby nie można było uważać za idyotyzm.

W przykładzie powyżej przytoczonym widzimy wypadek spokojnego obłądu. Dziewczynka o której mowa, miewała jednak i napady manii gwałtownej, objawiające się nieustanną potrzebą ruchu, płaczem, krzykiem i groźbami śmierci przeciw rodzicom zwróconymi. Czasami znowu rozdrażnienie bywa ustawicznie trwającą cechą obłądu.

U dzieci trochę starszych wypadki obłąkania jeszcze się częściej zdarzają. Dr. Morel przytacza przykład pięcioletniej dziewczynki, która skutkiem gwałtownego przestachu wpadła w stan „ustawicznego niepokoju i rozdrażnienia cechującego obłąkanie” ¹⁾. Dr. Guislain nazywa „*furią monopatyczną*” tegoż rodzaju chorobę zauważoną u dziewczynki siedmioletniej: tu uderzenie w głowę stanowiło pierwszą złego przyczynę ²⁾.

¹⁾ Morel: *Zob. Annales psychologiques*, 1870 r.

²⁾ *Dictionnaire de médecine*, 1829 r.

Esquirol wspomina o dziewczynce ośmioletniej, która po tyfusie dostała pomieszania. A ponieważ obłąkanie powstaje zawsze z przyczyn moralnych przeplecionych fizycznymi, przeto Foville zaznacza u dziesięcioletniego chłopczyka fakt obłądu, spowodowanego nadmiarem czytania.

Godnem jest wszakże uwagi to, że do tak licznych przykładów manii u dzieci (których to przykładów moglibyśmy wiele więcej przytoczyć) niepodobna dodać ani jednego wypadku monomanii. Dziecko obłądem dotknięte jest równie niezdolnem do dłuższego myślenia o jednym przedmiocie jak dziecko zdrowe i normalnie rozwinięte. Mała obłąkana obserwowana przez Dra Châtelain ciągle zmieniała przedmiot myśli: „Zazwyczaj myśl jakaś zajmowała ją wyłącznie przez dzień jeden lub dwa, poczem zacierała się ustępując miejsca innej.” Monomania zdaje się być na pierwszy rzut oka oznaką słabości umysłu, skoro wszystkie pojęcia i uczucia są wtedy jakby unicestwione przez jedną tylko myśl, która wszechwładnie opanowała świadomość. A przecież zastanowiwszy się widzimy, że monomania każe przypuszczać pewną siłę inteligencji, pewną zdolność skupienia myśli, skoro jest ona bredzeniem zupełnie usystematyzowanym. Dziecko, którego myśli zmienne są i na rozważenie nie oparte, a wrażenia chwiejne i źle jeszcze ustalone, może bredzić, to jest przechodzić bez ładu i związku od jednej myśli do drugiej; łatwo jednak pojąć, że nie ma ono siły potrzebnej na to, by trwale i niezmiennie skupić wszystkie swoje władze koło jednego obłądnego pojęcia. Dla tego to zapewne rozstrój umysłowy objawia się u dzieci raczej szybkim, bezładnym następowaniem po sobie i nieustannym wymykaniem się pojęć, rozpaczliwie goniących jedno za dru-

giem, aniżeli stale trwającym zogniskowaniem wszystkich sił umysłowych w jednym kierunku ¹⁾).

Żywość dziecka, łatwość z jaką ono popędom ulega i niesforność wiekowi dziecięcemu właściwa, wprowadzić nas mogą czasem w błąd co do objawów prawdziwego obłąkania. Niejednokrotnie dalibyśmy smutne o samych sobie świadectwo, gdybyśmy brali za oznakę rozstroju umysłowego ową żywość i swawolę „rozruchanego” malca, którego życie za prędko, niestety! okiełzna. Niemniej przeto jest prawdą, że w dziecku odnaleźć można niejako słabe odbicie obłąkania, dotyczącego ludzi w każdej porze życia. Obserwacja wymaga tu koniecznie nader wielkich ostrożności. Człowiek uśpiony snem magnetycznym nie jest obłąkanym, zachowuje się on wszakże jak ktoś automatycznie posłuszny popędom halucynacji. W wielu razach to samo i z dzieckiem się dzieje, nieobojętną też jest rzeczą porównać ich z sobą w tej mierze.

Automatyzm jest jednym z najciekawszych zjawisk wyobraźni. Jest to jedno z najważniejszych zjawisk somnambulizmu i dopomódz nam powinno do zrozumienia tego, co się w wyobraźni dziecka odbywa. Zapytawszy uśpionego o czem myśli, usłyszymy zawsze odpowiedź, że nie myśli o niczem i że żadnych nie posiada pojęć. Odpowiedź tę w dosłownym znaczeniu brać należy. Istotnie nie myśli on o niczem. W umyśle jego jest pustka: panuje tam ciemność zupełna. Bezwładność ta duchowa objawia się zupełną bezwładnością twarzy oraz ruchów od woli zależnych. Ale niechże wśród tej ciemności ukaże się obraz jakiś lub pojęcie,

¹⁾ Uwagi powyższe zgodne są z temi, które wyłożyłem w rozdziale: *O pamięci*.

stanie się ono natychmiast wszechwładnem, w zupełności zajmie całą wyobraźnię” ¹⁾).

Podobnie też i u dziecka względna bezwładność duchowa tłumaczy nam przyczynę żywości wrażeń, istotną ich przedmiotowość i przemijającą uporczywość: dzieci są, że tak powiem, na łasce wrażeń, których wypadkowo doznać mogą, szczególnie zaś tych, które najsilniejszy obraz pozostawiają w ich umyśle. Dzieciom się zdaje, że to co widzą jest takim, jakim je one widzą. Widzą zaś to wszystko, o czem im się mówi. Wszystkie poddawane im myśli jawią się przed niemi w dotykanej postaci i natychmiast też biorą się one do naśladowania ich lub też do wprowadzania w czyn. To właśnie tłumaczy nam wszechmocny wpływ przykładu na te słabutkie umysły oraz i wszechmocne przejmowanie uczuć wyrażonych bądź to słowami, bądź ruchami. Fizycznie, umysłowo i moralnie ulega dziecko myśłom poddawany mu tak przez osoby jak i przez rzeczy stanowiące zwykłe jego otoczenie; ulega im tak samo, jak magnetyzowany ulega magnetyzerowi, chociaż w mniejszym stopniu i nie tak nieprzerwanie. Prawdziwy to automat, który po większej części świadomie lub nieświadomie, z mniej lub więcej zupełną uległością, posłusznym bywa silnemu wpływowi obrazów okazywanych mu, wywołanych lub narzuconych. Fakta przytoczone w ustępie, który tu przepisuję, pokażą nam że człowiek zahypnotyzowany staje prawie na równi z dzieckiem.

„Mówię do pani W... „Pogłaszcz tego psa.” Natychmiast idzie i głaszcze go. Jeżeli pies chce uniknąć pieszczot, ona za nim biegnie wszędzie, a jeżeli wyjdzie

¹⁾ Ch. Richet: *Revue phil.* Październik 1880 r.

z pokoju, stara się pójść za nim. Jeżeli chcąc przeszkodzić jej do wyjścia, postawię na drodze fotel albo ławkę, przewraca ową zapórę, a jeżeli przewrócić jej nie zdoła, niecierpliwi się i z gniewem ją odpycha. Na dany przezemnie znak zatrzymuje się przecież, cała jeszcze drżąca z oburzenia i gniewu. Mogę jej dać jakikolwiek przedmiot np. ołówek zapowiadając, aby nikomu nie pozwoliła odebrać go sobie. Niechże wtedy kto z obecnych próbuje go wziąć, stawi ona opór rozpaczliwy, biegać będzie po całym pokoju, bronić się, kąsać, kopać nogami, wpadnie w stan oburzenia i wściekłości, o których trudno mieć pojęcie temu, kto nie był podobnym scenom obecny. Magnetyzerowie z zawodu lubią pokazywać publiczności tego rodzaju widowiska, które sceptycy poczytują za udawanie. I w istocie mogłyby być udaniami, bo wszystkie ich objawy udać można z łatwością. Nie są przecież udaniem i niema nic prawdziwszego nad to poddańcze uleganie wszystkich władz duchowych rozkazowi ustnie wyrażonemu. Zdaje się, że uśpionemu nie chodzi o nic więcej jak tylko o zastosowanie się do otrzymanego polecenia. Jedno pojęcie wstrząsnęło jego umysłem i zapanowało w nim wszechwładnie. Wszystko inne istnieć dla niego przestało: obok tej jedynej świetlanej myśli wszystko ciemnością jest zupełną. To też uśpiony odpycha i z gniewem odrzuca wszystko, co uskutecznienie tej myśli wstrzymuje¹⁾.

U najzdrowszego dziecka zdarzają się niejednokrotnie objawy podobne do wyżej opisanych.

¹⁾ Ch. Richet: Revue philosophique, za Październik 1880.

ROZDZIAŁ X.

Zdolności wytwarzania pojęć.

1. Sądzenie.

„Skoro umysłowość nie może być czynną, jeżeli nie rozróżnia i nie porównywa, nie może również być czynną, jeżeli nie sądzi wyraźnie lub domyślnie, za pomocą lub bez pomocy słów. Innemi słowy: we wszelkiej czynności umysłowej dorozumiewać się należy sądenia, gdyż według określenia Arystotelesa sądenie jest czynnością, która się zasadza na twierdzeniu czegoś o czemś. Nie możemy twierdzić, że rzecz jakaś istnieje, nie wierząc w jej istnienie; a wierzyć—twierdzić—sądzić—to jedno i to samo. Cóż to znaczy postrzegać dany przedmiot? Znaczy to znać jego kształt, położenie, odległość, rozmiary i t. d. Czyż na przykład znać odległość, w jakiej znajduje się od nas dany przedmiot, nie jest jakoby — wyraźnie lub w myśli tylko uczynionem — twierdzeniem, iż przedmiot ów istnieje? Czy można utworzyć sobie pojęcie ogólne nie twierdząc, iż w skład jego wchodzi te lub owe części indywidualne, posiadające

takie lub inne własności? Wiadomą bezwątpienia jest rzeczą, że za sprawą wyobraźni zdarza nam się nieraz powziąć błędne lub urojone mniemanie ale i tu także potwierdzamy bądź to możliwość istnienia pojętych przez nas rzeczy, bądź też tkwiące w nas pragnienie ujrzenia ich w rzeczywistości. Wreszcie wtedy nawet stwierdzamy podmiotową faktyczność podobnych mrzonek, gdy nie myślimy aby one odpowiadały czemuś na zewnątrz istniejącemu. Jednym słowem, nie możemy ani postrzegać, ani porównywać, ani abstrahować, ani uogólniać, ani przypominać lub wyobrażać sobie, nie wydając twierdzenia albo sądu¹⁾.

Taką definicję władzy sądzenia podaje psycholog. Fizyolog potrafi może objaśnić nam do pewnego stopnia, jak sąd powstaje i jak się proces sądzenia odbywa. Według Luys'a sądzenie jest tylko oddziaływaniem naszej osobowości, odbiciem jej, stwierdzeniem jej istnienia „wobec pochodzącego z zewnątrz bodźca bądź fizycznej, bądź też moralnej natury. Czynność sądzenia, rozważana jako proces fizyologiczny, rozwijający się według stałych praw, może być rozłożoną na trzy następujące części: 1) okres podrażnienia, w którym zewnętrzne pobudzenie dotyka mózg i świadomość osoby porusza; 2) okres pośredni, kiedy podrażniona osobistość oddziaływa we właściwy sobie sposób; 3) okres zwrotny, w którym proces ten objawia się na zewnątrz słowem, pismem lub ruchem”²⁾. Powyższe słowa objaśniają nam zarazem i różnorodność sądów ludzkich, i mniejszą lub większą szybkość, z jaką się one odbywają i wreszcie konieczność tych sądów całemu rodzajowi wspólnych, które będąc zasadniczym pierwiastkiem zdrowego roz-

¹⁾ Joly: Cours de philosophie.

²⁾ Luys: Mózg i jego czynności, str. 256.

sądku, stanowią dowód, iż budowa mózgu wszystkich tworów posiada cechy wspólne.

Jeżeli sądzić — znaczy to myśleć coś o czymś, oczywistą jest zatem rzeczą, że małe dzieci zarówno jak i małe zwierzęta mają świadomość swoich wrażeń, że je umiejscowiają gdzieindziej niż w której z części składających ich istotę, że oceniają je i różnicują, że się poznać potrafią chociaż się nigdy nie widziały, że poznają również swoją matkę, że — jednym słowem — myślą coś o czymś.

Dość spędzić kilka tygodni z dwu- lub trzymiesięcznym dzieckiem aby się upewnić, że posiada już ono zdolność sądzenia. Mały Tiedemann, który na widok mamki biorącej ciepłe okrycie, wyobraża sobie przechadzkę i wielką z tego powodu radość okazuje, wydaje wówczas nie jeden ale kilka sądów: myśli on, że osoba, która w jego oczach zbliża się do szafy, podnosi rękę i zdejmuje okrycie, jest jego mamką; myśli, że mamka spełnia wszystkie czynności przed chwilą przezemnie wyliczone; przytem jeszcze — na mocy skojarzenia znanych mu pojęć — myśli, że po tych czynnościach nastąpią inne także mu dobrze znane: wyjście z domu, jazda wózkiem na świeżem powietrzu pomiędzy dwoma rzędami domów, wpośród turkotu wozów, szczenia psów i rżenia koni, pod cieniem drzew i t. d. Wszystkie te rzeczy, które dziecko widzi i o których myśli, że są i że być powinny, bo je przywykło widywać kolejno jedno po drugim, są to różne kształty, postacie, sposoby bycia osób i rzeczy, które ono sobie przypomina i wyobraża współcześnie istniejącymi lub następującymi jedno po drugim: wszystko to są więc sądy syntetyczne i *a posteriori* — jakby powiedział był Kant.

Malutka, półczwarta miesiąca mająca Mania, rozróżnia niektóre części swego ciała, figluje z matką,

głaszcząc ją po twarzy lub po piersi, gaworzy z kwiatkami, z wyrazem zachwytu wyciąga drżące z niecierpliwości rączki na widok świetnych kolorów, zwraca główkę w stronę klatki, gdy matka powie: „Posłuchaj ptasi,” rozumie głos, ruchy, wyraz twarzy mówiących do niej osób, śmieje się gdy ją popieścić, płacze gdy jest połączana, ze smutkiem odwraca głowę aby nie patrzeć na dziecko, które matka wzięła na ręce, martwi się widząc siostrzyczkę biorącą do ust smoczek a nie trwoży się wcale, gdy matka to samo uczyni. Będąc świadkiem podobnych jej czynności, trzebaż jeszcze dowodzić, że pobudkę tych czynów stanowią bardzo charakterystyczne już sądy?

Tak więc odnośnie do małego dziecka jak i do młodych zwierząt spierać się można o to tylko, do jakiego stopnia władza sądzenia jest w nich rozwinięta. Nie wydają one sądów abstrakcyjnych albo rzekomo abstrakcyjnych jak człowiek dorosły. Ale i one zarówno jak ludzie dojrzały na widok osoby, zwierzęcia, owocu, zabawki, sprzętu poznają, że tę rzecz lub osobę przedtem już postrzegały, że w nich taką lub inną własność znalazły, umieją wyróżnić postrzeżony przedmiot z pomiędzy wszystkich otaczających, upatrują w nim jakieś podobieństwo lub różnice, zaliczają go do tej lub do owej grupy, które to wszystkie czynności przypuszczać nam pozwalają istnienie sądu lub też są samym-że sądem.

Jeżeli w każdej najprostszej nawet czynności umysłowej możemy poniekąd dorozumiewać się udziału władzy sądzenia, to na ukształtowanie sądów i na ich rodzaj najwięcej wpływa skojarzenie pojęć łącznie z działaniem osobowości. „Dwa umysły posiadające jednakowy ustrój i znajdujące się w jednakowych warunkach, rozwijałyby się zupełnie tak samo, tworząc także

same myśli. Powstanie każdego pojęcia wynika zawsze z dwóch przyczyn: z zależności stanu organizmu od poprzednio otrzymanych wrażeń oraz z zależności jego od warunków fizycznych” ¹⁾).

Oba te rodzaje stanów bardzo są zmienne u różnych jednostek. Okolice mózgu, w których wyrabiają się pojęcia, niejednakowo obfitują w elementa nerwowe; te zaś nie u wszystkich osobników posiadają jednakową żywotność, nie u wszystkich jednakowo są wrażliwe i równie dobrze z sobą pokombinowane. Oto przyczyna różnic umysłowych między ludźmi oraz wybitniejszych w jakimś kierunku zdolności, z czego znowu wynika różnica sądów. Dodajmy i to jeszcze, że jeżeli u jednego osobnika nie wszystkie narządy zmysłów — będących przewodnikami bodźców zewnętrznych — jednakową siłę posiadają, to tembardziej da się to powiedzieć o narządach różnych od siebie jednostek i te właśnie różnice stanowią przyczynę bardzo niejednakowej szybkości jak niemniej i wydoskonalenia zdolności wydawania sądów.

Troje dzieci mających od ośmiu do dziewięciu miesięcy, bawi się na dywanie na środku pokoju rozłożonym. Zaczynam mówić bardzo głośno aby ściągnąć uwagę wszystkich trojga i czempredziej stawiam na dywanie o jakie półtora łokcia od nich białego konika na kółkach. Jedno z dzieci *A* wydaje okrzyk zachwyty; *B* otwiera buzię i wlepia oczy w zabawkę; *C* patrzy na konia z miną obojętną. Po upływie pięciu sekund *A* wymachuje rączkami i wyciąga naprzód główkę; *B* macha także rączkami ale trochę spokojniej i jakby przez naśladownictwo ruchów towarzysza; *C* patrzy na ich

¹⁾ Draper: Stosunek wiary do rozumu.

ożywienie i z kolei wydaje coś nakształt okrzyku lub świergotu. W cztery sekundy potem *A* traci już cierpliwość, rzuca się naprzód, pada i stłukłszy główkę o podłogę płakać zaczyna; podnoszę go a malec znowu wyciąga rączki i pełźnie na czworakach aby posiadać jak najprędzej ponętną zabawkę; *B* który nie spuścił oka z konika, spogląda na mnie czyniąc rączką ruch, oznaczający żądanie i prośbę błagalną; widzę że lada chwila malec się rozplacze; co zaś do *C*, ten patrzy na *A* pełzającego na czworakach, czem zdaje się być więcej zajęty niż koniem. Ten przykład dowodzi już dostatecznie jak różną jest — tak co do szybkości jak i co do jakości procesu sądenia — zdolność wydawania sądu i że różnica takowa znajduje się w związku z różnicą wrażliwości oraz osobistego oddziaływania jednostki. Im starszem jest dziecko, tem łatwiej zauważyć te różnice, które najzwyczajszemu już spostrzegaczowi rzucają się w oczy, skoro dziecię mówą władać zacznie.

Jakkolwiek odmienność budowy i odrębność zjawisk życia umysłowego wytwarzają różnice w sądach wydawanych przez rozmaite umysły, istnieją jednak wspólne dla całego rodzaju podobieństwa oraz związki ogólne, sądy powszechne, stanowiące właściwie tak zwany *zdrowy rozsądek*. W każdym umyśle ludzkim tkwią takie mniej lub więcej jasne pojęcia, które filozofowie nazwali pojęciami wrodzonymi lub pierwotnymi, a które daleko trafniej nazwać by można zasadniczymi. Owe arystotelesowskie kategorie, owe podmiotowe postacie myśli, owe pojęcia własności, istnienia, liczby, miejsca, czasu i t. d. odpowiadają zarazem i budowie mózgu, i ustrojowi umysłu ludzkiego i niezmiennym właściwościom wrodzonym. Każdy z ludzi zmuszony do zetknięcia z rzeczywistością wcześniej pojęcia takie zdobywać musi: wszyscy wrodzoną posiadamy zdolność

do wysnuwania ich — z większą lub z mniejszą szybkością — z pierwszych naszych wrażeń. Takim to sposobem teoria dowodząca, że przynosimy z sobą na świat niektóre pojęcia, wybornie się pogodzić może z teorią która głosi, iż umysł nowonarodzonego dziecka jestto „*tabula rasa*.” W rzeczach istnieje pewien rozsądek, odpowiedni ludzkiemu rozsądkowi, który wszakże jest tylko odtworzeniem i obrazem tamtego. Rozsądek — jako zdolność wytwarzania pojęć czystych — nie istnieje wcale.

Widzieliśmy już, że trzymiesięczne dziecko w wielu bardzo wypadkach sądzi zupełnie tak jak człowiek dorosły. Musimy teraz wykazać, przez jakie fazy rozwoju przechodzi ta władza, która początkowo jest prostym stwierdzeniem istnienia rzeczy, przechodzi potem od konkretności do abstrakcyi, staje się sądem porównawczym, aż wreszcie przybierze rozmiary pojmowania mniejszej lub większej ilości podobieństw.

Pierwszą postacią sądenia jest proste objęcie myślą konkretnego wraz z jedną lub kilkoma jego własnościami. Tym konkretem może być własna nasza osoba lub sąsiadujące z nią twory. Trudno powiedzieć, który z tych dwóch konkretnów pierwszy się w umyśle dziecka zatrzyma: prawdopodobnie zaczątki obu powstają jednocześnie. Pierwsze sądy dziecka — jest to tylko bezpośrednie ogarnianie umysłem własnej jego istoty oraz innych przedmiotów czyli wrażeń, w których ono poczuwa samo siebie i uczuwa owe przedmioty lub o nich wnosi. Ale w pierwszych tych sądach niema jeszcze rozróżniania podmiotowości od przedmiotowości oraz podmiotu od przymiotu. Dziecko tak samo jak zwierzę niższego rzędu nie umie przez czas długi rozgraniczyć znaczenia tych nazw. Ostryga ma z jednej strony niejaki poczucie samej siebie, z drugiej zaś —

niejakie poczucie przedmiotów zewnętrznych: nie twierdzi ona, że istnieje ale istnienie to czuje i mocno w nie wierzy; wierzy także w istnienie tj. w rzeczywisty byt przedmiotów na zewnątrz będących. Są to więc sądy o istnieniu, o sposobie istnienia, o zewnętrzności domyślnie wytworzone choć nie wyrażone. Tak samo też od chwili pierwszych do świadomości doszłych wrażeń, płód stwierdza własne swoje istnienie wraz z istnieniem innych ciał obcych: są to sądy niewyrażone, niejasne ale rzeczywistymi sądami będące. W pierwszej epoce życia sądy noworodka długo nie wychodząc ze sfery konkretnego jednostkowego, zaczynają jednak zaznaczać się wyraźniej. Epoka ta trwać może do drugiego miesiąca włącznie, ale z mniej lub więcej wyraźną dążnością do przejścia od konkretnego do abstrakcyjnego, od szczegółów do całości czyli inaczej mówiąc, do chwytania podobieństw. Znaczny już postęp dokonał się w sądzeniu, gdy dziecko zdolne jest poznawać obrazy a jeszcze znacznie później, gdy oczekuje ono pewnych faktów lub wrażeń jako dalszego ciągu niektórych, przedstawiających mu się zjawisk. Widzimy to we wszystkich przykładach przytoczonych na początku niniejszego rozdziału. Sąd pierwotkowy w pierwszym stadium swoim jest rozsądzaniem postrzeżeń, w drugim zaś — kojarzeniem obrazów, poddawaniu których towarzyszy wiara w ich istnienie.

Już w trziesięcym miesiącu dziecku zauważyć możemy istnienie... *mutatis mutandis* prawdziwego sądu. Gdy np. stosuje ono w myśli pojęcie własności do pojęcia kształtu lub barwy, gdy rozróżnia pokarmy i zwierzęta — to dowód, że w umyśle jego zrodziła się już wtedy dążność do poznawania podobieństw i dostrzegania różnic. Taki sposób wydawania sądu, bardzo ubogi w porównania, zupełnie pozbawiony uogólnień, nie-

mniej przeto jest podobnym do zwykłych sądów dorosłego człowieka. W dziesięciomiesięcznym dziecku zaczyna się już nawet zarysowywać ów sąd o istnieniu — nie powiem: *abstrakcyjny* (w znaczeniu filozoficznym) ale wyosobniony i wyraźny chociaż jeszcze konkretny. W istocie — mimo wszystkiego, co powiedziano w tej kwestyi — sądy o istnieniu nie stanowią wyjątku od zasady ogólnej: przyczyną i warunkiem ich powstania, najbardziej powstaniu ich sprzyjającą sposobnością są owe zbliżone do siebie obrazy i odbicia, które wytwarzają w nas pojęcia oparte na oczywistości, na wierze i na poznawaniu. Obecność lub nieobecność danej istoty lub przedmiotu stanowią już fakta wyraźnie od siebie różne dla niemowlęcia nawet: w pojęciu dziecka istnieć — znaczy to być tutaj, przestać istnieć — znaczy to zniknąć mu z oczu. To też wybornie rozumie ono znaczenie wyrazu „*niema*,” który samo wkrótce powtarzać zacznie. Sąd o istnieniu zlewa się pierwotkowo w jedno z sądem o obecności i o nieobecności i zawsze się do czegoś konkretnego odnosi. Dziecko jest już zdolne wydawać takie sądy.

Mylibyśmy się mniemając, że sąd potrzebuje współdziałania bardzo rozległych uogólnień aby pozyskać mógł tę jawność, która stanowi siłę nawet słowami nie wyrażonych twierdzeń. Bardzo żywy i bardzo wyraźny obraz, który dziecię łączy ze świeżo powstałym w umyśle wyobrażeniem, ma dla niego taką potęgę rzeczywistości, jakaby miał dla dorosłych — więcej nawet powiem: staje się on rzeczywistością samą. Jest to fakt tak oczywisty, że dla wyjaśnienia go niema potrzeby uciekać się ani do pojęcia trwałości, zawartego go w wyrazie *zawsze* ani też do wielkiej ilości znanych już podobieństw: kilka dobrze dokonanych doświadczeń, kilka a wreszcie jedno bardzo wyraźne podobieństwo

wystarczają na to, aby sąd powstał i doszedł całej pełni swej doniosłości. Dlatego to widzimy, że umysły posiadające nader ograniczoną liczbę pojęć, nie umiejące kojarzyć ani zestawiać obrazów, najuporniej a czasem i najgoręcej obstają przy swoim zdaniu. Po bliższem rozpatrzeniu tej kwestyi dojdziemy do wniosku, że rozszerzenie kręgu myśli wiedzie za sobą — jeżeli nie pewną niejasność — to przynajmniej pewną chwiejność pojęć, która może uchodzić za szerokość poglądów, czasami ją nawet zapowiada ale jest zawsze nieuniknioną koniecznością, zanim się stanie zaletą umysłową; im uogólnienie to jest rozciąglejszem, im liczniejszemi są poznane podobieństwa, tem więcej nasuwają umysłowi różnic istotnych a — co zatem idzie — i różnic tj. twierdzeń możliwych. To też człowiek uczony, w doświadczenie bogaty zawaha się i powstrzyma z wydaniem sądu lub z wykonaniem czynu tam, gdzie nieuk, człowiek niedoświadczony, dziecko albo zwierzę osądzi lub też potępi pospiesznie i bez namysłu.

I dlatego to właśnie że nieznamy dróg, któremi kroczy umysł dziecka, wyobrażamy sobie, że logika jego jest błędną, ilekroć staje w sprzeczności z tą, którą my się rządymy i której gotowe już zasady wszczepiamy dziecku wraz z naszą mową. Ponieważ sądy nasze odnoszą się do pojęć stosunkowo ogólniejszych a w każdym razie liczniejszych i rozleglejszych, zupełnie innych niż dziecięce, przeto wyrazy których dziecię używa, nie mają dlań tego znaczenia, jakie my im samowolnie przypisujemy. Dla dziecka przedstawiają one fakta; my zaś każemy im przedstawiać zbiór podobieństw, ogólnych stosunków itd. Jedno z pojęć dla niego ogólnemi będących (czyli wyłączną i empirycznie pojmowaną nazwę podobieństwa) zastosowuje dziecko do jakiegoś danego wrażenia; a ponieważ sąd jego powinien

był — zdaniem naszym — wyrażać nie związek pomiędzy dwoma faktami ale pomiędzy pojęciem a faktem, przeto poczytujemy go za mylny. Sąd będący dla nas mylnym, dla dziecka jest prawdziwym. Ktokolwiek poświęca się wychowywaniu lub badaniu dzieci, powinienby nabrać przekonania, że postępy myśli zależą raczej od zdolności analizowania przedmiotów niżeli od postępów w mówieniu uczynionych. Często jednakże przesadzamy tę prawdę, wyobrażając sobie za przykładem Condillac'a, że dziecko jest zdolnem obserwować „aż do najdrobniejszych szczegółów” nie tylko przedmioty zewnętrzne ale nawet czynności umysłowe. Według starej owej teoryi nietak dawno jeszcze wyznawanej, dziecko ucząc się sądy swoje wyrażać słowami, uczy się zarazem obserwować je szczegół po szczególe: umiejętność myślenia staje się zatem niczem więcej jak sztuką mówienia. Zapewne, gdyby dziecko używało swojej mowy, a nie naszej. Condillac wszakże, sam z sobą stając trochę w sprzeczności przyznaje, że dziecko pozostawione „samym tylko popędem wrodzonym” popełnia częste i wielkie omyłki. Zwierzę także poczytywane za surowy twór przyrody równie często błądzi w tem nawet, co interesów jego dotyczy. Omyłność instynktu należy już dzisiaj do pewników naukowych. Ale do sumy omyłek, wpływających z dowolnego użycia władz wrodzonych, dodaje dziecko znaczną ilość innych, które temu przypisać należy, że ono źle rozumie naszą mowę i że my nawzajem błędnie mowę jego pojmujemy.

Bez naszego współudziału, przyjęcie którego przeżyłaby naszą możność i umiejętność, przyroda sama przyczynia się do pierwotnego rozwijania władz dziecięcia. Stopień rozwoju stosuje ona do potrzeb dziecka, któremi warunkuje użyteczność ćwiczenia tychże władz. Dziecko dlatego głównie się uczy, że nauka pożyteczną

mu jest i przyjemną. Wyraźność jego pojęć wypływa z uczuwanej przez nie potrzeby rozwikłania ich. Nabywa je ono samo z siebie skutkiem rządzenia swemi zmysłami. Czyż zatem pomyłki dziecka pochodzą tylko ze zbyt śpiesznego sądu, wydanego pod naciskiem naglącej potrzeby? Zdarzyć się to może a nawet zdarza się często. A zatem dziecko źle rządzi swemi zmysłami ale błąd ten może być tylko chwilowym. „Zawiedzione w oczekiwaniu swoim, czuje ono wkrótce konieczność wydania sądu po raz drugi i tym razem lepiej już sędzi; czuwające nad niem doświadczenie prostuje jego pomyłki. Zdawało mu się, że widzi mamkę dlatego, że w pewnej odległości spostrzegło podobną do niej osobę? Błąd ten nie trwa długo. Dziecko omyliło się na pierwszy rzut oka, ale spojrzawszy powtórnie, poznaje swój błąd i szuka oczyma mamki.“ Mojem zdaniem, Condillac przecenia władzę sądzenia (a szczególnie u bardzo małego dziecka) oraz siłę rozmysłu i oddziaływania na pierwsze sądy o wrażeniach wydane. To prostowanie pomyłek zmysłów drogą ponownej obserwacji dokonywa się w dziecku bez jego wiedzy: machinalnie sędzi ono i wydane sądy odwołuje.

W powyższej teorii, częściowo przyjętej przez Russa a świetnie podjętej przez Spencera, wydaje mi się także przesadą przypuszczenie aby dziecko wyraźnie spostrzegać miało, że „przykrość jest następstwem sądu mylnego podobnie jak przyjemność jest następstwem sądu trafnego.“ Że dziecko pięcio lub sześciomiesięczne nabyło już—ograniczonej wprawdzie—ale wyraźnej zdolności pojmowania i użytkowania niektórych przestróg, jakie mu daje doświadczenie—to rzecz oczywista. Ale niepodobna utrzymywać aby przykrość i przyjemność „pierwsze jego mistrzynie,“ dawały mu dobre wskazówki, ponieważ „ostrzegają nas one, czy dobrze

czy źle sędzimy.“ Przyjemność i przykrość są niezapreczenie wszechwładnymi mistrzyniami ale dane przez nie nauki nieraz potrzebują sprostowania. Niebezpieczną zatem byłoby rzeczą trzymać się uparcie wniosku, który sam z siebie wynika z powyższych przesłanek a mianowicie: że dziecko czyni zadziwiająco szybkie postępy dlatego, iż kierują niem tak niezrównane w mądrości mistrzynie. W istocie do tych postępów szybkich lecz powierzchownych niemało — oprócz przestróg przez przyrodę udzielonych — przyczynia się też siła przyjmowania i zatrzymywania wrażeń właściwa narządom młodym, tak jeszcze sprężystym i od wszelkich wrażeń prawie wolnym oraz sam rodzaj wrażeń w owej porze doznawanych, odnoszących się głównie do najkonieczniejszych potrzeb a stosunkowo mało licznych i do rozpoznania łatwych; krótko mówiąc: siła wchłaniania przewyższająca siłę przetrawiania i kombinowania myśli. Dodać jeszcze musimy, że roczne ledwo dziecko, którego zdolności i pragnienia już się wzmogły, ma przed sobą rozleglejsze i trudniejsze zadanie: naturalną więc jest rzeczą, że przystępuje doń ze względną niższością.

Do tych przyczyn mylenia się właściwych dziecku, bo wpływających tak z natury rzeczy jak i z natury umysłu, do jeszcze więcej osobistych powodów mylnego sądzenia, wynikających bądź to z wrodzonego organizmowi usposobienia, bądź to z duchowego ustroju dziecka, dodać jeszcze trzeba inne bardzo liczne przyczyny, które mu się co chwila nasuwają, skutkiem przymusowego naśladowania mowy naszej oraz naszych czynności umysłowych.

Bądź jak bądź przyroda sama ważnych udziela przestróg, które prostują znaczną ilość pomyłek pomimo niej a nawet z jej pomocą popełnionych. Prze-

ważnie jednak ostrzeg tych udziela ona dorosłym. Rozumne matki umieją zastosowywać do nich swoje nauki o tyle przynajmniej, o ile to jest możliwem. Znałem matkę, która pozwoliła dziecku sparzyć się leciutko rozpalonem żelazem, które naumyślnie po to w rękę trzymała, chcąc tym sposobem odzwyczaić dziecię od zbliżania się do ognia. Dziecko, które zapewne zrobiłoby kiedyś to doświadczenie, tak często niebezpieczne, uczyniło je tym sposobem nibyto z własnego popędu. Gdy chłopczyk się rozplakał, matka uspokajała go i pokazując żelazko, powtórzyła parę razy: „To gorące! to parzy Edmunda!“ Doświadczenie kilkakrotnie z pewnem urozmaicheniem ponowione a zawsze nieszkodliwe, wkrótce nauczyło chłopczyka rok za ledwie mającego wystrzegać się ognia i wydobytych zeń narzędzi również jak lampy, gorącej zupy i t. d. Słyszając dwa te wyrazy: *gorące* i *parzy* lub samo tylko dmuchanie — znak jednocześnie pod oczy i pod uszy podpadający — stosowany do kilku ściśle określonych przedmiotów, chłopczyk nauczył się rozumieć ich znaczenie. Widząc blisko siebie przedmiot, który dymił lub wydawał mu się gorącym, malec krzywił się jakby ze wstrętem i naśladował ustami odgłos, jaki wydajemy przy silnem dmuchaniu.

Tym sposobem przez ponawianie ściśle określonych doświadczeń i przez proste działanie skojarzenia pojęć można doprowadzić dziecko do trafnego sądzenia o wielu bardzo rzeczach i do postępowania stosownie do wydanego sądu. Przyroda i dziecko ponoszą trzy czwarte kosztów tego wychowania naturalnego; my resztę zrobić możemy.

Uważne badanie dziecka dostarcza nam mnóstwa wskazówek dotyczących się nie tylko genezy owych zdolności, które są rzeczywistą siłą w ludziach dorosłych,

ale nawet kierunku, jaki nadać należy rodzącym się zdolnościom. Tak np. dziecko samo z siebie sądzi na podstawie porównania: naszym jest obowiązkiem baczyć na nie, aby mu niepostrzeżenie w tej pracy pomagać. Dziecko zadrapane albo ukąszone przez kota lub przez psa, któremu zaudało dokuczyło, powiada: „Brzydki Filuś! Brzydki Medor!“ Naszą jest wtedy rzeczą kazać mu odtworzyć sąd, za pomocą którego stwierdziło związek dopatrzony między pojęciem kota lub psa, a pojęciem podrapania lub ukąszenia. Mówiąc o sobie: „*Dzidzi grzeczne!*“ albo „*Dzidzi brzydkie!*“ dziecko wydaje znowu sąd porównawczy, dotyczący związku dopatrzanego między tą lub tamtą ze swoich czynności i zdarzeń, które nie zawsze nastrożyć dziecku możemy, choć z nastrożających się możemy zawsze wyciągnąć korzyść dla niego. Tym sposobem nie tłumiąc samodzielności dziecka, wzbogacimy — o ile to jest w naszej mocy — skarbnicę jego postrzeżeń, punktów porównania i cech podobieństwa — słowem: rozszerzymy granice dziedziny jego umysłu.

Chęć rozwijania dzieci dla nas samych, a nie dla nich stanowi szkopuł, którego najbardziej obawiać się należy. Ileż to ludzi chce wszczepiać w dzieci sądy osób dorosłych oraz ich tryb postępowania, nie zastanawiając się nad tem, czy tak słabe jeszcze umysły potrafią je zrozumieć i sobie przyswoić. Przytoczę jeden tylko przykład podobnego postępowania, którego byłem świadkiem w restauracyi w Luchon. W przyzwyczajonych rodzinach hiszpańskich panuje zwyczaj zostawiania zawsze na talerzu trochę jedzenia aby nie uchodzić za łakomcę. Wpajają też ów zwyczaj dzieciom, mówiąc im: „Dobre wychowanie wymaga, żeby trochę zostawić na talerzu; pamiętaj, to dobre wychowanie!“ Przy stole, przy którym siedziałem, była też i dziewczynka.

czynka mająca półtrzecia roku, która z żalem zostawiała okruszynę nie wiem już jakiego przysmaku. Nachyliwszy się do matki, powiedziała jej do ucha wprawdzie ale tak, że wszyscy słyszeli: „Mamusiu, czy Mamusia pozwoli zjeść dzisiaj dobre wychowanie?“ Oto w jaki sposób rozumieją nas dzieci, których my nie staramy się wcale zrozumieć. Przypisujemy im zawsze za wiele albo też za mało czy to inteligencji, czy nawet rozumu.

Przy tej sposobności wspomnieć muszę o błędzie, który dość często popełniają moralisci i wychowawcy, a zapewne też i rodzice. Nieraz zdarza się słyszeć zdanie, iż dziecię umie dobrze obserwować i trafne sądy wydaje o przedmiotach. Zdanie to potrzebuje pewnego objaśnienia. Właściwa dziecku zdolność rozróżniania w doniosłości swej nader ograniczona, zawsze jest przedmiotowo zamkniętą w granicach bardzo do siebie zbliżonych. Podobnie jak zwierzę i dziki człowiek, tak i dziecko opiera swój sąd jedynie na właściwościach zewnętrznych i to na najwydatniejszych a szczególnie na takich, które mają dla niego interes w chwili bieżącej lub w przyszłości mieć go mogą. Uwagę przez interes zbudzoną, ogarnia ono mnóstwo różnic dla niego niezmiernie ważnych, dla kogoś drugiego prawie nie istniejących. Wogóle dziecko chwytą dobrze i od pierwszego rzutu oka wyraz ruchów, twarzy, głosu, uczuć prostych i pospolitych, ogólne raczej znaczenie niż delikatne odcienia tych nawet wrażeń, które współczucie jego budzić mogą. Sześciomiesięczne dziecko, w tem co dotyczy niektórych jego postępów, wie wybornie z kim ma do czynienia: wie czy ojciec surowy jest lub pobłażliwy, czy matka stanowcza lub miękka, czy wuj bawić się z niem lubi, czy ciocia jest nadąsaną, czy towarzysz swawolny lub ospały, wesoły lub smutny,

łagodny lub gwałtowny. W tym już wieku, a szczególnie w kilka miesięcy później, dziecię wie doskonale, co mu wolno z jednym, a czego z drugim nie wolno. Podobnie i zwierzęta zdaleka zdobywają swoją rozpoznając, inaczej z nią postępują, niż z innymi zwierzętami. Podobnie i dżicy ludzie posiadają ostrość zmysłów, a raczej zdolność rozsądzania zmysłami, zdolność wyłącznie ograniczoną do tego rodzaju postrzeżeń, których rozpoznanie przedstawia dla nich najwięcej korzyści. Tak też i zecer rozpoznaje prostem dotknięciem literę, której szuka, lub też szwaczka jednym rzutem oka rozróżnia wśród wielu innych potrzebny jej numer igieł lub nici. Tak wreszcie entomolog i botanik od razu powie nazwę owadu lub rośliny, które z powodu zbytnej odległości lub zbyt drobnych rozmiarów zaledwie są widzialne dla oka. Tę zdolność rozróżniania nadają pewne przywyknienia, które z interesu pochodzą a przecież podlegają jeszcze znacznej ilości błędów ¹⁾.

W małym jeszcze dziecku spostrzegamy niekiedy sądy konkretne, jak można najmniej ogólne, które uchodzą u dorosłych za sądy ogólne. Przytoczę tu jeden tylko przykład, odnoszący się do wielokrotności powtarzania, a będący prawie tem samym, co oznaczenie ilości w czasie. Przechadzałem się z siostrzeńcem moim Karolkiem, mającym wtedy cztery lata. Szliśmy wzdłuż kanału, na którego brzegach rosły wierzby i olchy. Karolek ciekawy z natury i pilnie na wszystko baczący, nie przerywając prowadzonej ze mną bardzo zajmującej rozmowy, nagle mi wskazał ważkę o błę-

¹⁾ Ponieważ niema pojęcia bez sądu a sądu bez rozumowania, powiedzieć przeto można, że błąd jest tylko po większej części następstwem fałszywej indukcji lub dedukcji. — W rozdziale o rozumowaniu obszerniej mówić będziemy o błędach czyli pomyłkach.

kitnych, jakoby gazowych skrzydłach, którą nadejście nasze spłoszyło.

„Zazwyczaj — zaczął (słuchałem uważnie, sam siebie zapytując, co znaczyć może tak imponujący przyśłówki w ustach czteroletniego dziecka) zazwyczaj — powtórzył — ważki siadają na liściach na słońcu, ale nie zawsze, nie.” Przyznaje, że zadziwiłem się zobaczyszy, że dziecko tak jeszcze małe dopełnia aktu abstrakcji stosowanej, a przynajmniej objawia dążność do abstrakcji uogólniającej z powodu faktów konkretnych, które mu zrozumiale objaśniono.

W dziecku kończącym siódmy kwartał dostrzedz można nawet zaczątki tego rodzaju abstrahowania, które doprowadza do sądów praktycznych. Bez wątpienia nie należy się spodziewać, żeby dziecko było w stanie oddzielać zło od dobrego, przynioty od wad w osobach lub rzeczach. Jeżeli zaś czyni coś podobnego, to mimowiednie i na bardzo małą skalę tak, jak to czyni tyle ludzi mało wykształconych, lub mało się zastanawiających. Pewną jest wszakże rzeczą, że pojęcia jakie ma dziecko o ojcu swoim, o matce, o domownikach, o znanych sobie zwierzętach, nie są pojęciami prostymi, że o tem wszystkiem wytworzyło sobie ono pojęcia ogólne i wszechwładne, całokształty myślowe w których co chwila wynajdzie pojęcie oderwane, zastosowane do rozwoju jego zdolności sądzenia. Ci, których dziecię zna mało, są — jak z jednej sztuki wykrojeni bohaterowie tragedii pseudo-klasycznej — całkowicie źli lub całkowicie dobrzy; ci których zna dobrze, są jego zdaniem, czasem dobrzy, czasem źli: zależy to od stopnia grzeczności dziecka, z czego ono samo zdaje sobie sprawę wybornie. Sąd dziecka dochodzi więc aż do abstrakcji i do uogólniania, chociaż w szczupłym bardzo zakresie.

2. Tworzenie pojęć oderwanych.

Ponieważ z wrażeń wytwarzają się pojęcia, można przeto powiedzieć, że analiza stanowi konieczny warunek wszystkich pojęć wyraźnych: „Żaden zmysł nie jest zdolnym przedstawić nam wszystkich własności, które w danem ciele spostrzegamy. Wzrok przedstawia nam barwy; słuch — dźwięki i t. d. Oddzielnie posługując się zmysłami, rozkładamy więc ciała: t. j. niejako badamy po kolei części składające mechanizm zegarka. Ze wszystkich zmysłów, dotyk najwięcej wykazuje nam własności, ale uwadze naszej nasuwa je kolejno, chociaż pozwala odkryć kilka jednocześnie ¹⁾.”

Tę konieczność analizy z organicznej budowy naszej wynikłą, uważać można za dwupostaciową albo też za dwa główne stopnie mającą; dlatego też zbadamy u małego dziecka tę zdolność analizowania, która doprowadza do wyobrażenia o jednostkach oraz tę, która doprowadza do wyobrażenia o cechach lub własnościach i daje początek temu, co zgodzilibyśmy się nazywać pojęciami oderwanymi.

Dziecko największych dokonywa postępów wtedy, gdy zmysły wzroku i słuchu przychodzą już w pomoc smakowi i dotykaniu. Wtedy dopiero możemy zacząć spostrzegać i podchwytować niektóre objawy młodego rozwijającego się umysłu. Fałszywe byśmy sobie utworzyli pojęcie o pierwszych wzrokowych spostrzeżeniach dziecka, gdybyśmy je porównywali do niewidomego, któremu Cheselden zdejmował kataraktę, a który przed-

¹⁾ Condillac: *Cours d'Etudes*.

miotą przed jego oczyma umieszczone spostrzegał jedynie jako zbiorowisko barw na płaszczyźnie rozrzuconych. Najpierw dotykane nie dostarczyło jeszcze dziecku pojęcia płaszczyzny a powtórne pole widzenia stopniowo się tylko dlań rozszerza. „Oczy — powiada Tiedemann o swoim synku, mającym zaledwie dni parę — zwracały się już na wszystkie strony, nie odruchowo, ale tak jakby czegoś szukały i zatrzymywały się chętniej na przedmiotach w ruchu będących.” Spostrzeżenie to nie jest dokładnem. Nie widziałem nigdy, aby dziecko tygodnia nie mające wodziło oczyma za jakim innym przedmiotem jak za świecą lub za migotliwym płomieniem ognia, roznieconego na kominku. Widziałem jednak kilkoro dzieci mających już miesiąc, których główka pozostawała nieruchomą, chociaż oczy śledziły przedmiot o kilka cali od twarzy poruszany, albo wpatrywały się długo w przedmioty błyszczące, umieszczone w odległości dwóch lub trzech łokci. W miarę jak narządy wzrokowe dziecka nabierają wprawę, jak się pole jego widzenia rozszerza, postrzeżenia wzrokowe dochodzą doń pod postacią świetlnych lub barwnych cząsteczek.

Dziecko dostrzega tylko wydatniejsze punkta tego, co dla dorosłego stanowiłoby obraz całkowity. Oko powoli uczy się odróżniać rozmaite barwy, a brak akomodacji wzroku pozwala dojrzeć niektóre tylko przedmioty wydatniejsze, lub nawet tylko niektóre części tychże przedmiotów. Tak być w istocie powinno, jeżeli dokładnemi są obserwacye, które zapisałem w rozdziale o uwadze. Najpierw uderza siatkówkę dziecka i ryje się w jego pamięci pierś mamki, płomień, sprzęt wypukły t. j. najwydatniejsze kształty i barwy (kształty zaś i barwy są dla dziecka jednym i tem samem). Zewnętrzne wrażenia wzrokowe, tak samo jak wrażenia

innych zmysłów, zdają się pierwotnie dochodzić do dziecka barwa po barwie, cząsteczka po cząsteczce. Wyraźne zaś postrzeganie wrażeń, przechowywanie o nich wspomnień (niezależnie od złożonych i współcześnie działających wrażeń, które mało oddziaływały na zmysły) jest już rozdzielaniem, które uważać można niby za pierwociny abstrakowania.

Do postrzeżeń podstawowych, odosobnionych, częściowych, które uważamy za pierwsze pojęcia abstrakcyjne, dołączają się powoli postrzeżenia drugorzędne — zbiór których utworzy pierwsze wyraźne pojęcia konkretne. Teraz już jedno główne postrzeżenie wystarcza, aby przypomnieć dziecku całą grupę skojarzonych z niem postrzeżeń drugorzędnych. Pewna barwa, odcień, dźwięk, pewne wrażenia smakowe lub dotykowe natychmiast podsuwają dziecku pojęcie innego kształtu, innego przedmiotu lub osoby. Najpierw poznało dziecko osobę mamki za pośrednictwem ciągle po sobie następujących analiz. Zna więc pierś, która daje mu tyle słodkich rozkoszy, brodawkę, do której usta przykładają, miękki i ciepły jej obwód, który jest pieszczotą dla jego twarzy a powabnym dla oczu widokiem; zna ciepłe o miłe dotknięcie jej ręce, zna rozmaite części jej twarzy, stanowiące dlań przedmiot przyjemnych postrzeżeń: oczy jej, nos, czoło, podbródek, usta, na których przemieszkują uśmiech tak prędko dlań zrozumiały, z kądem sypią się obficie słodkie słówka i miłe piosenki. Zna także rozmaite części kołyski, do której kilka razy na dzień bywa wkładaniem, gdzie się budzi, z kądem do ssania wyjmując; zna tkaniny lekkie, a przecież tak czasem szorstkie dla delikatnej jego skóreczki; zna szczeble i nogi krzesła, politurowaną powierzchnię, błyszczące kanty tak stołu jak i otaczających sprzętów a wszystkie te przedmioty, które częściowo i kolejno wrażeń mu do-

starczyły, łączą się teraz pomiędzy sobą pod postacią pojęć indywidualnych. Ale jakie niepewne jeszcze i niezupełne są owe pojęcia jednostek i małych odrębnych całokształtów!

Pewne dwumiesięczne dziecko wyraźnie rozróżniało postać ludzką od postaci zwierzęcej, od sprzętu lub od ściany, ale uśmiechało się do wszystkich ludzi zarówno, a szukało piersi każdej kobiety, która je wzięła na ręce. Po upływie miesiąca nauczyło się już tak dobrze rozróżniać mamkę od matki, że gdy było u matki a mamka wzięła na ręce inne dziecko, lub jeżeli ktoś starszy udawał, że ją obejmuje, dziecko płaczem i krzywieniem się natychmiast swoją zazdrość objawiało. W tej epoce chłopaczek ów wyraźnie odróżniał kota, który go parę razy udrapał od psa, który się codzień do niego lasił i za jednym rzutem oka poznając psa, radował się, gdy tenże wchodził do pokoju. Miesiąc czasu wystarczył na dokładne ustalenie w jego umyśle wielkiej ilości pojęć jednostkowych.

Co się zaś tyczy tego rodzaju abstrakcyi, mocą której oddzielamy własności od przedmiotów, dziecko nieustannie jej próbuje, zmuszane do tego koniecznością patrzenia na każdą rzecz z osobna, aby ją dobrze zobaczyć. Od tych przedmiotów, które nauczyło się już odróżniać pojedynczo, odbiera ono chwilami wrażenia nadzwyczaj silne. I tak: kładę przed czteromiesięcznym dzieckiem piękną różę, obok lampy abażurem przysłoniętej: dziecko stojąc na kolanach matki przed stołem, na którym kwiat położyłem, otwiera buzię, szczebioce, wyciąga rączki, podryguje, rwie się naprzód; matka kładzie je na stole, gdzie się najzabawniej wykręca i wije, ciągle patrząc na różę. Nieprawdaż, że ta barwa, która tak żywo jego uwagę zwróciła, zostawi mu w pamięci żywe i silne wspomnienie, chociaż odosobnione od

wrażenia przedmiotu? W parę minut potem podnoszę abażur lampy; na widok jasnego, blaskiem płonącego jej ogniska, dziecko wydaje okrzyki radości, podrzuca się i podskakuje w zachwycie; zapomniało o róży, nie widzi jej już nawet, całe zajęte tym pysznym snopem złotym, który je olśniewa i czaruje. Bądźmy pewni, że wspomnienie żywego i chwiejnego płomienia zachowa się daleko wybitniej zaznaczone od wspomnienia bezpośredniego z nim sąsiadujących przedmiotów, które dostarczyły dziecku wrażeń słabszych i mało dokładnych; siła lub częstość tego rodzaju przeważających wrażeń sprawia, że dążą one do zacierania pojęcia przedmiotów, do odłączania się, do odrywania od nich. Nie wątpię, że czasami na jawie a częściej jeszcze we śnie (skutkiem nieobecności wrażeń zewnętrznych, za sprawą których nawiązuje się łańcuch zwykłych skojarzeń) nie wątpię, że w mózgu dziecka powstają obrazy o tyle żywe same w sobie, o ile przedmiotowo nieokreślone, i że halucynacya dźwięków, barw, wrażeń dotykowych, mięśniowych lub termicznych, hallucynacya kształtów, rozmiarów, smaków, budzi w niem podobnie żywe wrażenie, którym wszakże nie towarzyszą słabsze od nich a w koło nich ugrupowane wrażenia zmysłowe. Widzimy tutaj, że wyobraźnia odtwarzająca przyjmuje udział w czynności odrywania cech od przedmiotów. Abstrakcyę podobną, doprowadzającą do pojęć indywidualnych o jednostkach lub też o własnościach, które dziecko wcześniej tworzyć zaczyna, dążą ustawicznie do powrócenia między niewyraźne całokształty i zmienne konkrety, z których wiodą swój początek. Szereg nie powiem wrażeń, ale pojęć zwykłych i naturalnych jest dla dziecka, również jak i dla dorosłego szeregiem syntetycznych poglądów. Postacie indywidualne tak są różnorodne i tak rozmaite, że zwolna pamięć im po-

zwała zapadać w wielką masę przedmiotowości, niejasno ale bezpośrednio pojmowaną, od której oderwały się tylko za sprawą wyjątkowych i przemijających okoliczności.

Własności oddzielnie w jednostkach tych postrzeżone, jakkolwiek z początku wydatnymi zdawać się mogły, nie zawsze takimi pozostają, nie zawsze mogą też w równym stopniu zaprzętnąć uwagę lub rozbudzić pamięć. Płomień świecy nie zawsze jednakowo jest świetnym i chwiejnym; wrażenia dotykowe, smakowe, węchowe, słuchowe, nie zawsze uderzają sensorium dziecka z jednakowym natężeniem i przez jednakowy przeciąg czasu. Dlatego to wspomnienia kształtów pojedynczych przedmiotów, choć silnie w umyśle wyryte, stają się stopniowo mniej wyraźnymi tak, że pojęcie drzewa na przykład, dostarczone przez wspomnienie bezpośrednie i zupełnie wyraźne wraca do umysłu w postaci niepełnych i nieokreślonych i mogłoby być wziętemi za pojęcie ogólne. Również i własności zasadnicze, stałe, istotne, które drogą analizowania dostrzegliśmy w rozmaitych przedmiotach, niestartym rysem przechowują się w umyśle; ale chociaż wspomnieniu ich nie towarzyszy często żaden szereg postrzeżeń wyraźnych, to jednak zawsze dołączają się do nich niejasne i zmęczone obrazy pewnych z niemi skojarzonych postrzeżeń. To też, mimo wszelkich usiłowań (a sądzimy, że nie jeden psycholog zgodzi się na to) niepodobna nam myśleć o jakimś oderwanem pojęciu, czerwoności, białości, dźwięków niskich lub piskliwych, piękności, brzydoty, dobroci, występku, moralności, liczby, przestrzeni, rozległości, inaczej jak wyobraziwszy sobie poszczególny jakiś przedmiot, mający mniej lub więcej określone kształty, do którego natychmiast przyłącza się w myśli pojęcie abstrakcyjne i przechodzi w konkretne.

Tak pojmując abstrakcję, nic dziwnego, że przyznajemy dzieciom zdolność tworzenia pojęć abstrakcyjnych, jakkolwiek Locke, Condillac i tylu innych sądzą, iż zdolność ta jest zależną od umiejętności mówienia. Mowa ustala w pewnej mierze to, co się nazywa pojęciami oderwanymi, określa je, granice im nadaje, ale ich nie tworzy. Pojęcie najbardziej oderwane równoznaczne jest pojęciu znaku najbardziej oderwanego, czyli innemi słowy pojęciu powstałemu drogą zmysłów, jakimś uproszczonemu i wysubtelnionemu pojęciu konkretnemu. Jest to prawie to samo, co powiedzieć, że myśl czysta nie istnieje wcale, że jest ona wymysłem metafizyków i matematyków, umówionym pewnikiem logicznym; i to samo też prawie co powiedzieć, że pojęcia względnie oderwane, jedyne które uznajemy, są pochodzeniem swoim niezależne od władzy mówienia. Vulpian nie tylko że nie odmawia dziecku zdolności abstrahowania (w przyjętem przez nas znaczeniu) lecz twierdzi nawet, że zdolność tę posiadają i zwierzęta.

„Istnieją—powiada Vulpian—abstrakcje względne do rzeczy dotykalnych a raczej do wrażeń, jakie rzeczy te na nas wywierają. Takimi są na przykład abstrakcje, mocą których tworzymy sobie pojęcie o drzewach, o psach, o barwie zielonej lub czerwonej, o dźwięku takim lub innym i t. d. Jednem słowem są to abstrakcje dotykalne to jest utworzone za pomocą własności podpadających pod zmysły. A skoro tak jest, wydaje mi się zatem rzeczą trudną odmówić (częściowo przynajmniej) posiadania tychże pojęć abstrakcyjnych wyższym zwierzętom; nie ulega wątpliwości, że na podstawie tych to pojęć zasadza się nieraz pamięć ich, zastanowienie, rozumowanie. Zupełnie zaś wątpliwą wydaje mi się rzeczą, aby zwierzęta miały pojęcia

ogólne oderwane, czyli aby miały jakiekolwiek oderwane pojęcie o nieskończoności, o czasie, o przestrzeni, o wymiarach, o liczbach, o stosunkach i t. d. W przekonaniu, że zwierzęta nie mają takich pojęć oderwanych utwierdza mnie to, że nie jestem pewien, czy je człowiek posiada. W tej mierze podlegamy złudzeniu, na które za mały kładzie się zwykle nacisk. Zwierzęta, niektóre przynajmniej, mają pewien rodzaj mowy, która im pozwala porozumiewać się z sobą, bądź to zmianami w nagięciu głosu, bądź to wydawaniem innego, szczególnego odgłosu, bądź wreszcie różnymi sposobami dotykania się siebie. Nie znam nic ciekawszego nad opisany przez Hubera sposób porozumiewania się mrówek za pomocą macek. Ostatecznie jednak sposoby te bardzo się różnią od mowy ludzkiej. Człowiek tylko włada prawdziwą mową członkowaną, on tylko za jej pomocą tworzy nader urozmaicone abstrakcje, on tylko jeden (tego nawet mówić nie potrzebuje) wznosić się może do abstrakcyj metafizycznych. Ale z tego, że za pomocą umówionych wyrazów człowiek odtwarza także abstrakcje, nie należy jeszcze wyprowadzać wniosku, że posiada on pojęcia metafizyczne oderwane. Pojęcie wtedy tylko istnieć może, gdy zachodzi możliwość przedstawienia go sobie w myśli mniej lub więcej jasno. Czy można sobie jednak przedstawić w sposób abstrakcyjny czas, przestrzeń i t. d.? Jeżeli się nie łudzę, mniemane pojęcia ogólne nie istnieją więc w rzeczywistości i powinnyby tylko być uważane za abstrakcje algebraiczne—że tak powiem ¹⁾.

Tak więc pomiędzy abstrakcjami wytworzonymi przez dorosłych a temi jakie tworzy dziecko i zwierzę

¹⁾ Vulpien: *Physiologie du système nerveux.*

głosu pozbawione, zachodzi tylko jakościowa różnica. Obserwując dziecię wtedy gdy już nieźle włada mową, przekonamy się, że jest ono zawsze (i takiem będzie dorósłszy) nieskorem do abstrakcyi niepopartej dostatecznie określonym przedstawieniem przedmiotowym. Dwuletnie dziecko wybornie rozumiało znaczenie następujących zdań: „Ta szklanka jest większa od tego korka; dziecius jest grzecznym chłopczykiem; pies jest zły.” Ale trzy lata już mając, nie rozumiało jeszcze następujących zwrotów: „Wielkość tego domu; dobroć ojca; złość psa,” pomimo podobieństwa dźwięków pomiędzy wyrażeniami abstrakcyjnymi a odpowiedniami im przymiotnikami. Dziewczynka blisko dwuletnia biegle wymieniała nazwy głównych barw, ale małą tylko ich ilość umiała rozpoznać na przedmiotach. Ojciec wyjmował z szafy książki i pokazując je kolejno dziecku pytał: „Jakiego koloru jest ta książka?” „Ta biała, ta czarna, ta niebieska, ta czerwona—odpowiadała dziewczynka—trafnie określając kolor książek, które jej pokazywano. Ojciec podał jej wreszcie jedną, której koloru nazwać nie umiała: „Nie jest ani czerwona, ani niebieska—rzekła po kilku sekundach wahania.” „Jakiegoż jest koloru?”—nalegał ojciec.—„Ani czerwona, ani niebieska, ani biała.” Nie mogła sobie przypomnieć wyrazu *żółta*, chociaż zarówno wyraz ten jak i kolor żółty były jej znane; po chwili bowiem dodała: „jest taka jak mój kapelusik.” Wahanie jej pochodziło raczej z trudności utworzenia pojęcia względnie abstrakcyjnego niż z trudności przypomnienia sobie dobrze znanego wyrazu. I w samej rzeczy w parę dni potem popełniła nową omyłkę, nie umiejąc nazwać barwy zielonej na widok zielonej wstążki, a kiedyś znowu omyliła się co do barwy żółtej. Gdy ojciec kazał jej przynieść ze swego stolika kawałek żółtego papieru, przyniosła aż trzy ka-

wałki, każdy innego koloru, ale żółtego nie było pomiędzy nimi.

W rozdziale poświęconym kojarzeniom, wykazaliśmy już, że dziecko posiada początkowe pojęcia przyczyny, miejsca, czasu i t. d. Zastanówmy się teraz, czy między innymi objawami rozsądzania, doprowadzającymi do tak zwanego zdrowego rozsądku, nie posiada też ono pojęcia ilości, a szczególnie ilości liczebnej. Jeżeli podamy dziecku dwa kawałki ciasta albo owocu: jeden większy a drugi mniejszy, wcześniej bardzo zacznie ono wyciągać rączkę po większy. Tak samo i dwu miesięczny kotek, któremu rzuciłem był kawałek mięsa nie schwycił go ale poszedł odebrać innemu kotowi duży kawałek, który jednocześnie mu rzuciłem. Co się zaś tyczy pojęcia liczby, to dziecko a zapewne także zwierzę, długo uważa pojęcie to za jedno z pojęciem większej lub mniejszej ilości. Miałem sposobność przekonania się, że trzyletnia kotka posiadała bardzo niejasne pojęcie liczby. Gdy przedostatnim razem miała kocięta zostawiłem jej jedno tylko; z żalu po utracie tamtych, odchodziła od niego na kilka godzin, przenosiła je z miejsca na miejsce, aż wreszcie zdechło mając dni dziesięć, kiedy mu się już zaczynały przetwierać oczki, a pewien jestem, że zdechło z braku starań i dostatecznego odżywiania. Nie mogę wątpić o tem teraz, gdy widzę ją szczęśliwą i tak dbałą o dwoje kociąt, które jej tym razem zostawiłem a nie wątpię tembardziej, że ani chwili nie wołała i nie szukała trojga utopionych. Pochodzi li to z braku zdolności arytmetycznych czy też z tego, że w pojęciu kotki zarówno dwoje jak pięcioro znaczy tylko *kilkoro*? Gotów jestem w to wierzyć.

Houzeau nie odmawia niektórym zwierzętom tej zdolności zamkniętej wszakże w nader szczupłym zakre-

sie ¹⁾. „Nie ulega wątpliwości—mówiono—że niektóre zwierzęta umieją rachować przedmioty lub czynności do siebie podobne, pod warunkiem aby ilość ich była niewielką. Sroka (*Pica caudata*) czując, że myśliwi na nią czatują, nie ruszy się z miejsca, póki się oni nie oddalą. Jeżeli odchodzą jeden po drugim, sroka nie myli się do czwartego; jeżeli jednak jest ich więcej, zaprędko wychodzi z kryjówki, zdradzając przez to swą mylną rachubę. Następujące spostrzeżenie dostarczy dowodu, że muły umieją rachować przynajmniej do pięciu.

W wielu miastach Stanów Zjednoczonych do ciągnięcia wagonów tramwajowych używają mułów, którym szczególnie w Nowym Orleanie dają pierwszeństwo przed końmi. Na jednej z linii dość niedługiej, każdy muł pięć razy musi przejść tam i napowrót, zanim go wypręgna. Otóż weterynarz miejscowy, Dr Louis, zwrócił moją uwagę na fakt, który sam zresztą sprawdziłem, że muły w zaprzęgu chodzące nie odzywają się wcale podczas czterech pierwszych razy, ale za piątym zbliżając się do stacyi, zaczynają rzeć, wiedząc bowiem że powinny już być wyprężone.

Niektóre ptaki oraz zwierzęta czworonożne umieją zdawać sobie sprawę z liczby, przynajmniej do czterech lub do pięciu. Jakimże sposobem te zwierzęta, które nie posiadają mowy umówionej, potrafią jednak zliczyć do pięciu a może nawet i więcej? Muszą mieć zatem jakiś sposób rachowania, albo też rozróżniania wspomnień między sobą. Czy dopomaga im pamięć oczu i zestawianie obrazów podobnych, coś w tym rodzaju jak gdybyśmy liczyli drzewa lub liczmany usta-

¹⁾ Houzeau. *Etudes sur les facultés mentales des animaux.*

wiając je w myśli? Kwestyi tej nie możemy rozstrzygnąć stanowczo."

Według tegoż przyrodnika „dziecko z początku rozróżnia tylko liczbę pojedynczą od mnogiej. Mając miesiący ośmnaście, rozróżnia jeden tylko przedmiot od dwóch i od kilku. W trzech latach a nawet i wcześniej zna jeden, dwa i cztery (2 razy 2). Później dopiero liczy naturalnym szeregiem: jeden, dwa, trzy, cztery i na tem się zatrzymawszy, dość długo nie postępuje dalej. Dlatego to bramini do czterech tylko liczyć uczą w klasie pierwszej, a dopiero w drugiej uczą liczyć do dwudziestu. W Europie zwrócono na to uwagę, że trzeba lat sześciu lub siedmiu, by mózdz dojść do dziesięciu, a lat prawie dziesięciu aby dotrzeć aż do stu. Bezwątpienia przed dojściem do tego wieku dziecko potrafi powtarzać liczby, których się nauczyło na pamięć. Ale nie na tem polega znajomość liczb: mówimy tu bowiem o wyraźnem pojmowaniu ilości przedmiotów. Poprzedzające dane odnoszą się do dzieci europejskich przeciętnie inteligentnych i pierwotne nauczanie pobierających." Osobiste moje postrzeżenia dotyczące się dzieci, które jeszcze nie mówią, nie dostarczyły mi żadnej wskazówki przeciwnej twierdzeniom p. Houzeau. Gdy trzymiesięczne dziecko, któremu pokazują dwa smoczki, chwyta oba odrazu; gdy woli wziąć dwa przedmioty zamiast jednego, trzy zamiast czterech; gdy potem w wieku 8 miesięcy widząc koło siebie dwa podobne koty, a nie umiając porównać ich dobrze, bierze jednego za drugiego, myśląc z początku, że ciągle z tym samym ma do czynienia, mięsza ono oczywiście pojęcie mnogości z pojęciem ilości. Inteligentne, półtrzecia roku mające dziecko umiało liczyć do 12, ale nie zdawało sobie sprawy z przeciągu czasu zawartego w trzech dniach. „Powrócę za trzy dni” — rzekłem mu, na co

chłopczyk natychmiast odpowiedział: „Co to znaczy za trzy dni?” Odparłem: „Powrócę, nie *jutro rano*, ale *jutro, jutro* i jeszcze *jutro*.” To objaśnienie wydało mu się wystarczającym. Mając trzy lata i kwartał, tenże chłopczyk opowiadał ogrodnikowi, że jedzie jutro i że długo nie powróci: „Powrócę — obiecywał — za *wiele, wiele, wiele* *jutro*—za rok.” Tego ostatniego wyrażenia nauczył się, nie rozumiejąc go; pierwsze zaś do skali umysłu swego zastosowane, sam wymyślił. Temuż samemu dziecku (a zauważyłem to i u wielu innych dzieci) daleko jeszcze było trudniej cofnąć się wstecz; mając trzy lata, z trudnością pojmował co to jest *przedwczoraj*, a nawet *wczoraj*.

Inny znów trzyletni chłopczyk miał tylko zaczątkowe i bardzo niejasne, niezupełne pojęcia abstrakcyjne prawdy, zalet moralnych, a nawet fizycznej piękności i brzydoty. „Co to znaczy: prawda?” — zapytał ciotkę, która mu mówiła: „No, Karolku, powiedz prawdę.” „Ten mówi prawdę, kto nie kłamie.” Doskonale zaś wiedział czym jest kłamstwo, surowo bowiem był ukarany za to, że żartem opowiadał coś, co się nie zdarzyło. W jego pojęciu być dobrym, znaczyło to przymilać się, nie robić rzeczy, za które się starsi gniewają, mama płacze a ojciec daje klapsy; być złym znaczyło: robić to wszystko, o czem wiedział, że zasługuje na naganą. Mięszał jednak pojęcia: *zły* i *brzydki*. Mając półtrzecia roku, powtarzał aż do znudzenia i bez żadnego powodu: „*Taka* osoba, *takie* zwierzę jest bardzo, bardzo brzydkie;” mówił także ale rzadziej o jakiejś osobie lub zwierzęciu, że są ładne. Chcąc go skłonić aby był cierpliwy przy ubieraniu, powiedziałem mu pewnego dnia: „Śliczny jesteś chłopaczek, bardzo *grzeczny*, bardzo *ładny*;” na co mi odpowiedział: „O, nie! ja nie jestem ładny! mama powiedziała mi w domu, że nie jestem *ła-*

dney.“ „Wieg jesteś brzydki?—spytałem.“ „Tak czasami, kiedy robię przykrość tatusiowi albo mamusi.“ Rozumiał sprzeczność zachodzącą między pojęciami *ładny* i *brzydki*, ale uważał za jedno *ładny* i *grzeczny* albo *dobry*, a *brzydki* i *zły* albo *nieposłuszny*. Nie miał zatem jeszcze jasnego pojęcia o *dobrem* i o *złym* moralnym lub o piękności i brzydocie moralnej, jakkolwiek miał bardzo wyraźne pojęcie *fizycznej* piękności i brzydoty. Przyglądał się niektórym osobom z większą uwagą i zadowoleniem niż innym (dlatego, że miały twarz przyjemniejszą i miłą. Zdaje nam się, że dość już powiedzieliśmy o posiadanych przez dziecko (jakkolwiek w zaczątkowym i konkretnym stanie) pojęciach tak zwanych racjonalnych, które stanowią wynik i podstawę najzwyczajniejszych i najogólniejszych sądów człowieka dorosłego.

Ostatecznie zatem, jeżeli—ściśle biorąc—nie możemy poczytywać abstrakcyi za odrębną jakąś uwagę, działanie której wznosi się stopniowo od konkretów do pojęć ogólniejszych, musimy jednakże przyznać, że istnienie abstrahowanie łatwiejsze i trudniejsze: pierwsze tepsze i pospolitsze, drugie subtelniejsze i rzadsze; to jest jednym słowem, że zdolność abstrahowania ulega stopniowaniu.

Pojęcie jednostkowe jest syntetycznem w stosunku do ogółu składających je części a zarazem analitycznem w stosunku do całokształtu jednostek; pojęcie barwy różowej, błękitnej lub białej jest abstrakcyjnem w stosunku do kwiatu też barwę mającego; pojęcie ogólne barwy lub liczby, niezależnie od wszelkiego barwnego przedmiotu lub od wszelkiej ilości liczebnej, jest jeszcze więcej abstrakcyjnem i t. d. Bardzo małe dziecko może tylko dać nam przykład najniższych form abstrakcyi.

Zdolność rozróżniania jest punktem wyjścia zdolności abstrahowania. Dziecko, które rozróżnia pewną ilość osób i przedmiotów: matkę od mamki, kota od psa, stół od szafy z książkami, umie już abstrahować a daje dowód tej zdolności, ilekroć z tego lub owego powodu uchwyci w danym przedmiocie jakąś cechę, jakąś własność konkretną nad innemi pierwszeństwo mającą. Tworzenie pojęć o własnościach ogólnych jest dlań rodzajem wyłącznego i natężonego wrażenia: jeżeli ma przed oczyma zapaloną świecę, uwaga jego zatrzyma się przez chwilę na płomieniu jaśniej od świecy błyszczącym; jeżeli mu pokażemy kilka przedmiotów różnej barwy, patrzy na barwę najbardziej wpadającą w oko, najjaskrawszą i w ogóle daleko wcześniej nabiera pojęcia o barwie aniżeli o kształcie przedmiotu. Takimi są najzwyczajniejsze u dziecka pojęcia abstrakcyjne, zasadzające się na rozdzielaniu pojęć konkretnych. Dowodem tego jest trudność, jaką dzieciom a często i dorosłym przedstawia przechowanie w umyśle pojęć barwy, dźwięku lub kształtu, a zwłaszcza pojęcia ilości, dobroci, złości, piękności, brzydoty, skoro znikną im z przed oczu przedmioty chwilowo tych pojęć dostarczające. Sama nawet mowa—jakkolwiek mająca wartość dotykającego równoznacznika tak przedmiotów jak i ilości — nie zastąpi obecności przedmiotu lub wyraźnego o nim wspomnienia, gdy potrzeba przypomnieć dziecku własność, która je w danym przedmiocie uderzyła.

Można powiedzieć, że abstrahowanie jest dążnością do rozdzielania, dążnością zawsze tylko idealną lub doraźną. Dziecko wtedy tylko przypomni sobie pojęcie, które w umyśle jego pozostało osobno lub jakby osobno, jeżeli je skojarzy z jakimś pojęciem konkretnem. Po swojemu rozumie ono wybornie słowa: „tatus dobry, dziecko grzeczne, dziecko niedobre,” ale

przynajmniej w dwóch pierwszych latach życia nie przywiązuje żadnego znaczenia do wyrazów: złość, dobroć, brzydota i do tylu innych pospolitych pojęć, które i nie wszyscy dorośli potrafiliby objaśnić bez pomocy pojęć konkretnych. Nieścisłem jest zatem twierdzenie, iż dziecko ma wstręt do abstrakcyi; przeciwnie lubi ono i tworzy takie pojęcia oderwane, które nie wymagają odeń pracy ani wysiłku umysłowego, to jest są najmniej oderwanymi z pośród wszystkich pojęć oderwanych.

„Dziecko radeby nie robić nic innego jak patrzeć na wszystko, co przed oczyma jego przeciąga. Nie trzeba jednak przesadzać odrązy dziecka do wysiłków umysłowych, bo nie jest ona tak wielką, jak sądzimy. Każdy trud ma dla niego właściwy sobie powab, a przytem abstrahowanie bardzo nam prędko wynagradza poniezione z jego powodu trudy: wyrabia bowiem pojęcia proste, nad wszystko umysłowi miłe. Abstrakcyja nie jest zatem wrogiem dziecka: przeciwnie umysł dziecięcy prędko się z nią oswaja. Dlatego też powinniśmy oszczędzać dziecku trudu abstrakcyjnego myślenia o tyle tylko, aby się ono nie zmęczyło, nie zniechęciło, nie nabrało wstrętu do nauki.¹⁾“ Uwagi powyższe, stosujące się do dziecka w ogóle, muszą też z konieczności stosować się do dziecka będącego w wieku, który obraliśmy sobie za przedmiot badań naszych.

3. Porównywanie.

Dokładne rozróżnienie jednego przedmiotu od drugiego bądź podobnego doń, bądź też odmiennego,

¹⁾ H. Marion: *Leçons de psychologie appliquée à la pédagogie.*

nie jest jeszcze właściwem porównywaniem, ale stanowi pierwszy krok na drodze do porównywania zrobiony. Właściwe porównywanie jest to kolejne zwracanie uwagi albo na dwa albo na kilka przedmiotów, lub też na dwie albo na kilka części przedmiotu. Ażeby tak pojęte porównywanie mogło do powyższego celu doprowadzić, musi koniecznie zespolić się z pewnem pojęciem oderwanem i to z najtrudniejszym bo z oderwanem pojęciem własności. Nie dość na tem: musi ono doprowadzić do pojęcia stosunku, który jest stwierdzeniem podobieństwa lub różnicy, zachodzącej pomiędzy ich częściami. Porównywanie właściwe nie istnieje zatem u małego dziecka, przynajmniej przez kilka pierwszych tygodni i wtedy dopiero staje się możliwem, gdy umysł nietylko dokładnie i dość wyraźnie dostrzega szczegóły, ale gdy nadto uwaga rozwinie się o tyle, że będzie zdolną w krótkim przeciągu czasu zwracać się raz po raz na rozmaite przedmioty.

Dziecko nie ma dokładnego pojęcia o stosunkach i nie szuka ich wcale. Porównywania dopełniają się niejako same z siebie przed oczyma dziecka, składowe ich części zbliżają się do siebie w jego umyśle, zlewając się w całość i rozdzielając pod postacią całkowania i różniczkowania, podobieństw i różnic konkretnych; umysł jednak nie kończy dzieła rozpoczętego przypadkowo, nie postrzega dokładnie związków, nie wyprowadza wniosków.

Jednomiesięczne dziecko pije niechętnie okrzoną wodę zamiast mleka, nie chce pić wody czystej, a złości się, krzyczy i rzuca jak opętane, przełknąwszy gorzkie jakie lekarstwo. Umie ono już odróżnić każde z tych wrażeń, ale ileż razy jeszcze będzie musiało na wielkiej ilości przedmiotów powtórzyć podobne doświadczenia, zanim poweźmie jasne pojęcie o własnościach,

na których polega różnica pomiędzy przedmiotami i zanim zacznie badać, czy ten lub ów przedmiot posiada taką własność lub jest jej pozbawionym! Tak samo i młode zwierzę, na przykład dwumiesięczne szczenię lub kocię, któremu rzucimy kilka kawałków mięsa, bierze bez wyboru jeden lub drugi, najczęściej zaś ten, który najbliżej niego leży, ale starszym będąc instynktownie biegnie do większego, bo silniejsze wrażenie wzrokowe wywołuje w nim silniejsze pożądanie. Znacznie wszakże później, gdy podobne doświadczenia nieraz się już powtarzają, gdy pojęcie wielkości a nawet przyjemniejszego smaku dobrze się w jego umyśle wyrzyje, zwierzę skutkiem przywyknienia wyrozumowanego schwyci lepszy i większy kawałek a nawet będzie usiłowało wydrzeć go swoim towarzyszom. Oto przykład postępowego rozwoju zdolności porównawczej:

Zdaje się, że dziecko trzymiesięczne chwytą wielką ilość podobieństw i różnic, ale nie umie jeszcze porównywać lub przynajmniej czyni to bardzo niedokładnie. Wspominałem już, że gdy podałem trzymiesięcznej dziewczynce najpierw flaszkę napelnioną mlekiem, a potem próżną, poniosła drugą do ust z takimże samym pośpiechem jak pierwszą. Pokazałem jej obie od razu, jedną obok drugiej tak, że mogła widzieć w jednej z nich biały płyn. Dziewczynka zrobiła to, co byłby może zrobił sławny osioł Buridana, gdyby miał dwie ręce wtedy, gdy postawiono przed nim owies i wiadro wody: byłby zabrał jedno i drugie. I dziewczynka też o ile jej na to pozwoliły niezgrabne malutkie jeszcze rączyny, pochwyciła obie flaszkę od razu i wkrótce nie puszczając flaszkę pełnej, którą trzymała w prawej rączce, drugą poniosła do buzi flaszkę próżną. Byłże to ruch poprostu przypadkowy, czy też tem spowodowany, że łatwiej jej było podnieść do góry flaszkę

próżną? Obojętne to dla kwestyi, która nas obecnie zajmuje. Spróbowawszy parę razy a zawsze bezskutecznie pociągnąć z flaszkę, zmarszczyła czołko, ściągnęła brewki i upuściwszy nieszczęśliwą flaszkę płakać zaczęła. Niebawem jednak spostrzegłszy, co trzyma w prawej rączce, szybko do ust przyłożyła drugą butelkę i przełknęła parę kropel zawartego w niej płynu z oznakami jak najżywszego zadowolenia. Dotąd zatem dziewczynka nie dostrzegła żadnej różnicy pomiędzy tymi przedmiotami a może nawet bardzo powierzchownie zwróciwszy na nie uwagę, widziała jeden tylko przedmiot w tych dwóch prawie zupełnie jednakowych i bardzo do siebie podobnych przedmiotach. Następnie poddałem ją innemu doświadczeniu: Wiedząc jak lubi świetne barwy, przesuwalem jej kolejno przed oczyma obrazki. Zaczalem od kolorów bardzo delikatnych; mała ujrzaawszy je, podskoczyła, zaczęła wydawać radosne okrzyki i wyciągać rączki. Ale radość jej przeszła w uniesienie, gdy jej pokazał daleko żywsze kolory: chwyciła obrazki w rączki, gniotła je, mięła, targała, niosła do buzi, przyglądała im się z zachwytem. Wtedy znów zmieniłem rodzaj doświadczenia. Po kilku minutach czasu poświęconego innej rozrywce położyłem przed nią od razu dwa obrazki, z których jeden bardzo żywe miał barwy. Rzuciła się ku obydwóm, jak gdyby jeden stanowiły przedmiot. Podałem jej potem każdy z osobna: doznawała wielkiej przyjemności, patrząc na obrazek o ciemnych barwach, ale na widok drugiego okazała radość i zachwyt niepodobny do opisanego. Jakkolwiek tak wybitne różnice, bardzo silne uczyniły na niej wrażenie, były to wszakże tylko wrażenia mniej lub więcej żywe ale bez żadnego zwrócenia uwagi na przedmioty źródłem tychże wrażeń będące, bez najmniejszego domyslenia się odmienności własności albo nawet ich ustopniowania,

słowem, bez najlżejszego nawet śladu porównywania. Z podobnych doświadczeń wyprowadziłem wniosek, że porównywanie takie, jak my je rozumiemy i praktykujemy, nie jest jeszcze dostępnem dla mózgu trziesięcijnego dziecka. Czy staje się niem trochę później i do jakiego stopnia? I w tej kwestyi nie spieszę z wyrokiem: niechaj fakta mówią same za siebie.

Kilka lat temu miałem dwa koty szare, matkę i syna; oboje jednego wzrostu, jednakowej maści i powierzchni. Pewnego dnia ośmiomiesięczne dziecko do mego pokoju przyniesione spostrzega nieopodal od siebie kotkę i zaczyna dopominać się o nią krzykiem i wymownymi ruchami. Wołam więc kotkę, która natychmiast zaprzyjaźnia się z dzieckiem: podnosi łepkę i wyginając grzbiet pozwala mu się głaskać, mruczy i chodzi koło niego ocierając się o jego sukienkę; dziecię obejmuje ją obydwoma rączkami, obraca i przewraca jak mu się podoba. Tymczasem nadchodzi kotek, przybliża się do dziecka, ociera się o nie mrużąc i upomina o należne mu pieszczoty. Dziecko dziwi się mocno spostrzegłszy z lewej strony to samo zwierzę, które przed chwilą widziało po prawej. Obraca się na prawo: widzi szarego kota; na lewo: także ten sam kot szary. Zdaje się nie wierzyć własnym oczom i nie może się zdecydować na to, że widzi dwa przedmioty, mając umysł zaprzątnięty bardzo żywym pojęciem jednego tylko przedmiotu. Co się działo wtedy w tej główce? Świadczyć o tem mogło zdumienie malujące się w oczach dziecka, ruchy jego rączek i postawa naprzód pochyłona a oczekiwanie zdradzająca. Ale niepewność ta niedługo trwała: zobaczywszy przed odejściem oba koty siedzące obok siebie razem a w odmiennych pozach, dziecko uniosło wspomnienie dwóch zwierząt jednakowych, chociaż nie zdawało sobie sprawy

z ich podobieństwa. Tego rodzaju doświadczenia często powtarzane (a powtarzają się one codziennie), pobudzają dziecko do porównywania i przygotowują bogaty materiał dla abstrakcyi, pozwalającej wyprowadzić z postrzeżeń podobnych do siebie lub odmiennych pojęcie podobieństwa własności.

Pewne dziesięciomiesięczne dziecko robiło znaczną różnicę pomiędzy ciastkami i kartoflami, które bardzo lubiło a chlebem, który lubiło mniej oraz pomiędzy chlebem a mięsem, mlekiem a winem, winem a wodą. Podałem je następującemu doświadczeniu: Pokazałem mu jedną ręką ciastko a drugą chleb; bez wahania schwycało ciastko i poniosło je do ust. Odebrałem mu przysmaczek; trzeba było słyszeć jego krzyki rozpacz, widzieć jego rzucanie się, machanie rączkami, zaczerwienienie i skrzywienie buzi oraz uwagę, z jaką śledziło ruchy ręki, która mu wydarła ulubiony kąsek. Wkrótce potem, żartem niby, podałem mu kawałeczek chleba: dzieciak wziął go, poznał jednak pomyłkę, zanim jeszcze skosztował i odrzucił chleb z oznakami gwałtownej złości. Jeżeli matka chce aby jadł zupę, musi chować przed nim kartofle, mięso i owoce. Toż samo dziecko zupełnie inaczej obchodzi się ze swemi zabawkami niżeli z zabawkami innych dzieci. Jemu wolno brać cudze zabawki, mięsząc je ze swemi, używać ich jakby był ich prawdziwym właścicielem, *uti et abuti*, ale niechże kto dotknie jego zabawek, wnet przemocą z rąk mu je wyrywa. Gdy mu przybliżą do oczu jakiekolwiek przedmioty, spostrzega bardzo wyraźnie, że jeden nie jest drugim i w czem są oba od siebie różne. Porównywa mimochodzący prawie i mimowiednie, co już jest pewnym postępem! Z podobnych zestawień dostarczonych przez wypadek, przez doświadczenie rozjaśnionych a ściśle określonych przez wpływy wychowawcze szczególnie zaś przez wpływ mowy, po-

Księgozbiór: U.

№ 585

wstaną w przyszłości upodobnienia i różnice coraz to wyraźniejsze, oddzielne, abstrakcyjne—prawdziwe pojęcia związku—i dziecię porównywać już zacznie jak człowiek dorosły.

To opóźnione objawianie się zdolności porównawczych zależy od właściwości uwagi. Jest ona tak ruchliwą i tak przelotną u dziecka, że powierzchownie tylko obserwować ono może te nawet przedmioty, które je zajmują, które zaostrzają jego ciekawość t. j. wzruszeniowość, a i to jeszcze obserwuje je najczęściej z punktu widzenia szczególniejszych wrażeń, których mu one w danej chwili dostarczają.

Dziecko trzymiesięczne próbuje brać, ujmować, podnosić, nieść do ust, rzucać każdy przedmiot, który mu do ręki wpadnie: ale bądź to skutkiem ciekawości, bądź też skutkiem uczynienia zadość potrzebie czynu, rzuca ono natychmiast poznany przedmiot dla innego, choć może za chwil parę znowu doń wróci. Dziecko jest stosunkowo tak ograniczonem, że niewiele dopatrzeć może w danym przedmiocie, szczególnie zaś w przedmiocie martwym, nie posiadającym takiej jak żywe twory własności podlegania ustawicznym zmianom i skutkiem tego mniej zdolnym do podniecania ciekawości.

Chcąc dobrze obserwować, trzeba chcieć i umieć obserwować. Dlatego też dziecku nie umięjącemu mówić wystarcza powierzchowne dostrzeżenie wybitniejszych podobieństw i różnic. Nie czuje też ono potrzeby porównywania, bo przeszłość zajmuje je mniej niż teraźniejszość. Jednakże już od pięciu a szczególnie od siedmiu kwartałów do dwóch lat, gdy umiejętność mówienia dopomaga mu już w tej pracy umysłowej, zaczyna ono porównywać po swojemu wprawdzie, trochę dowolnie, a wiele przez naśladownictwo. Zauważyłem

raz to zjawisko u chłopczyka mającego zaledwie trzynaście miesięcy. Jeden z ciotecznych jego braci podobny był do jego wuja: taką samą miał brodę, taki sam wzrost i głos; to też chłopczyk zaledwie poznawszy brata, uważać go zaczął za dawną znajomość. Nazwał go „tato” jak wuja i kazał się do niego przyprowadzić, kładł mu paluszek w oczy, w nos i w usta; chciał siedzieć przy nim u stołu; rano obudziwszy się, na czworakach do niego przypełzał żeby się bawić na jego łóżku, po śniadaniu kazał się posadzić na jego kolanach, ztamtąd wlaźł na stół, gdzie stroił różne figielki, do których go wuj przyzwyczaił.

Brat cioteczny trzymał w ręku ołówek, który mu chłopczyk wyjął i poniosłszy do ust zrobił ruch taki, jakby wujaszek palił i dym puszczał. Zszedłszy ze stołu, wziął kuzynka za rękę i błagalnie zaczął prosić: „wa-wa, wa-wa;” wytłomaczono kuzynkowi, co to znaczy: oto trzeba było udawać psa, z czego wuj wywiązywał się podobno znakomicie i ku wielkiej dziecka radości. W ogrodzie zaczął o coś prosić, a gdy kuzynek prośby tej nie rozumiał, malec przywykły do posłuszeństwa ze strony wuja zaczął się napierać: „bo-bo, bo-bo,” co znaczyło, że chciał aby zerwać kwiat i dać mu do powąchania. Tak więc trzynastomiesięczne dziecko rozumowało i myślało na podstawie analogii, wyprowadzając z niektórych podobieństw wnioski o istnieniu innych własności wspólnych a nawet o podobieństwie całkowitem. Dziwiło się, nie znajdując zupełnego podobieństwa przy pewnych cechach wspólnych i szukało go z uwagą podnieconą zniecierpliwieniem. Kuzynek uwiadomiony przez starszych, starał się przejąć te przyzwyczajenia, które wujaszek nadał dziecku, zastąpiwszy jednak niektóre z nich innemi własnego pomysłu. To też po trzytygodniowym obcowaniu z nim,

dziecko szukało znowu u wuja tych ruchów, dźwięków głosu, zabaw, pieszczot, tej uległości z jaką oswoił go nowy *tato*. Role zmieniły się ale umysł dziecka, wzruszeniowość jego i wola w tenże sam sposób objawiały swoją działalność. Dziecko półtrzecia roku mające znacznie już lepiej porównywa. Wtedy używa ono często takich na przykład zdań: *dziecko drzewa* (drzewko) *tatusz drzewa* (duże drzewo), *mama kaczk* (stara kaczka), *dziecko kaczk* (kaczę), chcąc wyrazić, że przedmiot jakiś, roślina lub zwierzę większem jest lub mniejszem od innego przedmiotu, rośliny albo zwierzęcia. Dziecko w tym właśnie wieku będące powiedziało mi raz: „*Pan nie brzydki, dzidzi nie bardzo brzydkie*,” chcąc przez to wyrazić, że choć samo nie jest niegrzecznem, ja przecież jestem jeszcze mniej niegrzecznym od niego. Bawiąc się ze starszymi, używało ono wielu metafor: „Ty jesteś...” mówiło i urywało, jakby chcąc wzbudzić ciekawość lub znaleźć myśl nie przychodzącą na zawołanie... „ty jesteś *kaczka*, albo *liść*, albo *akacya*, *nóż*...” Były to niedorzeczności wprawdzie, dowodziły one jednak przyzwyczajenia do ciągłego szukania najdziwniejszych nawet upodobnień. Chłopczyk ów miał trzy lata, kiedy chcąc powiedzieć coś uprzejmego dziewczynce, którą bardzo lubił, oświadczył jej: „Ty jesteś szczurek, prawdziwy szczurek, śliczny małeńki szczurek.” Od kilku już miesięcy przyglądał się on uważnie nowym twarzom, by się z nimi obeznać i przyjrzawszy im się przez parę chwil, mówił: „Broda taka jak u tatusia, suknia niebieska taka jak u mamusi, zegarek jak u dziadzi...” Znał już w tym wieku nazwiska więcej niż dwudziestu drzew, których widoczniejsze cechy gatunkowe wskazać umiał, co dowodziło, że uczynił już wielki postęp w zdolności obserwowania i porównywania.

4. Uogólnianie.

Oddawna już istnieje przypuszczenie, że język jest narzędziem niezbędnie potrzebnem zarówno do wytworzenia jak i do utwierdzenia w umyśle pojęć ogólnych. Zdaje mi się jednak, że zaczątek tychże pojęć zauważyć już można u zwierząt i u dzieci, nieumiejących jeszcze mówić.

W istocie pierwotną postać uogólniania dostrzegamy już u zwierząt. Pies podwórzowy, który z zawodu i z zamiłowania toczy wojnę z żebrakami, od pierwszego rzutu oka poznaje ich po odzieży i po kij. W umyśle jego wyrły się już pewne cechy gatunkowe (specyficzne) i skojarzyły z pojęciem lub też z instynktowną potrzebą szczekania. Napróżno Bossuet oraz spadkobiercy jego zasady utrzymują, że jeżeli pies szczeka na ludzi posiadających pewną odrębną powierzchowność to dlatego tylko, że pan przyzwyczaił go do tego. Dla czegoż jednak psy umieją odróżnić jednego żebraka od drugiego? Na widok niektórych włóczęgów wpadają one w prawdziwą wściekłość i niczem przebłagać się nie dają. Inne znów jednostki tej kategorii posiadają talent zjednywania sobie pobłażliwości a nawet życzliwości naszych cerberów. Zdaleka pies szczeka na nich podobnie jak i na tamtych: jest to wynik charakteru gatunkowi właściwego, ale skoro tylko przyjrzy się człowiekowi, wnet się gniew jego uśmierza: jest to następstwo charakteru właściwego osobnikowi. We wszystkich miastach, gdzie wojsko stoi załogą, niektóre psy posiadają szczególniejszą sympatię do żołnierzy i przybiegają ujrzawszy mundur. Ale zbliżywszy się już do żołnierza różnie się zachowują stosownie do osoby: jednych witają z radością, innych obojętnie, innych wreszcie uszanowaniem lub z nieufnością. Dzieje się to dla tego, że

po pojęciu ogólnem, które wywołane zostało widokiem munduru i równoważy w umyśle psa pojęcie pieczyoty, zabawy, przyjaźni i t. d. powstają wspomnienia złego lub dobrego obchodzenia się, wspomnienia skojarzone z takim lub z innem podobieństwem, z takimi lub innymi odrębnymi cechami powierzchowności.

Houzeau podziela również nasze zdanie. „Podczas gdy Huber czynił znakomite swe obserwacje nad pszczołami, w jednym z ulów zdarzył się nieprzewidziany wypadek: plaster przyklejony do ścianki ula, obsunął się o kilka cali i spadł. Nie będąc w stanie podnieść ciężaru przewyższającego znacznie ich siły fizyczne, pszczoły podparły plaster w nowym położeniu za pomocą łuków i podpór z wosku. Nie dość jednak na tem: zajęły się one natychmiast inną pracą, a mianowicie podparciem tych plastrów, które nie uległy podobnemu wypadkowi i wzmocniły dawniejsze punkta podpory woskiem świeżym pomieszanym z tym gatunkiem wosku, który wyrabiają wyłącznie w celu zatykania nim dziur i szczelin ula. Jeżeli taka przezorność nie dowodzi zdolności uogólniania, to pragnąłbym dowiedzieć się, jakim mianem określić ją należy? Nie mając zwyczaju wzmacniać punktów podpory plastrów, pszczoły uczyniły to dla ocalenia plastrów, który się obsunął, poczem zabezpieczyły od upadku pozostałe: widocznie zatem z pojędnych danych wyprowadziły one wniosek ogólny.

Oto podobny przykład zaczerpnięty z życia zwierząt ssących. W Październiku 1859 r. wybrałem się na wycieczkę dla zbadania basenu oddzielającego koryto Rio-Frio od koryta Nuccesu. Towarzyszące mi zwierzęta nie piły ani kropli wody od czwartej rano. Około trzeciej po południu zdjawszy potrzebny plan, wsiałem na koń i zjeżdżając ze wzgórza, na którym większą część dnia spędziłem, kierowałem się w tę stronę, w której

spodziewałem się najprędzej znaleźć jakikolwiek zbiornik wody. Przebywszy dość znaczną przestrzeń falistego gruntu, wyjechałem na łąkę zupełnie prawie drzew pozbawioną, a ciągnącą się na 3 lub 4 mile. Grunt był tu równy, gdzieniegdzie tylko poprzerzynany krętymi wyrwami, mającymi kilka decymetrów głębokości. Wyrwy te wyżłobione przez wodę podczas pory dżdżystej były zazwyczaj suche.

Z powodu małej spadzistości gruntu pojedyncze wyrwy nie łączyły się między sobą, lecz każda z nich kończyła się małym jeziorkiem, któremi cała równina była zasiana, na podobieństwo—że tu użyję porównania Strabona—cetek pokrywających skórę panteiry. W porze w której przejeżdżałem przez tę okolicę, jeziorka wyschły były zupełnie i nie zawierały ani kropli wody. Miałem z sobą dwa psy, którym pragnienie dokuczało niezmiernie: to też zaledwie zdążywszy dostrzec pierwszą bródę pobiegły do niej jak najprędzej i pędziły w kierunku, w którym woda dawniej płynęła. Przebiegłszy kilkaset metrów, stanęły wreszcie obok wyschłego jeziorka, obwąchały piaszczyste dno i z widocznym rozczarowaniem do mnie wróciły. To samo powtarzało się podczas dalszej przeprawy przez łąkę, do krańca której dojechałem dopiero o zmroku. Przez cały ten czas psy zwiedziły od 40 do 50 bród: dostrzegały każdą z nich już z wielkiej odległości, pędziły co sił w tym kierunku i wzdłuż wyschniętego koryta biegły aż do jeziorka. Niepodobna utrzymywać, aby w tym wypadku zwierzęta kierowały się węchem, aby czuły woń wyziewów wodnych, gdyż jak powiedziałem, w jeziorach nie było ani kropli wody. Roślinność nie mogła także dostarczyć im żadnej wskazówki, bo na wybrzeżach bród nie było ani jednego drzewka, a nawet nie rosły tam żadne odmienne trawy. W tym razie zatem

psy kierowały się pojęciem ogólnem bardzo prostem bezwątpienia i opierającem się do pewnego stopnia na doświadczeniu; ale co się tyczy naszego pojęcia o tych wyrwach, o ich pochodzeniu i przeznaczeniu, to—w założeniu ogólnem—psy i ja rozumowaliśmy oczywiście w jednakowy sposób. Pospieszam dodać, że spostrzeżenie to nie jest jedynem, wybrałem zaś dla przytoczenia powyższy wypadek jako uniemożliwiający wiele zarzutów. Niejednokrotnie zdarzyło mi się widzieć nietylko psy ale nawet konie, muły, woły i kozy szukające wody w nieznanych sobie miejscowościach. Zawsze kierowały się one pojęciem ogólnem, ponieważ dochodziły do zbiorników wody lub do strumyków, wyschłych w danej chwili”¹⁾).

Obserwując zachowanie się i ruchy dzieci, nieumiejących jeszcze mówić, możemy wyprowadzić pewne wnioski o ich zdolności uogólniania. Pewien ośmiomiesięczny chłopczyk siaduje zwykle przez kilka godzin dziennie na dywanie, leżącym na środku pokoju. Najulubieńszą jego zabawkę stanowi blaszana puszka; malec zachwyca się jej metalicznym dźwiękiem, a więcej jeszcze wyróżnionym w denku otworem, przez który wkłada wszystko, co może. W ogóle ma on zwyczaj wkładania jednych przedmiotów w drugie. Przekonawszy się, że niektóre przedmioty jako to: wiaderko, wózek, butelka, trąbka i t. d. posiadają tę własność, iż mogą zawierać w sobie inne przedmioty, skoro tylko weźmie w rączki rzecz sobie nieznaną, obraca ją na wszystkie strony, szukając jakiegokolwiek otworu. Gdy raz dano mu ubraną lalkę, chciał jej wcisnąć między nogi najprzód mniejszą laleczkę, potem kawałek chleba, potem szyjkę od butelki. Kiedy indziej znów wziąwszy korek od ka-

¹⁾ *Etudes sur les facultés mentales des animaux.*

rafki i skutkiem przezroczystości szkła wywnioskowawszy, że w szyjce musi być otwór, próbował wcisnąć weń nogi pajaca, potem kołyskę lalki, wreszcie zaś z rozżaloną minką koniec swego paluszka. Do zwykłych jego figlów należy wkładanie palca w oczy osób starszych, trzymających go na kolanach, co czyniąc śmieje się wesoło. Słowem, w umyśle tego chłopczyka istnieje już ogólne pojęcie objętości i zawartości—cech, które dostrzegł w niektórych przedmiotach i których teraz szuka we wszystkich prawie.

Inny znów także ośmiomiesięczny chłopaczek podskakiwał radośnie na widok osoby młodej (dla nas) i wyciągał ku niej rączki: czyż to nie dowodzi, że dziecko to umiało od pierwszego rzutu oka odróżniać powierzchność miłą od niemilej? Bezwątpienia był to zarys pojęcia ogólnego. Tenże sam chłopczyk w 2 tygodnie później objawiał wyraźnie chęć otrzymania pokarmu stałego, który dostrzegał natychmiast pomiędzy wieloma innymi przedmiotami: zobaczywszy kawałek chleba, séra, mięsa, cukru, masła lub jabłka, wyciągał rączki, pochylał się w kierunku owego przedmiotu, wydając przytem niewyraźnie członkowany dźwięk *wrua*, czego nie zwykł był czynić, gdy domagał się piersi lub butelki, którą go matka dokarmiała. Mając dziewięć miesięcy zachwycał się widokiem psa, kota, kury lub ptaka, wyciągał rączki i spoglądał znacząco na osobę, trzymającą go na rękach aby jej dać poznać, że chce się zbliżyć do zwierzęcia; do ruchów wyrażających prośbę, radość i zachwyt dołączył się teraz wielokrotnie powtarzany dźwięk: *appa! appa!* A zatem miał on już wyraźne i do pewnego stopnia ogólne pojęcie o *pokarmach stałych* i o *zwierzętach*, chociaż żadnemu z osobników należących do obu tych grup przedmiotów nie umiał jeszcze nadać specjalnej nazwy odpowiadającej tym ce-

chom gatunkowym, które już zwracały jego uwagę. Gdy miał jedenaście miesięcy, wykrzyknik jego wyrażający pojęcie ogólne przekształcił się—bądź drogą doboru, bądź też naśladownictwa—w *ah!* niektóre pojęcia szczególne wyrażał on już specjalnymi nazwami, których wyliczanie uważam za zbyt liczne.

W tej nawet epoce, w której wszyscy przypuszczamy, że dziecko posiada już pewien zasób pojęć ogólnych t. j. w epoce w której pewną ich ilość słowami wyraża, można jeszcze dostrzedz u niego inne pojęcia, których nie wyraża za pomocą słów. Dziecko mające rok i miesiąc potrafi już zazwyczaj powiedzieć *haj-tu!* jeżeli chce, aby je wzięto za rączkę i zaprowadzono tu lub owdzie. Ale częstokroć jeżeli nie czynimy zadość jego żądaniu, umie ono doskonale samo sobie dać rady: zsuwa się z kolan trzymającej je osoby, siada na ziemi i posuwa się naprzód, czołgając się na brzuchu i na rączkach. Bez względu na to, czy potrzeba iść prosto przed siebie, czy też zbaczać, wchodzić na schody, czy też z nich schodzić (co dziecinnie czyni mniej zręcznie i nie bez przygód), pełzanie stanowi dla niego ogólny sposób poruszania się z miejsca o własnej sile, sposób o którym ma wyrażone pojęcie i który umie stosować do pojedynczych wypadków oraz modyfikować zależnie od okoliczności. Jeżeli siedząc na ziemi ma ochotę się podnieść, podpira się rączkami, wstaje a zakłopotane pionowem położeniem swego ciała, błagalnie prosi o podanie ręki każdą znajomą lub nieznaną osobę, znajdującą się w pobliżu. Oto znów przykład bardzo wyraźnego pojęcia o ogólnym sposobie wydobywania się z kłopotu przez ujęcie czyjejś ręki. Tenże sam chłopczyk nazywa: „*ciapa*” wszelkie rodzaje pokrycia głowy: czapki, kapelusze męskie i damskie, czepki nocne i t. d., i zazwyczaj kładzie na główkę wszelkie przedmioty tego rodzaju, które mu

się uda zdobyć w posiadanie; ubiera się ono także w kocyk kucharki, w torebki papierowe, w abażury, w chustki do nosa, w krążki z tektury i w mnóstwo innych przedmiotów, które kształtem swym przypominają mu przedmioty służące do pokrycia głowy. Widzimy zatem, że to pojęcie ogólne przybrało w jego umyśle nader wielkie rozmiary.

Na mocy tych faktów oraz wielu innych, które każdy z nas mógłby z łatwością przytoczyć, wnioskujemy przeto, że w umyśle bardzo małego dziecka istnieją już pojęcia ogólne niezależne od mowy. Dana cecha spostrzeżona w znacznej ilości przedmiotów wnet się utrwała w umyśle dziecka jako *abstrakt* t. j. jako pojęcie bardzo wyraźne ale odłączone już od obrazu tychże przedmiotów. Pojęcie ogólne stanowi więc niejako wynik analogii, którą rozbudza znów każdy przedmiot mniej lub więcej podobny. Skoro tylko pojęcie podobne znajdzie możliwość utrwalenia się, odgranicza się ono, rozszerza lub zacieśnia i staje ostatecznie istotnem *pojęciem ogólnem*. Wyraz jest tylko sposobem przypomnienia prostszym i skuteczniejszym od samego wrażenia, które zwykło przedtem wywoływać to pojęcie. Mowa jest zatem nietylko narzędziem wyrobienia pojęć ogólnych ile raczej środkiem utrwalenia ich i uplastycznienia. Przypatrzmy się dziecku, które po swojemu—choć za naszym idąc przykładem—czyni uogólnienia z pomocą słów, których się od nas uczy. Poznać dane przedmioty—znaczy to umieć wytknąć główne granice rozdzielające je na odrębne grupy; znać język—znaczy to znać nietylko wyrazy ale i rzeczy same, rozporządzać mnóstwem obserwacji i doświadczeń w mowie zawartych oraz umieć się niemi posługiwać. Jaka rola przypada mowie w działaniu myśli, o tem najłatwiej przekonać się możemy, widząc nieprzepartą skłonność

dzieci nietylko do wprowadzania w jedną grupę wszystkich znanych sobie przedmiotów, ile do stosowania znanych wyrazów do różnych przedmiotów, które im się przedstawiają. Z ogólnie znaną, czasami bezsilną, czasem znów trafną i szczęśliwą śmiałością, dają nam one najciekawsze przykłady uogólniania niższego. Właściwie są to tylko analogie mniej lub więcej rozległe, oraz zastosowania mniej lub więcej zrozumiałe. Rozumowanie dziecka jest po większej części li tylko porównaniem, nader mało oderwanem.

Pewien chłopczyk mający pięć kwartałów posiada drewnianego konika, którego naturalnie ochrzcił mianem *cioś*! Dość mu było jednego przykładu, jednego podobieństwa, aby—z niejaką pomocą rodziców—zastosował tę nazwę do jednego konia; następnie bez żadnego już trudu nazywał tak wszystkie spostrzeżone konie. Zatem jest to tylko uchwycenie poszczególnego podobieństwa, a nie pojęcie zasługujące na nazwę ogólnego. Widząc na dziedzińcu różne zwierzęta, a między innymi kury, nazywa je: „pta! pta!” tak jak swego kanarka lub synogarliczkę; widząc kaczki i gęsi pływające po sadzawce, łączy je w jedną rodzinę ptaków: kaczki; labędź jest dla niego także kawką. Dziecko trzyletnie umie już dokładnie zdawać sobie sprawę z głównych rysów klasyfikacji; dość mu było jednego podobieństwa aby zauważyło główne różnice; dość jednego niedokładnego zkądinąd wyliczenia aby poprzednie spostrzeżenia utrwaliły się i rozszerzyły.

Zdaje mi się, że następujące rozumowanie jest do pewnego stopnia zbyt subtelnem: „Jeżeli prawdą jest, że postrzeżenie ogólne, *wyraźne* następuje dopiero po postrzeżeniach indywidualnych *niewyraźnych*, można też nawzajem powiedzieć, że postrzeżenie ogólne *niewyraźne* poprzedza postrzeżenia indywidualne *wyraźne*

Tak np. pojęcie człowieka (czy to z punktu widzenia klasyfikacji przyrodniczej, czy to z punktu abstrakcyjnego określenia jako zwierzęcia rozumnego), pozwala przypuszczać poprzednio czynione porównywanie wielu osobników ludzkich; ale niejasne wyobrażenie o cechach wspólnych ludziom powstaje wcześniej niż dokładne odróżnienie jednego osobnika od drugiego; dziecko potrzebuje dość długiego czasu zanim nauczy się odróżnić swego ojca od innych mężczyzn; podobnie też pies potrzebuje dość długiego czasu, żeby się nauczył poznawać swego pana. Z zupełną słuszością powiedziano, że uogólnianie stanowi dowód inteligencji; dodać można, że wyosobnianie jednostki jest również istotną cechą inteligencji”¹⁾. Przyjmując powyższy wniosek, pozwałam sobie uczynić pewne zastrzeżenia co do przesłanek. Kiedy dziecię stosuje nazwę *tata* do wszystkich osobników, posiadających wspólne z jego ojcem *cechy rodzajowe*, widzi ono w nich tylko osobiste podobieństwo. Powyżej wzmiankowany autor uważa fakt ten za objaw dążności do uogólniania pojęć i dla potwierdzenia swego zdania dodaje: „Nie zdarza nam się widzieć aby dzieci uogólniały wyraz *Mama* tak jak *Tata*, co prawdopodobnie ztąd wynika, że więcej przebywając z matką niż z ojcem, wyrabiają sobie o niej indywidualniejsze pojęcie.” Czyż jedną z przyczyn owej różnicy, której nie należy zresztą przesadzać, nie jest raczej właściwe matkom i innym kobietom przebywającym z dzieckiem przyzwyczajenie zwracania specjalnej uwagi na każde ukazanie się ojca: „patrz, oto Tatuś! gdzie tatuś? Przyjrzyj się Tatusiowi, przywitaj się z Tatusiem! Zawołaj Tatusia i t. d.” Tak upominane dziecko, które mówić

¹⁾ Janet. *Traité élémentaire de philosophie*.

dopiero zaczyna, wszędzie widzi ojca i ustawicznie w porę lub też nie w porę powtarza wyraz *tata*. Czyż zresztą niema przykładów, aby dziecko uogólniało wyraz *mama* w równie pierwotny sposób, jak to czyni z wyrazem *tata*? Przytoczę fakt następujący: Pewien chłopczyk mający półczwarta roku powracał z rodzicami z Tarbes, gdzie bawił kilka tygodni. Z początku podróży zapytywał nieustannie o ciotki i o babkę: o czym mówią teraz? kiedy znowu do nich pojedzie? i t. d. Potem zajęła się nim jedna z jadących pań, którą zabawiał śpiewając różne piosenki. Zapoznawszy się z nią, chłopczyk zaczął czynić poufne zwierzenia. Oświadczył, że ma pięć matek: najprzód swoją matkę, potem ciocię P., ciocię W., babcię z Tarbes i babcię Ludwisę; matka tej ostatniej a jego prababka nie była już przezeń uważaną za matkę. „Ależ—odpowiedziała mu podróżna—ciocia W. nie jest twoją matką.” „I owszem, przecież mnie pilnuje.” Następnie chłopczyk zaczął się bawić w kupca t. j. naśladował właściciela korzennego sklepu, w którym zwykle matka jego robiła zakupy. Opowiadał, że babcia Ludwisia przywiozła mu na gościniec sklep korzenny, w którym on sprzedaje dużo towaru. „Pan Franciszek i pani Jakóbową (bohaterowie powiastki, którą mu opowiadano) często miewają katar i wtedy przychodzą do mnie kupować małe czarne cukierki.” Wszystko tu jest osobistem: treść, forma, nawet pojedyncze przykłady, które zmieniać się mogą zależnie od charakteru dziecka, żywości jego wyobraźni, sposobu wychowania a przedewszystkiem od dawanych mu przykładów.

Teraz więc twierdzić już możemy, że dziecko nie rozpoczyna swojej umysłowej działalności ani od pojęć ogólnych, ani też od nazw indywidualnych, które przekształca w ogólne, skutkiem pierwotnej dążności do

uogólniania, dążności poprzedzające, zdaniem pewnych filozofów, wyróżnianie wszelkich cech indywidualnych. Max Müller ¹⁾ utrzymuje, a Taine ²⁾ za nim powtarza, że pojęcia ogólne nie mogą istnieć bez słów. „Każdy język—powiada Müller—posiada pokład wyrazów, które można nazwać czysto wzruszeniowymi; pokład ten bywa większym lub mniejszym stosownie do ducha narodu i jego dziejów, lecz nigdy nie ginie w zupełności pod później przybywającymi pokładami mowy rozumowanej. Do tej klasy należy większa część wykrzykników, oraz wiele wyrazów naśladowczych (onomatopeicznych); cechy ich pochodzenia są nader oczywiste i nikt nie może utrzymywać jakoby zasadały się one na pojęciach ogólnych. Ale odrzućmy ten pokład nieorganiczny, a pozostały materiał językowy—bądź u nas, bądź też u najdzikszych plemion—da się sprowadzić do *pierwiastków*, z których każdy jest znakiem pojęcia ogólnego. Pojęcia ogólne powstają skutkiem tak zwanej zdolności abstrahowania, zdolności, którą nader trafnie nazwano: oznacza ona bowiem czynność rozdzielania intuicij otrzymanych za pośrednictwem zmysłów na ich części składowe oraz оголаcania każdej części z cech chwilowych i konkretnych. W jakiż sposób odbywa się ta praca wyłącznie umysłowi ludzkiemu właściwa to jest tworzenie się pojęć ogólnych i umiejętność obchodzenia się z niemi? Czy pojęcia ogólne istnieć mogą lub przynajmniej czy istniały kiedykolwiek bez formy zewnętrznej, bez ciała? Stanowczo odpowiem, że nie. Jeżeli językoznawstwo czegokolwiek dowiodło, to tego niewątpliwie, że myśl jako pojęcie, czy jako forma myślna—czy to drogą indukcji, czy dedukcji powstała—nie może

¹⁾ Wykłady o umiejętności języka.

²⁾ *L'acquisition du langage, etc.* w *Revue philos.* Styczeń 1876 r.

się rozwinąć inaczej jak słowami. Niéma myśli bez słów, tak jak niéma słów bez myśli."

Przytoczywszy powyższy ustęp z Max Müllera i przyznając mu zupełną słuszność, Taine rozwodzi się szeroko nad tą ciekawą kwestyą. W jednym z rozdziałów dzieła „o intelligencji” podaje obserwacye w rodzaju tych, jakie poczynił Tiedemann i na swój sposób tłómacząc Lockego ocenia znaczenie wielu faktów, odnoszących się do powstawania pojęć ogólnych w umyśle dziecka. Zdaniem Taine’a pojęcia ogólne wraz z nazwami ogólnymi powstają skutkiem czynności właściwej umysłowi ludzkiemu, a określonej przez niego niejasnem mianem dążności do uogólniania. Przykłady, jakie Taine podaje na poparcie swej teorii, doprowadzą nas jednak do wniosków innych niżeli te, które on z nich wyciągnął.

„Możemy — powiada — przyjrzeć się z bliska powstawaniu tych nazw ogólnych u małych dzieci, można nawet podpatrzeć tę chwilę. Nazwijmy tylko jakiś *pojedynczy* określony przedmiot, a wnet dziecko instynktem naśladowniczym podobnie jak małpa lub papuga wiedzione, powtórzy wyraz przed chwilą usłyszany. Dotąd jest ono tylko małpką lub papugą, tu jednak objawia się już człowiekowi wyłącznie właściwa delikatna wrażliwość. W obecności malca leżącego w kołysce wymówicie wyraz *tata*, wskazując na ojca jego; po chwili zacznie on także bełkotać ten sam wyraz i wtedy nam się zdaje, że rozumie go tak samo jak wy t. j., że wyraz ten przychodzi mu na myśl tylko na widok ojca. Bynajmniej, gdy inny mężczyzna t. j. inna podobna postać mająca zarost na twarzy i głos niski wejdzie do pokoju, dziecku nieraz się zdarzy nazwać go *tata*. Nazwa była indywidualną, dziecko z niej zrobiło ogólną; my stosowaliśmy ją tylko do pojedynczej osoby; dziecko

zastosuje ją do całej klasy. Mówiąc innemi słowy, skutkiem doświadczenia, które mu pozwoliło dostrzedz wspólność cech, posiadanych przez osoby mające zarost i niski organ mowy, zrodziła się w jego umyśle pewna dążność do uogólnienia, odpowiednia tej wspólności cech i przez nią wywołana. Nie chodziło nam bynajmniej o rozbudzenie tej dążności; rozbudziła się ona sama przez się: oto już zdolność mówienia oparta w zupełności na tych dążnościach, które wynikają z doświadczalnego poznania osobników do siebie podobnych i odpowiadają tym właściwościom wspólnie przez dane osobniki posiadanym. Na każdym kroku dostrzedz możemy w dzieciach tę dążność działającą za szybko i tak mimowolnie, że nieraz prostować należy jej wyniki. Pewnej dziewczynce, mającej 2½ lat, powieszono na szyi medalik, mówiąc: „to Bozia.” Jednego dnia siedząc na kolanach u wuja, zaczęła się bawić jego binoklami i oświadczyła: „To Bozia wujcia.” Oczywiście jest rzeczą, że dziecko mimowolnie i w sposób zupełnie naturalny utworzyło grupę, dla której nie posiadamy odpowiedniej nazwy: grupę przedmiotów małych, okrągłych, przedziurawionych, na sznurku zawieszonych na szyi, oraz że w umyśle jego powstała i działać zaczęła wyraźna, a przez nas niedoznawana dążność, odpowiadająca tym czterem cechom ogólnym. Nieco później, ta sama dziewczynka nazywając wszystkie części twarzy, dotknęła paluszkami powiek i po chwili wahania powiedziała: „To są rolety od oczu.” Inny znów roczny chłopaczek jeździł kilkakrotnie koleją. Gwizdanie lokomotywy, świst pary, hałas towarzyszący poruszaniu się pociągu zwróciły jego uwagę, pierwszym wyrazem jaki wymówił było słowo *fafer* (*Chemin de fer*) i od tej pory stale tak nazywał statek parowy, spirytusową maszynkę do kawy, słowem wszystkie przedmioty wydające świst lub

jakikolwiek odgłos i wyrzucające z siebie parę. Inny przyrząd bardzo dzieciom niemiły (przepraszam za ten szczegół, chodzi tu bowiem o klyzopompę) sprawił mu jak się tego łatwo domysleć, bardzo silne wrażenie i skutkiem odgłosu przezeń wydawanego otrzymał nazwę *zi-zi*. Do dwóch i pół lat chłopczyk nazywał *zizi* wszystkie przedmioty podługowate i wydrążone jako to: igielnik, cygarnicę, trąbkę i t. d. i zbliżał się do nich z widocznym niedowierzaniem. Dwa te przeważające pojęcia *zizi* i *fafer* stanowiły kardynalną podstawę jego umysłowości i służyły mu za punkt wyjścia do zrozumienia i do nazwania wszystkiego.

Nazwijmy zatem właściwem mianem tę dążność odpowiadającą cechom przedmiotów lub osobników do siebie podobnych; jest to—jeżeli nie akt właściwego uogólniania—to przynajmniej pierwszy jego zarys. Można jednak daleko prościej i — o ile mi się zdaje — daleko ściślej objaśnić fakty powyżej przytoczone. Przedmioty podobne budzą w umyśle dziecka pojęcia jednakowe; z początku to pojęcie podobieństwa jest indywidualnem, gdyż mało rozwinięte władze umysłowe nie mogą jeszcze posiadać zdolności analizowania, później jednak widując przedmioty podobne jednocześnie lub jedno po drugim, dziecię zaczyna dostrzegać cechy odrębne, różnice: przestaje brać jedno przedmioty za drugie, nie uważa wszystkich mężczyzn z brodą za *tatę*, wszelkich rurek za *zizi*, wszystkich przedmiotów gwiżdżących za *fafer* a okrągłych—za *Bozię*. A jednak zachowuje to pierwotnie nabyte pojęcie podobieństwa, które budzi się w niem na widok przedmiotów, skoro dziecię wyróżniając jedno od drugich, jeszcze nadaje wszystkim tę samą nazwę.

Pod tym względem mowa znacznie pozostaje w tyle za myślą; nazwa wspólna odpowiada już pojęciu ogólnemu,

niemu, a wyobrażenie poszczególne czyli indywidualne nie posiada jeszcze równoważnika w słowniku dziecka. Dziecko poznaje od pierwszego rzutu oka po kolorze lub po kształcie rzecz zdatną do jedzenia i wypowiada nazwę ogólną, za pomocą której wyraża pojęcie „że coś jest smacznem;” ale przyjrząwszy się bliżej odróżnia ciastko od chleba albo kartofel od masła: od pojęcia ogólnego oderwały się już zatem pojęcia poszczególne, których dziecię nie umie jeszcze wyrazić. Skoro nabędzie wreszcie nazw odpowiednich, zastosowywać zacznie pierwsze nazwy ogólne do coraz więcej poszczególnych pojęć i wynajdzie nazwy nowe albo się ich nauczy, aby niem wyrazić dawne pojęcia ogólne, które ze swojej strony coraz bardziej się rozszerzają.

Zdaje mi się, że ta zdolność niemowląt do uogólniania wykazuje dostatecznie to, co Taine nazywa dążnością do uogólniania nazw, które dla nas są poszczególnymi. Owa cudowna moc wyrazu sprzeciwiałaby się prawom rozwoju umysłowości. Gdyby pojęcie ogólne, na jakimkolwiek stadyum rozwoju rozważane, nie powstawało w umyśle przed odpowiednią mu nazwą, musiałbym w ukazaniu się jego widzieć skutek bez przyczyny, ilość dodatnią wynikłą z odjemnej, znak poprzedzający rzecz nim oznaczoną.

Pokazując dziecku ojca i mówiąc *tata*, dostarczamy mu wyrazu, który w umyśle jego kojarzy się z pojęciem postaci tego lub owego gatunku. Ale pojęcie to nie jest w umyśle dziecka indywidualnem, ponieważ widziało już ono tę postać i codzień prawie ją widuje; jest to już niejasne pojęcie podobieństwa, które nie będąc abstrakcyjnym, budzi się na widok wszystkich przedmiotów podobnych. Wyrazami: *tata*, *fafer* i t. d. dziecko oznacza pewne właściwości, które zauważyło nie w jednym lecz w kilku przedmiotach. Jeżeli zaś wszystkie

przedmioty podobne nazywa jednakowo—choć znaczną ich ilość już widziało i jedno od drugich odróżnić umie—dzieje się to niewątpliwie dlatego, że nazwa analogiczna prowadzi do nazwy ogólnej, analogia bowiem pojęć dąży do niejakiemu uogólnianiu. Mowa rozwija się również jak myśl i przez myśl. Ostatecznie zatem uogólnianie dziecka zasadza się jedynie na mniej lub więcej rozległym upodobnieniu. Wtedy nawet gdy dziecię zaczyna dobrze władać mową, uogólnianie nie jest przecie tą wyższą zdolnością zastosowania abstrakcyjnego pojęcia jakiejś cechy do całej grupy porównywanych między sobą przedmiotów. Praca, która doprowadzi dziecię do jasnego pojęcia rodzaju i gatunku odbywać się będzie nader powoli.

Bardzo rozwinięte trzyletnie dziecko zupełnie nie rozumiało znaczenia wyrazów: gatunek i klasa. „Co to znaczy, że te zwierzęta należą do jednego gatunku?”—zapytywało mnie kilkakrotnie. „To znaczy, że są prawie jednakowe”—odpowiedziałem, nie widząc innego sposobu wyjścia z trudności, a dziecko zrozumiało, że oba te zwierzęta są do siebie podobne. Zresztą w umyśle dorosłych nawet osób nic niema zmienniejszego nad pojęcia ogólne, zwłaszcza pod względem najważniejszym t. j. przywiązywanego do nich znaczenia. Zbierzmy dziesięciu dorosłych ludzi i zapytajmy każdego, co rozumie pod wyrazem cnota, ludzkość, siła, prawo, przyroda, jakość, ilość i t. d. a zdziwimy się różnorodnością otrzymanych odpowiedzi. Im większą bowiem jest siła refleksyi, tem większy udział przypada doświadczeniu i analizie w naszej działalności umysłowej, tem bardziej uwydatniają się pojęcia i wyrazy ogólne, których granice rozszerzają się lub zacieśniają. Stopniowo wszystkie przedmioty okrągłe tracą miano *bozi* lub *zizi*, wszyscy mężczyźni miano *taty* a w miarę jak przedmioty

przybierają nazwy indywidualne lub za takie uważane, zostają one podporządkowywane wraz z odpowiedniami im pojęciami innym kategoriom ogólnym. Główne podobieństwa mniej uderzają, różnice lepiej są postrzegane, klasy rozpadają się na gatunki, gatunki na odmiany, w osobnikach nawet dostrzegamy właściwe im osobliwości. Jest to niby stopniowe zaostrzanie się duchowego naszego wzroku, który z początku ogarniał tylko wielkie masy, potem główne szczegóły, w końcu coraz to drobniejsze cechy, a w związku z tem rozwija się też i doskonali zdolność uogólniania.

5. Rozumowanie.

„Proces sądenia, w miarę jak się rozwija, nabywa właściwej sobie cechy, zdobywa on prawo sięgania po skarby dawniej nagromadzone i łączenia ich z wydarzeniami życia bieżącego, tworzy sądy częściowe miejscowe, będące wynikiem osobistego doświadczenia, co pozwala zestawić i zebrać w danej chwili wszystkie sądy częściowe w jedną ogólną całość, będącą ostatecznym wyrazem naszego na dany przedmiot poglądu ¹⁾.” Jeżeli więc rozumowanie na tem polega, że pojawienie się pewnych zjawisk,—mających już równowagę w różnorodnych a przez minione doświadczenia wytworzonych stanach psychicznych—podnieca te stany do reprodukcji się bądź to w całości, bądź częściowo, czyli innemi słowy, jeżeli rozumowanie nie jest niczem innym jak tylko szeregiem sądów jeden z drugiego wypływających a uszeregowanych na zasadzie zwykłego prawa kojarzenia, oczywistą jest rzeczą, że tak dziecko jak i zwierzę rozumuje.

¹⁾ Luys: Mózg i jego czynności.

Siedmiomiesięczny chłopaczek nauczył się już kojarzyć pojęcie zucia z pojęciem miłych wrażeń zeń wynikających. Widząc, że niańka niesie do ust pożywienie i porusza wargami i szczękami, malec wydaje sąd, że ona je, że to jej smakuje i jemu by smakowało, wie przytem z doświadczenia, że niańka pozwoliłaby mu uczestniczyć w tej przyjemności gdyby tego zażądał w sposób, któremu ona oprzeć się nie zdoła, t. j. płacząc lub udając że płacze, stosownie zatem postępuje. W podobnym procesie myślenia dostrzedz już można zaród rozumowania na podstawie analogij rozszerzających zakres powyższych sądów syntetycznych oraz na podstawie rozumowania dedukcyjnego, za sprawą którego stosuje dziecko do obecnych okoliczności doświadczenia poprzednio nabyte a przez siebie uogólnione. W miesiąc później toż samo dziecko przyrodzoną koniecznością zmuszone, wydawało bardzo zabawny, przez siebie wynaleziony dźwięk gardłowy, który miało dać do zrozumienia rodzicom: „Pomóżcie mi, bo gniewalibyście się na mnie, gdybym was nie ostrzegł. Formuła ta zawiera w sobie całokształt sądów i skojarzeń doświadczeniem nabytych, które doprowadziły dziecko do aktów uogólnienia i dedukcji. W taki to konkretny i syntetyczny sposób rozumuje dziecko, nie umiejące jeszcze mówić i zwierzę, nigdy nie posiadające mowy, chociaż zarówno dzieci jak i zwierzęta umieją wyrażać swe myśli w sposób bardzo zrozumiały. Zanim powrócimy do właściwej niemowlętom zdolności rozumowania, rozważmy przedtem podobne objawy u zwierząt.

Przedewszystkiem muszę przeprosić czytelnika za podnoszenie pewnych szczegółów, w których nauka nie upatruje nic nieprzyzwoitego.

Miałem kiedyś półrocznego szczeniaka; chcąc go przyzwyczaić do porządku (czego dawny jego właściciel

zaniedbał był uczynić) biłem go różgą, ilekroć powalał podłogę w pokoju przylegającym do mojej sypialni, gdzie zwykle nocował. Po jakimś czasie pojęcie kary skojarzywszy się w jego umyśle z pojęciem zbyt skwapliwego zadośćuczynienia potrzebie, wywoływało w nim chęć uniknięcia chłosty oraz pojęcie spełnienia takich czynności, o których wiedział, że mu kary oszczędzą. Każdej prawie nocy budził mnie rozpaczliwem szczekaniem, jeżeli przedtem nie udało mu się tego dokonać, drapiąc bardzo silnie do drzwi mego pokoju. Sądy, jakie tworzyły się wtedy w umyśle psa, tak ściśle związane były z sobą, że dość ująć je w słowa aby w nich odnaleźć wszystkie pierwiastki doskonałego rozumowania. Spróbujmy wysłowić myśl jego: „Pan chłoscze mnie porządnie, gdy powalam podłogę w pokoju (pierwsze rozumowanie indukcyjne). Ale jeżeli otworzy mi drzwi a ja zbiegnę na chwilę na dziedziniec, wtedy jest ze mnie zadowolonym i zamiast bicia spotykają mnie pieszczoty i pochwały (druga indukcja). Otóż ilekroć zacznę wyć żałośnie, pan się budzi i otwiera drzwi (trzecia indukcja). A zatem będę wył, ile mi sił starczy, obudzę go i nie będę bity.” (rozumowanie dedukcyjne).

Następujący fakt niemniej jest przekonywającym. Zapożyczyłem go z bogatego zbioru obserwacji i cytat podanych przez Houzeau, który sam był świadkiem niżejszego zdarzenia: „Wiadomo, że w Brukselli mleczarki co rano rozwożą mleko do domów wózkami, do ciągnięcia których używają psów¹⁾. W 1854 r. szedłem raz ulicą Saint-Géry tuż za psem, który ciągnął

¹⁾ Zwierzęta te znają już domy, do których codzień zajeżdżają i same stają przed bramami.

taki wózek; o parę kroków za nim podążała przekupka. Jednocześnie jechał ulicą zaprzęzony w dwa konie powóz, który tocząc się z równą prawie szybkością, znajdował się ciągle po lewej stronie psa i nie dopuszczał go do bramy domu, przed którym stanąć należało. Chodziło więc o to aby przebiec bądź przed końmi, bądź też za nimi, puściwszy je przodem. Pies szedł zwykłym krokiem spoglądając kolejno to na swą panię, to na bramę. W przeciągu kilku sekund ruch ten powtórzył się trzykrotnie a wyraz fizyognomii zwierzęcia pytał tak wymownie: „Co ja mam zrobić?” że przekupka nie tylko zrozumiała to pytanie ale postarała się rozwiązać trudność sposobem, którego myśl podsunęło jej spojrzenie psa. Poprosiła furmana aby zatrzymał na chwilę konie a pies nie czekając rozkazu skreślił i stanął przy bramie. Kto będzie kiedykolwiek świadkiem podobnego zdarzenia, ten nie zaprzeczy twierdzeniu, iż psy są zdolne do zastanawiania się.

„Podczas wylewu Loary w 1836 r. woda zalała ogród, w którym para słowików gnieździła się na płocie. Fale podnosiły się nieustannie grożąc zatopieniem młodziutkiej rodziny, bo pisklęta niedawno wyklute nie miały jeszcze siły wyfrunąć z gniazdka. Powie kto może, że trzeba umieć rozumować aby w podobnym razie zrozumieć, że niebezpieczeństwo z każdą chwilą się wzmacnia. Bez wątpienia jednak samiec i samica spełniły coś więcej nad czysto automatyczną czynność, gdy ujęły w dzióbek gniazdko wraz z potomstwem, i przeniosły je w takie miejsce, do którego woda dosięgnąć już nie mogła, ocaliły rodzinę całą od zagłady.” Przytoczę teraz przykład innego rodzaju, także z obserwacji nad ptakami poczerpnięty. „Dostałem raz — powiada Audubon — pięknego grubodzioba, tak jednak był wycieńczony, że się napozór wydawał tylko martwą

kupką piór. Dzięki troskliwej opiece, ptak odżył wkrótce i oswoił się do tego stopnia, że jadał mi z ręki nie okazując najmniejszej obawy. Chcąc mu osłodzić niewolę, pozwalałem mu fruwać po sypialnym pokoju i każdego ranka natychmiast po wstaniu sypałem mu ziarno. Kiedy raz przez trzy dni z rzędu wstawałem nieco później niż zwykle, ptak budził mnie fruując nad moją głową i dopominając się o pożywienie. Trzeciego dnia udałem naumyślnie, że śpię i że nie spostrzegam jego fruwania. Ale skoro tylko przekonał się, że dopiął celu, usiadł na oknie, czekając cierpliwie aż wstanę ¹⁾.“

Widzimy zatem, że zwierzę zdolne jest do pewnej umysłowej działalności i do pewnych czynów rozumowych, których niepodobna kłaść na karb instynktu. Powyżej przytoczone przykłady nie są to przyzwyczajenia całemu gatunkowi wspólne, które uważać można za zależne od budowy organizmu; są to objawy działalności indywidualnej, spełnione w wyjątkowych okolicznościach i wraz ze zmianą warunków zewnętrznych zmianie ulegające. Jest to iście ludzkie rozumowanie, zupełnie od czynów automatycznych niezależne. A rozważając jednak czynności, czy to człowieka, czy zwierzęcia, trzeba się wystrzegać przypisywania zbyt wielkiej wagi bezpośredniemu wpływowi ulegania pierwszemu popędowi. Nie widzimyż jak niespodzianie wychodzą nieraz na jaw pewne zdolności, przez czas długi ukryte w głębiach dziedzicznego automatyzmu? Czy pewne zatem czyny, które zwierzęta w wyjątkowych razach spełniają, nie mogą pochodzić z tego tajemniczego źródła? Czy wylewy naprzykład należą do

¹⁾ Houzeau: *Les facultés mentales des animaux*.

wypadków, które tak rzadko w życiu gatunków się powtarzają, że nie mogły do pewnego przynajmniej stopnia wywołać u ptaków napół instynktownej zdolności przenoszenia gniazda, pomagając sobie do tego dziobami? Podobnie też, co się tyczy owego dziecięcia, o którym powyżej mówiłem, a które patrzyło z zadróżką na niankę kładącą do ust pożywienie, nie ulega wątpliwości, że w umyśle jego z rozumowaniem właściwym, ze świadomością łączyć się też musiały sądy i ruchy nieświadome, będące wynikiem przyzwyczajęń, bądź dziedzicznie przekazanych, bądź też osobiście nabytych. Czyż sam widok poruszania szczękami nie może pobudzić do wykonania takich np. nieświadomych i mimowiednych ruchów jak otwieranie ust, wyciąganie rączek, pochylanie się naprzód a może i płacz nawet? Nader trudną jest rzeczą rozgraniczyć świadomość od nieświadomości w tym tak racjonalnie napozór uszeregowanym całokształcie uczuć, pojęć, i popędów organicznych. W każdym jednak razie świadomość znaczną tu rolę odgrywa.

W istocie mówiliśmy już, że każdy ruch instynktowny, każda czynność odruchowa, byle tylko sama z siebie mająca jakąś wagę albo często powtarzana i przez to niejako uwydatniona, postrzeżoną bywa natychmiast przez narząd specjalnie do spełniania jej przeznaczony. Widzimy, że u dorosłych świadomość budzi się nagle w obec tego rodzaju zjawisk niezwykłych, na które nie może ona pozostawać tak obojętną, jak na wydarzenie zwyczajne albo jednorazowo się przytrafiające. Tak też i dziecko jeżeli bądź to powtarza poruszenia, które za pierwszym razem uszły jego uwagi, bądź też powtarza je z pewnemi zmianami albo z większem napięciem, już przez to samo z konieczności zauważyć je musi, a dowodem jego uwagi będzie to

właśnie, że zmienia je pod wpływem jakiegoś wrażenia lub uczucia wywołanego chwilową okolicznością.

Pewne dziesięciomiesięczne dziecko chciało koniecznie odebrać starszej siostrze kota, którego ta na kolanach trzymała; wyciągnawszy ręce przed siebie, malec spoglądał kolejno to na siostrę, to na kota a mruczenie jego do czkawki podobne wyrażało żywe pożądanie. Siostra nie chciała uczynić zadość jego prośbie z obawy aby kotek nie ucierpiał skutkiem niezręcznych pieszczot dziecka, które rozplakało się i zaczęło krzyczeć nie bardzo głośno z początku. Zapłakany malec nie spuszczał oka z siostry, która go słuchała spokojnie. Wreszcie widząc, że łzami nie zdoła przełamać jej oporu, chłopczyk nalegać zaczął coraz silniej: wymachiwał gniewnie rączkami i nóżkami, wił się, szlochał i wrzeszczał. Gdy siostra powiedziała: „Uspokój się, szkaradniku, nie dostaniesz kici bo jej dokuczasz” ruchy dziecka stały się gwałtowniejszymi, skarga jego w groźbę przechodziła, łzy rozkazem się stały; boleść wzrosła do takiego stopnia, że w pośród tej burzy, ogarniającej umysł i ciało, dziecko straciło świadomość i rozpaczy swojej wyłącznie oddane zapomniało o przyczynie swej boleści. Chłopczyk wyciągał jeszcze rączki ale nie wiedział w jakim celu to czyni, bo kotek przerażony tą sceną, schował się pod łóżko. Chcąc uspokoić braciszka, siostra przywołała kota, wzięła go na ręce i oddała małemu kapryśnikowi; chłopczyk ucichł natychmiast ale po upływie kilku sekund rozplakał się znowu, chociaż siostra pieściła go i całowała, namawiając aby pogłaskał kicię. Uspokoiwszy się trochę, nie zwracał już uwagi na kota i zażądał od siostry cukierka. W przykładzie tym jasno wysledzić możemy kapryśny a zmienny przebieg sądów i ruchów, które ulegając już prawu przyzwyczajenia przekształcają się jednak w rozliczny a niespodziany

sposób zależnie od wrażeń lub też od skojarzenia pojęć napływowych, które kolejno to poddają je władzy świadomości, to z pod tego nadzoru usuwają.

Jeżeli w pewnych określonych wypadkach czynności bezwiedne bywają wykonywane świadomie, to nawzajem świadomość równie łatwo ustępuje nieraz praw swych bezwiednemu działaniu. Pewien chłopczyk, mający dwa lata i kwartał, przyzwyczał się do tego, że jedna z lokatorek domu, w którym mieszkał z rodzicami, wstępuje każdego ranka do jego matki, wracając targu. Ile też razy zobaczy matkę powracającą z koszykiem, zaraz zaczyna wołać: „Gdzie pani Gillet? Ja chcę widzieć panią Gillet! Niech mamusia zawoła pani Gillet!” Wszak wszystkie powyższe sądy połączone są między sobą w sposób zasługujący na to, aby je nazwać rozumowaniem konkretnem wprawdzie ale istotnem? A jednak Henryś przywykł do nich do takiego stopnia, że powtarza je o każdej porze dnia, ile razy zobaczy matkę biorącą koszyk a czyni to machinalnie, powtarza jak papuga wyrazy, nie mające dlań żadnego znaczenia. To co było racjonalnem, stało się już teraz mimowiednem w skutek przyzwyczajenia wynikłego z powtarzania. Postępowanie tego samego malca dostarczyć nam może innych jeszcze podobnych przykładów. Skoro pani Gillet wracając z targu przyjdzie na ranną pogadankę, malec biegnie do niej, czepia się jej sukni i woła: „Mama poszła do pani,” potem nie wiedząc czy znajdzie w koszyku przysmak dla siebie, na wszelki wypadek wsuwa rączkę i wyciągnawszy jakikolwiek przedmiot, woła: „Dać!.. chcę tego!.. dać!..” Wszystkie te sądy powtarzają się w tak stałym i w tak bezmyślnym porządku, iż możnaby przypuszczać, że dziecko nie zdaje sobie z nich sprawy.

Lecz oto dwa wprost przeciwne przykłady, po-

czerpnięte ze spostrzeżeń nad tem samem dzieckiem a wykazujące, jakim jest udział świadomości w całości kształcie sądów i ruchów, wykonywanych po większej części mimowiednie. Ulubioną rozrywkę jego ojca stanowi rybołówstwo, to też Henryś jada często smażoną rybę. Pewnego wieczoru, gdy ojciec wróciwszy późno do domu, jadł sam kolację: „dać ryby! dać ryby!” zaczął wołać malec; ojciec udawał, że nie słyszy. „Dać ryby!” — powtórzył Henryś i stojąc koło krzesła ojca, pociągnął go za rękaw aby zwrócić na siebie uwagę. Ojciec jadł rybę nie mówiąc ani słowa. Dotąd wszystkie ruchy i sądy dziecka były wyrazem pojęć tak automatycznie skojarzonych i uporządkowanych jak owe ruchy i słowa. Wreszcie widząc, że wszelkie jego usiłowania nie odnoszą skutku, Henryś wszedł pod stół i pociągnawszy ojca za nogę, powiedział: „chcę ryby, kicia ryby nie, Henryś ryby.” Przypomniawszy sobie, że kot siaduje zwykle pod stołem, udawał więc kota, gdyż nagle rozbudziła się w nim samowiedza, podsuwająca mu myśl wykonania nowych dla niego ruchów. Matka Henrysia pożyczała gazetę od pani Gillet a chcąc oszczędzić sobie trudu schodzenia ze schodów przyzwyczaiła Henrysia do tego, że co dzień około dwunastej wybiegał na dziedziniec i wołał na sąsiadkę, która mu wyrzucała gazetę przez okno. Dziecię bardzo poważnie wywiązuje się z tego polecenia, nie znosząc aby je ktokolwiek wyręczył. „Pani Gillet, dać papier!” codzień bez żadnych prawie wariantów powtarza tę formułkę, dopóki sąsiadka nie wyrzuci gazety przez okno. Pewnego dnia starszy braciszek chciał zawołać pani Gillet. Widząc, że brat przywłaszcza sobie jego prawa, Henryś pokraśniał z gniewu, ze wszystkich sił krzyczeć zaczął: „Pani Gillet, dać papier!” a potem zwróciwszy się do brata, dodał: „Nie wołaj, idź sobie, ja zawołam!”

Tymczasem sąsiadka wyrzuciła gazetę, którą brat podniósł ale Henryś natychmiast mu ją wyrwał z rąk, mówiąc: „Daj papier, ja zaniosę mamie.“ Tak więc Henryś zmienił w pewnej mierze zwykły tryb postępowania, wnet jednak doń powrócił bo potrzęsnał dziennikiem mówiąc: „nie powalany,“ co weszło mu już w bezwiedny prawie zwyczaj.

W tej właśnie łatwości przystosowywania doświadczeń dawniej poczynionych do nowych oraz rozszerzania nieustannie łańcucha indukcyjnych i dedukcyjnych rozumowań, dzieci i zwierzęta okazują tak niewyczerpaną potęgę pomysłowości, tak bujny polot wyobraźni, że nieraz pozazdrościłby im tego mogli ludzie dorośli, którzy w ogóle wolą posługiwać się gotowymi już rozumowaniami nabytymi lub przejętymi aniżeli tworzyć nowe. Powyższy przykład nasuwa nam na myśl uwagę, iż Locke i Mill mieli słuszną utrzymując, że istnieje pewien sposób rozumowania oparty na szczególnościach jednostce właściwych. W ciekawej pracy Ferriego p. t.: „Trzy pierwsze lata życia dziewczynki ¹⁾“ znajdujemy spostrzeżenia, które potwierdzają to zdanie.

Dziecko składa na każdym kroku dowody wielkiej pomysłowości oraz giętkości rozumowania. W zabawach jego, w pieszczotach, w wybiegach, we wszystkich tak fizycznych jak umysłowych i moralnych postępkach przebija się praktyczny rozsądek i pomysłowość. Oto kilka jeszcze przykładów wybranych z pośród tysiąca takich, które każdy miał sposobność zauważyć lecz których nie potrafił spostrzegać systematycznie i wyciągnąć z nich wniosku co do kierunku, jaki nadać by należało zdolnościom dziecięcia. Wyraz

¹⁾ *Filosofia delle scuole italiane* za Październik r. 1879.

kierunek niedokładnie myśl moją maluje: rozwój istotki ludzkiej tak szybko a niepochwytne się odbywa, przystosowanie nieustannie gromadzonego zasobu doświadczeń w tak różnorodny a tak czynny sposób odpowiada podnetom w danej chwili działającym oraz warunkom w danych okolicznościach koniecznym, że—mojem zdaniem—wielka sztuka wychowania najmniejszego nawet dziecięcia powinna polegać raczej na bacznej i życzliwej lecz biernym obserwowaniu niż na wdawaniu się stronnem i despotycznym. Biada dziecięciu, które rzucono na pastwę rutyny i konwencyonalnych zwyczajów, chociażby zwyczaje te były najrozsądniejszymi i najłatwiej się dały wytłumaczyć! Zupełna swoboda winna być hasłem wychowania! Wzbraniajmy dzieciom tylko tego, czego nieodzownie niedopuszczyć lub co stłumić należy z obawy wstrzymania wciąż wyżej wstępującego i rozszerzającego się krążenia soków, dzięki którym powstać kiedyś mają wspaniałe kwiaty myśli i wyborne czynu owoce!

Przytoczę teraz kilka jeszcze przykładów zebranych z życia dzieci, które chodzą już, mówią i w postępowaniu których wyraźniej ujawniają się zjawiska prawie bez ich wiedzy zachodzące w umyśle. Dziecko, o którym teraz mówić będę, ma dwa lata i miesiąc. Ojciec jego siadując przy pracy do późnej nocy, sypia rano dość długo; ile razy matka wyjdzie na chwilę a malec sądzi, że ojciec wstawać już powinien, zaraz próbuje obudzić śpiącego: czy to ściągając koldrę, czy hałaśliwie suwając krzesłem, czy wreszcie poruszając głowę ojca, co czyni wszedłszy na krzesło. Pewnego dnia malec objął ojca za szyję, potem pociągnął go za ucho i uszczypnął dość silnie. Ojciec udawał, że śpi, chcąc zauważyć, co dalej się stanie. Wreszcie malec podniósł ojcu powiekę, pytając: „Czy teraz tatusiowi

jasno?" Był to wynalazek, przeciw któremu ojciec od-
tąd bronić się będzie zmuszony. Kiedyś znów ojciec
wróciwszy do domu zasiadł do kolacyi a malec przy-
glądał się uważnie, jak matka krzątała się po pokoju.
Kiedy nalawszy zupełną wyszła na chwilę, chłopczyk ko-
rzystając z jej nieobecności, wziął oburącz talerz bez
względu na ciężar dość znaczny na jego siły, postawił
go przed ojcem i oświadczył: „Pan tatuś ję zupeł-
nie!” Wszystko było nowem w tym postępku, który rozśmie-
szył rodziców. Szczególniej ten „pan tatuś” najwięcej
im się podobał. Czasami kiedy ojciec udaje, że się
gniewa a malec czy to ze spojrzenia, czy ze ściągnięcia
ust, czy z innych wyraźnych dlań znaków odgadnie, iż
ojciec nie jest rozgniewanym naprawdę, wybucha głoś-
nym śmiechem i woła: „Tatuś się nie gniewa, to głup-
stwo, tatuś się nie gniewa!” Podczas obiadu zdarzyło
mu się już kilkakrotnie schwycić coś ukradkiem z tale-
rza siedzącej przy nim osoby. Przeniósłszy zdobyty
kawałek mięsa lub jarzyny na swój talerz, przysuwa go
do innych kawałków i układa je razem tak, aby czyn
jego został niepostrzeżonym. Wynalazek powyższy
naraził go już na kilka słusznie mu należnych napom-
nień, które nie zdołały jednak go poprawić. Malec wie,
że braciszek o pięć lat od niego starszy i chodzący już
do szkoły, nie pozwala mu ruszać swych zabawek, czy to
przez drażliwe poczucie własności, czy też dla tego, że
nieuważne dziecko niszczy je i rozrzuca. Ale skoro
brat wyjdzie z domu, chłopczyzna umie doskonale odna-
leźć pudełko z zabawkami a nawet w razie potrzeby
wydostać je od matki prośbą albo mniej lub więcej
prawdziwem dąsaniem się. Bawiąc się, nasłuchuje wciąż
uważnie i często wybiega do sieni, aby się przekonać
czy kto nie idzie po schodach. Zaczyna już poznawać
chód brata i natychmiast zgarnia obiema rączkami roz-

zrzucone zabawki, wrzuca je w nieładzie do pudełka
i odnosi na miejsce. Jakkolwiek niepodobna zaprzeczyć,
że w wielu razach zwierzęta dorosłe trafniej i prędzej
rozumują niż dzieci od roku do lat czterech (a nawet
i starsze), niemniej jednak mamy tu przykład pomysł-
owości znacznie większej niż ta, jaką spostrzegamy
u najrozumnniejszych nawet zwierząt.

W miarę jak dziecię nabiera sił i doświadczenia,
sądy jego stają się trafniejszymi, rozsądek wyrabia się
i utrwała a sposób wyrażania rozumowań, które odno-
szą się przeważnie do jego obaw lub pożądań nabiera
szybkości nader logicznej i wyrazistej. Będąc dzieckiem
pięcioletniem, raz dla zaspokojenia łakomstwa naduży-
łem był prawa silniejszego i kuzynce młodszej odemnie
o dwa lata odebrałem potajemnie gruszkę, którą przy-
niosła jej babka z ogrodu, nieopodal od domu leżącego.
Wyobrazić sobie można płacz, krzyki, rozpacz małej
ofiary, która bardzo wymownie i bardzo szczegółowo
opowiedziała całe zajście naszej babce. Chcąc ją po-
cieszyć, babka dała jej ładne winogrono. Gdym wrócił
z kryjówki, gdzie rozkoszowałem się słodyczą niepra-
wnie zdobytego owocu, zastałem dziewczynkę nie cał-
kiem jeszcze pocieszoną i zajętą oskubywaniem wino-
gron; babka wyłajała mnie surowo, poczem zwróciwszy
się do małej, dodała na zakończenie: „Uspokój się ma-
lutka, przyniosę ci wyborną gruszkę, a on nic nie do-
stanie.” Ta obietnica, zarówno jak i moja strapiona
mina dodały ducha dziewczynce, która też rozwese-
liwszy się, pobiegła dokazywać na ulicy. Upłynęła
może godzina; nie ruszyłem się z domu dla tego zape-
wne aby się przekonać, czy babka będzie miała odwagę
spełnić swoją pogroźkę i w mojej obecności dać gruszkę
mojej kuzynce, pominawszy mnie. Ze swojej strony
i mała nie zapomniała także o obietnicy danej przez

babkę; wracała co jakie dziesięć minut, kręciła się koło babki, przymilała się jej, pytając czy babci czego nie potrzeba, zagadywała o zupie, o jarzynach i t. d. Wyraz *gruszka* nie powstał jednak na jej ustach: wiedziała z doświadczenia, że babka nie lubi napierania się szczególnie o jedzenie i nie chciała rozgniewać ją na siebie naleganiem, zdradzającym niecierpliwość. Wreszcie po upływie półtorej godziny, zagnalona może do tego głodem, zdobyła się na odwagę. Podskakując, przybiegła z głębi dziedzińca i pieszczotliwie dotknawszy ręką ramienia babki siedzącej przy stole, rzekła tonem głębokiego przekonania: „Dobra będzie, dobra!” Babka zrozumiała znaczenie tego dowcipnego wybiegu, ale kazała sobie powtórzyć, a mała ośmielona wyraźniej wypowiedziała tym razem myśl swoją: „Dobra będzie gruszka, babciu, dobra!” Babce podobało się to bardzo, zawołała dziadka pracującego w przyległym pokoju i rzekła mu: „Czy masz czas pójść do ogrodu? Proszę cię, przynieś ładną gruszkę i daj ją małej.” Dziadek wziął klucz od ogrodu, dziewczynka towarzyszyła mu, trzymając go za rękę. Ma się rozumieć, że i ja także do nich się przyłączyłem, a choć przez uszanowanie trzymałem się dość daleko za dziadkiem, zdaje mi się jednak, że gdy otworzył furtkę do ogrodu, ja nią wbiegłem najpierwszy. Kuzynka moja dostała słiczną gruszkę i zaczęła ją zjadać z takim smakiem, że zapomniała powiedzieć dziadkowi, że ja mam za pokutę nie dostać gruszki. Zjedliśmy więc we dwoje po gruszcze, a potem bawiliśmy się w ogrodzie z pocziwym dziaduniem. Dziecko zatem już od kołyski jest zdolne do rozumowania, inaczej bowiem nie nabrałoby nigdy tej zdolności, jak to słusznie zauważył Laromiguière: „Umysł dziecka nie posiadający nic prócz wrażeń, których nie umiałby ani odróżniać i porównywać, ani rozdzielać i łączyć, pozostałby

pozbawionym wszelkich pojęć i nie osiągnąłby nigdy wyższego stopnia rozwoju”¹⁾. Wrodzona jednak dziecku logika w bardzo ograniczonym działa zakresie, i nader niewyraźnie się przejawia. Jeżeli czasem jakby natchnieniu wyobraźni posłuszna, zmierza ona prosto do celu w sferze związków analogicznych; jeżeli w zawilszych już związkach podobieństw poszczególnych wiodących ją na drogę indukcji, idzie z biegiem skojarzeń psychicznych; jeżeli do nowych wypadków stosuje dość śmiało niektóre pojęcia analogiczne i indukcyjne, to przecie najdogodniejszym dla niej rozumowaniem jest rozumowanie pierwotne, zastanowieniem nie rozjaśnione. Rozumowanie to nie da się odróżnić od najelementarniejszych przejawów rozpoznawania lub gatunkowania, często bywa ono tylko podobieństwem zastosowaniem do faktu przemijającego lub też najprostszym przystosowaniem ruchów do zjawisk. Dowodem tego są niektóre z przykładów powyżej przytoczonych. Rad jednak jestem, że obserwacje innych potwierdzają dawane przezemnie objaśnienia. Chociaż Darwin przekonał się, że skojarzenie pojęć ustala się w umyśle dziecka dopiero w piątym miesiącu, to jednak zauważył rozumowanie praktyczne u swego syna, nie mającego jeszcze skończonych czterech miesięcy; chłopczyk ten bowiem sunął rączką po podanym mu palcu, próbując włożyć go sobie do buzi²⁾. Jeżeli nie mówiące jeszcze a zaczynające już chodzić dziecko potknie się, wchodząc na dywan, to w danej chwili przyjdzie mu na myśl podnieść nogę tak wysoko, aby bezpiecznie brzeg dywana

¹⁾ *Discours sur la langue du raisonnement.*

²⁾ *Esquisse biographique d'un petit enfant. Revue scientifique,*
Lipiec 1877 r.

przestąpić. A zatem pojęcie pośrednie jest tu wtrąconem pomiędzy pojęcie punktu wyjścia i pojęcie zamierzonego celu ¹⁾. „Dziewczynka mająca rok i siedm miesięcy; chciała dostać mój kapelusz leżący na stole zbyt wysokim aby dosięgnąć go mogła; zaczęła więc niecierpliwić się, płakać i krzyczeć. Gdy dałem jej kapelusz, przedewszystkiem włożyła go sobie na głowę, potem po kilku chwilach jakby zastanowienia się poszła po swój własny kapelusik, leżący na krzeselku i podała mi go z bardzo poważną miną. Było to podziękowanie, czy namowa pójścia z nią na spacer? Mniejsza o to; widocznie jednak działało tu rozumowanie analogiczne a nawet indukcyjne” ²⁾.

W podobnych to rozumowaniach celuje dziecko takie nawet, które mówić już umie. Mniej zato pewnem siebie zdaje się być w rozumowaniach, które czyni na nasz sposób oraz dzięki tym analogiom i indukcjom, które mu niejako mowa nasza narzuca. Wydaje ono sądy nieraz mylne, oparte jedynie na prostem podobieństwie, na analogii. „Jeżeli nie cierpi osoby, która mu co złego zrobiła, to spogląda podejrzliwie na każdego, kto będzie miał te same rysy twarzy. Chętnie uchwaliby ono prawo orzekające, że wszystkie osoby mające podobną twarz, są złe. Indukcja to zbyt pośpieszna i nie naukowa, a przecież w gruncie jest tego samego rodzaju co indukcyja uczonych” ³⁾. Niewiadomo nawet, czy większa część ulubionych i najtrafniejszych

¹⁾ Zobacz przytoczone już studyum L. Ferri'ego; w *Revue philosophique*. Kwiecień 1880 r.

²⁾ Paweł Rousselot: *Pédagogie à l'usage de l'enseignement primaire*.

³⁾ Henryk Marion: *Leçons de psychologie appliquée à l'éducation*.

rozumowań dziecka, mającego od dwóch do trzech lat, przewyższa wogóle przeciętną inteligencję dorosłego zwierzęcia. Posiadałem roczną już kotkę; gdy tylko podano obiad, z którego i ona miała coś dostać, kręciła się wciąż biegając odemnie do stołu, od stołu do mnie, jakby minkami samemi chciała mnie przekonać, abym szedł jeść jak najprędzej. Czyż znajdziemy wyższy jaki pierwiastek w rozumowaniach, które synowi swojemu przypisuje p. Egger? ¹⁾. Synek jego skończywszy półtora roku, „umie już zwoływać do stołu nieobecnych i ciągnąć za ubranie tych, o których wie, że do stołu rodzinnego zasiadają. Widzę, że po skończeniu dziewiciu kwartałów zakres jego rozumowania rozszerza się. Zgaduje, że osoba biorąca kapelusz, zamierza wyjść, że wychodząc przebyć musi dziedziniec, że zobaczyć ją może przez dziedziniec idącą; to też, gdy kto bierze kapelusz, on idzie do okna aby się przypatrywać odchodzącemu.” Cokolwiek o tem sądzi Egger, niema w podobnem rozumowaniu nic, coby dzieliło inteligencję zwierzęcą od dziecinnej.

Przez cały ciąg trzyletniej epoki, którą się zajmujemy, logiczność władzy rozumowania zawiera się w bardzo szczupłych granicach. Chociaż mowa dostarcza dziecku nowych żywiołów do indukcji i nowych ułatwień a szczególnie pod wpływem naszych przykładów nowej dla niego władzy, manii rezonowania, to jednak najczęściej uwydatnia ona tylko umysłową jego nieudolność. Wynik to zresztą zarówno dla dziecka, jak i dla nas użyteczny; dla nas — bo tym sposobem

¹⁾ *Observations et réflexions sur le développement de l'intelligence et du langage chez les enfants*.

możemy mieć ściślejszy nadzór nad postępami dziecka; dla niego — bo dostarcza mu sposobności dojścia do samowiedzy, spostrzeżenia granic oraz doniosłości rodzącej się w nim inteligencji. Nikt lepiej od Eggera nie wykazał charakterystycznych faktów, dowodzących tej umysłowej nieudolności dziecka, które nas zadziwia tak często roztropnością swego sądu i wczesnym rozumem swoim. Przykłady, których wiele moglibyśmy zapożyczyć u Eggera, podwójnie są zajmujące, ponieważ oprócz ciekawych obserwacji psychologicznych i moralnych, znajdujemy tam także względy leksykologiczne.

„Młodsza od Emila siostrzyczka powiada: „Jak Emil będzie mały, będę go nosiła na rękę.” Widziała, że gdzie są dwie osoby: duża i mała, tam duża tylko może nosić małą, przytem powiedziano jej, że i ona także będzie kiedyś duża, a zatem czas warunkowy i przyszły pomieszały się w jej umyśle.” Obserwacja ta ma istotną wartość, i to pod każdym względem. To samo da się powiedzieć o dwóch następnych: „W tej epoce życia dzieci często przekręcają znaczenie wyrazów i mieszały pojęcia w związku z sobą zostające, co im się zdarza do czterech a nawet i do pięciu lat. Pewien chłopczyk w tym właśnie wieku będący, nie rozumie różnicy pomiędzy wyrazami „pożyczyć od kogoś” a „pożyczyć komuś.” „Czy pożyczysz odemnie twojej pieczątki?” — rzekł mi pewnego dnia. Innym razem zauważył: „Bardzo dziś jesteś hojny” — chcąc powiedzieć: „Jesteś dziś dla mnie bardzo hojny.” Trzeba jednak zauważyć, że branie jednego za drugie dotyczy wyrazów raczej niż rzeczy. Zbadajmy więc granice dziecięcego rozumu oraz najzwyczajsze jego pomyłki, starając się obserwować je w okolicznościach prawie niezależnych od wszelkiej przymieszki przez mowę dodanej.

6. Błędy i złudzenia dziecka.

Dziecko podlega takimże samym błędom i złudzeniom jak człowiek dorosły. Jedyną różnicę pomiędzy niem a człowiekiem dorosłym — w największej części wydarzeń widoczną — stanowi to, że pewien rodzaj błędów częściej, a może nawet konieczniej się zdarza u dziecka, ze względu na niezupełny jeszcze rozwój jego władz, które pomimo tego dążą od pierwszych chwil życia do ujawnienia swej działalności według praw myśłą ludzką rządzących. Pominąwszy tę różnicę, znajdziemy u dziecka wszystkie najczęściej się trafiające błędy: fałszywe rozumowanie zastosowane do danych przez różne zmysły dostarczonych, paralogizmy spowodowane pośpiechem i uprzedzeniem, przedewszystkiem zaś to, co razem z filozofami Port-Royal'u, nazywamy dotąd sofizmatami miłości własnej, osobistego interesu i namiętności. Wyliczenie niektórych z pomiędzy tylu rozmaitych kategorii pomyłek, tak często u dorosłych i u dziecka podobnych, nie jest robotą, do której skłania nas prosta tylko ciekawość; rozklasyfikowanie podobne przyrównałbym niejako do otworzonego w duszy dziecięcej okna, przez które wejrzeć w nią możemy; a będzie to również użytecznem dla nas, życiem dziecka żyjących jak i dla niego, które do życia przygotować musimy.

Platon bardzo poetycznie i bardzo trafnie zarazem wykazał, że nieświadomość jest głównem źródłem błędów naszych. „Przypuśćmy — powiada — że dusza jest klatką, w której fruwać różnego rodzaju ptaki, jedne gromadami, inne znowu samotnie. Ptaki te — to nowe wiadomości. W dzieciństwie klatka jest próżną, ale w miarę jak zdobędziemy jaką wiadomość, wnet ją tam wpuszczamy. Jeżeli znowu którą z nich schwycić

chcemy, często nam się zdarza złapać jedną zamiast drugiej. Tak na przykład, gdy szukamy sumy z dodania siedmiu do pięciu, możemy wziąć jedenaście zamiast dwunastu zupełnie tak samo, jak w klatce schwytać można gołębia zamiast turkawki. Ale w takim razie byłaby to wiadomość pozostawiająca nas nieświadomymi¹⁾.

Mimo całej subtelności tych uwag uznać jednak należy ich obrazowość i głębokie znaczenie. W istocie bowiem na podstawie pewnych wiadomości nieopatrznie szafujemy sądami, a rozumowania czy świadome, czy niejasne, wiodące nas do pomyłek lub do sądów fałszywych, stosują się do najprościejszych zjawisk umysłowych, do postrzeżeń naszych nawet. Dziecko dostarcza nam licznych tego przykładów.

Poznajmy najprzód błędy wynikające z nieudolności zmysłów. Złudzenia *wzroku* dotyczą barwy, umiejscowienia w przestrzeni, kształtu, rozmiarów, odległości, rodzaju i liczby przedmiotów, na które pada światło. Wrażenie światła wywołuje pojęcie barwy czyli sąd o niej; rzeczywistość ukazuje się nam w tych barwach, które jej sami nadajemy mocą poprzednio wydanych sądów. Ileż to czasu potrzebuje dziecko, zanim się nauczy rozpoznawać barwy otaczających je przedmiotów, owe barwy niby to stałe, a przecie ulegające różnym przemianom zależnie od wzajemnego ich na siebie oddziaływania oraz od wpływu coraz to innego otoczenia, odległości i położenia! Półroczne dziecko uparcie zwraca oczy a potem i rączki wyciąga do spłaszczonej główki od klamki, biorąc ją za wiszącą piłkę, którą mamka je bawi w kołysce; a zatem bierze ono przedmiot

¹⁾ Platon: *Theeteta* w przekładzie Garnier'a. *Traité des facultés de l'âme*.

okrągły, płaski, różnorodnie oświecany i cieniowany za kulę jednostajnej barwy tak, jak potem zdarza mu się wziąć kulę za kwadrat. W tej epoce dziecię popołnia najczęściej inny błąd, polegający na tem, że widząc tylko powierzchnię przedmiotu, bierze ją za bryłę. Chce dostać do rączek każdy przedmiot, którego żywe barwy zwróciły jego uwagę dlatego, że mało będąc oznajmionem sprawami perspektywy, nie umie sądzić o stosunkowej odległości otaczających je przedmiotów; miarą wysokości i długości jest dla niego najbliższa okolica jego osóbk i kilka dobrze mu znanych miejsc, jak na przykład pókój, w którym zwykle przebywa.

Niejednokrotnie nam się wydaje, że roczne a nawet dziesięciomiesięczne dziecko zachwyca się pięknoscią wschodu księżyca i zachodu słońca; złudzenie to dla nas jedynie istniejące. Dziecko nieprzyzwyczajone do oglądania obu tych ciał niebieskich, gdy zenitu swego dosięgły, nie przypisuje im w danej chwili takich rozmiarów, jakie mają one dla nas. Zauważyłem nawet, że z trudnością zwrócić można uwagę dziecka na jasność gwiazd, więcej pozorną niż rzeczywistą, ponieważ oko uzbrojone w szkła powiększające dostrzega je jako ciała nie bardzo jasno świecące. Na każdym kroku dziecko podpada też dziwnym złudzeniom co do kształtu, odległości, wielkości przedmiotów oraz ich liczby. Góra, las, morze, które my widzimy w odległości paru mil (angielskich) od nas, dziecku mającemu już nawet pięć kwartałów wydaje się nie większe i nie bardziej od niego oddalone jak to lub inne drzewo, albo dom sąsiedni. Dziecko zbliża przedmioty oddalone i zmniejsza znane nam ich rozmiary, okazuje ono też wyraźną dążność do zbliżania i powiększania rozmiarów takich przedmiotów, które znajdują się w pobliżu. Trochę później w wieku czterech lub pięciu lat więcej już roz-

winięte pojęcie o perspektywie stanie się dla niego przyczyną wręcz przeciwnych błędów. Pamiętam, że mając szósty czy siódmy rok, pojechałem z matką oraz jedynym z wujów do Bagnères-de-Bigorre. Ztamtąd udaliśmy się spacerem na górę Bédat, u podnóża której wije się kręta droga, drzewami zaciëniona. Wujaszek odłączywszy się od nas na chwilę, znikł pod sklepieniem zieleni, z której wynurzył się dopiero naszym oczom na ścieżce daleko wyżej położonej; postać jego rysowała się fantastycznie na nagim tle góry, mniemałem wówczas, że widzę go w wielkiej od nas odległości, później dopiero sprawdziłem, że nie mógł być dalej jak o jakieś sto metrów. Skutkiem takich to właśnie pomyłek psychicznych (a nie optycznych) dzieci sądzą bardzo fałszywie o istotnych kształtach, o ruchach i o odległości przedmiotów, znajdujących się w pewnym oddaleniu. Jadąc koleją albo płynąc łodzią, myślą one przez czas długi, że drzewa i domy poruszają się; idąc dłuższą nieco aleją lub ulicą, mają przekonanie, że drzewa i domy stykają się z sobą. Dwa gmachy, których wysokość jest pozornie jednakową, wydają im się równie odległe i równie wysokie. Patrząc na przedmioty bardziej oddalone, dzieci nie są zdolne ocenić istotnej ich wielkości przez porównanie wielkości pozornej z odległością, w jakiej im się przedmioty owe przedstawiają. Dwuletnie dziecko potrafi co najwyżej ocenić odległości, rozmiary i ruchy przedmiotów zbliżonych, których wzrokiem lub ręką dosięgnąć może. Zauważono nawet, że większą pewność w ocenianiu i trafniejszy rzut oka mają dzieci inteligentniejsze, szczególnie zaś te, które wcześniej przyzwyczajono do ćwiczeń i zabaw wyrabiających jednocześnie siłę, zręczność i wzrok, jak na przykład do gry w piłkę, w wolanta i t. d.

Najpospolitsze złudzenia wzroku (mam tu zawsze

na myśli złudzenia normalne, nie zaś patologiczne), odnoszą się do wypukłości przedmiotów, do kształtu widocznego, który dziecko miesza z kształtem dotykalnym oraz do ilości przedmiotów wzrokiem objętych. Przez długi czas dziecko nie chce wierzyć w to, aby przedmioty mogły stanowić całość pełną: dotyka więc powierzchni, szukając w niej wydrążenia i usiłując wkładać jedno w drugie najrozmaitsze przedmioty. Dziecko mające pięć kwartałów, które bardzo lubiło drapać się aż na drugie przesło schodów do mieszkania jego prowadzących, na innych schodach wgramoliło się tylko na jedno przesło, bo ujrawszy przed sobą dość obszerną przestrzeń oddzielającą jedną część schodów od drugiej, myślało, że tu już schody się kończą. Niema wątpliwości, że po kilkakrotnem nawet doświadczeniu błędnie jeszcze ocenia ono tę różnicę, jaką my widzimy od pierwszego rzutu oka pomiędzy okapem komina, dachu, muru, mostu a przylegającymi do nich płaszczyznami. Równie też łatwo wytłómaczyć, dlaczego dziecko nawet już trzyletnie i mające pewne konkretne pojęcie o ilościach liczebnych, często się myli w ocenianiu ilości przedmiotów, które przed sobą widzi. Czyż dorosłym nie zdarza się to samo? Wiadomo, że gdy podczas gwiazdzistej nocy wzniesiemy oczy do góry, widzimy zawsze gwiazd nieprzebrane mnóstwo. Dopiero przyrzawszy się mapie nieba, przekonywamy się jak bardzo ograniczoną ilość gwiazd odrazu i wyraźnie gołym okiem zobaczyć można. Jest to złudzenie czysto umysłowe. Tego samego rodzaju złudzenia doznaje też dziecko, gdy chce sobie zdać sprawę z ilości przedmiotów blisko jeden drugiego leżących, nawet nie bardzo od niego odległych. Mając trzy lata, potrafi ono czasami policzyć do czterech lub nawet do pięciu drzewa znajdujące się w pobliżu; po za tą liczbą, ilość zamienia się w *wielość*

drzew i wzrasta wraz z oddaleniem przedmiotów. To, co jest prawdą w stosunku do wielkości liczebnych, jest nią również w stosunku do rozciągłości przedmiotów. Dwu lub trzyletniemu dziecku kałuża wody wydaje się morzem; morze zaś wydaje mu się „*wielką, wielką wodą*.”

Wzrok również jak i dotykanie zaprawianym być powinien do rozpoznawania własności przedmiotów; inaczej mówiąc, pozorna, intuicyjna znajomość przedmiotu wtedy dopiero staje się znajomością prawdziwą, gdy musimy ją odnieść do rodzaju ściśle przedmiot określającego. Gdy dziecko widzi o jakie pięć lub sześć metrów od kołyski niańkę, która bierze okrycie i kapelusz, mlékiem napełnia flaszeczkę, pieści psa lub kota i t. d., wszystko to są przejawy myśli raczej niż widzenia tych przedmiotów, czyli innemi słowy, dziecko samo przed sobą zeznaje, że to widzi, wierzy, że widzi polegając na świadectwie własnego wzroku, przynoszącego mu niektóre z wrażeń podług, których zwykle o tychże przedmiotach wnioskuje. Na mocy sądów i rozumowań równie szybko, jak nieświadomie dokonanych, natychmiast odnosi ono do znanego mu gatunku owe spostrzegane własności. Dla tego też ilość jego pomyłek popełnianych w ocenianiu gatunku przedmiotów znajduje się w odwrotnym stosunku do dobrze dokonanych doświadczeń i do trafnie wyprowadzonych z nich wniosków.

Nie zapominajmy wreszcie o tych koniecznych częściach złudzeniach, które wywołuje w umyśle dziecka niepewne pomieszanie światła i cieni, nagłe przejście z ciemności do światła, zestawienie niektórych barw z innemi. Są to złudzenia więcej jeszcze optyczne niż umysłowe. Tylko skutkiem właściwej wszystkim zwierzętom zdolności szukania w rzeczywistości obrazów, sprawiających im żywe wrażenia, dziecko (a nieraz i do-

rosły) skorem jest także do tworzenia sobie z tych widm optycznych i urojonych prawdziwych widziadeł, strachów.

Niéma nic niebezpieczniejszego nad pozostawienie dzieci samych w pokoju źle oświetlonym albo ciemnym, szczególnie jeżeli przed chwilą przenieśliśmy je z pokoju jasnego; nieraz już zdarzało się, że dzieci fałszywie pojmując związek pomiędzy światłem a cieniem zachodzący, podlegały przestraszowi wynikiem ze złudzeń rzeczywistnych. Moglibyśmy przynajmniej przyzwyczajać je stopniowo do zmian w grze światła i cieni zachodzących, a nawet dla zabawy niby nauczyć je tworzenia dziwacznych widziadeł, których lękać się przestaną, wiedząc w jaki sposób dowolnie wywołać je można. Znałem dwuletniego chłopczyka, który prosił matkę o zostawienie mu świecy dopóki nie usnie, żeby z cienia swoich paluszków mógł robić na ścianie prawdziwe psy, prawdziwe słonie, prawdziwe jaguary.

Wrażenia słuchu stają się powodem innych zupełnie błędów, nie tak licznych wprawdzie ani tak ważnych, jak złudzenia ze wzroku płynące. Największą trudność przedstawia dziecku nie tyle umiejscowienie dźwięku w przestrzeni, ile rozpoznanie przedmiotu dźwięk wydającego. Ponieważ dziecko nie potrzebuje niezbędnie dokonywać podobnego umiejscowienia bez danych, których wzrok dostarcza, uczyni je ono zawsze później dopiero, gdy nabędzie znacznych zasobów doświadczeń wzroku, słuchu oraz dotyku i gdy zdolność porównywania więcej się w niem rozwinie. To też widzimy, że dziecko roczne łatwo się myli co do dźwięku, który zresztą doskonale poznaje. Bawiąc się w chowanego, podnosimy nieraz lub zniżamy głos, chcąc by dziecko myślało, że jesteśmy gdzieś blisko niego lub też bardzo daleko. Pominiemy zupełnie pomyłki wpływające ze

zlewania się w jedną całość rozmaitych jednoczesnych lub kolejno po sobie następujących wrażeń, ponieważ (jakkolwiek ważnemi są one dla muzycznego wykształcenia dziecka) wkraczają jednak w dziedzinę estetyki dziecięcej. Powiemy tylko, że duchowy zmysł słuchu czyli zdolność sądzenia o wrażeniach dźwiękowych płata nie jednego figla *uchu fizycznemu*, chociaż nieraz też nie jedną mu przysługę wyświadcza. Daleko ważniejszymi dla nas są takie pomyłki, które doprowadzić mogą dziecko do przerażającej je halucynacji.

Trudno uwierzyć jaką krzywdę wyrządzają dzieciom osoby, które skutkiem bądź to gwałtownego temperamentu, bądź uniesienia, nie krępując się ich obecnością głośno przy nich wyrażają niezadowolenia swoje i gniewy. Wtedy dziecko co chwila pyta się siebie, czy taki lub inny ton głosu nie dowodzi niezadowolenia starszych, nie zapowiada połajania lub kary. Tak samo czynią psy i koty, których właściciele gniewają się o lada drobnostkę; usłyszawszy krzyk i przeklinania, zwierzęta kryją się ze strachu. Znałem pięciomiesięczne dziecko, które często łajano a nawet czynnie karcono, by je odzwyczaić od nieporządku; skutkiem dziwnego jakiegoś skojarzenia pojęć, uczuć i postępów dość nieraz było widoku gniewnej miny, ruchu lub głosu gniew zdradzającego, aby dziecko mimowoli w ten sam błąd popadło.

Dziewczynka mająca pięć kwartałów, której ojciec nie bił wprawdzie, często jednak ją łając zanadto, ilekroć posłyszala odgłos ciężkich kroków na schodach, zaraz przybiegała wystraszona do matki w przekonaniu, że słyszy krok ojca.

Powonienie i smak bywają też powodem omyłek. Wiadomo, że nerwowa wrażliwość powonienia tępieje bardzo prędko tak, że w wyjątkowych tylko okoliczno-

ściach można się przez czas dłuższy lubować najprzjemniejszymi woniami lub doznawać przykrości z powodu odrażających. Zapachy muszą następować po sobie w pewnym porządku, ażebyśmy mogli je odczuć normalnie. Wiadomą także jest rzeczą, że powonienie oszukuje nas zarówno jak i smak. Za sprawą powonienia przypisujemy smak tłuczonemu cynamonowi; jeżeli zatkawszy nos skosztujemy cynamonu, wyda on się nam albo zupełnie pozbawionym smaku, albo też przypomina smak sosny. To też mamki, same o tem nie wiedząc dają dowód uczonego rozumu, gdy zatykają nos dzieciom, by je zmusić do przełknięcia nie milego lekarstwa. Kiedy nie dając nerwom smaku czasu do wypoczęcia po wrażeniu pierwszej odniesionem, zaczniemy szybko połykać jedno po drugim rozmaite pokarmy, wtedy mimo ich różnorodności nie zdołamy rozpoznać żadnego smaku. Z zamkniętymi oczyma pijąc po kolei to maślanek, to znów wino czerwone, niepodobna znaleźć jakiegokolwiek różnicy pomiędzy obydwoma temi płynami. Są to pomyłki, które nieraz zużytkowywać muszą lekarze chorób dziecięcych. Co zaś do omyłek z *dotyku* wynikających, te najczęściej łatwo sprostować umiejętnem ćwiczeniem narządów mięśniowych i dotykowych. Odnosi się to głównie do większej części wrażeń odbieranych od powierzchni, a tyjących się chropowatości lub gładkości przedmiotów, wklęsłości ich lub wypukłości i t. d. Działalność i ćwiczenie narządów wystarczają do mniej lub więcej szybkiego i zupełnego sprostowania pomyłek dziecka w tej mierze; a zbytecznem byłoby dodawać, że inteligencya danego osobnika oraz jego wychowawcy wiele się przyczynia do przyspieszenia tego rodzaju postępów. Zresztą niejednokrotnie dla dorosłego nawet trudną bywa rzeczą sprostowanie niepewnych wskazówek zmysłu lub też zmysłów, o których mowa.

Rozpoznawanie wagi nie jest rzeczą łatwą; trzymając w rękę dwa przedmioty, nie jesteśmy w stanie powiedzieć, który z nich jest cięższym, a jeżeli waga ich jest prawie jednakową, nie zauważymy żadnej różnicy ciężaru. Tłómaczy nam to dlaczego dziecko trzymając miesięczne bierze za jedno flaszeczkę pełną z próżną; dla czego będąc już trochę starszem i doświadczeńszem, chwytając bez wyboru za wszystkie przedmioty, aby je podnieść albo też nie dowierza swym siłom i waha się ująć przedmiot jak najlżejszy, wystawiając sobie, że ma do czynienia z wielkim ciężarem.

Zmysł dotykania—jeżeli do niego to odnieść należy wrażenia *ciepłoty*—podlega także często omyłkom, gdy chodzi o ocenienie temperatury dotykanego przedmiotu. Pod tym jednak względem człowiek dorosły niemniejsze od dziecka popełnia błędy. Z fizyki wiadomo, że ciepłota ujęta nie wywiera na nas żadnego wrażenia. Przy jednakowej temperaturze naszego ciała i otaczających przedmiotów, nie wszystkie przedmioty sprawią na nas jednakowe wrażenie ciepła. W pokoju, w którym wszystkie przedmioty mają temperaturę 20°C, czujemy przyjemne ciepło stając bosą nogą na dywanie; położywszy zaś rękę na marmurze kominka albo na jakim przedmiocie metalowym, czujemy silniejsze ciepło. Przy jednakowej temperaturze ściany pokoju wydadzą nam się cieplejszemi niż okrywająca nas odzież. Jeżeli temperatura obu tych przedmiotów będzie niższa, otrzymamy wręcz odwrotne wrażenia, to jest wydawać nam się one będą coraz zimniejszemi w tym samym porządku, w jakim pierwszej coraz gorętszemi się wydawały. Dziwne to na pierwszy rzut oka zjawisko wytłómaczyć się da niejednakowo przez wszystkie ciała posiadającą własnością wydzielania ciepła oraz wywierania na nas niejednakowych wrażań ciepła i zima. Dla tego to wchodząc do zimnej kąpieli

uważamy wodę za chłodniejszą od powietrza, a odzież odeń cieplejszą, chociaż wszystkie te przedmioty mają jednakowy stopień ciepła. Tak samo też dziecko, które po wyjściu z ciepłej kąpieli przenosimy do innego pokoju lub owiniemy w pieluszki mające taką samą temperaturę jak powietrze pokojowe, doznaje uczucia zimna, dlatego właśnie, że woda jest lepszym przewodnikiem ciepła niż powietrze i tkaniny.

7. Błędy z pobudek moralnych płynące.

Dotychczas rozważaliśmy tylko złudzenia powstałe z przyczyn fizjologicznych lub też czysto umysłowych. Istnieją jednak pewne moralne pobudki pomyłek, którym podlegają nie tylko dzieci ale i dorośli. Każde uczucie i skłonność każda bywa źródłem błędu; rozpoznanie wszystkich zabrałoby za wiele czasu, zadowolnić się więc musimy przytoczeniem kilku wybitniejszych przykładów.

Częstą przyczyną pomyłek dziecka bywa właściwa mu gorączkowa ruchliwość, gwałtowna potrzeba działania, instynktowne a namiętne pragnienie ruchu i zabawy. Nieraz widzą one wybornie (choć do pewnego tylko stopnia) to, co je zajmuje dlatego, że na to zwróciły uwagę. Nie poszukiwanie prawdy wzbudza w nich jednak tak żywe zajęcie, ale potrzeba działania i to działania szybkiego by dojść do tego lub owego celu. To też dzieci decydują się, jakby pod wpływem natężenia. Nie troszczą się one bynajmniej ani o istotną doniosłość danej rzeczy, ani o jej granice, ani o dalsze następstwa; zobaczywszy mniej lub więcej wyraźnie to co widzieć chciały, znalazłszy sposób sprawienia takiego lub innego wrażenia, nie pragną więcej; wie-

rzą i działają. Zbyt ni pośpiech szkodzi zarówno czynności jak i myśli, często też dzieci własnym kosztem się o tem przekonują, mimo to jednak wkrótce popełniają te same błędy.

Doświadczenia niepodobna zdobyć w jednej chwili. Oto przykład tego rodzaju pomyłki, wykazujący zarazem, jak ścisły związek zachodzi pomiędzy myślą a mową i jak obie wspomagają się wzajemnie. Widząc, że dzieci albo zwierzęta postępują w sposób, który nam się rozsądnym wydaje, bierzemy je często za więcej rozwinięte umysłowo niż niemi są w istocie. Gdy naprzykład dziecko zobaczy, że kołeczek przymocowujący kółko jego wózka rusza się, zaczyna wkrótce przewidywać, że za najmniejszym wstrząśnięciem kołeczek wypadnie, a niebawem spadnie i koło. Wtedy już sama przez się powstaje w umyśle chęć umocowania kołeczka; nie jest jednak rzeczą pewną, czy w myśli tej jest coś więcej prócz kolejnego następowania po sobie wyobrażeń. Czyn dziecka jest urzeczywistnieniem wyobrażenia mocno tkwiącego kołeczka oraz przytwierdzonego nim koła; nie chce ono bowiem dopuścić do powstania drugiego wyobrażenia, w którym te same przedmioty, chwiejące się w swojej osadzie, stanowiłyby zapowiedź nieszczęśliwego zdarzenia. Umysł dziecka musi większych jeszcze postępów dokonać aby zająć się mógł badaniem przyczyn, będącem już prawdziwie rozumową czynnością. „Nie śmiejąc orzekać stanowczo aby możność tych postępów zależała wyłącznie od mowy, powiem jednak, że władanie mową ułatwia je w znacznym stopniu. Każmy dziecku aby nam wytłómaczyło co robi, naprawiając wózek. Słowa, któremi odpowiedź swą wyrazi, naprowadzą go na myśl, że postąpiło zgodnie z pewnemi prawami dającemi się zastosować i do innych czynności. Obraz poszczególny zatrze się

w obec pojęć ogólniejszych. Dziecko powie nam, że koło byłoby spadło niezawodnie, ponieważ kołeczek się chwia, a sam wyraz *chwiał się*, oznaczając stan dający się odłączyć od przedmiotów oraz zapowiadający zdarzenie nastąpić mające, sam ten wyraz — powiadam — mieści w sobie zaród pojęć ogólnych. Pojęcia skutków ciężkości, tarcia, wreszcie niezmiennych praw przyrody, wynikną kiedyś z danych nam przez dziecko objaśnień, mimo ich niedokładności ¹⁾.

Ileż omyłek popełnia dziecko przez miłość własną, przez poczucie własnego „ja,” przez upór! Mania siedząc na huśtawce, hałasuje daleko więcej niż troje dzieci, które przyglądając się jej, czekają swojej kolei. W przeciągu pięciu minut znalazła ona czas wypowiedzenia więcej niż dwudziestu zdań, z których każde zaczyna się i kończy od *ja, mnie* i t. d. „Patrzcie na mnie, jak ja się prędko huśtam! Nikt nie poleci tak wysoko jak ja! Patrzcie, ja się sama tak rozbijałam!” Wszystko to nieprawda, ale jej się to prawdą wydaje. Są to mylny a spowodowany zbyt niem przecenianiem faktów tyczących się własnej osoby. Oto drugi przykład, którego nam dostarcza syn przyrodnika, zajmujący się czasem dla zabawki zbieraniem różnych przedmiotów: „Tatusiu, coś Tatusiowi powiem... Zdarzyło się nieszczęście... Zaczęło się od uda: Niosłem, ot tak! nosorożca z tektury. Upuściłem przez nieuwagę, udo się odłamało, potem odkleił się brzuch, a zatem i reszta.” Skutkiem niedoświadczenia, skutkiem nieopatrzności lub zbyt niiego poczucia własnej osobistości, dziecko wszędzie zawsze przesadza: *swoje przyjemności, swoje niechęci, swoje przykrości i swoje zmartwienia*.

¹⁾ Pani Necker de Saussure: *L'éducation progressive* t. II.

Księgozbiór:

№ 585

Niema potrzeby przypominać, do jakich omyłek popycha dziecko przy każdej sposobności własny interes, w szczególności zaś łakomstwo. Każdy mógł to zauważyć. Warto jednak zwrócić uwagę na tę łatwość z jaką wrodzona dzieciom skłonność lub też z interesu wynikłe przyzwyczajenie zamienia bez ich wiedzy w błędy najlepsze ich zamiary. Dwóch chłopczyków, jeden siedmioletni, drugi czteroletni, czy to przez zazdrość, czy przez roztrzępianie, bywają nieraz niebardzo grzecznymi dla siebie; młodszy, nad którym starszy dawniej przewodził, przestał już obawiać się brata, często go nawet pierwszy zaczepia. Napada ich wprawdzie czasem wielka przyjaźń a wtedy mówią sobie: „Chcesz, to będziemy w przyjaźni”? Ale przymierze nigdy nie trwa długo. Parę dni temu byliśmy świadkami bardzo zabawnej scenki. Obiecano im, że na wety dostaną kawałek cukru do podziału. Młodszy, ulegając dobremu popędowi, co mu się zresztą często zdarza, mówi do matki: „Mamo, chcę być dobry dla Karolka, daj mu większy kawałek.” Matka przełamała cukier na dwa kawałki, pomiędzy którymi była bardzo nieznaczna różnica. Ale chłopcy obaj natychmiast to spostrzegli. Karolek rzekł: „Obydwa jednakowe” ale mimo to chciał wziąć większy. Ferdynand uprzedził go i oddał mu mniejszy kawałek, mówiąc: „Masz, Karolku, ten większy.” I Karolek nie śmiejąc samemu sobie zaprzeczyć wziął ów kawałek, nic nie powiedziawszy, choć mu to było markotno.

ROZDZIAŁ XI.

1. Wyrażanie uczuć i mowa.

Mowa ludzka jest tylko wyższym stopniem rozwinięcia władzy wyrażania uczuć, posiadanej przez wszystkie prawie zwierzęta. Ptaki — postawą i śpiewem, psy — szczekaniem i wyciem, mrówki — dotykaniami się mackami, niektóre ryby — odgłosami będącymi zapewne w związku z instynktem rozrodczym; jednym słowem, większa część istot żywych umie dzielić z drugimi bóle swoje i radości, pragnienia, gniew i miłość a czyni to za pomocą znaków widzialnych, słyszalnych albo też dotykalnych. Pochodzenie zarówno mowy ludzkiej jak i zwierzęcej bardzo jest zawiłe a ważnych w tym względzie wskazówek dostarczyć nam może obserwowanie dziecka w epoce, w której mówić zaczyna. Mowa, czyli w ogóle zdolność wyrażania się, bierze początek w związku, jaki zachodzi pomiędzy niektórymi ruchami a doznaniem wrażeniami i uczuciami. Zmiany zaszłe we wnętrzu naszej istoty wyrażają się na zewnątrz pewnymi objawami, które dla każdego gatunku bywają inne a zawsze są stałe. W pierwszych miesiącach życia do ob-

jawów takich należy krzyk dziecka, łkanie, śmiech, gaworzenie oraz większa część ruchów machinalnie wykonywanych. Ma się rozumieć, że wykonawszy je pewną ilość razy, dziecię powtarza je potem świadomie, ale żadnego do nich znaczenia nie przywiązuje i z początku wydaje bez żadnego zamiaru. Są to czysto odruchowe czynności organizmu. Dla istot rozumem obdarzonych objawy te muszą się stać wkrótce oznakami a wynik ten jest dziełem kojarzenia pojęć. Dziecię kojarzy pojęcie odgłosu bądź gardłowego, bądź też innego, ruchu członków swoich, krzyku, łkania, śmiechu, łez i tym podobnych zjawisk zaszłych w jego organizmie z pojęciem uczuć lub wrażeń zjawisku temu towarzyszących. Mocą pewnego doboru naturalnego ruchy te i odgłosy stają się z bezwiednych samowiednymi, z odruchowych własnowolnymi. Dziecko, które z początku je wydawało przymusowo, zaczyna wkrótce doskonalić je dla własnej przyjemności lub pożytku. Trzymiesięczne dziecko, które wyciąga rączki aby odepchnąć lub też dostać jakiś przedmiot, wie już z doświadczenia, że ruchy te są dla starszych zrozumiałe, posługuje się już wrodzoną, dziedzicznie nabytą zdolnością porozumiewania się. Gdy dziecko płacze, chcąc aby mu dano jeść, wyjęto z kołyski i wzięto na ręce lub też nie chcąc zażyć nieprzyjemnego lekarstwa, płacz ów automatyczny zrazu, staje się odtąd samowiednym, celowym i do tego nawet stopnia w zwyczaj przechodzi, że nieraz możnaby go nazwać odruchowym. Dziecię, którego płacz łatwo znajduje posłuch, którego żądaniom, krzykiem lub odpowiedniami ruchami wyrażonym zanadto ulegają starsi, dopełnia później tych czynności przez kaprys, przez przyzwyczajenie i bez żadnego celu: nie zawsze wprawdzie płacze bez powodu, nieraz jednak mu się to zdarza.

Jak dalece wpływy dziedziczne przyczyniają się

do pierwszych postępów mowy, mamy tego dowód na dzieciach, które od pierwszych już miesięcy, zdają się rozumieć czule przemowy matki, rozróżniać w jej głosie wesołość od gniewu a pieszczoty od pogróżek. „Kiedy mówiono do malca d. 20 września (mały Tiedemann miał wówczas miesiąc) usiłował on wydawać dźwięki proste wprawdzie i nieczłonkowane ale różnorodne.” Trzytygodniowa dziewczynka, którą mam obok siebie pisząc te słowa, przestaje krzyczeć i płakać, gdy matka uspokaja ją głosem pieszczotliwym. Często też zauważyłem, że kocięta parę dni ledwo mające, piszczą zostawszy same a milkną natychmiast, gdy usłyszą nadchodzącą matkę. Wracajmy jednak do dzieci. Dziewczynka, która mając dwa tygodnie zaczęła się uśmiechać, zupełnie odmiennymi już dźwiękami wyrażała wtedy chęć ssania. Mając trzy miesiące wydawała radosne i zachwytem brzmiące okrzyki na widok kwiatów, ptaszków, przedmiotów błyszczących lub w ruch wprowadzonych. Matka zwracała na te rzeczy jej uwagę; dość było powiedzieć małej: „Patrz, jaki ładny kwiatek! jaka ptasia! jakie to śliczne!” wnet rozlegał się ten dziecięcy świergot, któremu towarzyszyły pełne wdzięku ruchy wyrażające zazdrość, podziw i radość. Umiała też przywiązywać znaczenie do mnóstwa słów przez matkę wymówionych; gdy matka powiedziała: „Patrz, Medor!” zwracała główkę w stronę psa, albo też w stronę klatki, gdy usłyszała: „Gdzie ptasia?” Musiała też przywiązywać pewne jakkolwiek niejasne znaczenie do urozmaiconych dźwięków, które wydawała z radości, z gniewu lub silnie czegoś pragnąc. Zdawało się wszakże, że nie wydawała ich z tym wyraźnym zamiarem, na który wskazywały w pewnych chwilach ruchy jej, krzyki, albo też płacz i szlochanie.

Siedmiomiesięczne dziecko widząc mnie po raz pierwszy, uśmiechnęło się jak do starego znajomego, gdy wymówiłem jego imię. Uśmiech ten stanowił dowód, że dziecię pamiętało już pieszczoty, których doznaje, gdy ktoś starszy wymawia jego imię, a może też uważać go należy za oznakę niewyraźnie zarysowanego pojęcia własnej osobliwości. Gdy wołałem chłopczyka tego po imieniu, dając mu to, o co prosił, albo gdy sam sobie zdobył coś, czego bardzo pragnął, natychmiast zwracał się do matki z uśmiechem: zadziwiony, zaniepokojony lub obawą zdjęty także się do niej zwracał z minką bardzo wyrazistą, jakby chciał podzielić z nią swoje zadowolenie lub przykrości. Mając dziewięć miesięcy, nawoływał radosnymi krzykami (między którymi były i głosy z naśladowania przejęte) psa, kota, ptaka, a nawet i chodzącą po jego talerzu muchę, za którą długo wodził oczyma. Mając jedenaście miesięcy rozumiał znaczenie wielkiej ilości wyrazów a nawet pewnej liczby krótkich zdań; ruchy jego stały się bardzo wyrazistymi. Składanie rączek było u niego ruchem celowym, który z najwyższem zajęciem obserwowałem. Chłopczyk stanął przy fotelu, matka stanawszy o trzy kroki za nim pokazywała mu kawałek chleba, który on miał ochotę dostać. Ponieważ matka nie przyniosła mu go; zaczął poruszać całym ciałem, robiąc ruch posuwania się naprzód, jakby chciał przez to wskazać, że mu trzeba pomódz do chodzenia. Matka nie podeszła bliżej, chłopczyzna zaczął płakać i kilkakrotnie składał rączki. Od pewnego już czasu robi ten ruch, gdy silnie zapragnie rzeczy, którą sam zobaczy, lub którą inni mu pokazują. Rodzice uważali ruch ten za wyraz błagania, co łatwo można tłomaczyć wpływem dziedziczności, a czego w danym razie nie podobna byłoby przypisać naśladownictwu, bo nigdy przy nim tego

nie robiono. Mnie zaś zdawało się, że chłopczyk machinalnie złożyłby rączki, jak gdyby ujmując dany przedmiot wtedy nawet, gdyby przedmiotu tego nie dostał: w samej bowiem rzeczy, przy gwałtownem pożądanu, wyobraźnia skłonna jest mięszać pojęcie i widok rzeczy z jej posiadaniem. Ruch ten zrazu bezwiedny, łatwo stać się może rozmyślnym i oznaczać prośbę, jeżeli dziecko postrzeże, że ilekroć ruch ten uczyni, czynimy zadość jego żądaniu. Dziecko, o którym mówię, zaczynało już to rozumieć. Zdaje mi się, że należy zestawić ten ruch, godny podziwu, z podobnymiż ruchami, które często zauważyć można u młodych zwierząt. Półtora-miesięczna kotka, widząc, że matka i dwie starsze jej siostry stoją na tylnych łapkach, aby schwytać przedniemi rzucone im pożywienie, próbowała je naśladować, ale wciąż przewracała się na bok nie dopiawszy celu. Zaczęła wtedy drapać się po ubraniu naszym, chcąc dosięgnąć naszych rąk. Nie wzbraniałszy jej tego. W kilka dni potem nauczywszy się już lepiej siedzieć na tylnych łapkach, z większem powodzeniem naśladowała dorosłe koty: podnosiła przednie łapki zbliżając je do siebie, aby schwycić pożywienie. Nieraz chociaż przeznaczony dla niej kawałek nie upadł był jeszcze, albo już leżał na ziemi, albo też schwytanym został przez inne zręczniejsze kotki, ona przez kilka sekund jeszcze pozostawała w takiej postawie, wciąż powtarzając ten sam ruch przedniemi łapkami. Podobnie jakto zauważyłem u wyżej wspomnianego dziecięcia, pojęcie pożądanego przedmiotu mięszało się u kotki z pojęciem posiadania i ruch odpowiedni wykonywanym był bezowocnie.

Oto znowu inne, jedenastomiesięczne dziecko, które bawiąc się tekturowym konikiem, znęca się nad nim bez miłosierdzia. Popycha go, dusi, ściska mu brzuch

z całej siły i każe mu chodzić na głowie albo na boku daleko częściej niż na nogach. Milej tej zabawie towarzyszą zazwyczaj wykrzykniki, których się chłopczyk od miesiąca nauczył: „wio! wio!” Gdy mu powiedzą, „Bij konia,” bierze drewnianą łopatkę i okłada nią bez litości nieczułe zwierzę. Znajoma mu pani sadza go często na swoich kolanach, jak na koniu mówiąc: „hop! hop!” a jeździec podskakuje, naśladując te słowa jak umie. Wymawia też wyraźnie: „tata! tata!” nie przywiązując do tych wyrazów żadnego znaczenia, bo nigdy jeszcze nie widział ojca nawet na fotografii. Nauczono go robić rączką ruch towarzyszący słowom: „do widzenia!” Chłopczyk słów tych nie wymawia, machinalnie jednak przez proste skojarzenie pojęć wykonywa ów ruch, ile razy mu każą pożegnać kogoś wychodzącego. Gdy matka mu powie: „zażyj tabaki!” pociąga noskiem, jakby zaraz miał kichnąć, ściągając przytem usteczka i marszcząc koniec noska w sposób bardzo zabawny. To pierwszy akt komedyi, po którym następuje drugi więcej skomplikowany a równie ciekawy: dostawszy próżną tabakierkę malec wkłada do niej paluszki i znowu powtarza tę samą minkę. Im więcej śmieją się osoby obecne tej scenie, z tym większym zapalem chłopczyk podnosi ciągle rączkę od tabakierki do noska, tem energiczniej pociąga noskiem i marszczy go. Gdy ktoś wymówi przy nim prostacze słowo, pod którym wszystkie dzieci rozumieją rzecz obrzydliwą, poważnieje odrazu, nawet wśród największej zabawy. Słowo to pewnym sposobem wymówione przypomina mu w istocie karę, którą za nieporządek otrzymuje. Gdy mu każą coś pocałować, sumiennie pełni polecenie. Zna już znaczenie zdań: „Daj to,” „weź,” „wypij,” „zjedz.” Widzimy zatem, że dziecko roku jeszcze nie mające rozumie nie tylko takie wyrazy, które oznaczają pojedyncze przed-

mioty ale nawet i takie, za pomocą których wyrażamy pojęcia i czynności złożone; rozumie je i niewielką ich ilość naśladować już umie. Zna też wartość mowy i codzień mówić się uczy.

2.

Widzimy, że mowa mimiczna rozwija się równolegle z mową ustną, chociaż ta ostatnia wstrzymuje jej postęp i staje się sama niezbędnem, powszechnem i urzędowem niejako narzędziem. Ten rodzaj mowy najciekawszym też jest przedmiotem badania dla psychologa i dlatego musimy tutaj wyłączną zwrócić nań uwagę. Przebiegnijmy myślą obserwacye zapisane w niniejszej pracy i sprawdzając je z temi, których dokonali znakomici badacze, spróbujmy naszkicować w ogólnych zarysach teorią mowy.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, jaki udział w rozwoju mowy przyjmuje z jednej strony instynkt i ustrój budowy: t. j. dziedziczność, z drugiej zaś wychowanie—to jest naśladownictwo. Człowiek, zarówno jak inne zwierzęta, wydaje odgłosy i wykonywa ruchy mimowolne, które niebawem stać się mają świadomymi i własnowolnymi oznakami doznawanych przezeń uczuć: od pierwszego dnia życia zaczyna on przemawiać językiem przyrody, a kto wie, może i przodków swoich językiem. „Ścisły związek zachodzący pomiędzy mózgiem a władzą mowy (tak wykształconą jak ją obecnie posiadamy) uwidocznia się szczególnie w owych wypadkach patologicznych, w których mowa w jakikolwiek bądź sposób nadwergężoną zostaje jak np. kiedy chory zapomina rzeczowników a wymawia dokładnie wszystkie inne wyrazy i właściwie ich używa. Że ustawiczne używanie mowy i ustrojowość narządów du-

chowych może przechodzić z pokolenia na pokolenie jest równie prawdopodobnem, jak to, że dziedzicznym bywa charakter pisma, zależny po części od ukształtowania ręki a po części od usposobienia umysłu; wiadomo zaś, że charakter pisma jest cechą, ulegającą prawu dziedziczności ¹⁾.

Jakkolwiek znacznym nam się wydaje wpływ dziedziczności na rozwój mowy, nie posiadamy dotąd dostatecznych, drogą doświadczenia zebranych dowodów, któreby stanowczo wpływ ten stwierdziły czy to u człowieka, czy u zwierząt. „Nigdy nie próbowano umiejętnie wpuścić do zagrody siecią pokrytej pary ptaków, dla przekonania się jakie gniazdo zbudują, nie mając w tej mierze żadnego doświadczenia; próbowano wszakże podobnego doświadczenia odnośnie do śpiewu ptaków (także poczytywanego za instynktowny, i przekonano się, że ptaki nie są w możności wydania śpiewu gatunkowi swemu właściwego, jeżeli go nie słyszały poprzednio; łatwo się za to uczą śpiewu każdego innego ptaka, z którym obcować im przyszło ²⁾).”

Dźwięki wydawane przez ptaki są pod wieloma względami najbardziej zbliżone do naszej mowy, gdyż wszystkie osobniki należące do pewnego gatunku wydają instynktowo te same głosy dla oznaczenia swych uczuć i wrażeń; gatunki zaś obdarzone władzą śpiewu wykonywają je również instynktowo, lecz rzeczywistego śpiewu a nawet wabienia uczą się one od swoich rodziców i od starszych ptaków. Dźwięki te, jak to wykazał Barrington nie są tak samo wrodzone tym ptakom jak język nie jest wrodzonym człowiekowi. Pierwsze pró-

¹⁾ Darwin: *Pochodzenie człowieka i dobór płciowy*.

²⁾ *Le sélection naturelle* przez A. Russell Wallace.

by śpiewania podobne są do bełkotania niemowląt. Młode samce ćwiczą się w śpiewie zwykle przez dziesięć lub jedenaście miesięcy. W pierwszych próbach zaledwie zdołaliśmy odkryć jakiekolwiek wskazówki przyszłego śpiewu, ale w miarę wzrastania i rozwoju całego ich organizmu, wydają coraz wprawniejsze dźwięki, noszące już na sobie cechy przyszłych melodyj aż wreszcie są w stanie wyśpiewać wszystko. Ptaki, które się wyćwiczyły w śpiewie jakiegokolwiek innego gatunku, jak np. kanarki wychowane w Tyrolu, przyuczają do tej nowej melodyi swe młode. Nieznaczne naturalnie różnice śpiewu u osobników tego samego gatunku, ale zamieszkujących rozmaite okolice, możemy—zdaniem Barringtona—przyrównać do prowincjonalnych narzeczy; śpiewy zaś różnych, choć pokrewnych gatunków, do języków różnych ras ludzkości ¹⁾.

Widzimy też że i ludzie mówią tak, jak ich mowieć nauczono. Ciekawą jednak byłoby rzeczą wiedzieć, czy w obecnym stanie rozwoju mózgu ludzie nie mówiliby sami z siebie jakąś mową, któraby przechodziła dziedzicznie z pokolenia na pokolenia, z której pierwotnym zarysem byłyby pierwsze dowolne próby dziecięcej mowy. Doświadczenie przez króla Psametycha zrobione, a zapisane u Herodota, nie jest ani wystarczającym w tej mierze, ani nawet autentycznym. Król egipski, chcąc się dowiedzieć, który z narodów świata jest najstarszytniejszym, kazał zamknąć dwoje nowonarodzonych dzieci w chacie, gdzie nikogo ani słyszeć ani widzieć nie mogły prócz kóz, które je karmiły. Mając dwa lata, dzikie te dzieci zobaczywszy człowieka wymówiły wyraz *beccos*, który oznacza *chleb* w języku frygij-

¹⁾ Darwin: *Pochodzenie człowieka i dobór płciowy*.

skim. Dzięki temu legendowemu doświadczeniu, Psametych czuł się w prawie ogłosić frygijczyków za naród najdawniej istniejący. Ale my bardziej od niego jesteśmy wymagający. Uznajemy się bowiem za zupełnie nieudolnych do zadecydowania *a priori*, czy dzieci podobnemu doświadczeniu poddane, wynalazłyby same z siebie język godny nazwiska mowy ludzkiej i nie wiem też jakim byłby ich język oraz jaki rodzaj pojęć powstałby w tych mózgach, ulegających jedynie wpływowi tradycji odziedziczonych i naśladowania otaczającej przyrody.

Nie możemy też przyznać naukowej wartości faktom tyczącym się ludzi jakoby od najmniejszego dzieciństwa w zamknięciu trzymanych, jakkolwiek niektórzy filozofowie uważają je za stanowcze. W dziennikach znajdujemy dość często opisy nieszczęśliwego stanu ludzi, którzy przez barbarzyństwo lub skąpstwo drugich od dzieciństwa zostali zamknięci samotnie w miejscach ciemnych, gdzie im wszelkiego pokarmu odmawiano. Fizyczne i duchowe życie podobnych istot jest tylko stanem wegetowania; nie mają oni żadnego ani ogólnego, ani poszczególnego pojęcia o bycie ludzkim. „Słynny Kasper Hauser nie mógł sobie wytworzyć pojęcia o koniu, ilekroć wymówiono przy nim ten wyraz, myślał o koniku drewnianym, którym się bawił w zamknięciu; wyraz koń nie był w stanie wyobrazić mu nic innego nad ów przedmiot. Czyniono też podobne obserwacje nad ludźmi, którzy wzrosli wśród zwierząt, w lesie, zdala od wszelkiego społeczeństwa ludzkiego. Żyli oni i żywili się jak zwierzęta, nie doznawali innego wrażenia nad głód, nie umieli mówić, i nie objawiali żadnego śladu tej iskry Bożej, wrodzonej jak mowa człowiekowi ¹⁾.”

¹⁾ Büchner: *Sila i materya*.

Obserwacje wzmiakowane przez sławnego materyalistę niemieckiego, nie zasługują zgola na nazwę doświadczenia naukowego. Cóż w tem dziwnego, że dziecko samotnie w ciemnicy jakiejś chowane, że dzikie stworzenie wykarmione przez kozę, niepodobnym do wizerzenia cudem w lesie wzrosłe i tam żyjące, nie potrafi ani mówić, ani żadnym sposobem (wspólnym wszystkim osobom mówiącym) okazać jakiegokolwiek ogólnego lub poszczególnego pojęcia o bycie? czy jednak nie mają oni żadnych ogólnych nawet pojęć, chociaż ich wyrazić nie umieją? Czy nie potrafiliby porozumieć się z sobą znalazłszy się razem? Dotąd nie uczyniono żadnych doświadczeń, któreby nam dały odpowiedź na to pytanie. A jednak doświadczenie podobne, łatwiejsze do zrobienia i mniej barbarzyńskie niż się na pozór wydaje, pozwoliłoby nam bezwątpienia dojść do wyników pewniejszych niż owe przypuszczenia w kwestyi powstania istoty mowy; może rozjaśniłoby nam ono ciekawe zagadnienie psychogenezy, do których filozofia współczesna przystępuje tak oględnie i z tak niewielkim powodzeniem, ale prawdopodobne rozwiązanie, których zapowiadają i przygotowują nauki przyrodnicze.

Zdania wygłaszane przez Taine'a o sposobie nabywania mowy są niezawsze zrozumiałą mieszanką teorii Condillaca ze współczesną teorią doboru. Według Taine'a bowiem dziecko ćwiczyć zaczyna narząd głosowy ciągłymi próbami krzyku i najrozmaitszych wykrzykników; przez kilka miesięcy tylko samogłoski mu się udają; „nieustannymi próbami, stopniowym doбором, dodaje ono do samogłosek spółgłoski a wykrzykniki stają się z każdą chwilą podobniejsze do zgłosek mowy członkowanej.” Zdaje mu się, że córeczka jego mająca rok posiada już materyał językowy, jakkolwiek nie przywiązuje jeszcze żadnego znaczenia do wydawa-

nia dźwięków. „Inicjatywa w tej mierze jest osobistą jej zasługą; własnym to, przypadkowym i przelotnym pomysłem wynalazła i powtarza dźwięki takie jak *mm*, *kraaaau*, *papapa*, a przykład i wychowanie ten tylko skutek odniosły, że zwróciły jej uwagę na dźwięki, które dotąd sama wynajdywała.” Mojem zdaniem, ilość dźwięków, które dziecię wydawać próbuje, jest bardzo ograniczoną i nie może stanowić podstawy do rozumowania pewnego, któreby wykazało, co w nabywaniu mowy jest dziełem naśladownictwa, a co inicjatywy osobistej. Radbym zobaczyć mniej lub więcej dokładny spis samogłosek i zgłosek, które wydawać dziecko próbuje. Wychodzę zawsze z tego punktu widzenia, że wynajdywanie dźwięków poprzedza dziecko assymilowanie takowych. Taine twierdzi i słusznie zapewne, że ów szczebiot jest zadziwiająco giętki i odmiennością tonów wyrażać może wszystkie odcienia wzruszeń, podziwu, wesołości, niezadowolenia, smutku, że w tej mierze dziecko dorównywa osobie dorosłej, a nawet ją przewyższa. Gdzież jest ów szczęśliwy badacz, któremu udałoby się pochwycić dziwną tę fonetykę dziecięcej mowy, nie mniej bezwątpienia trudną do zanotowania niż śpiew słowiczy?

Powyżej wspomniane przezemnie spostrzeżenia Darwina kończą się kilkoma uwagami nad środkami porozumiewania się będącymi w mocy dziecka. Są nimi z początku instynktowne krzyki, którymi ono objawia cierpienie, a które po jakimś czasie ulegają zmianie, stosownie do tego, czy stanowią oznakę głodu, czy też cierpienia; wkrótce zaś jak Darwin przypuszcza płacz staje się celowym, gdyż z jego pomocą dziecko na swój sposób tłómaczy swoje żądania. Po czterdziestu sześciu dniach, wydaje ono rozmaite odgłosy dla własnej przyjemności niejako; po stu trzynastu zauważyć

można niewyraźny uśmiech i może nawet pierwsze próby naśladowania dźwięków. W połowie szóstego miesiąca dziecko wymawia wyraźnie zgłoskowane *da*. „Synek mój, rok mając, dokonał też takiego wysiłku, że wymyślił wyraz na określenie pożywienia, które nazwał *mum*; co odtąd znaczyło u niego: „Dajcie mi jeść.” Wyraz ten — powiada Darwin — odpowiada wyrazowi *ham*, którego używało dziecko Taine’a; zdaje się jednak przypisywać to własnej inicjatywie dziecka, a nie naśladownictwu, oświadcza bowiem, że nie wie, „co go skłoniło do używania tej zgłoski.”

Eger ¹⁾ robi uwagę, że krzyk po pięciu tygodniach przechodzi w głos. Krzyk jest najpierwszym dźwiękiem jaki wydaje głosowy narząd człowieka: wydobywa się z głębi krtani od pierwszej chwili życia na wolnem powietrzu i przez kilka tygodni stanowi jedyny głos, którym dziecię daje znać o sobie, szczególnie gdy mu co dolega. „Potem, około pięciu tygodni, widzimy — wtedy zwłaszcza gdy dziecko doznaje zadowolenia — ruchy buzi i języczka wykonywane w celu wydania dźwięków, których głoskami naszymi wyrazić nie możemy, ale które jednak znacznie są mniej gardłowe od pierwszych krzyków. Ten drugi rodzaj dźwięków, doskonaląc się, utworzy prawdziwe już zgłoski. Głos ów tak odmienny od krzyku cierpienia zauważyłem u Feliksa dopiero w końcu drugiego miesiąca.” Mówiąc o głosie dziecięcia, Eger popiera swe uwagi obserwacją, której dokładność wzbudzać może pewne wątpliwości; twierdzi on mianowicie, że „w pierwszych dniach życia, głos różnych dzieci nie ma żadnych odcieni u każdej jednostki odmiennych. Głos nabiera indywidualnych róż-

¹⁾ Op. cit.

źnie brzmienia wtedy dopiero gdy z krzyku zamienia się w mowę członkowaną, gdy można już w nim rozróżnić samogłoski oraz spółgłoski." Dla odparcia słów powyższych nie mogę przytoczyć spostrzeżeń, któreby stanowczo im zaprzeczały, czytam jednak w dziełku Dra Laurent, że „brzmienie krzyku jest równie zmienem jak głos ludzki. Płacz każdego dziecka podlega specjalnym zmianom, których w słowa ująć niepodobna, choć je można łuchem pochwycić; serce matki też umie odróżnić krzyk własnego jej dziecka od krzyku innych dzieci." ¹⁾ Punkt ten bardziej zajmujący dla przyrodnika i filologa niż dla psychologa, potrzebuje jeszcze bliższego zbadania.

Zauważyć też należy, że Eger twierdząc, iż naśladownictwo jest dowodem pierwszego przeblýsku inteligencji, oświadcza wszakże, iż dzieci bardzo wczesnie zaczynają objawiać zdolność naśladowania. Według niego dziecko mające około dziewięciu miesięcy naśladuje już starszych, chociaż w tej epoce nie można jeszcze zauważyć żadnego widocznego wysiłku, uczynionego w celu naśladowania usłyszanych dźwięków. Niektóre próby, przypadkowo i chwilowo się zdarzające, nie powtarzają się dość wyraźnie, aby je można nazwać czynnością do pewnego przynajmniej stopnia dowodzącą inteligencji. Przypomnijmy sobie, że Darwin nie zupełnie był pewien, czy czteromiesięczny synek jego próbuje naśladować dźwięki i upewnił się o tem dopiero w sześć miesięcy później. Eger również jak i Taine przyznaje, że osobista inicjatywa oraz pomysłowość dziecka przyjmują znaczny udział w rozwoju mowy. Oprócz płaczu, krzyku, śmiechu, ruchów stanowiących

¹⁾ *Des soins à donner au bébé*, str. 207.

mowę naturalną „która dopiero wtedy staje się początkiem mowy sztucznej, gdy jest wykonywaną z pewnym celem”, przyznaje on jeszcze istnienie mimowolnych modulacji głosu, które zjawiają się już w szóstym miesiącu, do nieskończoności urozmaicając próby wydawania dźwięków i wymawiania zgłosek. Byłby to więc język instynktowny, naturalny, wspólny wszem czasom i wszystkim narodom, a wypierany powoli przez postępy innego języka, wymyślonego przez dziecko i ulegającego nieskończonej ilości zmian czysto indywidualnych. Ale ani Eger ani Taine nie spisali brzmień owego języka, który ich zdaniem—powstaje samoistnie. Skutkiem tego więc obserwacye ich zanadto są ogólnikowe i niejasne, aby można polegać na wnioskach przez nich wyprowadzonych. Bezwątpienia przyznać należy, że nawet w pierwszych chwilach gaworzenia dziedziczny instynkt mowy wiedzie niemowlę do tego, aby podobnie jak ptaszek w miarę słabych sił głosowego narządu próbowało dobywać głosu, dla przyjemności raczej niż z potrzeby i wypadkowo raczej niż przez umyślne naśladownictwo. A jednak i w tej nawet epoce musimy koniecznie położyć coś na karb mimowolnego naśladownictwa, na instynkt w samym ustroju tkwiący, na udzielanie się skłonności muzykalnych. Co zaś tyczy się owego pierwszego peryodu mowy odmiennej u każdego dziecka, a potrzebnej do porozumiewania się bądź to z innymi dziećmi, bądź z rodzicami i z mamką, to nie mając na to doświadczeniem popartych dowodów, nie ośmieliłbym się twierdzić, że „dziecko nie ma ani jednej potrzeby, na którą nie wymyśliłoby jednego lub kilku dźwięków członkowanych, chociaż je nikt umyślnie ani niechcący przykładem do tego nie pobudza.”

Jeden z najkompetentniejszych badaczy A. de la Colle wzbogacił znacznie zbiór postrzeżeń, poczynionych

nad kształtowaniem się języka dziecięcego. Podług niego podczas trzech pierwszych miesięcy trudno zauważyć jakiegokolwiek wyraźne zjawisko odnoszące się do wydawania głosu. „W owej chwili życia—powiada on—zdolność naśladownicza nie objawiła się jeszcze; nie upoważnia nas do przypuszczenia, aby owo gaworzenie stanowiło próbę czy też usiłowanie naśladowania słyszanych dźwięków lub piosnek, któremi mamki zwykły usypiać niemowlęta. ¹⁾ Przyjemność jaką sprawia dziecieniu ów świergot, pozbawiony jeszcze wszelkiego wyrazu i wszelkiej muzykalności, La Calle przypisuje kombinacji czynności odruchowych, po raz pierwszy skojarzonych z wysiłkiem świadomym. Zauważył on zresztą, że jego własne dzieci wydawały ów świergot różnodźwięczny głównie pod wpływem jakiegoś przyjemnego wrażenia, nie bez słuszności zatem dodaje:

„Niewątpliwie pewną jest rzeczą, że owe dźwięki powtarzane i mniej więcej ciągle bliżej są spowinowaczone z powtarzanym dźwiękiem śmiechu niż z krzykiem płaczliwym.” Działanie doboru naturalnego dotyczy przeważnie dźwięków, wyrażających wrażenia przyjemne, na mocy tej zasady, że „stan doznawanej przyjemności zawsze odpowiada częściowemu lub całkowitemu wzmożeniu się czynności” ²⁾.

De la Calle starał się zdać sobie dokładną sprawę z rozmaitości oraz z liczby i z tonu rozmaitych dźwięków, jakie dziecko wydaje w epoce poprzedzającej wymówienie najpierwszego dźwięku głoskowanego, a „choć udało mu się tylko—jak powiada—stwierdzić ist-

¹⁾ *La Glossologie, essai sur la science experimentale du langage.*
216 Massonne, edit. 1881.

²⁾ *De la Calle, op. cit.*

niejący już fakt”, próbuje wszakże określić wyraźnie te ośm różnych tonów składających gamę w powtarzaniu, której dziecko ćwiczy się po kilka razy na dzień. Najpierwej więc zauważył wymawianie samogłoski *a*, którą nazywa *komórką głosową lub dźwiękową*; następnie powstaje dźwięk *e*, zrazu ściśniony trochę, później otwarty; nieraz jednocześnie z nim dźwięk *o*, także pierwotkowo ściśniony, a wszystkie zaś razem tę tylko pierwszem urozmaicheniem pierwotkowego dźwięku *a*.

„Półroku mając, Ferdynand wydawał cały szereg bardzo charakterystycznych dźwięków, z pomocą jednej rozmaicie brzmiącej samogłoski *a*, czasami przez kwadrans cały rozmawiał on z matką lub z mamką śmiejąc się, gestykulując i świergotąc na tę jedną tylko nutę, którą urozmaicał niezliczonymi i nieuchwytnymi prawie odcieniami, oraz szczególniejszemi modulacyami głosu. Głos jego posiadał pewną—że tak powiem—giętkość, której posiadać ani nawet naśladować nie mogą już nasze narządy głosowe, ciągle używaniem zesztyniały. Natężenie dźwięku, wysokość jego, skala i szybkość ulegały stopniowaniu, a tony splatały się z sobą i powtarzały w sposób niezmiernie dla badacza ciekawy.”

„Później jeszcze, mając już ośm lub nawet dziewięć miesięcy, i umiejac dopomagać sobie mimiką oraz grą rysów twarzy, wołał jednak używać głoskowego dźwięku *a*, chociaż umiał już wymówić kilka zgłosek, któremi ukazywał, nazywał, wołał rozmaite przedmioty albo też o nie prosił: *ah* (z wdechaniem) oznaczało zdziwienie i zadowodwienie; *ah* (z wydechem) wołanie wszelkich przedmiotów, oraz wskazywanie na nie; *ha*, *ha*, *ha* bardzo krótkie i kilkakrotnie powtarzane, znaczyło, że prosi o coś co zobaczył i miećby pragnął; *ha*, *ha* przeciągłe, było wyrazem zachwytu; *hā*, *hā*, *hā*, objawiało życzenie chodzenia z czyjąś pomocą, a czasem

także chęć wyjechania na przechadzkę. Widocznie zatem, ruchy i wyraz twarzy przychodzą z pomocą wykrzyknikom, bo pragnąc dostać jaki przedmiot dziecko wskazuje na niego rączką lub zamyka po kilkakroć paluszki, jakby coś ujmowało. Z mniejszą lub większą zręcznością wyraża ono także swoje życzenia kierunkiem i wyrazem spojrzenia, poruszeniami ciała oraz wszelkimi innymi oznakami, o których wspominaliśmy już powyżej. „Zauważyłem także, że w tonach wyższych szczególniej pojawiało się niekiedy *e* ścieśnione, ani razu jednak u żadnego z moich dzieci nie mogłem dosłyszeć wyraźnego *o*; słyhać je było tylko przy płaczu, ale jako dźwięk złożony: *ao*. Wyraźne wymawianie tej samogłoski odnieść muszę dopiero do ósmego lub dziewiątego miesiąca życia dziecka. Płacz moich dzieci w trzecim dopiero miesiącu udało mi się ująć w następujące dźwięki: *a-ha, a-ha, a-ha, e-he, hu! ah, ah, eu! a-ha, aha, a-ha, oheu! e-he, e-he, e-he, a-ha i t. d.* Nie jest to jednak płacz gwałtownego bólu, w którym krzyk *ah* lub *eh* jest zawsze głęboko dojmującym. Pierwszeństwo to fizyologiczne widocznie, jakie dziecko daje zawsze dźwiękowi *a* bądź to wdychanemu, bądź wydychanemu, tłumaczy nam także ważność roli, jaką *a* odgrywa we wszystkich prawie zaczątkowych i pierwotnych językach. Samogłoska ta stanowi komórkę, fonologiczny zarodek mowy z wyrazów złożonej.

Niewielkie rozmiary niniejszej pracy nie pozwalają mi streścić wszystkich obserwacji poczynionych przez p. de La Calle nad wydawaniem pierwszych głosek, samogłosek, dwugłosek: dźwięków gardłowych i wargowych. Przytaczam tu jedynie główne studia postępowego rozwoju mowy: „Mając półpięta miesiąca Ferdynand wymawiał pierwszy dźwięk wydechowy łącznie z głoskowym *a* i mówił: *ap'pa, ap'pa*, z wielkim wysiłkiem, co

było zresztą nader widocznem, bo szeroko przy tem roztwierał oczy, które blasku nabierały. W kilka dni potem mówił *mam'ma, mam'ma*, z wysiłkiem mniejszym już albo może mniej umiejscowionym w narządzie głosowym, bo choć oczy mu błyszczały, powieki pozostawały jednak nieruchome, owa spółgłoska nosowa, coś w rodzaju próby dokonywanej przez kogoś, kto by chciał mówić, a nie może, dowodzi, że wymówienie „*mam*” przychodziło mu jeszcze z pewną trudnością. Tem samem jest *mu-mu*, którem głuchoniemy oznacza, że mówić nie może.”

„W pięciu miesiącach chłopczyk pokonał już jako tako tę trudność: udało mu się wymówić zgłoskę podczas wydychania i mówił już „*papa*” ostrym, przenikliwym, *mama*—grubszym, ale jedno i drugie krótkim i urywaniem głosem.

„W gniewie wydawał przeciągły gardłowy krzyk *khr*, który nazwałby można krzykiem małpy, ścisnął przytem piąstki i silnie się czerwienił. Ale gdy się bardzo czego ucieszył lub gdy go łaskotano tak długo, że zaczynał się zanosić spazmatycznym śmiechem, dźwięk ten przeciągał się od chwili wydychania aż do chwili ponownego wdychania; zamieniał się wtedy w piskliwe, prawdziwie coś zwierzęcego mające *khr-ahr*. Ponowiłem dwa czy trzy razy to doświadczenie, chcąc sobie dobrze zdać sprawę z dziwnego zjawiska: wtedy znowu malec zaczynał się gniewać, krzywił się, zabierał do płaczu i trzeba go było czempredziej pocałować, aby go przełagać za moje dziwactwo. Nieraz czując się wesołym i zadowolonym, wymawiał wyraźnie *e* dotykając przytem językiem podniebienia: *ke-ke* i bawił się nieraz przez czas dłuższy powtarzaniem tego dźwięku a zarazem przyglądał się—niby z wielką uwagą—rączkom swoim, które na wszystkie strony obracał, albo też przyglądał

się pierwszemu lepszemu przedmiotowi, który mu do zabawy dano. Nic mnie tak nie ubawiło, jak to bawienie się dziecka, tak bardzo przypominające zabawy małpki.

„W modulacjach głosu zachodziły pewne zmiany pozbawione zarówno świadomości jak i znaczenia; stanowiły one rodzaj ćwiczenia, któremu się malec oddawał dla przyjemności i które było rozwinięciem i następstwem dawniejszego świergotu; pierwsze owe głoski dowodzą już znacznego postępu, odtąd bowiem posiada dziecko podstawowy materiał mowy. „*Ke-ke* zmieniało się to w *ka-ka*, to znowu w *ak-ka*, to w *ta-ta-ta*, w *a-ta-ta*, *a-ba-ba-ba*, *da-da-da*, potem w *pe-pe-pe*, *be-be-be* i t. d.

Nie wcześniej jak w dziewięciu miesiącach zauważyć u niego mogłem coś w rodzaju łagodnej skargi *aja-ja*, *aja-ja*, *aja-ja*, którą wydawał, gdy go ubieranie nudziło lub gdy mu kazano czekać na jedzenie. Zdaje mi się jednak, że u innych moich dzieci wcześniej ją słyszałem. Bądź co bądź, był to dla malca nader ważny wynalazek i on sam spostrzegł to zapewne, bo zaczął używać tej nowej gamy, z bogactwem swą mowę większą różnaitością dźwięków złożonych.

„Tak więc *ha-ha*, *he-he*, *ka-ka*, postęp, w których zasadał się na łatwości z jaką dziecko wymawiało je podczas wydychania, urozmaiciły się coraz wybitniejszą pomiędzy nimi różnicą i coraz większą podatnością do wielu nowych kombinacji głosowych: *ha-ha* przeszło w *oja*, *he-he* w *eje-eje*, *ka-ka* w *kaja-ja*, *kaja-ja* i tak dalej ta sama piosenka z nowymi wariantami powtarzała się nieustannie.

3.

Doszliśmy do chwili najważniejszej, do chwili mówienia wyrazami. Przez dwa tygodnie przeszło obser-

wowałem dziecko roczne, które nie umiało wprawdzie chodzić inaczej jak trzymane za rączkę, ale dość już na swój wiek mówiło. Przed miesiącem chłopak ów chodził o własnej sile, ale upadłszy kilka razy, stracił wiarę w swoje siły: teraz zostawiony sam sobie i namawiany do chodzenia, siada oświadczając: *nia-ni* (nie). Rozumie on wiele bardzo wyrazów, które często słyszy i sam już używa dość wielu w zwykłym ich znaczeniu „*paium*” (pain—chleb) gdy prosi o chleb; kiedy przy ubieraniu wkładają mu rączkę w rękaw sukienki, woła: „*miaum*” (main—ręka). Przywołuje ciągle swego braciszka Karolka, którego figle i zabawy przejmują go zachwytem, krzycząc: *Kia!*—*Kia!* co wymawia bardzo wyraźnie, zaznaczając różnicę tych zgłosek od *tja-tja*, czemu znów całkiem inne nadaje znaczenie: tak bowiem woła, gdy zobaczy na ziemi ślad własnego nieporządku i w ogóle plamę na jakiegokolwiek powierzchni; tego ostatniego wyrazu używa dopiero od trzech miesięcy. Mięso jest dla niego *mniamnia*; *pudi-pudi* oznacza chęć przejścia z jednego miejsca w drugie, *nima* znaczy, że mu coś upadło, lub zginęło; czasem także gdy chce wyrazić, że coś już zjadł, lub, że coś się skończyło, oddaliło, zniknęło mu z oczu mówi: *juz nima*. Gdy upadnie, albo stłuczę główkę, albo też gdy go przy zabawie uderzy braciszek, malec nie płacze, lecz najspokojniej powiada: *pam!* Używa też tego wyrazu dla oznaczenia, że coś upadło z hałasem. Naśladuje osła, kota, koguta, szczególnie zaś wieprza; gdy ma ochotę pójść z kim starszym na spacer i zaczynają go ubierać, w dowód zadowolenia przedrzeźnia to miłe zwierze. Kilka razy na dzień mówi: *tete, teto*, co oznacza, że chce ssać; przed miesiącem mówił jeszcze *titi*. Parę dni temu zdziwiłem się wielce słysząc, że malec powtarza początkową zgłoskę wyrazu, który przy nim wymówiono. Służąca spy-

tała go: „Chcesz ciasteczko?” (gâteau), powtórzył zaraz: *ga-ga* i poprowadził ją do jadalnego pokoju; od dwóch dni zaledwie będąc w tym domu zrozumiał już, że do tego pokoju schodzą się wszyscy dla wspólnego posiłku. Rozumiejąc znaczenie wielu używanych przez się wyrazów, rozumie też i znaczenie wielu zdań prostych i jasnych. Nie widzę potrzeby przytaczania przykładów, które byłyby podobnymi do wyżej przytoczonych. Najważniejszą jednak rzeczą jest to, że przed kilkoma dniami usłyszałem, jak malec próbował złożyć z dwóch rzeczowników zdanie, wprowadzić w wysokim stopniu ściągnięte, ale nader zrozumiałe z powodu towarzyszącego mu tonu, gestów i ruchów. Prowadziłem go za rączkę od kilku minut; chłopczyk zobaczywszy matkę, chciał do niej iść, a gdy natychmiast nie uczyniłem zadość jego życzeniu, zaczął mnie ciągnąć i pokazując rączką matkę, błagalnym głosem powtórzył trzykrotnie: „*tata-mam-tata* (zaprowadź mnie do mamy). Nie wiele już brakło, aby w mniej lub więcej prawidłowy sposób wstawić wyraz *pudi* pomiędzy dwa imiona: postęp ten nie ujawnił się jeszcze tego dnia, dla tego może, że nie miałem cierpliwości czekać dłużej i że zbyt prędko spełniłem żądanie dziecka. Oprócz poruszania głowy z lewej strony na prawą, co znaczy *nie*, oraz wskazywania rączką na jakiś przedmiot, zauważyłem jeszcze u niego ruch bardzo charakterystyczny: słysząc śpiew lub grę na fortepianie, porusza się on miarowo całym ciałem, prawie w takt; przyzwyczajony do tego ruchu, gdy miał około pięciu miesięcy, dodaje doń czasem srebrzyste *brumm*, którem wtóruje muzyce. U innego dziecka mającego rok i miesiąc zauważyłem ruch bardzo wyrazisty, z którego nie umiem dokładnie zdać sobie sprawy. Rodzice utrzymują, że nie uczyli go nigdy wskazywać na przedmiot paluszkami wskazującym,

który to ruch mógłby być dziedzicznym, lub też drogą doboru i uproszczenia pochodzić od aktu chwytania. Ewolucyjne pochodzenie powyższego ruchu nie wydaje mi się stanowczo dowiedzionem. Oznaka przeczenia, zasadzająca się u tegoż samego dziecka na potrząsaniu rączką w tę lub ową stronę, w zasadzie mogłaby być uważaną za ruch, pochodzący od czynności odpychania przedmiotu nie milego albo niepotrzebnego. Przed dwoma miesiącami nie było różnicy pomiędzy ruchem, którym dziecko odpychało przedmioty stojące na stole, a jemu już niepotrzebne, a ruchem którym odmawiało przyjęcia niepodobającej mu się rzeczy. Dziś używa tego samego ruchu, zobaczywszy na ulicy osobę przypominającą mu ojca lub matkę i przypatruje się jej uważnie, powiada on: *mama* lub *tata*, czyniąc przytem ruch odmowy lub odrzuty, który znaczy u niego *nie*. Bardzo wczesnie zaczął podobno robić głową ruch oznaczający twierdzenie, choć mu tego nigdy nie pokazywano. Widocznie jest to odruch, również jak towarzyszące mu połowiczne przymknięcie powiek.

Dziewczynka mająca rok i siedm miesięcy, dokonała w zupełności prawie tych ważnych a stosunkowo szybko przebytych postępów, na których polega władanie mową. Nie wygłasza ona jeszcze żadnego, krótkiego nawet zdania; jakkolwiek rozumie znaczenie wielu zdań dość długich; ale za to wyrażnie wymawia wielką ilość wyrazów. Z łatwością przeszła od dźwięków nieczłonkowanych do członkowanych, których instynktownie szukała, ale których czystsze i wyraźniejsze wydawanie ułatwiło jej naśladownictwo.

Przed kilkoma jeszcze miesiącami, zaczynając zbierać materiał językowy, dziś bardzo już bogaty, powtarzała tylko ostatnią dźwięczącą zgłoskę wyrazu, przyczem zmieniała jej wymowę tak, aby oszczędzić so-

bie wysiłku. Zauważyć należy, że pierwiastki języka tak dzieci jak pierwotnych narodów składają się z dźwięków jednozgłoskowych, nawet głos zwierząt jest niczem innym, jak tylko pojedynczą intonacją gardłową lub wargową, przeciągłą albo powtarzającą się w krótkich przerwach. Szczenie nie od razu daje się słyszeć z charakterystycznym swoim szczekaniem: *wrouaa*, ani kocię ze swoim *miau*, ani wróbel ze swoim *kiu-kiu*, ani też jaskółka ze swym *tyityiri*. Pierwsze ich próby głosowe są niewprawne, proste, jednozgłoskowe. To samo zauważyć można u dzieci, łatwiej wymawiają one wyrazy będące powtórzeniem jednakowej zgłoski: *papa*, *mama*, niż wyrazy dwuzgłoskowe np. *gateau* (ciastko), *kicia* i t. d., zdarza im się nawet czasami wygłosić kilka dwugłosek będących odmianami wyrazów jednozgłoskowych np. *ua*, *mia*, *nie* i t. d. Długo bardzo dzieci unikają starannie prawdziwych dwuzgłoskowych wyrazów, a jeszcze dłużej wielozgłoskowych. Owa dziewczynka, którą obserwowałem od urodzenia aż do dwudziestego drugiego miesiąca (nie zapisując na nieszczęście postępów jakie czyniła), przez długi czas mówiła *bu* zamiast „tambowr” (bęben), *fe* zamiast „cafe” (kawa), *je* zamiast *Pierre* (Piotr). Matka, która ucząc ją wymawiania, wyraźnie oddzielała jedną zgłoskę od drugiej, doprowadziła ją wreszcie do wydawania dźwięków odtwarzających zgłoski, z których się składają wyrazy. Matka wymawiała *tam-bour*, *Geor-get*, *pom-me*, *pain*, *ga-teau* i wreszcie po wielu bezowocnych próbach malutka uczennica potrafiła wymówić: *a-bu*, *oże*, *om*, *pe*, *ato* i t. d. Temu samemu losowi uległo mnóstwo innych wyrazów, które teraz mała wymawia dość wyraźnie, chociaż zmienia brzmienie niektórych spółgłosek, co każde dziecko czyni w odmienny sposób. Wymawianie dźwięków naśladowanych przez dzieci nie podlega żadnym stałym

prawidłom. Dziecko mając pięć kwartałów, które powie *ato* zamiast *bâteau* (łódź); zamiast powiedzieć *gâteau* (ciastko) mówi *kako*, a nawet czasami *kaku* lub *akaku*. Wyraz *tiufiu* oznacza u niego zarówno żółwia (*tortue*) jak i konfitury. Każdą zgłoskę w jednym wyrazie wymówioną w taki sposób, w innym wyrazie wymówi inaczej; czasem ją powtórzy a czasem doda do niej zgłoskę zupełnie nieużyteczną.

Ogólnie wzięwszy, w języku dzieci widać zastosowanie pewnych prawideł, których istnienie dawno już stwierdziło językoznawstwo w przetwarzaniu się języków. Do tych to prawideł zaliczyć można między innymi zmiany z tego wynikające, że wszystkie jednostki, posługujące się danym językiem, dążą do zmniejszania mięśniowego wysiłku, jaki za sobą wymawianie pociąga. Niepotrzeba szukać na to przykładu w historii języków: codzień słyszymy Francuzów, wymawiających tak zwane „*il mouillés*” jak *y*, a dążenie to oparte na prawie „*jak najmniejszego wysiłku*” utrwali się i wzrastać będzie, mimo przestróg p. Littré. Podobnie też i dzieci zaczynają od spółgłosek łatwiejszych, które wymawiają coraz lepiej w miarę wzmocnienia się i wyćwiczenia narządów głosowych. Dziecko obserwowane przezemnie w chwili pierwszych prób mówienia, wymawiało zamiast *l*, *y* lub *li*, mając jednak półtora roku wyraźnie mówiło *l*. Każdy z nas na sobie łatwo przekonać się może, że *ll* (podwójne) łatwiejszem jest do wymówienia od *l* pojedynczego, wymawiając to ostatnie dość silnie przyciskać musimy koniec języka do podniebienia, podczas kiedy *ll* wymówimy z łatwością lekko tylko dotykając podniebienia końcem języka. U innych dzieci zauważyłem to samo. Spółgłoska *t* trudniejszą jest do wymówienia od owego dźwięku, który niepodobna określić je-

dnym znakiem piśmiennym, a który brzmi *trza*, *trzia*, *tia*, *tie*. Dziecko, o którym mówię, używało powyższych brzmień, w zastępstwie *ta*, *te*; mówiło *tie* zamiast „chien” (pies), *tia* zamiast „table” (stół) lub „chat” (kot), mówiło też pierwaj *tietia* a potem *tiitii* zamiast „téter” (ssać) i t. d. Widziałem za to inne dzieci czysto i wyraźnie wymawiające głoskę *t*.

Pollock podjął pierwsze próby ujęcia w system zarówno fonetycznego jak i logicznego porządku pierwszych prób mówienia. Zajmujące jego studium: „*Postępy dziecka w mówieniu*” ¹⁾ obejmuje epokę od roku do dwóch lat życia. Podajemy tu kilka najważniejszych ustępów: „Roczne dziecko często powtarzało *mm*, chcąc wyrazić, że czegoś żąda lub potrzebuje; powtarzało nieskończoną ilość razy *ba*, *ba*, co znaczyć miało wskazywanie jakiegoś przedmiotu. Mając rok i miesiąc używało *da*, *da*, jako niejasnego określenia, które zamieniło się niebawem w imię własne ojca. Chcąc wyrazić pojęcie: *woda*, *pić*, mówiło *wa*, *wa*; tę samą głoskę, tylko z bardziej gardłową intonacją: *wah*, *wah*, powtarzało widząc postacie zwierząt, na przykład psów, które poznawało na obrazkach. Fakt ten stanie się nader ciekawym—powiada Pollock—jeżeli go zestawimy ze świadectwem podrózników, którzy twierdzą, że dzicy nie są w stanie zrozumieć wyobrażenia najpospolitszych przedmiotów. *Na*, *na* było nazwaniem nie niańki w ogóle, ale własnej tylko niańki. Chłopczyna ów mając pięć kwartałów nieustannie wymawiał *mm*, rzadziej *ba*, *ba*, niekiedy krzykiem objawiał żądanie jakiegoś przedmiotu; *wah*, *wah* stało się dlań ogólną nazwą służącą całemu rodzajowi psów, kotów, a może nawet i baranów. *Niam*, *niam*,

¹⁾ Wyszło w czasopiśmie *Mind*, w Lipcu r. 1873.

wyraz zapewne osobiście wynaleziony przez dziecko, zaczął wkrótce oznaczać kota; w krótkim czasie chłopczyk zrozumiał, co znaczy *że*, *że* (tak dzieci francuzkie nazywają zwykle konie), chociaż nie mógł jeszcze wymówić dźwięku *ż*. Poznawszy na obrazku zebra, wołał *że*, *że*, dając tem samem do zrozumienia, że zna to zwierzę. Wszystkie powyższe dźwięki przejął on od dorosłych; od nich nauczył się rozróżniać uchem te brzmienia, które z każdym dniem lepiej naśladował. Dotychczas były to dźwięki jednozgłoskowe; pierwszym wyrazem dwuzgłoskowym wymówionym przez niego był wyraz *baby*. Od pięciu kwartałów do półtora roku słownik dziecka bardzo jest jeszcze ograniczony, wymawia, ono źle i z trudnością wiele wyrazów, które z ust naszych słyszy. Wogóle niewiele jeszcze dźwięków wymawia wyraźnie: *a* zwykle *a* przeciągłe, *a* ściśnione bywają często używane zamiast *o*; przeciągłego brzmienia angielskiego *i* (*ai*) dziecko jeszcze nie wymawia, albo też wymawia go *ia*, kładąc nacisk czasem na *i*, czasem zaś na *a*. Nie wymawia też jeszcze *g*, *l*, *r* oraz spółgłosek syczących, podniebiennych i znajdujących się na początku wyrazu. Imię własne *Guy*, wymawia *da*, *k* nie różni się od *t*. Nigdy prawie lub bardzo rzadko wymawia ono spółgłoski końcowe. Z wyjątkiem *baby*, *nani-mana*, słownik jego ogranicza się przeważnie na pojedynczych zgłoskach. Posiadając język tak ubogi w wyrazy i tak zupełnie zwrotów pozbawiony, dziecko jest jednak w stanie—dzięki bardzo bogatej różnorodności tonów, oraz przy pomocy nieczłonkowanych wykrzykników, wyrażać znaczną ilość uczuć, niecierpliwosć, radość, gniew, figlowanie, a czasem nawet niektóre pojęcia wyraźne. Pomiędzy zasobami nabytymi po ósmym lub dziewiętnastym miesiącu widzimy wyraz *poor* (biedny), który dziecię wymawia tak samo prawie jak

dorośli i w dowód politowania stosuje nie tylko do osób lecz nawet do przedmiotów, którym cokolwiek brakuje. O i g stają się wyraźniejszymi w połowie dziewiętnastego miesiąca. *Guy* nie jest już *da*, ale *ga*. Końcowe *l* i *t* a nawet *p* dziecko wymawia mniej lub więcej wyraźnie i czysto. Forma jednozgłoskowa przeważa jeszcze. *K* staje się ulubionym dźwiękiem: *ka-ka*, *ka-kod*, *ku-stal*, wszystko to znaczy „chocolate“ (czekolada), *ki-en*: „*eleen*“ (czysty), *d*, *sh*, *ch*, *j*, brzmią jeszcze nie wyraźnie; *w*, *v*, *f* wymawia już dziecko ale niezupełnie dokładnie. Pollock mniema wraz z Taine'm, że wymowa dzieci posiada kilka odcieni dźwięków niepochwytanych dla ucha dorosłych.

Mając dwadzieścia miesięcy dziecko wymawia: *dusz* zamiast „*dust*“ (kurz), *tasz* zamiast „*touch*“ (ruszać) lub zamiast „*moustache*“ (włosy). Końcowe syczące dźwięki biorą przewagę nad początkowymi. Niektóre dwuzgłoskowe wyrazy wymawia już mniej więcej dobrze: „*Fanny*“ (Frania), „*honey*“ (miód), „*money*“ (pieniądze); mówi jednak *fa-wa* zamiast „*flower*“ (kwiat), *la-ta* na „*letter*“ (list), *hapi* zamiast „*happy*“ (szczęśliwy), *ba-ta* zamiast „*butter*“ (masło), *A-si* zamiast „*Alice*“. *R* brzmi w ustach dzieci tak jak *d* i *l*. Pomijam kilka postępów tego rodzaju, aby wskazać na inne znacznie ważniejsze a dokonane pomiędzy dwudziestym pierwszym a dwudziestym drugim miesiącem życia. Dziecko odpowiada na niektóre bardzo proste pytania wyrazami jednozgłoskowymi. *No*, *da-da* (Nie, tata). Mając dwadzieścia jeden miesięcy często używa dwuzgłoskowego wyrazu *Tnisi* chcąc mówić o ilustrowanym wydaniu *Tennysona*, które zwróciło na siebie jego uwagę podobnie jak i *Watts* zwany przez nie *Vatts*. W połowie dwudziestego drugiego miesiąca zauważyć można pierwszy zarys gramatycznej budowy zdania przez przy-

stawienie przymiotnika do rzeczownika np. „*dir-ty boots* (brudne trzewiczki).

W tym czasie widać już postęp w wymawianiu imion własnych. Około dwudziestu dwóch miesięcy dziecię posiada już większy zasób wyrazów i łatwiej je wymawia: np. mówi częstokroć z *hâtis* zamiast „*there it is*“ (jest tam), „*run away man*“ (zmykaj człowieku) i tym podobne powtarza wyrażenia. Nie wymawia jednak wyraźnie spółgłosek: *j*, *ch*, *th*, *a*, *r*.

Pollock zaznacza też niektóre wyrażenia dowodzące rozbudzenia się zdolności dramatycznej u dziecka, nie widzi jednak żadnego przykładu, któryby świadczył, że dziecko ma dążności antropomorficzne lub też, że rozróżnia twory ożywione od martwych. W owej także epoce ukazuje się bardzo wyraźna skłonność do naśladowania czynności, których dziecko jest świadkiem, do wydawania rozkazów, zadawania pytań i t. d. W dwudziestu trzech miesiącach dźwięki podniebienne i zębowe przy wdychaniu wymawiane nie brzmią jeszcze zupełnie czysto, również jak i odrębny ów dźwięk jaki ma *a* angielskie w „*hat*“ (kapelusz); zamiast *r* słyszemy *l*. Ile razy *s* występuje przed spółgłoską, dziecko usuwa zawsze jeden z tych dwóch dźwięków. W kilku wyrazach bierze *t* albo *p* za *k*, mówiąc *oken* zamiast „*open*“ (otwarty), *kek* zamiast „*toke*“ (brać).

Do powyższych obserwacji tego rodzaju de la Calle dodaje ze swej strony bardzo ciekawe wyniki badań osobistych, tem więcej mające cenę, że autor objaśnia zebrane fakta teorią naukowych praw mowy. Czytelnicy nasi wdzięczni nam będą zapewne, że hojną ręką udzielamy im nowej wiązki tych drogocennych szczegółów:

„Zauważyłem—powiada de la Calle—następujące zjawisko stale się pojawiające: dziecku niezmiennie jest

trudno wymówić jednocześnie w jednym wyrazie dwie spółgłoski twarde, mające ostre brzmienie, to też albo usunie jedną a drugą zamieni, albo też jeżeli przydech jest mocny zastąpi obie odpowiedniem brzmieniem przydechu słabego, nieraz też pomiędzy jedną a drugą z tych spółgłosek wstawi samogłoskę. Postępowanie takie przypomina nam przyjęte przez językoznawców przypuszczenie, że początkowo samogłoska oddzielać musiała dwie spółgłoski, które potem złączyły się lub zlały w jedną, jak np. φ greckie i α łacińskie.

„To samo także zauważyłem przy rozdzielaniu dwugłoski spółgłoską odpowiadającą pewnego rodzaju zharmonizowaniu dźwięków tam, gdzie zachodzi podwojenie zmienionej zgłoski: wtedy nawet zauważyć można także przedstawienie głosek albo wyrzutnię.

Adolfek, mając dwa lata bez dwóch miesięcy, wymawiał *ku* zamiast „*clou*“ (gwóźdź), *ot-ta* zamiast „*ôte-toi*“ (ustąp się), *klut* zamiast „*croûte*“ (skórka), *tuje* zamiast „*tuer*“ (zabijać), *bogret* zamiast „*brouette*“ (taczka), *liff* zamiast „*livre*“ (książka), *anuar* zamiast „*armoire*“ (szafa), *musuar* zamiast „*mouchoir*“ (chustka do nosa), *la-lo* zamiast „*la-haut*“ (na górze). Mówił też *rguiz* zamiast „*nourrice*“ (mamka), *guarel* zamiast „*mademoiselle*“ (panna), *aklok* zamiast „*enveloppe*“ (koper-ta), *kackiet* zamiast „*casquete*“ (czapeczka), *peter* zamiast „*pomme de terre*“ (kartofel). Zapisalem także podobne objawy dotyczące się języka starszej dziewczynki. Pepita wymawiała *lasz* zamiast „*vache*“ (krowa), *lotiur* zamiast „*voiture*“ (pojazd), *szlal* zamiast „*cheval*“ (koń), *zam* zamiast „*femme*“ (kobieta), *zenetr* zamiast „*fenêtre*“ (okno), *arystokot* zamiast „*aristocrate*“; *pa pi bo* zamiast „*pas plus beau*“ (nie piękniejszy), *le zanzan* zamiast „*les enfants*“ (dzieci).

Inna dziewczynka w tym samym prawie wieku,

którą także obserwowałem, mówiła *les fanfan*, ale i tu także pojawia się to samo zjawisko zmiany dźwięków. I ona także mówiła *lalo*, *peter* i *aklok* z czego nawet utworzyła sobie czasownik *aklokie* „*envelopper*“ (zawijać).

Charakterystycznem też zjawiskiem języka dzieci jest branie *l* za *r*; często mechanicznie zastępują one te głoski jedna drugą; głównie jednak zaznaczyć tu trzeba trudność wymawiania *r*. Czyste wymawianie tej głoski językowo-podniebiennej wymaga pewnej wprawy mięśni, której się dopiero znacznie później nabywa. Zauważyłem także, że dzieci najpierw wymawiają ją zaczynając, gdy jest w środku wyrazu, potem gdy na końcu, a później dopiero wymawiają *r* stojące na początku wyrazu. Przypomina mi to, że w niektórych zromanizowanych wyrazach łacińskich podobne pomieszanie spółgłosek spowodowało zmiany uważane za prawo etymologiczne, jak np. w wyrazie „*chapitre*“ od łacińskiego *capitulum* i „*pupitre*“ od *pulpitum*; „*épître*“ od *epistola*, „*a pître*“ od *apostolus*, w zamian zaś z *peregrinus* zrobiło się „*pelérin*“. Zdaje się także, że starożytni Egipcjanie niedobrze rozróżniali od siebie te spółgłoski ¹⁾.

Najlepiej utrwalają się w pamięci dziecka wyrazy, mianujące najwybitniejszą własność przedmiotów lub też takie przedmioty, które sprawiają wrażenie najsilniejsze i nad innemi górujące. Dlatego to dziewczynka, mająca dwadzieścia miesięcy, gdy pokazując jej kapelusza, zapytałem „co to jest,“ odpowiedziała: „czepek.“ Jest to już dla niej uogólniona nazwa wszelkiego nakrycia głowy, bądź to męskiego, bądź kobiecego, które

¹⁾ Op. cit. str. 261 i nast.

spozregła tak na głowie matki jak i na własnej głowie patrząc w lusterko. Karafkę nazywa *ve* (*verre*—szkło), chociaż butelka od wina jest u niej *lit* („*litre*“), wyrazem *verre* oznacza przeto własność, która jej uwagę zwróciła tak w szklankach jak i karafce i zarazem wyraża, że butelka, choć także szklana, wydaje jej się zupełnie inną od szkła. *Lit* nazywa ona także małątką flaszeczkę z apteki zaledwie *decilitr* mieszczącą. Ogólne pojęcie *szkła* rozszerzać się będzie z każdym dniem w miarę świeżo czynionych doświadczeń a stosownie do tego pojęcie litra stanie się coraz ciaśniejszem.

Chłopczyk mający półtrzecia roku nazywa *wa-wa* wszystkie psy z wyjątkiem jednego *Kambo*, będącego własnością jego dziadka. Nie umie jeszcze nazwać go po imieniu; nie jest to wszakże dla niego pierwszy lepszy *wa-wa*. To samo miano nadaje drewnianym zwierzętom swojej menażeryi: psu, kozie, wilkowi, hyenie, lwu. Okazał jednak zdziwienie, gdy pokazując wypchanego lwa, nazwałem go *wa-wa* i spojrzał na mnie tak, jak gdybym go zwodził. Na ulicy odróżnia on wcale dobrze osła od konia a szczególnie od wołu, ale w jego menażeryi wszystkie te zwierzęta mają wspólną nazwę *muu* (wół). Przeszłego wieczoru posadziłem go na swoim stole, wziąłem ołówek i arkusz czystego papieru i wyrysowałem mu kółeczko i uśmieliśmy się serdecznie gdy malec nazwał je *ti-ti*, jak oddawna nauczył się nazywać piersi mamki. Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności, że wyraz *titi* miał dla niego określone znaczenie brodawki, nie zaś piersi w ogóle. A zatem w słowach najłatwiej i najsilniej wbijających się w pamięć dziecka, wyraża się wrażenie, które—jako pojęcie ogólne i osobiste—góruje nad wszystkimi innemi. Inne wyrazy na nic mu są niepotrzebne, nie zajmują go, więc nie mają dla niego żadnego znaczenia; a chociaż

je zmusimy nauczyć się ich na pamięć, jak papuga, zapomni ich łatwiej od wyrazów, które przedstawiają jego umysłowi jakieś pojęcie wyraźne.

To cośmy powyżej powiedzieli, stanowi dowód, że niesłusznie uważalibyśmy szybkie postępy mowy za wskazówkę wczesnego rozwoju inteligencji i mojem zdaniem dzieje się wręcz przeciwnie. Zauważyłem znaczne opóźnienie we władaniu mową u kilkorga dzieci obu płci, urodzonych z rodziców wykształconych oraz wyrażających się z łatwością: ojciec jednego z tych dzieci mówił mi nawet, że obawia się, aby dziecko nie było niemem, dlatego, iż mając trzynaście miesięcy, bełkotało zaledwie kilka wyrazów. Chłopczyk późno mówić zaczawszy, dość powolne czynił też postępy, ale doszedłszy lat trzech, posiadał słownik równie bogaty jak dokładny i wyrażał się bardzo trafnie oraz z łatwością. Mógłbym przytoczyć dużo podobnych przykładów. Zdaje mi się zatem, że im dziecko jest inteligentniejsze tem mniej zadawalnia się czczem brzmieniem wyrazów, tem więcej potrzebuje przywiązywać jakieś znaczenie do wyrazów, aby móc się ich nauczyć i dlatego uczy się ich w miarę, jak nabiera dokładnego pojęcia o przedmiotach. U dzieci mało inteligentnych, lecz obdarzonych giętkością narzędzi mownych, oraz pamięcią silniej od sądu działającą, wyrazy poprzedzają pojęcia, często je nawet zastępują; zatrzymują się w pamięci dziecka raczej jako dźwięki lub skojarzenia dźwięków niżeli jako odbicie pojęć osobistych. To też gdy dzieci zaczynają rozumieć znaczenie wyrazów oddawna bezmyślnie powtarzanych, pokazuje się, że pojęcia oddawna przez nie posiadane są pojęciami cudzemi, podczas gdy u dzieci inteligentnych a późno mówić zaczynających spostrzedz możemy mnóstwo pojęć nabytych nie za pośrednictwem wyrazów, ale za sprawą bezpośrednich doświadczeń

i spostrzeżeń. Oprócz owego polecenia bez związku, które objaśniłem już uporczywością, zauważyć jeszcze można u bardzo nawet inteligentnych dzieci zwyczaj belkotania zgłosek pozbawionych wszelkiego znaczenia: Tak na przykład, dziewczynka mająca dwa lata i dwa miesiące, od paru tygodni nieustannie całymi dniami powtarza *toro-toro, toro-toro* lub też *rapapi, rapapi, rapapi*, a jednotonny rytm owych dźwięków zdaje się sprawiać jej wielką przyjemność. Inne znowu dziecko już blisko trzyletnie posiada także podobne ulubione dźwięki, które powtarza bez powodu a czasem nawet odpowiada niemi na to, co do niego mówią, mimo starań jakie ponoszą rodzice, by je od tej wady odzwyczaić. Przez trzy miesiące głosem bardzo donośnym powtarzało trzy zgłoski: *tabile, tabile, tabile*, których ani ono samo, ani nikt nie rozumiał znaczenia. Ojciec wyznał mi, że to niczem nie dające się wykorzenie przyzwyczajenie wzniesło w nim obawę. „Może się mylę—mówił—ale teraz jestem mniej zadowolony z jego inteligencji. Dawniej zanosilo się na to, że będzie miał umysł spostrzegawczy i zastanawiający się, było to może tylko przelotne złudzenie. Uważam teraz, że malec jest roztrzepany, nieuważny, że nie umie śledzić wątku jednej myśli; nieraz obawiać się poczynam, czy nie wyrośnie na człowieka płytkiego umysłu, co byłoby dla mnie najboleśniejszą rzeczą. Oby moje przypuszczenie okazało się bezzasadnem!” Z łatwością uspokoiłem ojca, objaśniając mu powody owej paplaniny w powyżej wyłuszczony sposób, który i jemu także trafił do przekonania.

Skutkiem słabego rozwinięcia władz duchowych, oraz wysiłku, poniesionego w epoce pierwszych prób mówienia, dziecko znajduje wypoczynek i upodobanie w tem bezsensownem i bezmyślnem szczebiotaniu, któ-

re mu przychodzi bez trudu, nie męczy mózgu a przysięgą mile uderza jego ucho. Podobnie też i dzicy po kilka godzin z rzędu śpiewają monotonną melodyę, której łatwa nuta usuwa im z myśli wszelkie kłopoty i rozbudza nawet wyobraźnię. Z tejże samej zapewne przyczyny leniwi i do zadumy skłonni wieśniacy południowej Europy po sto razy dziennie wracają zawsze do tej samej piosenki, pasąc bydło albo pracując w polu. Przywykli do tej melodyi, łatwą jest dla nich i przyjemność im sprawia; trojaki więc mają powód do powtarzania jej bez końca. Taka bezmyślna paplanina nie ma więc w sobie nic niepokojącego, o ile nie pochłania całego czasu dziecka, lecz przeciwnie stanowi rozrywkę i wypoczynek dla zmęczonego umysłu.

Na każdym kroku zauważyć można, że dziecko chwytą powierzchowną stronę rzeczy lepiej od ich treści, to co proste — lepiej od skomplikowanego, łatwe — lepiej od trudnego. Widzimy także, że łatwiej naśladuje ono dźwięki, w których się odbija wzruszenie i wyraźne napięcie głosu niżeli sam wyraz a szczególnie niż kilka wyrazów razem zebranych. Powiedziałem już, że wymawia ono najłatwiej zgłoski końcowe i wybitniej zaakcentowane. „Nie będąc w stanie powtórzyć usłyszanego zdania, dziecię naśladuje przynajmniej akcent, stanowiący jakoby muzykę słów. Kiedy starsi chcą je przyzwyczaić do dziękowania za wszystko, dziecko nie umiając powtórzyć całego zdania, wyśpiewuje je bez słów, a przynajmniej bez spółgłosek, najczęściej zaś na nutę jednej tylko samogłoski ¹⁾.”

Drogę obserwacji poczynionych nad dziećmi filologowie dostrzegli w ich języku pełno objawów wspól-

¹⁾ G. Egger: *Op. cit.*

nych wszystkim dzieciom, które to objawy odnoszą do praw ogólnych, rządzących kształtowaniem się języków. W dziełach powyżej przezemnie przytoczonych filologów Egera i de la Calle'a znajdują czytelnicy obfite żniwo nader cennych spostrzeżeń dotyczących się uogólniania znaczenia przypisywanego wyrazom, których się dziecko nauczyło, również jak i zabawnej logiki dziecięcej ze zwyczajem ani z gramatyką niezgodnej. Spostrzeżenia te odnoszą się również do pierwszych prób dziecka w sztuce składania zdań bez użycia czasownika *być*, przez proste zestawienie imienia lub zaimka z orzeczeniem. Tłumaczą nam one ową nieugiętą, na analogiach opartą logikę, mocą której rzecz osoba i czynność mieszają się w umyśle dziecka tak, że niebawem zaczyna ono oddawać je jednakowemi i ogólnemi nazwami, które tworzy, bądź to wywodząc z czasowników rzeczowniki, bądź to z rzeczowników czasowniki, jak mu wygodniej i odpowiednio do ubóstwa środków, jakimi rozporządza. Dalej jeszcze zwracają naszą uwagę na niezgodność pojęć o czasach i trybach, o osobach i liczbach, skutkiem czego dziecko używa z początku wszystkich czasowników w trybie bezokolicznym, później zaś — na mocy analogii — używa ich w czasach i osobach, używanych przez rozmawiające z niem osoby (t. j. biorąc osobę drugą za pierwszą, lub pierwszą za drugą). Jednem słowem spostrzeżenia powyższe obejmują wszystkie wypadki postępowego, równoległego rozwijania się logiki i dyalektyki dziecięcej, tak często sprzeczne z sobą na pozór.

ROZDZIAŁ XII.

Zmysł estetyczny.

1. Poczucie muzyki.

Powiedzieliśmy już, że skoro dziecko zaczyna postrzegać dźwięki, niektóre z nich podobają mu się, inne zaś przykreść mu sprawiają, dlatego, że brzmienie ich odpowiada bądź pewnym właściwościom budowy narządu słuchowego, bądź też (na mocy skłonności dziedziczne przekazanych) pewnym wewnętrznym stanom osobowości. Powiedzieliśmy także, iż dziecko znosi bardzo łatwo dźwięki najprzykrzejsze dla dorosłych, byle tylko przedstawiały one jakikolwiek pozór najprostszego bodaj rytmu. Wreszcie zaś wykazaliśmy, że w malutkiem jeszcze dziecku budzi się już coś w rodzaju poczucia muzycznego, czy to gdy podskakuje w takt i okazuje radość, usłyszawszy śpiew lub grę na fortepianie, czy też gdy z widoczną przyjemnością naśladuje śpiewy ludzkie lub krzyki zwierzęce. Musimy teraz dać ściślejsze w tej mierze wskazówki i starać się objaśnić genezę oraz charakter poczucia muzycznego u dziecka.

We wzruszeniowych cechach dźwięków szukać należy pierwiastków wrażenia jakie wywiera muzyka.

Drgania materji dochodzą do ucha pod postacią dźwięku; ucho chwytą w nich zatem niektóre drgania ciała, niby oddźwięki życia tworów. Owa zdolność wyrażania wewnętrznej istoty swojej, właściwa tworom, budzi w zwierzęcej istocie słuchacza uczucia dźwiękom odpowiadające.

Z tym podstawowym pierwiastkiem pocucia muzycznego łączą się trzy zasadnicze własności dźwięku: wysokość, natężenie i jakość czyli barwa tonu (le timbre) oraz własności warunkujące trwanie dźwięku t. j. rytm, takt i falowanie. Wysokość dźwięku czyni go wyraźniejszym, przenikliwszym a także i przyjemniejszym—jeżeli tylko nie przekracza pewnych granic. Wrażenie pośrednie pomiędzy dźwiękiem słabym, zaledwie dotykającym nerwów słuchowych a dźwiękiem zbyt gwałtownym, który w nie niemiłe uderza, stanowi jedną więcej przyczynę wrażeń normalnych, urozmaiconych, a co za tem idzie, przyjemnych dla ucha. Barwa tonu, znajdując się w związku z naszymi uczuciami czyni ton wyrazistym. Co się zaś tyczy rytmu—tego ruchu, który podnieca i uspokaja zarazem — chociaż jest wstrząśnieniem na nerwy słuchacza działającym, jest też przytem obrazem ładu i systematyczności i jako taki do umysłu przemawiać może.

Na podstawie tych zasad estetycznych przypatrzmy się teraz pierwszemu objawom pocucia muzycznego u dziecka. To pewna, że przyjemność, której ono doznaje, słysząc śpiew lub grę na fortepianie, pochodzi ze wszystkich wyżej wyszczególnionych przyczyn; śpiew podoba mu się więcej, dźwięk instrumentu mniej trochę, oba jednak dlatego sprawiają mu przyjemność, że są niewyraźnym niby odgłosem życia. Ale tę właśnie wyrazistość dźwięku niejasno odczuwa ustrój czy to dziecka, czy zwierzęcia.

Wątpię nawet, aby przed skończeniem półtora miesiąca dziecko było zdolnem odróżnić wyraźnie ton pieśszoty, politowania lub przywiązania, od tonu wołania, zachęty, pogroźki, rozkazu lub gniewu; wprawdzie szybko tego dochodzi, dzięki dziedzicznej zdolności przystosowywania się, ale początkowe rozróżnianie tychże tonów więcej jest u niego fizykiem niż moralnem. Skojarzenie pojęcia przyjemności z zadowoleniem a przykrości z zadowoleniem, musi koniecznie przyjąć udział w rozwinięciu czynności, usposobienie do których tkwi w ustroju. W wieku trzech miesięcy dziecko dokonywa już niejakiemu w tej mierze postępu. Wyraźnie i z upodobaniem rozróżnia ono pewne dźwięki dla niego wyraziste: obojętnem jest jednak na dźwięki inne, niskie, wysokie lub twarde, które dorosłemu sprawiłyby wrażenie przyjemne albo przykre. Wtedy w głosie mamki a jeszcze więcej w głosie ojca dobrze odróżnia ton pieśszoty lub żartu od tonu rozkazu lub gniewu. Tę lekkie lub piskliwe rozweselają je wysokością swoją raczej niż brzmieniem, wszystkie jednak bez wyjątku wysokie czy niskie, natężone czy słabe, wyraziste czy wyrazu pozbawione, podobają mu się z powodu swej miarowości. Któreż z tych pierwiastków muzycznych dosięgną największego rozwoju u półrocznego dziecka? Przedewszystkiem te, które zależą niejako od czuciowości fizycznej, przez co chcę powiedzieć, że ucho dziecka więcej różnicuje i lepiej odczuwa takie dźwięki, które są niczem innem jak udzielaniem się naszemu systematowi nerwowemu drgań materji. Są nawet drgania więcej rozgłosne, które nietylko uderzają o bębenek, ale wstrząsają mniej więcej całem naszym ciałem¹⁾.

¹⁾ G. Gueroutt: *Du rôle du mouvement dans les émotions esthétiques*.
Revue phil. Czerwiec 1881.

Dźwięki miłe lub czyste, ostre lub hałaśliwe, same przez się zawsze się dziecku podobają, najwięcej zaś wtedy gdy są rytmiczne lub — jeżeli kto woli — powtarzające się. Dziecko stojące tuż obok katarynki płacze, ponieważ wrażenie bardzo donośnych dźwięków wstrząsają całą jego istotą, tenże sam skutek często wywiera na nie odgłos bębna zblizka słyszanego. Te same dźwięki złagodzone niewielkiem oddaleniem, bardzo mu się za to podobają. Tak więc, półroczne dziecko najżywiej odczuwa wzruszenie muzyczne wywołane raczej wybitnymi formami tejże muzyki, niżeli jej wyrazem; odczuwa ono czysto fizyczną pieśczęotę uderzającego nań dźwięku, przedewszystkiem zaś dźwięk jest dla niego mechanicznym bodźcem, który rozbudza w niem podniety wzruszeń.

Zbyt śmiałem byłoby przedsięwzięciem chcieć w tej epoce życia a szczególniejszej trochę wcześniej, szukać prawdziwych zamiarów muzycznych w tem świegotaniu zrazu monotonnem, potem zaś więcej urozmaiconem, jakie dziecko wydaje bez innej, o ile się zdaje, ku temu przyczyny, jak przyjemność, której przy tem doznaje. To tylko powiedzieć można, że piosenki na wesołą nutę oraz dźwięki harmonijne wywierają nań żywsze wrażenie niżeli tony niskie, łagodne choć nawet melodyjne, i że ten pierwszy rodzaj dźwięków stara się ono może oddać swem świegotaniem pozbawionem rytmu i wyrazistości. Pewną jest jednak rzeczą, że w sześciu miesiącach z przyjemnością jaką sprawia dziecku ćwiczenie narządu głosowego, łączy się równie przyjemne choć niewyraźne jeszcze rozróżnianie rozmaitości dźwięków. Przytem doznaje ono subtelniejszej jeszcze przyjemności, gdy stara się dostroić swój głosik do śpiewu mamki lub do dźwięku instrumentu, które stara się naśladować z mniejszem lub z większem powodzeniem.

Język i muzyka mają pierwiastkowo jednakowe pochodzenie są one przedewszystkiem wyrazem uczuć mało lub też wcale nie określonych. W pierwszych zatem miesiącach życia dziecka dla przyjemności swej raczej niż z potrzeby, powołuje do czynu oba te instynkty, które u niego tak samo jak i u pierwotnego człowieka w jeden są jeszcze zespolone. Od dorosłych jednak zaczyna się ono wkrótce uczyć z osobna każdej z tych dwóch umiejętności, które powolna praca wieków doprowadziła do wyższego stopnia udoskonalenia. Najpierwej uczy się mowy, będącej najważniejszym narzędziem życia społecznego, zatrzymuje w pamięci wyrazy dość na pozór prędko a jednak z wielką trudnością, dla tego, że mowa wyraża nietylko wzruszenia niejasne ale i dokładnie określone a nadto jeszcze pojęcia, wyobrażenia i znaki przedmiotów. Od roku do trzech dziecko zdobywa znaczną ilość znaków ustnych oraz ich kombinacyj, dlatego, że przedstawiają one pojęcia konkretne. W tym jednak przeciągu czasu nie nauczy się ono rozróżniać abstrakcyjnej gamy dźwięków, tak samo jak nie potrafi jeszcze dopatrzeć różnic abstrakcyjnej gamy barw. Ta muzyka nie jest jeszcze dlań zrozumiałą. Muzyka głosu dziecka nie może wcale pogodzić się z naszą: nie dlatego aby dziecko nie umiało jeszcze dość wyraźnie chwycić uchem wszystkich odcieni dźwięków (jeżeli tylko śpiew, jaki słyszy nie jest fałszywy) ale dla tego, że słuch dziecięcy jest więcej wrodzonym niż wyrobionym muzykalnie. W śpiewie dziecięcy rozróżnia więcej akcent i rytm niżeli wyrazistość dźwięku. Potrzeba długiego ćwiczenia słuchu i wzroku, aby dziecko potrafiło wreszcie rozróżniać rodzaj i pochodzenie wszelkich hałasów, poznawać osoby, po głosie naśladować śpiew ich i słowa oraz głosy zwierząt i wybitniejsze odgłosy przedmiotów i niemało też czasu potrzeba, aby

dźwięki śpiewane nabrały dlań wyraźniejszej już cechy wyrazistości. A przytem rozwijanie się słuchu muzycznego odbywa się zarówno przez osobiste ćwiczenie głosu jak i przez przysłuchiwanie się cudzym głosom: otóż krtań dziecka, jakkolwiek posiadająca taką samą budowę jak krtań dorosłych, jest tylko jednak prostym zarysem tego, czem będzie w przyszłości. W pierwszych miesiącach chrząstki szczególnie są jeszcze włókniste i po dwóch latach dopiero chrząstka tarczycowa nabiera wyraźniejszego kształtu a chrząstki nalewkowe tworzyć się zaczynają. W piątym lub szóstym roku dopiero brzezi chrząstki tarczycowej i inne części stają się prawdziwie chrząstkowatemi ¹⁾. Naturalną zatem jest rzeczą, że rozwój głosu musi nastąpić po rozwinięciu narządów. Skutkiem więc powolnego i stopniowego, ale nieustannie postępowego rozwoju, stwardnienie włókien dodaje dźwięczności krzykom i kwileniu pierwszych dni życia, a rozwinięcie mięśni stawia tchawicę w możności złagodzenia krzykliwych dźwięków wychodzących z głośni.

Ku końcowi pierwszego roku głos zaczyna nabierać wyraźniejszej donośności; mowa zresztą stanowi dla narządów głosowych nieustanną gimnastykę, która niezmiernie przyczynia się do rozwinięcia głosu ²⁾. Od roku do trzech rozwój głosu zdaje się raczej iść w ślad za rozwojem mózgu niż za ogólnym rozwojem całego ustroju. O dźwięczności głosu da się powiedzieć to samo, a stan podobny trwa aż do lat pięciu lub sześciu. Słuch zaś zaczyna się kształcić dopiero od lat czterech lub pięciu i wtedy dziecko najłatwiej się uczy rozpoznawać dźwięki ³⁾.

¹⁾ De la Calle: op. cit. str. 100. ²⁾ str. 141.

³⁾ Dupaigne: *Conférences pédagogiques*, 1878.

Stopniowy rozwój głosu i ciągle jego ćwiczenie nie mało się do tego postępu przyczyniły. Dziecko, mające rok, może już z pożytkiem słuchać muzyki prostej, bez fałszów, dość nie wyrazistej, przedewszystkiem zaś wesołej lub wesoło śpiewanej: jest to przyjemność mogąca mu wyrobić słuch. Ale prawdziwe wykształcenie muzyczne, z którego dziecko najwidoczniejszą kiedyś odniesie korzyść, nigdy się prawie nie zaczyna przed piątym lub przed szóstym rokiem. I wtedy nawet jeszcze najlepszym wzorem śpiewu dla dziecka będzie nie dorosły mężczyzna, śpiewający głosem o całą oktawę niższym od jego głosu, ale miły i słodki śpiew matki, mamki albo też dziecka trochę starszego. Co się zaś tyczy nauki gry na instrumentach, to wiadomo ogólnie, na czem się ona zasadza, czem być może, a także czem być nie powinna w tym wieku, w którym muzyczny instynkt przejawia się w takiej samej formie jak u zwierzęcia. Mówiliśmy już (powtarzając to za Houseau) że pierwsze zaczątki muzyki instrumentalnej nie są obce niektórym zwierzętom i że pierwsze próby w tej mierze polegają na biciu w bęben, to jest na przyjemności uderzania pałeczką w przedmioty wydające dźwięk. Bęben (zawsze podług Houseau) jest instrumentem ogólnie używanym, symbolem sztuki muzycznej u dzikich, a może dodać też wolno u czworonogów. Z tem barbarzyńskim narzędziem perkusyjnym, potomek cywilizowanych dwurękich połączył trąbkę, symbol dzikości, trochę już wytworniejsze zwyczaje mającej. Pierwszy z tych instrumentów odebrano we Francji dorosłym, miejmy nadzieję, że odebrany on zostanie i dzieciom. Zniesienie zaś trąbki, tego ostatniego śladu zwierzęcej wojowniczości także kiedyś zapewne nastąpi, chociaż — o ile się zdaje — chwila ta dość jeszcze jest odległą.

2. Poczucie piękna plastycznego.

W końcu pierwszego miesiąca lub koło połowy drugiego możność utkwienia wzroku w jeden punkt, oraz dłuższego zwrócenia uwagi na dany przedmiot, uśmiech, automatyczne ruchy głowy, rąk i nóg (które dziecko wykonywa na widok przedmiotów dobrze oświetlonych, mających żywe barwy a przede wszystkim w ruch wprowadzonych) wszystko to zdaje się wyrażać tylko przyjemność, wynikłą z bardzo podniecających wrażeń. W tej samej także epoce, albo przynajmniej przed końcem trzeciego miesiąca, widok świecy lub przedmiotu o jaskrawej barwie wywołuje podrygiwanie, rzucanie się, gaworzenie będące zwykłym wyrazem radości, podziwu, chęci posiadania. Oddawna już butelka z mlekiem, pierś mamki, jej osoba zarówno jak postacie rodziców i znajomych pobudzają dziecko do takichże samych okrzyków i poruszeń. To też mniemaćby można że podczas pierwszych miesięcy dziecko bierze za jedno piękno i dobro, że pojęcie piękna miesza się u niego z pojęciem tego, co mu jest miłym. Wtedy już przekonać się można, że natężenie przyjemności wzrokowych jest u dziecka w związku z wrażliwością osobistą, a nawet można poniekąd przewidywać stopień przyszłego rozwoju tej siły. Wprawdzie dyagnosta psychologa musi być niezmiernie ostrożną, pierwsze te wskazówki mają nader szczupłe pole działania, wyświetlają one bowiem najslabsze tylko pierwiastki, z których powstanie zmysł estetyczny. A przytem można sobie zadać pytanie: czy dziedziczne zdolności dziecka zdołają osiągnąć wyższego stopnia rozwoju, skoro tak przedwcześnie się objawiają?

Przypatrzmy się dziecku, mającemu dziesięć miesięcy. W mózgu jego znaczna ilość postrzeżeń wzrokowych skojarzyła się z zachwytem, z radością, z sympatją, z pragnieniem, które wznieca widok tego, co miłe i dobre; jednakże pomimo pewnych postępów, które dziecie uczyniło, nabrawszy zwyczaju wyobrażania sobie i porównywania, abstrahowania i uogólniania zdaje się że dziedzicznie przejęty zasób pojęć idealnych nie bardzo się jeszcze powiększył. Dziecie nie zdaje się jeszcze odróżniać rozkoszy zmysłów od przyjemności z podziwu płynącej. Dziewięciomiesięczne dziecko, dostawszy odemnie ciastko, czerwienieje ze wzruszenia, podskakuje, chciwie wyciąga rączki i ze szczerem zadowoleniem niesie przysmak do ust. Podają mu następnie lalkę do starszej jego siostrzyczki należącej: z początku zachwyt jego i radość wyrażają się tymi samymi jak przed chwilą objawami; wkrótce jednak spostrzegłszy, że przedmiotu tego używać można jedynie wzrokiem i dotykiem, rozkoszują nim te dwa tylko zmysły a nawet niebawem i mu nie do współudziału w tem szczęściu zaprasza. Jest to uczucie mniej samolubne, a raczej jest to samolubstwo, które obudziło się w dziecku skutkiem rodzaju przedmiotów do których się zwróciło. Jest to już pewien — jakkolwiek bardzo nieznaczny jeszcze — postęp w rozwoju zmysłu estetycznego.

Widzę dziesięciomiesięczne dziecko mocno uradowane, że mu włożono najładniejszą sukienkę i nowe trzewiczki. Zauważyłem jednak, że przy ubieraniu mamka wymówiła wyraz: „ładne,” który w pojęciu dziecka stosuje się do każdego przedmiotu dobrego, miłego albo dogodnego; myślę też o tem, że cieszy się z każdej zmiany odnośnie do jego osoby, wtedy szczególnie, gdy starsi zdają się radość jego dzielić, powiadam też sobie, że mu tak wygodnie w codziennej

sukience i trzewiczkach! Wobec tego, nie mogę przypisać dobrego humoru maleństwa niczemu innemu jak bardzo jeszcze niewyraźnemu poczuciu piękności ubrania, w jakie je ustrojono. Bezwątpienia kolor tkaniny podobać mu się musi tak, jakby mu się podobał kolor kwiatu lub malowanego papieru; szelest jej mile pieści jego ucho, stukanie nowych trzewiczków bawi je tak, jakby je bawił każdy nowy lub podniecający odgłos: ale na tem chyba koniec.

Inny znów chłopczyk dziesięciomiesięczny i jego siostra cioteczna, mająca rok i miesiąc, doskonale umieją wyróżnić z pomiędzy pięciu lub sześciu rozmaitych pokarmów ulubione ciastka i biorąc je do rączki wiedzą, co biorą. Podają im odrazu kilka zabawek oraz lalek niejednakowo ładnych: najczęściej biorą je bez wyboru na chybił trafił, czasem zaś przyczyna, stanowiąca o wyborze, niema nic wspólnego z estetyką; wielkość bowiem zabawki, żywiość jej barw lub nowość stanowią jej powab i przykuwają do niej chwilowo uwagę dzieci. Co tyczy piękności zewnętrznej i piękności twarzy ludzkich, to powiem, że pewna wspólność pochodzenia i podobieństwa, połączona z wpływami znanego już dziecku doświadczenia, usposabia je do znajdowania bardzo żywego upodobania w widoku pięknych twarzy. Więcej chyba nic niema.

Często bardzo przypatrywałem się dzieciom gdy się znajdowały wobec zwierząt bądź to w Ogrodzie Zoologicznym w Paryżu, bądź w ogrodach publicznych innych miast. Z niezmierną uwagą, a szczególnie z widoczną przyjemnością patrzą one na te wszystkie zwierzęta małe i duże, ładne i brzydkie, szczególnie zaś na te, które są podobne do znanych im już zwierząt. Napróżno jednak w twarzach tych dzieci, w oczach ich, w ruchach, w głosie, szukałem czy—bodajby za sprawą

instynktu dziedziczności—zdają one sobie sprawę z jakichkolwiek różnic pomiędzy rozmaitymi przedstawicielami gatunków zwierzęcych: wyznają, że ku wielkiemu zdziwieniu memu, nic podobnego nie dostrzegłem. Zgorszony byłem prawie widząc, że dzieci tak samo zupełnie się dziwią patrząc na koziołki, które małpa przewraca, jak i na podskoki niedźwiedzia; że takimi samymi oczyma podziwiają świetnie upierzone kakadu jak ohydne sępa lub dziwacznie wyglądającego strusia i zgrabnego ichneumona; że z taką samą przyjemnością i bez wstrętu patrzą na straszliwe boa i na łuską pokrytą jaszczurki. Dziecko zdolne jedynie do spostrzeżeń wyosobnionych, nie może się zdobyć na pojęcie całości kształtu i dla tego to pojęcie piękności wraz z odpowiadającym mu pojęciem brzydoty są u niego zarówno niezupełne jak zmienne i przelotne.

Często rozumowe pojęcie proporcji stosunków, zachodzących między rozmaitymi przedmiotami powstaje znacznie później niżeli rozróżnianie wyrazu, oparte całkowicie prawie na postrzeżeniach zmysłów. Wymownym tego dowodem jest postawa, jaką dzieci przybierają w obecności osób, których twarz jest im nieznana. Od pierwszego spojrzenia czują one pociąg do pewnych twarzy, które zresztą i nam także się podobają; inne znowu niemiłe nam twarze zdają się przestraszać je lub wstrętem przejmować. Ponieważ jednak dzieci łatwo oswajają się z temi ostatnimi, byle tylko dostrzegły na nich jakąkolwiek oznakę życzliwości, oraz równie prędko obojętnieją dla pierwszych, jeżeli na nich nie prócz chłodu nie widzą, możemy przeto przypuszczać, że jeżeli dziedziczność i nawet w pewnej mierze osobiste doświadczenie, usposabiają dziecko do odczucia uroku pięknej twarzy, lub właściwego zestawienia barw i kształtów, to jeszcze silniejsza skłonność uzdolnia je do poj-

mowania czy też do odczuwania prawdziwego wyrazu uczuć mało złożonych. U dorosłych nawet, poczucie wyrazu bierze najczęściej pierwszeństwo nad ideałem proporcji. Twarz o rysach najproporcjonalniejszych nie nam nie mówi, jeżeli brak jej wyrazu; twarz zaś o rysach bardzo nieregularnych, odrażającą nawet brzydką, opromieniają nam uczucia i myśli, które istotnie wyraża, lub których wyraz jej przypisujemy. Nic więc dziwnego, że dziecko podporządkowuje duchowe pierwiastki piękności, jej pierwiastkom dotykalnym, albo nawet, że pierwsze zdają się wcale nie istnieć dla niego.

Weszliśmy teraz w nowe stadium powolnego rozwoju poczucia piękna. Mając półtora roku, dziecko posiada znaczną ilość spostrzeżeń mniej lub więcej zróżnicowanych i uogólnionych, wydało mnóstwo sądów i słyssało sądy, zawierające w sobie pojęcie o piękności; a z wyrazu tego tak często przez dziecko lub wobec niego używanego mogło już powstać zaczątkowe abstrakcyjne pojęcia piękna. Jakże jednak owo pojęcie niepewne jest jeszcze i chwiejne! Pięknem jest dlań to, co mu się ładnem i dobrem wydaje, jest to więc tylko konkretny wyraz znanych mu rzeczy. W estetycznych ocenach swoich dziecko odnosi wszystko do siebie, uważa za ładne to, co jest niem samem, co jest jego własnością, jemu blizkiem, dla niego dokonanem: własna jego osoba, ubranie, zabawki, rodzice, krewni, należące do niego zwierzęta, kwiaty i drzewa. To wszystko jednak przestaje czasami być *ładnem* np. ono samo gdy się rozniewało, było nieposłusznem lub też przykrość komu zrobiło; zabawki—gdy mu się znudziły, gdy powalane są lub uszkodzone; ci których kocha—gdy mu wyrządzili jaką przykrość. Widzimy więc, że przeważającymi pierwiastkami dziecięcego poczucia piękna są zawsze tak sądy jak i uczucia składające młodzieńską jego osobowość.

Kilka przykładów wystarczy dla dowiedzenia, w jak ciasnych granicach zawiera się ideał dziecka w tem, co ma w sobie racjonalnego i ogólnego poniekąd. Najlichsze obrazki wzbudzają w trzyletniem nawet dziecku radość nieopisaną a najpiękniejsze płótna mistrzów nie przemawiają doń wcale. Pozostaje ono obojętnem wobec pięknych posągów, zdobiących nasze ogrody, ale wiedzie oczyma i przeprowadza ruchami psa idącego ulicą, przelatującego ptaka lub płynącą po wodzie łódkę. Dziewczynka, mająca, niespełna siedm kwartałów, która od dziesięciu już miesięcy z przyjemnością rozpoznawała przedstawione na obrazkach osoby, będąc w Luwrze, uciekała prawie od ojca, gdy chciał koniecznie zmusić ją do patrzenia na osoby i zwierzęta przedstawione na obrazach. Bieganie stanowiło najmilszą jej zabawę, kręcąc się na wszystkie strony pod nogami publiczności, śmiała się i przywoływała mnie na cały głos. Inne dziecko trzyletnie, które poczęści przez naśladownictwo a po części ulegając woli ojca przyglądało się chwilę włoskiemu obrazowi o bardzo żywym kolorycie, takimi słowami wyraziło potem swój zachwyt: „To bardzo ładne, tatusiu! Tak dużo złota, tak dużo ponsowego i niebieskiego także, a tam ot! jest jeszcze jeden tatuś i jedna mamusia; niema dziecka, ale jest tatuś, drzewa, mamusia i kaczki.”

Zarówno jak piękności malowidła lub rzeźby dziecko nie jest też w stanie ocenić uroku sielskiej przyrody. Znam okolicę, której położenie i krajobrazy zdają się umyślnie po to stworzone, aby stanowiły najwyższą rozkosz dla oczu naszych. Dziecko, mające dwa lata bez dwóch miesięcy, siedzi w pięknej dolinie przez cały kwadrans nie widząc nic prócz siebie i swoich rodziców. Gdy ojciec i matka złączą się na prowadzą rozmowę na piękność krajobrazu, dziecko machinalnie po-

Księgozbiór:

№ 585.

wtarza ich słowa. Nareszcie rodzice usiadłszy na kopcu zachęcają dziecko do przyjrzenia się temu, co sami podziwiają. Niebawem zaczyna też ono wyrażać swój zachwyt: „Ach prawda! jak tu ślicznie! Tyle dużych drzew! daleko więcej niż u nas, nawet więcej niż u babci!” Wobec wodospadu, huczącego i mieniającego się wszystkimi barwami tęczy, inne znów dziecko, w tym samym wieku będące, zawołało: „Mamusi, dlaczego ta woda, co spada z kół młyńskich nie taka duża jak ta?” Inne wreszcie dziecko, mające już blisko trzy lata, podziwiał codziennie za przykładem matki wspaniałą górę Pie de Ger, której stromy wierzchołek przewyższa wzgórze, otaczające Eaux-Bonnes. Góra owa, leżąca na południe od miasta, zmienia wygląd stosownie do pory dnia. Malec słyszał jak o tem mówiono, i chwalił po swojemu: „Ach! jaka śliczna góra! Dzisiaj jest bielusińska, wczoraj była czarna a w *tamte wczoraj* różowe. Śliczna góra! Daleko większa niż nasz dom, może ze cztery razy większa!” To samo dziecko mówiło o pięknem zwierzęciu, że jest takiego a takiego koloru, bardzo duże, albo bardzo grzeczne, ani złe, ani brzydkie; o pięknej topoli dowodziło, że bardzo duża i bardzo ładna, ale nie taka duża jak figowe drzewo rosnące w ogrodzie babci.

Tak więc pojedyncze przedmioty zaczynają już wzbudzać w dziecku podziw i sprawiać mu przyjemność tem większą, im są dlań lepszemi i przyjemniejszymi, albo im więcej takiemi mu się być wydają. Miara przyjemności nie wychodzi po za granice codziennych doświadczeń dziecka. W całokształtach postrzega ono tylko wielkość, w harmoniach sztucznych lub naturalnych—tylko barwy i kształty wybitniejsze. Zdolność idealizacji, prawem dziedziczności przejęta, rozwija się zatem u małego dziecka według praw ewolucji powsze-

chnej, przystosowując się do przedmiotów coraz to odleglejszych, analizując je i syntetyzując coraz subtelniej. Im więcej twory i przedmioty przypominają dziecku związki istotne i wyraźne skojarzenia wrażeń przyjemnych a silnych, tem śmieiej powiedzieć można, że krokiem dalej postąpił ideał, duchowy piękna pierwiastek.

3. Instynkt budowania i tworzenia.

Wyobraźnia twórcza w postaci manii budowania lub niszczenia „objawia się — mówi ojciec Girard — w najmłodszym już wieku; dziecko bowiem, choć pragnie dowieść siły swojej niszczeniem, lubi jednak stwarzać coś, co podług swego sposobu widzenia uważa za nowe i piękne. Przypatrzcie mu się tylko jak ustawia swoich żołnierzy, domki, baranki i t. d., jak się raduje z tych nowych kombinacji i woła matkę, aby z nim tę radość podzieliła ¹⁾.” Instynkt naśladowania tak widoczny u wszystkich młodych zwierząt przyczynia się też niemało do szybkiego rozwoju tej dziedzicznej zdolności. Tiedemann zauważył u swojego trzynasto-miesięcznego synka niepospolitą zdolność kombinowania pojęć nabytych przez zastosowywanie ich do postrzeżeń w obecnej chwili uczynionych z widocznym zamiarem zastąpienia pierwszych przez drugie. Dnia 29 września chłopczyk wziął kilka obranych kaczanów kapusty i kazał im przedstawiać rozmaite osoby, odwiedzające się wzajemnie. W tem postępowaniu słusznie upatruje filozof zaródki siły poetycznej, która—zdaniem jego—polegać się zdaje na przenoszeniu znanych już obrazów

¹⁾ *De l'edseignement regulier de la langue maternelle.* Ks. III str. 88.

na obce przedmioty. Zapomniał wszakże powiedzieć nam do jakiego stopnia czynność ta była dowolną, oraz czy dziecko robiło tak dlatego, że coś podobnego widziało, czy też samo powzięło zamiar przedstawienia po swojemu scen dobrze sobie znanych. Przyjąwszy nawet pierwszą z dwóch powyższych hipotez, przyznać jednak trzeba, że czyny mechanicznego naśladownictwa nabrały pewnej cechy osobistej, skoro tylko świadomość się do nich przyłączyła. A może też chłopczyk, mający kiedyś zostać uczonym, wyjątkowo wcześniej objawiał niepospolite zdolności.

Bądź jak bądź, ten rodzaj wyobraźni przejawia się mniej lub więcej silnie u wszystkich dzieci, począwszy od ośmiu albo dziesięciu miesięcy. Znane mi dziewięciomiesięczne dziecko, posadzone na dywanie na środku pokoju, wyglądało jak bożek, jak stwórca samowładzy w pośród swoich zabawek, oraz wszystkich przedmiotów, które mu dano, lub których dosięgnąć mogło wyciągając się na dywanie. Całymi godzinami malec ów ustawiał obok siebie, stawiał jedne na drugich, rozstawiał, mieszał, odsuwał, brał znowu, głaskał, całował, gryzł pajace swoje, trąbkę, bębenek, piłki, papier, książki, owoce, jedzenie, którego miał już na teraz dosyć, a czynił to wszystko z zapalem, z okrzykami, z ruchami zachwyty i radości. Ruchy te i objawy obok nieprzewyciężonej potrzeby wyrażenia w ruch sił młodego organizmu, oraz zadość uczynienia ciągle odnawiającej się ciekawości i chęci naśladowania, czyli powtarzania czynności, jakich dziecko bez trudu się nauczyło, wykazywały jeszcze umysłową i moralną potrzebę urzeczywistnienia ideału odpowiedniego jego zdolnościom „stworzenia rzeczy według niego nowych i pięknych.” W taki to sposób człowiek-dziecię buduje i burzy dla zabawki, ale z powagą i z przejęciem, przypominają-

cem manią patrycyuszów Salkestryusza, którzy nieustannie budowali by mieć co burzyć i burzyli, żeby znowu budować.

W tak młodym już wieku można w pewien właściwy sposób kształcić zdolności estetyczne, rozwijając w dziecku zmysł budowania. Dwudziestomiesięcznemu albo dwuletniemu dziecku dajcie motyczkę i wiaderko, posadźcie je i zostawcie w wysypanej piaskiem alei, a podziwiać będziecie różnorodne, niestrudzone, opisać się nie dające wysiłki, jakich ono dokona w celu odbudowywania tego, co przed chwilą samo zburzyło. Wyobraźnia jego o wiele naszą przewyższa, nie umie bowiem czy też nie chce zamknąć się w stale określonych granicach. Parę dni temu widziałem na skwerze siedzącą obok niańki dziewczynkę, która przez kwadrans może, ani na chwilę nie przestawała napełniać ziemią i wypróżniać wiaderka, służącego jej za formę do robienia gór. Zanim je po przewróceniu od ziemi odjęła, kilka razy uderzała w dno łopatką: niańka nauczyła ją tego sposobu, dzięki któremu wychodziły z formy góry mające kształt dość regularny. Nie zawsze udawało się maleńkiej dokonać dzieła bez zarzutu: zwracała się wtedy do niańki i podając jej łopatkę i wiaderko, zapraszała do wspólnego pracownictwa w tak poetycznym zajęciu. Niańka jednak, czy to właściwego postępowania nauczona, czy też zajęta rozmową z siedzącą obok przyjaciółką, rzadko przystawała na zadość uczynienie żądaniu małej. Zresztą uważam za rzecz bardzo dobrą, pozwolić dzieciom zajmować się tem, co robić umieją i co robią z zamięłowaniem. Dopomagając wszakże instynktowi budowania, strzeżmy się przeceniać go u dziecka, jest on równie wynalazczym jak naśladowniczym, równie niezręcznym jak nieprzewyciężonym.

Pewnego dnia, chcąc zabawić jednego z moich sio-

strzeńców bardzo inteligentnego chłopaczka mającego trzy lata i cztery miesiące, powiedziałem mu, że będziemy *robili* Adur wraz z mostem i nadbrzeżnemi topolami. Poodsuwawszy kamyczki końcem laski, nakreśliłem na ziemi długą wklęsłą linię na kilka centymetrów szeroką. Następnie ułamałem kilka gałązek, które powtykałem z obu stron owego rowku, kamyki pokładzione jeden na drugim służyły za filary mostu, który zrobiłem na prędce z wieczka jakiegoś pudełka. Skończywszy całe to budowanie, spytałem malca czy to ładne. „Nie—odparł—nie bardzo ładne.” Nie dając za wygraną, napełniłem dwa spore wiadra, z których powoli wylewając wodę w rowek utworzyłem coś w rodzaju dość regularnie płynącego prądu, który nazwałem *rzeką* Adur. Siostrzeniec mój jeszcze się tem nie zachwycał. Zrobiwszy wtedy dwa czółenka z papieru, puściłem je na świeżo dolaną wodę, po której płynąć zaczęły bardzo szybko ale nie prawidłowo. Chłopaczek, wielki miłośnik łódek, czempredziej porwał jedną i sam ją puścił na środek wyschłej już prawie rzeki. Dolałem znowu wody, ale ta płynęła tak obfitym i tak rwącym potokiem, że zatopiła wątłą łódeczkę. Siostrzeniec mój zawołał: „Ależ na Adurze nie ma łodzi! Łodzie płynąją po Garonie i to wcale nie tak! Nie, wujaszku, to nie zabawne!” Nie widziałem więc potrzeby nastawać dłużej i śmiejąc się z samego siebie, podeptałem nieudaną próbę roboty, podjętej dla zabawienia dziecka. Z doświadczenia nauczyłem się teraz tego, com już czytał poprzednio w niejednej książce, że własna dzieci inicyatywa zawsze jest więcej warta od jej naśladowania, do którego rościmy sobie pretensyą. Prócz tego zaś, owo doświadczenie, oraz inne mu podobne, nauczyły mnie, że siła poetyczna lub twórcza jest u dzieci daleko słabszą niżeli mniemamy.

4. Instynkt dramatyczny.

Naśladowanie ruchów, dźwięków, głosów zwierzęcych należy też uważać za pierwszy objaw rozbudzenia się w dzieciach instynktu estetycznego. Jedenastomiesięczne dziecko naśladowało widziany u innych ruch składania rąk dla wyrażenia podziwu lub radości. Chłopczyk ten naśladował wszystko, co mu miłym było u innych, często nawet samo naśladowanie sprawiało mu przyjemność. Dostał był odemnie małe wiaderko, które trzymał w rączce, chodząc ze mną po ogrodzie. Rzuciłem w nie kamyczek, malec zaraz podniósł z ziemi drugi i rzuciwszy do wiaderka, potrząsać niem zaczął z wielkim hałasem. Dość było raz mu co pokazać, aby nauczyć go zabawy, którą odtąd bardzo często powtarza. Na chwilę nakrywa sobie głowę serwetą albo chustką, mówiąc „*nima*,” poczem powoli odsłania uśmiechniętą buzię. Skłonność naśladowania objawiła się w nim w sposób bardzo zabawny: dotąd potrzebował zawsze pomocy jednej starszej osoby do chodzenia; jeżeli chodził z ojcem a zobaczył mnie, natychmiast wołał na mnie „*tata*,” żądał bym go wziął za rękę i uchwyciwszy się jej, puszczał rękę ojca. To samo robił z każdym wchodzącym do pokoju: puszczał rękę trzymaną, biorąc rękę nowoprzybyłej osoby. Raz zauważyłem, że chodząc nie spuszczał oka z moich nóg i dla zabawienia go, zacząłem stawiać ogromne kroki, co tak rozweseliło malca, że śmiać się zaczął i podskakiwać. Nazajutrz powtórzyłem to samo: chłopaczek natychmiast naśladować mnie zaczął a podnosząc nóżki prawie do poziomej pozycji, ma się rozumieć, tracił i tak już bardzo niepewną równowagę i upadał na ziemię. To też niebawem zażądał od pierwszej wchodzącej do pokoju osoby, żeby

go wzięła za rękę i nie puszczając mojej, stawiać zaczął ogromne kroki. Teraz ile razy ma przy sobie dwie osoby, zawsze obie bierze za rękę, by się puszczać w ten zabawny pochód, który matkę do łez rozmiesza.

Wiadomo, jak wcześniej zabawy dzieci przekształcają się w błaznowanie, w sceny żartobliwe i w zabawne odgrywanie komedii. Dziecko trzy lub czteromiesięczne skacze radośnie i wydaje okrzyki zachwytu, gdy matka albo siostra zakryje się niespodzianie chustką lub fartuszkami. W obec osób obcych powtarzają sztuki, które rodziców ubawiły. U wszystkich prawie dzieci, choć u każdego w innym stopniu, okazuje się skłonność do małpowania, prawienia niedorzeczności i mówienia bez sensu nibyto dla zabawienia starszych, rzeczywiście zaś dla zjednania sobie podziwu obcych, w obec których onieśmiewonemi się czują. Znam dwoje dzieci, z którymi niepodobna prawie przebywać, z powodu tej manii nizinności; obecność gościa podnieca je do tego stopnia, że rodzice są nieraz zmuszeni wyprowadzać je z salonu. Szczególniej starszy trzyletni chłopczek nie zrobi ani jednego ruchu, żeby nie spojrzeć na gościa; zdaje mu się, że gość dla niego ma oczy i uszy i po to jedynie przyszedł, aby się naśmiać z jego figlów.

Pamiętać jednak o tem należy, aby nie odbierać tym zabawnym igraszkom pierwotnej ich cechy tj. niewinnej swawoli. Szkaradna wada wyśmiewania graniczy z blizką z tak miłym przymiotem, jakim jest żartobliwość. O ile mi się zdaje wady tej, wtedy nawet gdy jest dziedziczną, nie spostrzegamy u dzieci, mających mniej niż trzy lata, jeżeli wszakże nie rozwinęły jej przykłady lub zachęta przez starszych udzielona. Zdaje się, że w tym wieku poczucie śmieszności jest bardzo słabo rozwiniętem. Jakkolwiek dzieci bardzo wcześnie

spostrzegają i nawet naśladują fizyczne ułomności osób starszych, nie należy jednak mniemać aby rozumiały one, że to są ułomności i naśladowały je jako takie. Nieraz doznawszy zdziwienia na widok dziwacznej budowy ciała lub niezwyklej czyjejś powierzchowności, po prostu o przyczynę pytają.

Czteroletnie dziecko, zobaczywszy pewnego dnia na ulicy jakiegoś pana bardzo zgarbionego, a innego znowu dnia bardzo malutkiego staruszka, przyglądało im się nader uważnie a potem dopytywało się, dlaczego oni są tacy. Braciszek jego, mający półtrzecia roku, robił również podobne uwagi: „Mamusiu, dlaczego ten pan tak chodzi?” Ani u jednego, ani u drugiego nie było wcale śladu, że pochylona postawa lub mały wzrost wydawały im się śmiesznymi.

Trzyletni chłopczyk, przepędziwszy trzy tygodnie u krewnych, nabrał brzydkiego zwyczaju wyśmiewania się. Widując niekiedy na przechadzce garbatego staruszka, chłopczyk naśladować go zaczął, zginając się we dwoje i drepąc drobnymi krokami w obecności nianiek, które mu tego nie wzbraniały, przeciwnie, śmiały się nawet ze swawoli podług nich niewinnej. Krewni także widzieli w tem tylko powód do śmiechu. Od tej pory udawanie staruszka stało się jedną z największych, choć bardzo męczących przyjemności dziecka. Rodzice nie wzbraniają nieraz tego przedrzeźniania ułomności bijących w oczy, uważając je za objaw wrodzonej żywości i zmysłu spostrzegawczego. A przecież jest to błąd, którego wystrzegać się powinni. Nie ma nic mniej przyjemnego nad uszczypliwą złośliwość ludzi dorosłych, o ile ta nie jest wywołana koniecznością obrony osobistej—oraz nad złośliwe żarty u dzieci, których postępowania nic w takim razie nie usprawiedliwia. „To obejście się szydercze i przedrwiwające—

powiedział Fenelon — ma w sobie coś nikczemnego, coś co się sprzeciwia szlachetnym uczuciom.” A zatem do-
syć żartów, dużo wesołości, cieniu nawet wyszydzenia —
oto prawidło, które zastosować należy do czynionych
przez dzieci prób dramatyzowania.

Owa skłonność do naśladowania i dramatyzowa-
nia wszystkiego, do bawienia się kosztem drugih, da
się z łatwością sprowadzić do naśladownictwa, zarówno
nieszkodliwego jak i pouczającego. Większa część
dzieci jeszcze przed dojściem do pięciu kwartałów, prze-
drzeźnia bardzo zabawnie głosy, śpiewy, krzyki wielu
bardzo zwierząt. Jest to niewinne zużytkowanie zdol-
ności komicznych, mające i tę przytem korzyść, że roz-
wija narządy głosowe i pobudza dzieci do zwracania
uwagi nie tylko na głosy zwierząt, ale razem na kształty
ich, ruchy ogólne, zachowywanie się. Nietrudno zresztą
powściągnąć w nich tę skłonność, gdyby później wyra-
dzać się zaczęła w grubiańskie i nieprzystojne nawy-
knienie.

ROZDZIAŁ XIII.

Osobowość. — Rozwaga. — Zmysł moralny.

Tak dla psychologów jak i fizyologów pojęcie
jaźni jest zawsze bardzo niejasnem, dla każdego jednak
człowieka jest ono zupełnie wyraźnem. Osoba, zwierzę,
dziecko, prędko się nauczą odróżniać siebie od innych
otaczających je tworów. Zresztą pojęcie to jest tylko
postępowym rozwojem owego wewnętrznego poczucia
własnej osobowości, o którym powyżej była mowa. Po-
czucie to można do pewnego stopnia uważać za wro-
dzone, dziedziczne, objawiające się już podczas życia
płodowego i wrażeniami tegoż życia podtrzymywane,
jednem słowem — za jedną ze składowych części tych
właściwości mózgu, które dziecko, na świat przychodząc,
z sobą przynosi. Uwyrażnia się ono następnie i utrwała
w miarę większego rozwoju narządów, pomnożenia za-
sobu doświadczeń, rozszerzenia porównań a wreszcie
w miarę postępów poczynionych w umiejętności abstra-
howania i uogólniania.

Dla noworodka poczucie własne osobowości ze-
środkowywa się lub ześrodkowywać zdaje przede-

wszystkiem w zakresie wzruszeniowości. Nie rozpoznaje on wyraźnie ani samego siebie, ani żadnego przedmiotu, czuje jednak obecność przedmiotów, czuje, że żyje, że czuje i działa. W tej chwili wniesiono do mego pokoju dziecię mające miesiąc, które poznaje wprawdzie matkę po głosie, ale nie objawia tego żadnym ruchem, nawet uśmiechem, *odruchowym jeszcze*, bezmyślnym i pozbawionym wszelkiego wyrazu. Malec zaczyna już jednak poznawać pierś oczyma; od dziesięciu dni dopiero widzi przedmioty; przedtem wodził tylko oczyma za świecą, przenoszoną z miejsca na miejsce, teraz śledzi wzrokiem przedmioty błyszczące lub w ruch wprowadzone. Zauważyłem, że wodzi oczyma za palcem, którym poruszałem o kilka centymetrów od jego oczu, oraz za arkuszem białego papieru, poruszonym nieco dalej od niego. Ale zaledwie wniesiono go do mego pokoju utkwiał spojrzenie w przedmiocie jakimś blisko okna położonym lub może w oknie samem; przypuszczam jednak, że owym przedmiotem była rama, bardzo dla jego oczu błyszcząca, tak z powodu pozycyi, w jakiej dziecko trzymane, jak i dla tego, że odbijało się w niej światło. Zdawało mi się przez chwilę, że dziecko zwróciło główkę na lewo (to jest w stronę, gdzie stałem), przysłuchując się memu głosowi. Stałem po drugiej stronie i zacząłem mówić bardzo głośno: dziecko obróciło się, ale dość obojętnie, może dla tego, że głos dochodził je z tyłu. Lewą rączką wykonywało ono jakby machinalnie wachadłowy ruch z góry na dół; dotknąłem jego policzka końcem palca, a potem końcem obsadki, wtedy zrobiło rączką ruch z góry na dół, zapewne odruchowy, którym jednak nie dosięgło policzka. Tenże sam ruch powtórzył się, gdy mu potarłem koniec noska, ale teraz towarzyszyło mu bardzo szybkie zmarszczenie lewego nozdrza i czoła. Gdy matka usunęła mu trochę czepeczek, a następnie

osłoniła główkę woalką, chłopaczek zmarszczył czoło, otworzył i skrzywił buzię, krzyknąwszy przytem z niezadowolenia. Gdy cierpi na brzuszek, co mu się często zdarza, rzuca się i macha rączkami, jakby dla odepchnięcia czegoś nieznanego a dolegającego mu. Wsunąłem palec pod jego paluszki: rączka zrazu drgnęła a potem silnie mnie ścisnęła, udawałem, że usuwam palec, dziecko coraz bardziej ścisnęło go i ciągnęło ku sobie, aż wreszcie do ust poniosło. Ale ssało go tylko przez kilka sekund, poznawszy niebawem, że nie jest to pierś, z której zwykle pokarm czerpie. Tak więc we wrażeniach dziecka, w jego pojęciach i czynnościach, wszystko jest wegetacyjne, zaczątkowe, wyłącznie prawie choć jeszcze niewyraźnie osobiste. Zdaje się, że jakieś pojęcie oraz świadomość trwała i ciąglą ma o sobie samem tylko, to jest o czemś bardzo mało wyraźnem: wszystko innem jest chwilowem, przelotnem, zaledwie dojrzanem, niepewnie zapamiętanem, zupełnie nieodróżnianem. Przypatrzmy się teraz dziecku trzymiesięcznemu. Do iluż to stopniowo objawiających się postępów doszły wszystkie jego czynności zarówno jak i zarysowane już pojęcia własnej osobowości. Odróżnia ono już matkę od innych domowników; do niej chętniej niż do nich wyciąga rączki, jeżeli wszyscy razem znajdują się obok niego z matką. Niema jeszcze wprawy w porównywaniu, nie umie rozróżnić buteleczki napełnionej wodą od buteleczki napełnionej mlekiem i bierze jedną za drugą; ale gniewa się już gdy siostrzyczka zabierze jego butelkę. Wie, że *pta-pta* znaczy *ptak* i gdy ten wyraz usłyszy zaraz się obraca w stronę klatki. Zapytane gdzie ma nóżki lub sukienkę, zaraz się nachyla do nóżek, lub wyciąga rączki do dolnego brzegu sukienki. Wtedy nawet, gdy cierpi na brzuszek, pieszczoty matki uspokajają płacz jego. Uśmiecha się do tych, którzy się do niego uśmiechają,

pieści się z matką. Wszystkie zatem jego władze: czuciowość, umysłowość, zdolność wykonywania celowych ruchów objawiają się już świadomie w sposób subtelny i wyraźny. Dziecko rozróżnia wtedy przedmioty między sobą, odróżnia je od samego siebie, rozróżnia niektóre części swego ciała. Poczekajmy jeszcze dwa miesiące, a skojarzenie własnego imienia z wrażeniami dotyczącymi się jego osobowości, stanie się dla niego rzeczywistym znakiem, który wyraźnie je tylko przedstawiać mu będzie.

Konkretnie pojęcie osobowości następujące po pierwotnym teście osobowości pocuciu, wydaje mi się zupełnie już ukształtowanym wtedy, gdy dziecko zaczyna próbować wyrażać myśl swoją. Dla tego to sędzę, że w owej epoce nie należy szukać myśli dziecka w tem, co ono mówi. Pomimo przeciwnego zdania wielu uczonych, a między innymi Preyera, nie mogę przypuścić, aby np. dzieci dla tego mówiły o sobie w trzeciej osobie, iż pojęcie ich osobowości również jak i wyraz do określenia jej służący, nie odłączyło się jeszcze zupełnie od przedmiotów na zewnątrz istniejących. Gdy dziecko nauczy się mówić *ja* zamiast *Pawelek* lub *Karolek*, wyraz *ja* nie jest dla niego więcej oderwanem od imion własnych, które mu każą zastępować zaimkiem *ja*. Tak imiona bowiem własne, jak i zaimek osobisty wyrażają bardzo konkretne pojęcie oddzielnej jednostki. Gdy dziecko trzyletnie powiada: *ja chcę*, jest to zupełnie to samo, co *Pawelek chce*; „*ja*” zarówno jak „*Pawelek*” nie oznacza ani pierwszej, ani trzeciej osoby, ale osobę będącą samemże dzieckiem, jego własną dobrze mu znaną osobką, którą ciągle we wszystkich wzruszeniach i czynnościach uczuwa. Umysł dziecka nie zdobywa się na abstrakcyjne pojęcie osobowości.

Czy mniemacie, iż zwierzę nie posiada równie wy-

rażnego jak my, pojęcia własnej osobowości? Mam kotkę zwaną *Mimi*; wie ona wybornie, że imię to ją tylko oznacza; nie tylko przybiega, gdy na nią tem imieniem zawołam, ale nawet gdy je kto w jej obecności wymówi, podnosi uszka i patrzy w oczy w sposób bardzo znaczący. Nie dość na tem: chociaż pieścąc ją, lub wołając nikt nigdy nie nazywał jej „*stara*”, spostrzeegliśmy, że niewiedomo jakim sposobem—dowiedziała się, iż ten drugi wyraz jest także określeniem jej osoby. Dawniej zaś miałem inną kotkę, która wiedziała, że gdy ktokolwiek z rodziny wymawia wyraz *kot* lub *kotka* mówi o niej lub o kimś do niej należącym: spojrzenie jej i ruchy wyraźnie okazywały, że wyraz ten miał dla niej znaczenie. Używaliśmy go wprawdzie więcej w znaczeniu nazwy gatunkowej niżeli osobistej, ale skutkiem pocucia własnej osobowości stawało się ono dla niej wyrazem, wyłączenie jej osobowość określającym.

„Nikt nie przypuszcza — powiada Darwin — aby którekolwiek z niższych zwierząt zastanawiało się nad pochodzeniem swoim i przeznaczeniem, nad śmiercią lub życiem i tak dalej; przytem jednak, czy jesteśmy pewni zupełnie, czy stary wyżeł, obdarzony dobrą pamięcią i do pewnego stopnia rozwiniętą wyobraźnią, nie rozmyśla nigdy nad przyjemnościami, jakich za młodu na polowaniu doznawał? A byłoby to pewną formą świadomości. Co się zaś tyczy ludzi, to—jak dobrze zauważył Büchner—trudno przypuścić, żeby strudzona fizyczną pracą żona jakiegoś Australczyka, który niema żadnych oderwanych pojęć i nie jest w stanie wyżej nad cztery zliczyć, posiadała tak bardzo rozwiniętą świadomość, iżby się kiedykolwiek zastanawiała nad sobą samą. Że zwierzęta zachowują swoją duchową indywidualność nie podlega żadnej wątpliwości, bo jeżeli np. w powyżej przytoczonym przykładzie głos mój obudził w umyśle psa

cały szereg dawniejszych wspomnień, należy więc przypuszczać, że pies ten zachował swoją indywidualność, chociaż każdy atom jego mózgu zmieniał się pewno niejednokrotnie. Pies ten mógłby przytoczyć argument, wygłoszony niedawno w celu obalenia teorii ewolucjonistów i odczuwać się w ten sposób: „Otóż nie zmieniłem się wcale, pomimo wszelkich zmian materyalnych i wszystkich przekształceń w moich usposobieniach duchowych” ¹⁾.

Przyjawszy to za pewnik nie sądzimy, abyśmy krzywdzili człowieka-dziecię, gdy pomimo wrodzonych zdolności umysłowych oraz niezaprzeczenie wyższych wpływów wychowawczych, przyznamy mu tylko pojęcie własnej osobowości, oraz zdolność zastanawiania się nad jej stanami i działaniem, zbliżone do pojęcia, którego istnienie przypuszczamy u zwierząt wyższego rzędu, niższe jednak od pojęcia tychże samych zwierząt dorosłych już i doświadczonych.

Pomiędzy dwoma a czterema latami u najłagodniejszych nawet i najlepiej wychowanych dzieci, poczucie własnej osobowości występuje aż do przesady wyraźnie. Znałem chłopczyka, mającego dwa lata i dwa miesiące, bardzo niewytrzymalego na ból: za najmniejszym upadnięciem płakał i wrzeszczał, a lada zadrażnienie uważał za śmiertelną ranę. Miłość własna wyleczyła go z tej nadmiernej wrażliwości. Parę dni temu, upadłszy w mojej obecności, potłukł się silnie; podniósł się jednak niebawem, pochodziwszy trochę na czworakach, aby we mnie wmówić, że nie upadł. Innym razem, potknąwszy się na schodach, przewrócił parę koziołków, tłukąc główką o ścianę. Pobiegłem do niego: stał już na

¹⁾ Darwin. *Pochodzenie człowieka i dobór płciowy.*

nogach i wszelkimi siłami powstrzymywał się od płaczu. „Upadłeś?”—spytałem.—Nie, nie—żywo odparł—ja nie płaczę! ja tak tylko żartem się przewróciłem.” Tego rodzaju miłość własna tłumaczy się niekiedy fałszywym wstydem, oraz fałszywym pojmowaniem dumy osobistej. Owego chłopczyka postawiono raz przed tablicą z literami, w pośród gromadki dziewczynek w jego wieku. Gdy na niego przyszła kolej odpowiadania, zawołał, robiąc ruch jakby do odejścia: „Nie chcę uczyć się czytania tutaj „mam swoje abecadło w domu, uczę się sam.” Innym znowu razem nie chciał należeć do lekcji, mówiąc: „Dziewczynki się ze mnie śmieją, nie chcę uczyć się czytać razem z niemi.”

W końcu drugiego roku życia poczucie własnego „ja” oraz instynktowna rozwaga wywoływały w nim zastanawianie się nad samym sobą równie naiwne jak rozrzewniające. Pewnego dnia miał katar i silny ból głowy, ale, że się spodziewał wieczorem odwiedzin znajomych dziewczynek, oczekiwał więc ich cierpliwie i pomimo cierpienia nie dał się położyć do łóżeczka. Przykro było patrzeć na niego, gdy biorąc się rączkami za główkę, mówił: „Chciałbym już umrzeć! Jak kto umrze, tego nieboli główka, i nie bolałaby także, gdybym się nie był urodził. Ale nie chcę umrzeć, bo mamusi byłoby znanadto przykro.” Gdy już wreszcie oczekiwane dziewczynki nadeszły, malec wybiegł na ich spotkanie, całował je, brał za ręce, witał z wielką radością i stawiając dla nich krzeselka przed kominem, prosił: „Siadajcie, ogrzejcie się, bo was główka rozboli od zimna.” Potem zaś, zwracając się do tej, którą najlepiej lubił, zapytał: „Może nie masz ochoty się bawić? Może główka cię boli?” Ból, który go skłonił do tak wzruszającego zastanowienia się nad sobą, otworzył w jego sercu żywe źródło współczucia, co nie jest rzeczą tak rzadką,

jakby się na pozór zdawać mogło u tych małych istotek tak samolubnych i powierzchownie sądzących. Poczucie osobowości jest tak silnie w dziecku rozwiniętem, że co chwila dojść może do przesady, do samolubstwa nawet, do zarozumiałości lub do pedanterii z nagłemi jednakże przerwami współczucia, tkliwości, łatwowierności, lękości, niedowierzania sobie. Z tego to poczucia osobowości, spotykającego w dążeniach swoich zachętę albo opór, powstaje zmysł moralny i na nim rozwój swój opiera.

2.

Trudno się przekonać czy dziecko, nie mające jeszcze sześciu lub siedmiu miesięcy skończonych, posiada czysto przedmiotowe pojęcie zła i dobra, pojęcie będące duchowym zarodem zmysłu moralnego. Widziałem siedmiomiesięczne dziecko, które rozumiało, że matka gniewać się na nie będzie silnie, jeżeli zacznie płakać, chcąc, aby je wyjęto z kołyski lub wzięto na ręce, a obecni nie czynią natychmiast zadość jego żądaniom, wyrażonym bądźto przez ruchy, bądź przez wymówienie jakichś zgłosek, niby to coś znaczyć mających. Ileż to jednak widzimy dzieci w tym wieku a nawet i starszych, które tem mniej słuchają, im więcej się od nich wymaga, aby cicho były; niezadowolenie z błahej przyczyny powstałe, jakie często doprowadza je do scen gniewu, do rzucania się, do krzyku, płaczu, szlochania, do groźnych prawie intonacyj głosu! Pewna dziesięciomiesięczna dziewczynka umiała doskonale dać do zrozumienia, że się lęka *popęłnić* nieporządek w kołysce, nauczono ją bowiem, że to źle, mówiąc: „Fe, dzi-dzi, fe! brzydko!” i wysadzając ją zaraz, przyczem odpowiednimi ruchami namówiono ją do spełnienia tego,

co chciano, by uczyniła. Marylka wiedziała również, że zła, to jest nagany godną rzeczą jest napieranie się tego, czego jej odmawiają, przede wszystkim zaś napieranie się o to płaczem. Przez pół żartem a przez pół może ze złości mimowiednej, miała zwyczaj drapać po twarzy wszystkich, którzy ją brali na ręce; z czasem jednak odzwyczajono ją od tego. W tem właśnie spoczywa zaród zmysłu moralnego.

Pierwsze zarysy zmysłu moralnego przejawiają się wtedy, gdy dziecko rozumieć zaczyna znaczenie pewnego wyrazu twarzy, pewnych ruchów, intonacyj głosu, mających na celu strofowanie, gdy popełniło coś, co się starszym nie podoba, albo też ostrzeżenie, jeżeli coś podobnego popełnić zamierza. Z tego to uznania władzy karcącej i nagradzającej rodzi się powoli wyraźne różnicowanie konkretnego zła i dobra. Dziecko, które słucha przez obawę lub przez przyzwyczajenie, posiada już zmysł moralny; posiada go w wyższym jeszcze stopniu, gdy słucha dla otrzymania nagrody, pochwały, lub dla sprawienia komuś przyjemności.

Zmysł moralny w przedmiotowej swej formie jest jeszcze bardzo niezupełnie rozwiniętym u takich nawet dzieci, które mają już od dwóch do czterech lat. W tem jednak co się tyczy nawyków moralnych i fizycznych, dzieci posiadają już w tym wieku dość rozwinięte pojęcie tego, co jest dozwolone a co wzbronione, co robić wolno a czego nie wolno. Podczas nieobecności rodziców, prawo moralne wciela się dla nich w ojca, przede wszystkim zaś w matkę. Zeszłego lata mieliśmy u siebie siostrzeńca, którego nam na dwa miesiące powierzono. Z samego początku bardzo był nieśmiały, bardzo grzeczny, jakby odpornie się trzymający, lub bacznie przyglądający się otoczeniu. Przy stole siedział spokojnie, o wszystko prosił grzecznie, nieraz czekał

nawet, aż mu dadzą, a najadłszy się, mówił: „Już.” Przy końcu jednak obiadu, podniecony otrzymanymi pieściami oraz pewnem nadszatkowaniem, z którego nie zdawaliśmy sobie sprawy, ale które on jednak doskonale zrozumiał, rzekł nagle: „W domu, jak skończę jeść, to mamusia pozwala mi odejść od stołu.” Pospieszono zadość uczynić życzeniu, które wydawało się słusznem. Z półgodziny może chłopczyk bawił się wesoło. W końcu zacząwszy nagle płakać, oświadczył: „Jak zacznę płakać, mamusia kładzie mnie zaraz spać.” Zaniesiono go do sypialnego pokoju i zaczęto rozbierać. Tam dopiero uderzył w płacz rozpaczliwy, myśleliśmy, że tęskni za matką, ponieważ ciągle o niej wspominał; wyprowadził nas jednak z błędu mówiąc: „Mamusia nie tak mnie rozbiera;” poczem udzielać zaczął rozmaitych przepisów dotyczących się jego rozbierania, uważając ich zachowanie za rzecz obowiązującą. Według niego zatem to, co przy nim robiono codziennie, było rzeczą należną i powiną; tą samą miarą sądził własne swoje postęпки. Powiedział nam kiedyś: „To bardzo brzydko kłamać albo nie słuchać; mamusia zaraz się tem martwi i płacze.” Tak więc w pojęciu zarówno dziecka, jak i zwierzęcia, dobrem jest to, co mu jest pozwołone, złem zaś to, czego mu czynić nie wolno. Skutkiem tego nie raz wyradza się w dziecku wątpliwość, wobec mających się spełnić nowych dlań czynów, lub też takich, które mu się przedstawiają w nieznanym jeszcze okolicznościach. Po upływie kilku dni dobre przyzwyczajenia mego siostrzeńca uległy zmianie odpowiedniej świeżo doznanyemu wrażeniu a zastosowanej do charakteru otaczających go osób. Przedewszystkiem wielkie miał poważanie dla mnie, zapewne dla tego, że ja go przewiozłem i że przypominałem mu ojca, którego się obawiał więcej niż matki. Zanim zrobił coś nagannego,

zawsze mi patrzył w oczy; mniej jednak był względny i poufalszy z innymi członkami mojej rodziny, imponującymi mu mniej niż ja. Nabrał niektórych nawyków wręcz przeciwnych tym, które mu nadano w domu; bywał czasami nieposłusznym, przyzwyczaił się powoli rozkazywać nam płaczem i krzykiem. Ujrzałem się więc zmuszonym zmienić nieco jedną z zasad mojej pedagogiki dziecięcej, a mianowicie tę, aby o ile możności odwracać uwagę dzieci od niesłusznych żądań, lub zmartwień prawdziwej przyczyny pozbawionych, aby łajać je jak można najmniej i tylko w ostateczności. Zmuszony byłem często podnosić głos, oraz robić ruch znany mu już u ojca i przejmujący go bojaźnią; ruch ten wszakże nigdy nie stał się czynem dotykającym.

Powyżej przytoczone obserwacje dowodzą, że moralność wpojona w dziecko trzyletnie nawet podobną jest do budynku, który wzniesiono kosztem wielkiej pracy oraz cierpliwości i roztropności, ale który runąć może po upływie kilku tygodni, skoro tylko zmieniają się warunki lub też otoczenie.

Zmysł moralny jest zatem jedną z tych zdolności odziedziczonych, które najłatwiej ulegają zmianie pod wpływem najbliższego otoczenia. Nie napróżno odwołujemy się do owego instynktu towarzyskiego, do wrażliwości osobistej, do owej sympatii oraz wrodzonej chęci przypodobania się, które grają tak ważną rolę w rozwoju moralnych władz dziecka. Dziewczynka mająca rok i dwa miesiące okazywała wielkie zmartwienie, ile razy matka jej rzekła: „Gniewam się, Dziudziu!” Najczęściej pozostawała jednak nieczułą na łajanie ojca, który miał zwyczaj krzyczeć i grozić. Syn Tiedemanna mając owa lata i pięć miesięcy, zwykł był wołać, gdy mu się zdawało, że zrobił coś dobrego: „Świat powie: to dobry chłopczyk!” Ile razy grymasił,

uspakajał się natychmiast, gdy mu powiedziano: „Sąsiedzi patrzają.” Dzieci mają zatem wrodzoną delikatność uczuć, której dobry wychowawca umiejętnie bodźca dodaje, a która u dzieci najmniej nawet nią obdarzonych stanowi najlepszy środek pomocniczy i najużyteczniej równoważy wszelkie środki przymusowe. Spotkałem wczoraj na ulicy matkę powracającą z targu z dziewczynką, mającą około trzech lat. Wyprzedzając matkę o kilka kroków, mała odwracała się często, chcąc otrzymać uśmiech lub pochwalne skinienie głową, dla tego, że powierzono jej zadanie nader ważne w jej przekonaniu, spełnienie którego uważała sobie za wielką zasługę: na rozpustartych rączkach niosła ona pakiet bardzo szeroki ale cienki i leciutki, który musiał jej się wydawać ogromnym w porównaniu z jej malutką osobką. Zdawało jej się zatem, że dokonywa czegoś nadzwyczajnego niosąc ów pakiet uważnie i ani razu nie upuściwszy go na ziemię: robiła to zaś dla sprawienia matce przyjemności, dla uzyskania pochwały, dla wzniesienia podziwu siłą i zręcznością swoją, oraz dla podziwiania samej siebie jako tak zręcznej i silnej. Bierne posłuszeństwo albo obawa kary i połajania nie osiągnęłyby bez trudu podobnego rezultatu, który z taką łatwością otrzymać można, odwołując się do szlachetnych instynktów człowiekowi wrodzonych.

Uczucie sprawiedliwości objawia się czasem u dziecka bardzo silnie, zwłaszcza w epoce, gdy potrafi już ono wyrazić dość jasno to, co czuje. Gdy znajomy mi chłopczyk, dziś już czteroletni, po raz pierwszy rozmyślnie popełnił kłamstwo, matka uważała sobie za obowiązek ukarać go surowo: zagroziła, że go zamknie do piwnicy i kazała mu zejść za sobą po schodach. Po drodze chłopczyk, którego wyobraźnię silnie uderzyło ważne znaczenie, do winy jego przywiązywane i który

sam siebie za wielkiego winowajcę uważał, rzekł do matki: „Mamusi, ale może to za mała kara za taką ogromną winę?” W kilka miesięcy potem, wysłano go do babki, gdzie był nie tylko panem, ale nawet despotą. Pewnego dnia, gdy spletał jakiegoś figla, który uznano za zbyt śmiały, babka zamknęła go w ciemnej komórcie, obok kuchni. W parę minut potem staruszka, pomimo przytępionego trochę słuchu, posłyszała w komórcie przeraźliwe krzyki. Pospieszyła więc otworzyć drzwi więzienia, z którego czempredzej wyskoczył zapłakany malec z twarzyczką, wyrażającą przestach i gniew zarazem. Ponieważ nie bardzo obawiał się babki, zanadto słabej dla niego, nie przyznawał jej zatem prawa wymierzania mu tak surowej kary i protestował wrzaskiem przeciwko temu, co za niesprawiedliwość uważał: „Niedobra babcia, niedobra! bardzo niedobra! Ja powiedziałem, że już tego nie zrobię, a babcia mnie zamknęła! Babcia chciała, żeby mnie szczury zjadły! Odgryzłyby mi nogi i ja bym umarł, a mamusia by się zmartwiła i nie przyjechałaby tu już nigdy, ani tatuś także. Powiem to mamusi.”

Zwróćmy wszakże uwagę, że w sądzie postępków cudzych, dziecko stosuje najpierw pojęcie sprawiedliwości do uczuć, jakie samo skutkiem postępków tych doznaje. Gniewa je to, gdy mu ktoś zabawki zabiera, to też nieraz doznawszy tej przykrości, nieraz usłyszawszy przytem napomnienie, że brzydko jest brać coś bez pozwolenia, nabiera wreszcie pojęcia konkretnego zrazu, później zaś dość ogólnego o bezprawnem przywłaszczaniu.

Jeżeli które z rodzeństwa zostanie ukaranem, dziecko opowie nam szczegółowo rodzaj kary, przewinienie, które ją ściągnęło, szczególnie zaś w jaki sposób przyjęta została przez winowajcę, nie omieszka przytem

określić ową karygodną czynność jakimś ogólnym epitetem: a uczyni to dla tego, że samo popełniało coś podobnego i w następstwie podobnym-że karom ulegało. Zresztą dzieci nienawidzą niesprawiedliwości, szczególnie zaś takiej, która im jest wyrządzona, lub którą za wyrządzoną sobie uważają; widzą w niej tylko niezgodność pomiędzy przypadkowym a zwykłym sposobem obchodzenia się z niemi. Namiętnym też jest dziecię stronnikiem równości, zwłaszcza gdy ta dogadza jego kaprysom, upodobaniom, przeważającym w niem skłonnościom. Nie odczuje zaś nierówności, wypadającej na niekorzyść innych, chociażby rodziców jego i przyjaciół, jeżeli samo znajduje w niej korzyść chwilową.

Tak samo się rzecz miewa ze wszystkimi innemi przyzwyczajeniami moralnemi i ze zmysłem moralnym, który zarówno dla dziecka jak i dla dorosłego bywa najczęściej tylko teorią własnych jego postępów. Już przed ukończeniem trzech lat nieodłączna od wszelkiej inteligencji konieczność uogólniania skłania dziecko do zgodności pomiędzy myślą a postępkiem. Prawo to psychologiczne, tak jest w następstwie obfitem, że nie należałoby nigdy tracić go z oczu: wszystkie bowiem zarówno złe jak i dobre skłonności bądź to wrodzone, bądź nabyte, wszystkie nawyknięcia, w jakikolwiek sposób ukojone, dążą nietylko do zdetronizowania faktów naszego postępowania, którego są rzeczywistemi pobudkami, ale jeszcze do uchodzenia za pobudki słuszne a pod rozwagę wzięte, do podawania się chociażby za sofistyczne usprawiedliwienie, które ostatecznie przyjmie w dobrej wierze prawie, ktoś opacznie sądzący ¹⁾).

Postępki wynikają z myśli, myśli zaś z postępów.

¹⁾ H. Marion: *La solidarité morale*.

Otóż interes, miłość własna, uniesienie przyjmują znaczny udział w najlepszych postanowieniach dziecka. Wtedy nawet, gdy nikt tego nie wymaga, stara się ono wykazać powody swego postępowania: „Dlatego to zrobiłem, że...” Wyrazy te co chwila wracają mu na usta; domaga się ono o pochwały za mnóstwo błahych czynności, które podług swoich sądzi, wynajduje najnieprawdopodobniejsze czasem pobudki, przedewszystkiem zaś zawsze wynajdzie sposób usprawiedliwienia najnaganniejszych swoich postępów. To co jest prawdą względnie do zmysłu moralnego, jest nią też względnie do nawyknień: chociaż jednej strony przechylają się one na stronę bezinteresowności, to jednak zawsze „pod pewnym względem bywają interesowane ¹⁾).

Kto chce zrozumieć znaczenie postępów dziecka oraz zwrócić jego wolę w kierunku użytecznym i postępowym, ten przekonany być musi, że wszystkie najróżnorodniejsze skłonności biorą początek w samolubstwie i w niem cel swój mają. Przedewszystkiem zaś zmysłowi moralnemu u dziecka mniej jeszcze niż u dorosłego, przypisywać możemy stanowczość, której niema w nim wiele. Jeżeli człowiek niezaświe może otrzymać to czego chce, tem mniej też chce tego o czem ma pojęcie bardzo nawet wyraźne. Zmysł moralny dostarcza tylko woli pobudek mniej lub więcej silnych, zależnie od charakteru osobnika, od miejsca, od czasu i od zewnętrznych warunków. Wychowawca psycholog, powinien więcej zwracać uwagi na przyzwyczajenia, których dziecko nabrać może, oraz na jego wolę, rozwijającą się także drogą ćwiczenia niżeli na zaszczerpanie stałych zasad moralnych. Zasady będą kwiatami, po

¹⁾ V. M. Guyan: *La morale d'Épiene*.

których nastąpią owoce, przyzwyczajenia jednak i wolę nazwać można korzeniami i gałęziami.

Rozwój inteligencji i rozwagi rozszerza i ustala początkowe rozróżnianie zła i dobra. Jednocześnie z doświadczeniem i zastanowieniem się wzrasta też i uległość władzy—uosobienie praktycznego rozsądku. Jednocześnie z dążnością do rozwagi wzmagają się też powoli: sympatya, zamięłowanie pochwałą, miłość własna, siła przykładu, obawa wyrzutów, chęć uniknięcia połamania, sprawienia bliskim przyjemności i t. d.

Tak tedy powstaje ów stan, w którym rozwaga przeważa nad skłonnościami przeciwnymi i czyni dziecko zdolnym do panowania nad sobą. Z tych wszystkich tak różnorodnych pierwiastków kształtują się powoli zasady moralne, czyli mówiąc inaczej, dobre chęci i poczucie moralne przyłączają się do najpierwej nabytych przyzwyczajęń moralnych. Pokierowanie dzieckiem w tej mierze przedstawia mniejsze lub większe trudności, doprowadza do pomyślniejszych lub mniej pomyślnych rezultatów, zależnie od wrodzonych cech jego charakteru; obecnie nie umie ono jeszcze rządzić samo sobą, ale dobrowolnie stara się już powściągać skłonności do ulegania pierwszym popędom, posiada niejasne poczucie ograniczenia swobody swojej i wspólnie z nami pracować może nad nadaniem pewnego kierunku malutkiej swojej osobowości. Cóż bardziej wzruszającego nad owe przykłady zastanawiania się nad samym sobą, którym towarzyszy niedowierzanie własnym siłom oraz moralne cierpienie jakie dwuletnim zaledwie dzieciom sprawia *meliora video, deteriora sequor!*

W wieku, w którym jeszcze dziecko przeważnie popędom ulega, córeczka L. Ferri ¹⁾ proszona przez

¹⁾ *Osservazioni sopra una bambina*, wyszła w *Filozofia delle scuole italiane*. Październik 1880.

matkę, aby była grzeczną, dała jej kilkakrotnie dziwną tę odpowiedź, dowodzącą zastanawiania się nad sobą oraz własnej bezsilności: „Czuje, że nie mogę być dobrą.” Mając jednak około pięciu lat odpowiedziała chwalejącej ją matce: „Chciałabym, żeby Mamusia była jutro jeszcze bardziej kontenta ze mnie. Chciałabym być zawsze dobrą. Mamusiu, dlaczego ja nie mogę być zawsze dobrą?” Nie należy jednak przypuszczać, żeby pięcioletnie nawet dziecko najbardziej uzdolnione i najstaranniej chowane zawsze utrzymać się mogło w tej stosunkowo wysokiej sferze nastroju moralnego. W znacznie nawet późniejszym wieku dziecko spadnie dużo niżej od poziomu, na którym w trzech lub w dwóch latach stało istotnie albo też stać się zdawało. Najważniejsze zadanie wychowawcy na tem polega, żeby od pierwszych dni życia dziecka rozniecać w niem chwilowe błyski tak zawsze chwiejnego światła rozsądku moralnego ¹⁾.

KONIEC.

¹⁾ Uzupełnienie dalszego ciągu szukać należy w moim dziele: „*Wychowanie od kołyski*, rozdz. VIII. *Nawyknienia moralne oraz zmysł moralny.*”



TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
ROZDZIAŁ I.	
Władze umysłowe dziecka przed urodzeniem	1
Pierwsze wrażenie noworodka	8
ROZDZIAŁ II.	
Czynności ruchowe w początku życia	12
ROZDZIAŁ III.	
Kształcące wrażenia czuciowe. — Pierwsze postrze- żenia	28
ROZDZIAŁ IV.	
Instynkta ogólne i poszczególne	55
ROZDZIAŁ V.	
Uczucia	76
ROZDZIAŁ VI.	
Dążności umysłowe.	104
ROZDZIAŁ VII.	
Wola	128

ROZDZIAŁ VIII.

Gromadzenie oraz zachowywanie nabytków umysłowych.—Uwaga	144
--	-----

ROZDZIAŁ IX.

Skojarzenie stanów psychicznych.—Kojarzenie	171
Wyobrażenia	192

ROZDZIAŁ X.

Zdolności wytwarzania pojęć.—Sądzenie	213
Tworzenie pojęć oderwanych	231
Porównywanie	246
Uogólnianie	255
Rozumowanie	271
Błędy i złudzenia dziecka	289
Błędy z pobudek moralnych płynące	299

ROZDZIAŁ XI.

Wyrażanie uczuć i mowa	303
----------------------------------	-----

ROZDZIAŁ XII.

Zmysł estetyczny.—Poczucie muzyki	339
Poczucie piękna plastycznego	346
Instynkt budowania i tworzenia	353
Instynkt dramatyczny	357

ROZDZIAŁ XIII.

Osobowość.—Rozwaga.—Zmysł moralny	361
---	-----



KATALOG KSIĄŻEK

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY,

wydanych nakładem księgarni

GEBETHNERA I WOLFFA

w Warszawie.

Dla małych dzieci.

	Rs. k.
Anczyc Wł. L. A. B. C. pierwsza nauka dla dzieci, z wielu rycinami. Wydanie 5-te kartonowane	— 45
Chęciński Jan. Malowanki, dziesięć kolorowanych tablic, opisane rymem dla drobnej dziatwy. — Wydanie 4-te. 4-ka duża	1 —
Ciświcka Marya. Przygody dziatwy, w domu i w szkole, wierszem opisane, z licznymi kol. ryc. E. Klimsza. W ozdobnej chromolitogr. okładce	2 —
— Przyjaciele dzieci w obrazkach, dla drobnej dziatwy z 16 kolorow. tabl. rysunku K. Pilattiego	1.20
Gawalewicz M. Zwierzęta w ślicznych obrazkach i wierszykach. Ozdobn. karton.	1.20
Hoffmanowa Klementyna z Tańskich. Wiązanie Helenki, książeczka dla małych dzieci uczących się czytać. Wydanie 6-te z rycinami kolor. Kart.	— 60
Kapturek czerwony. Baśń z 6-ma chrom. rycinami.	— 25
Kopciuszek. Baśń z 6-ma chromolit. rycinami.	— 25
Kot mądry. Baśń z 6-ma chromolit. rycinami.	— 25
Teatrzyk obrazkowy. W 4-ce, chromolitograf. obrazki w ozdobnej oprawie	2 —

Dla dzieci od lat 6—10.

Anczyc Wł. L. Perły, zbiór celniejszych powieści z literatury angielskiej dla młodocianego wieku. Wolny przekład z 8-ma rycinami. Kartonowane	1.20
— W ozdobnej oprawie w płócienco angielskie	1.70
Arnold Dr. Krótkie powiastki dla wprawy młodzieży w polskim i niemieckim języku, mianowicie do odczytywania, opowiadania swojemi słowy, odpisywania, poprawiania, powtarzania przez pytania i odpowiedzi, uczenia się na pamięć i tłumaczenia. Zebrał i przełożył z niemieckiego T. Nowosielski, wydanie 2-gie. Kartonowane	— 60
Biart Lucyan. Pogadanki braci z siostrami, spisane ku zabawie młodych czytelników. Przełożył Jan Chęciński, z licznymi obrazkami. Karton. 1 rs. 20 k. W ozdobn. opr. w płótno angielskie	1.70

- Chęciński Jan. Dzień grzecznego Władzia, w rymowanych ustępach opowiedziany dziatwie z dodaniem różnych wierszyków, z 12 ma obrazkami J. Kossaka, wyd. 2-gie. Kartonowane — 75
- Powieści prawdopodobne dla dzieci. Według Emila Leclercq spolszczone, z 6-ma rycinami. Kartonowane — 75
- Powiastki dla małych czytelników. Według Jana Macé przełożone, z 12-ma obrazkami. Kartonowane 1 —
- W ozdobnej oprawie płóciennej. 1.50
- Robinson dla młodszej dziatwy, czyli najciekawsze przygody Robinsona Kruzoe, ozdobione ryc. kolor. Karton. — 60
- Dąbrowa A. Wieczory jesienne. Opowiadanie matki dziejów ojczystych. Kartonowane rs. 1 kop. 20 w ozd. opr. . 1.70
- Dzlekoński T. Wiązanie dla moich wnuków. Pierwiastki czytania jako zachęta do nauki. Wydanie nowe z 24-ma rycinami. Kartonowane 1 —
- W ozdobnej oprawie płóciennej. 1.50
- Powieści starego nauczyciela dla swoich młodych przyjaciół. Z 12-ma kolorowanymi rycinami. Karton. 1 —
- Hoffmanowa Klementyna z Tańskich. Powiastki, powieści i komedijki moralne.—Wydanie 3-cie. Kartonowane — 90
- Druga książeczka Helenki, powieści dla dzieci zaczynających już czytać gładko. Wydanie 6-te z rycinami kolorowanymi. Kartonowane — 75
- Kamińska B. (Zofia Węgierska). Obrazy wieku dziecinnego, zbiór powieści dla dzieci od 5 do 9 lat, z rycinami kolorowanymi. Berlin. Kartonowane 1.20
- Kraków P. Niespodzianka, zbiór powiastek dla pilnych dzieci. Wydanie 8-me, z 4-ma rycinami kolorowanymi. Karton. — 75
- Krasicki. Bajki i przypowieści. Wydanie nowe (w druku).
- Leja E. Fantazja i prawda, kilka nowych powieści dla młodocianego wieku, z 8-ma obrazkami kolorowanymi rysunku Andriollego. Kartonowane z okł. chromolit. 1 —
- W ozdobnej oprawie płóciennej 1.50
- Leuteman H. Królestwo zwierząt w obrazach. Ilustrowana historia naturalna dla młodego wieku z 263 obrazkami chromolitografowanymi w ozdobnym kartonie R. 2.40
- Morawska Z. Z życia małych dzieci, 24 powiastek dla dziatwy poczynającej czytać, z 6-ma rycinami kolorowanymi i ozdobione okładką kartonową. 1 —
- Nasi znajomi, 12 powiastek dla dzieci od lat 8, z 6-ma rycinami karton. rs. 1 kop. 20; oprawne 1.70
- Pamiętniki Ialki. Powiastka poświęcona Ludwini mojej siostrze, spolszczona z francuzkiego przez Wilg. Karton. — 60
- Piaś Władysław. O zmroku. 24 powiastek dla młodocianego wieku, z rycinami, karton. 1 —
- W ozdobnej płóciennej oprawie. 1.50
- Przyborowski Walery. Baśnie ludowe opracowane dla młodszej dziatwy. Z 8-ma rycin. kolor. rysunku W. Gersona. W wielkiej 8-ce. Kartonowane 1.50
- Przygody małej Wandzi, powiastka dla dzieci od lat 5 do 10, z 6-ma kolor. rycinami. Kraków. Kartonowane — 30

- Przyjaciel dzieci. Pismo tygodniowe nauce i rozrywce młodzieży poświęcone, ozdobione licznymi drzeworytami. Tom I—X, czyli lata 1861—1870. Tomów 10 in folio. 15 —
- W oprawie ozdobnej płóciennej. 25 —
- Tomy pojedyncze po 2 —
- W oprawie ozdobnej płóciennej. 3 —
- Schmid ks. kan. Dziewięćdziesiąt powiastek dla dzieci, spolszczonych przez J. Chęcińskiego. Wydanie 4-te z 8-ma rycinami. Kartonowane — 90
- Sto powiastek dla dzieci, spolszczone przez J. Chęcińskiego. Wydanie 4-te, z 8-ma ryc. Kartonowane — 90
- Mały Henryś, powiastka, przełożył J. Chęciński, z 4-ma obrazkami, kartonowane — 60
- Séguir hr. de. Grzeczne dziewczynki. Wolny przekład z francuzkiego, z 19-ma rycinami. Kartonowane 1.20
- W ozdobnej oprawie płóciennej. 1.70
- Sekrecik białego dworu. Powiastka dla dzieci, przez autorkę „Dziedzica Redcliffu.” Przekład z angielskiego z ryc. Kartonowane 1.20
- W ozdobnej oprawie płóciennej. 1.50
- Sokół. Dzieje Polski streszczone dla dzieci, według najnowszych źródeł. Kartonowane — 60
- Urbanowska Zofia. Gucio zaczarowany, powieść dla młodszych dzieci, z 10-ma rycinami kolorowanymi i ozdobną okładką, kartonowane 1.20
- Zalewska Marya Julia. Gwiazdka dla grzecznej dziatwy. Małe powiastki z 26 obrazkami, karton. rs. 1, w ozd. opr. 1.50
- Listki i ziarenka. Powiastki, opowiadania i rozmówki dla dzieci. Wydanie nowe, z 8-ma rycinami kol. Kart. 1.20
- W ozdobnej oprawie płóciennej. 1.70
- Świątek Zosi. Rozmowy młodej dziewczynki z ciocią, dla grzecznych dzieci spisane. Z 12-ma ryc. Kart. 1 —
- W ozdobnej oprawie płóciennej. 1.50
- Bajeczki prawdziwe, opowiedziane dziatwie podług Z. Kornaz z 6-ma obrazkami. Kartonowane 1.20
- Iskierki, krótkie powiastki i bajeczki dla młodszej dziatwy z 8-ma rycinami, kartonowane 1.20
- W oprawie 1.70
- Niezgodni królewicze i królowa perłowego pałacu, bajki prawdą przeplatane, z 5-ma rycinami kolorowanymi. W ozdob. okładce kartonowanej 1.20

Dla starszych dzieci.

- Anczyc Wł. L. Biblioteczka dla młodzieży:
- Tom I. Bóg nie opuści, kto się Nań spąści. Opowiadanie Fr. Hoffmana.
- „ II. Czas to pieniądz. Opowiadanie Fr. Hoffmana.
- „ III. Kręte drogi. Opow. Fr. Hoffmana.
- „ IV. Pierwszy błąd. Op. Fr. Hoffmana.

Tom V.	Dwie róże. Powiastka hist. z dziejów Anglii, z XV. w. F. Henninga.	
„ VI.	Gabor Hunyad Berenyi. Pow. hist. z dziejów Węgier, z XV wieku. F. Henninga.	
	Cena każdego tomu broszur. 40 k. kartonowane	— 50
Anczyc Wł. L.	Duch puszczy, opowiadanie z amerykańskich borów, przełożone i obrobione według d-ra Birda, z 8 rycin. kolor. wydanie drugie, kartonow.	1.20
	W ozdobnej oprawie	1.70
—	Przypadki Robinsona Kruzoe, podług najlepszych źródeł, dla dzieci polskich opracowane, wydanie 3-cie, z 10 ryc. i licznymi drzewor. w tekście. Nowe wydanie kart. W ozdobnej oprawie	1.20 1.50
Bulwer.	Ostatnie dni Pompei, powieść przerobiona dla młodzieży. Przekład M. Gawalewicz, z 6-ma rycinami, rs. 1 kop. 50. W ozdobnej oprawie	2 —
Chęciński Jan.	Robinson szwajcarski przełożony z francuskiego, podług P. J. Stahla. Wydanie 3-cie kartonow.	1.20
	W ozdobnej oprawie	1.70
Dmochowski F. S.	Krótki zbiór historii polskiej, podług najnowszych źródeł historycznych opowiedziany. Wydanie nowe poprawione, rozwinięte i uzupełnione spisem chronologicznym i wykazem książąt z plemienia Piastów i Giedyminów 60 k. kartonowane kop. 75. W opr.	1 —
Du Chailu Paweł.	Przygody podróżnika i myśliwego w Afryce zachodniej, przystępnie opowiedziane. Przełożył A. Wrześniowski, z 4-ma rycinami kartonowanymi	1.20
	W ozdobnej oprawie płóciennnej.	1.70
Grimm.	Powieści z 1001 nocy. Nowe wydanie, ozdobione 6-ma chromolitografiami. Kartonowane w ozdobnej chromolitografowanej okładce	1.50
Izdebska W. z R.	Pamiętnik Babuni, dziełko poświęcone dorastającej młodzieży, z ryciną. Karton. rs. 1 kop. 20. W ozdobnej oprawie płóciennnej.	1.70
—	Praca bogactwem, powieść dla dorastającej młodzieży, oryginalnie napisana. W ozdobnej oprawie płóciennnej.	1.50
Jadwiga Teresa.	Obrazki dziejowe dla młodzieży, wydanie drugie z 6-ma rycinami, rysunku J. Kossaka, kartonowane rs. 1 k. 20. W ozdobnej oprawie	1.70
—	Z lat minionych. Trzy powieści historyczne dla młodzieży. Moja pieśniczka. Rycerz błękitny. Krwawe chwile. Z 3-ma rycin. karton.	1.20
	W ozdobnej płóciennnej oprawie	1.80
Kamocka Józefa.	W imię prawdy i dobra. Kilka nauk w powieściach, ukochanym dzieciom składa . . . z 10 obrazk. rysun. C. Jankowskiego, karton. rs. 1 kop. 20, oprawne	1.70
Kraków P.	Pamiętniki młodej sieroty. Wydanie 4-te, z 4-ma rycinami. Kartonowane	— 90
—	W ozdobnej oprawie płóciennnej.	1.40
—	Wspomnienia wygnanki. Wydanie 4-te, z 6-ma rycinami. Kartonowane	— 90
	W ozdobnej oprawie płóciennnej.	1.40

Mayne-Reid.	Półów potworów morskich, przełożyła z angielskiego M. J. Zalecka z 8-ma rycinami, kartonowane rs. 1 k. 20, oprawne ozdobnie	1.70
—	Przygody myśliwskie młodych osadników w Afryce południowej, tłumacz. z angielskiego M. J. Zalecka, z 12 rycinami, kartonowane rs. 1 kop. 20, w ozdobnej oprawie	1.70
—	Dolina bez wyjścia. Przygody podróżników w górach Himalaya, tłum. z angielsk. M. J. Zalecka, z 10-ma rycin., kartonowane rs. 1 k. 20, w ozdobnej oprawie.	1.70
	Młodzi żeglarze czyli przygody myśliwskie w Ameryce północnej. Przekład z angielskiego M. J. Zaleckiej. Z 12-ma drzeworytami rs. 1 k.op. 20. W ozd. oprawie.	1.70
—	Porwana siostra, opowiadanie dla młodzieży, z 7-ma rycinami. W ozdobnej oprawie płóciennnej.	1.50
—	Wygnańcy w lesie. Przekład z angielskiego przez J. B. Wydanie 2-gie z 12 rycinami. W ozdobnej opr. płóc.	1.70
Morawska Z.	Giermek książęcy, powieść historyczna z XIII wieku dla dorastającej młodzieży. Z rysunkami J. Maszyńskiego. Kartonowane. Rs. 1 kop. 20 w oprawie	1.70
Müller E.	Młodość sławnych ludzi, przekład J. Chęcińskiego, z 23-ma rycinami wydanie 2-gie, kartonowane rs. 1 kop. 20, w ozdobnej oprawie.	1.70
Paska Jana Chryzostoma.	Przygody według jego pamiętników opowiedziane dla młodzieży, przez J. Laskarysa. Wydanie ozdobione 8-ma rycinami chromolitogr. i 15-ma drzeworytami w tekście, rysunku Ant. Zaleskiego	2.25
—	W ozdobnej oprawie płóciennnej.	3 —
Przyborowski Walery.	Chrobry. Opowiadanie historyczne z XI wieku, z 6-ma rycinami W. Łuski. Rs. 1 kop. 20. W ozdobnej oprawie	1.70
—	Król Krak i królowa Wanda, opowiadanie przedhistoryczne dla młodzieży z 8-ma rysunkami C. Jankowskiego. Kartonowane rs. 1 k. 20, w oprawie	1.80
—	Lelum polelum. Opowiadanie historyczne z X wieku z rycinami W. Łuski. Rs. 1 k. 20, w oprawie.	1.70
—	Myszy króla Popiela, opowiadanie przedhistoryczne dla młodzieży. Kartonowane rs. 1 k. 20, w oprawie	1.20
—	Dzieje Polski, do r. 1772, opracowane dla młodzieży, rs. 1 w oprawie	1.50
Szymanowski Wacław.	Orazki z życia znakomitych ludzi dla młodego wieku, z różnych autorów zebrane i ułożone. Wydanie 2-gie, z 10-ma ryc. W ozdobnej oprawie płóc.	2 —
Wójcicki J.	Mój dobroczyńca. Opowiadanie dla młodzieży z rysunk. J. Owidzkiego. Kart. Rs. 1 k. 50. w ozd. opr.	2 —
Zaleska M. J.	Obraz świata roślinnego, obejmujący życie roślin, klasyfikacją i opisanie znacniejszych rodzin, młodemu wiekowi ofiarowany, z licznymi drzeworytami	2.25
—	Kartonowane	2.40
—	W ozdobnej oprawie płóciennnej.	2.80
—	Odgłosy gór i dolin, powieści z dawniejszych i nowszych czasów dla młodego wieku, z 7 rycinami M. Kotarbińskiego, rs. 1 kop. 20, w oprawie	1.70

	Rs. k.
Zaleska M. J. Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej z franc. naśladowane, z 7 rycinami, rs. 1.20, w oprawie	1.70
— Mały Lord, powieść dla młodzieży, przekład z angielskiego, z rycinami	1.20
— W ozdobnej oprawie	1.70
— Dwie Siostry, opowiadanie z życia młodych dziewcząt	1.80
— W ozdobnej oprawie	2.40
— Wyprawa po skarby ukryte wśród puszczy. Przygody podróżników w Australii, kartonowane	1.20
— W oprawie	1.80
— Z pałaców i chat. Powieści dla dorastającej młodzieży z angielskiego naśladowane, z rycinami kartonowane rs. 1 kop. 20, w ozdobnej oprawie	1.70
— Mieszkaniec puszczy. Opowiadanie z powieści Coopera dla młodzieży ułożone, z 5-ma obrazkami rysunku Cz. Jankowskiego. Kartonowane rs. 1 k. 50 oprawne. Treść: Pogromca zwierza. — Jezioro Ontario. — Ostatni z Mohikanów. — Osadnicy. — Stepy.	2 —
Zygmunt J. A. Nowy zbiór powinszowań do użytku młodzieży. Na dni uroczyste, imienin, Nowego roku, i t. p., dla rodziców i krewnych. Wydanie 4-te, k. 40. Kartonowane	— 50

Dla młodzieży i dorosłych.

Bareille J. Emilia Paula, powieść historyczna z czasów pierwszych chrześcian. Przekład z franc., 2 tomy. Kraków.	— 90
Biblioteczka popularno naukowa:	
Tomik I. Chemia. p. H. E. Roscoe	— 40
„ II. Ekonomia polityczna, p. Fawcett	— 30
„ III. Geografia fizyczna, p. prof. Geikie	— 30
„ IV. Wiadomości wstępne z higieny przez Bernersa, tłumaczone z angielskiego	— 30
„ V. Początki geologii. Przez A. Geikie, tłum. z ang. prof. K. Jurkiewicz	— 30
„ VI. Początki fizjologii, p. M. Forstera	— 30
Chodźko Ign. Pamiętniki kwestarza. Wydanie nowe ozdobne, z 12 rycinami E. M. Andriollego, wykonanemi sposobem fotolitogr. 4-ka. W wytwornej oprawie w angielskie płótno, bogato złożonej	15 —
Figuier L. Historia roślin. Dzieło ozdobione 415 wizerunkami z natury wykonanemi. Z francuskiego przełożył, objaśnił i licznymi dodatkami powiększył autor Flory polskiej (Jakób Waga): 3 tomy	6 —
Jaccoliot Ludwik. Tajemnice Afryki. (Ostatni statek niewolniczy. — Bohater puszczy. — Stolica stepu). Przełożył z francuskiego Karol Jurkiewicz, Z 32-ma ilustracyami, rs. 2 k. 50. W ozdobnej oprawie	3.50
Klaczko Julian. Wieczory florenckie. (Dzieło uwiecznione przez Akademię francuską). Z upoważnienia autora tłumaczył St. Tarnowski. Wydanie drugie poprawne	1.50
W oprawie	1 —

	Rs. k.
Klejnoty poezji polskiej wybrane z dzieł z najznakomitszych dawnych i nowoczesnych poetów przez A. F. W., w oprawie	1.20
W płótno angielskie w ozdobniejszej oprawie	1.50
Kobieta w poezji polskiej. Głosy poetów o kobiecie przez autora Antologii polskiej, z 8 rysunkami E. Andriollego. W ozdobnej oprawie, brzegi złożone	5 —
Kodeks światowy, czyli znajomość życia we wszelakich stosunkach z ludźmi. Ułożył Spirydion	— 60
W ozdobnej płóciennnej oprawie	1 —
Kondratowicz L. Urodzony Jan Dęboróg. Dzieje jego rodu, głowy i serca przez niego samego opowiadane, rytmem spisane. Illustrował E. M. Andriolli, 4 to na welinie. W ozdobnej oprawie, brzegi złożone	8 —
Konopnicka Marya. Poezye, wydanie drugie, 3 tomy, każdy tom po	1.50
W ozdobnej oprawie, tom po	2 —
W ozdobnej oprawie ze złożonemi brzegami tom po	2.50
— Wybór poezji w ozdobnej oprawie ze złożon. brzegami.	2 —
Kraszewski J. I. Stara baśń, powieść z IX wieku, wydanie jubileuszowe, na wytwornym welinie z 24 ilustracyami Andriollego i portretem autora na stali, w 4-ce, w ozdobn. oprawie w płótno angielskie ze złoż. brzeg.	12 —
Kwiaty rodzinne. Wybór poezji, zebrany przez N. Żmichowską. — W oprawie ozdobnej płóc. brzegi złożone	1.50
— W oprawie ozdobniejszej	2.50
Lobe J. C. Katechizm muzyki, z niem. przełożył Jan Kleczyński, wydanie 2-gie, kop. 75 w ozdobnej oprawie	2.70
Malczewski Antoni. Marya. Powieść ukraińska wydanie ozd. (z 8 fotogr. rycinami pomysłu E. M. Andriollego) wydanie 3-cie, 4-ka, w ozdobnej opr. w angielskie płótno i złożone brzegi	1 —
— Toż samo wydanie w 8 ce, w ozdobn. oprawie	10 —
— Toż samo w 16-ce, w ozdobnej oprawie	4 —
— Toż samo w 16-ce, w ozdobnej oprawie	2 —
Mickiewicz A. Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie. Historia szlachecka z roku 1811 — 1812 w 12 księgach wierszem. Wydanie nowe kieszonkowe z portretem autora. W ozdobnej oprawie brzegi złożone	2 —
Newmann W. O. Kalista czyli obraz historyczny z III-go wieku. Przekład E. Ziemięckiej. Kraków, kop. 75. W ozd. oprawie w płótno angielskie	1.25
Portius K. J. S. Przewodnik gry szachowej. Z 6-go wydania niemieckiego przełożył Stan. Tomaszewski	1 —
Scherr Jan d-r. Historia literatury powszechnej, według 6-go wydania oryginału niemieckiego przełożona, w osobnych przypiskach uzupełniona i w dziale literatur słowiańskich znacznie pomnożona przez Bronisława Zawadzkiego, 2 tomy, rs. 6 w oprawie ozdobnej	7.50
Spasowicz Włod. Dzieje literatury polskiej, przełożył, przejrzał i uzupełnił A. G. Bem. Wydanie 3-cie w druku.	

Tissandier Gustaw. Męczennicy w imię nauki. Dzieło ozdobione 34 rycinami podług rysunku K. Gilberta. Przekład z francuskiego.	2 —
— W ozdobnej płóciennej oprawie.	2.60
Urbanowska Zofia. Księżniczka, powieść uwieńczona nagrodą konkursową. (Ku czci śp. Pauliny Krakowowej), rs. 1.50, oprawa ozdobna.	2.40
Wiseman Kardynał. Fabiola. Powieść z czasów prześladowania chrześcian w r. 302, spisana w języku angielskim. Kraków.	1 —
— na papierze welinowym	1.20
Wójcicki K. W. Historia literatury polskiej w zarysach dla młodzieży	1 —
— Oprawne w płótno angielskie	1.50
Wrześniowski A. Zasady Zoologii z 499 rysunkami i tablicą chromolitografowaną	2.40

Książki nabożne dla dzieci i młodzieży.

Ewangelia dla małych dzieci przez H. J.	30 —
Kamocka J. Pod Twoją obronę, nabożeństwo dla dzieci na chwałę Bogu i cześć N. M. P. Wydanie nowe uzupełnione (osobne dla chłopców i dziewcząt) kop. 40. W oprawie w płóciénko, brzegi złożone	1 —
— W skórce	1.20
— Zdrowaś Marya, nabożeństwo dla młodego wieku. (Wydanie nowe, osobne dla chłopców i dziewcząt) kop. 60, w oprawie w płóciénko brzegi złożone	1.50
— W skórę, złożone brzegi rs. 2, w oprawie w szagrin, złożone brzegi	2.20
Metlewicz J. K. ks. Gwiazdka Boża. Książeczka do nabożeństwa dla małych dzieci. Wydanie nowe, kop. 30. W oprawie w płótno angielskie	— 75
— Ze złożonemi brzegami kop. 90; w skórce	1.20
Morawski Adam. Anioł stróż. Podarek w dzień pierwszej komunii i bierzmowania, oraz całe nabożeństwo dla młodzieży obojg płci, z wykładem wiary św. naukami Ojców Kościoła i radami na drogę życia	— 50
— W oprawie ozdobnej w płótno angielskie rs. 1 w skórę	1.35

Dzieła treści pedagogicznój.

Bain Aleksander. Nauka wychowania. Przekład z angielskiego, pomnożony rozdziałem o wykładzie języka polskiego.	2.55
Chęłmicki Zygmunt ks. Obowiązki rodziców rozebrane w 7-miu kazaniach pasyjnych	1 —
Dzieduszycka Anastazyja. Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych. Wydanie 2-gie.	1 —

29
1056

